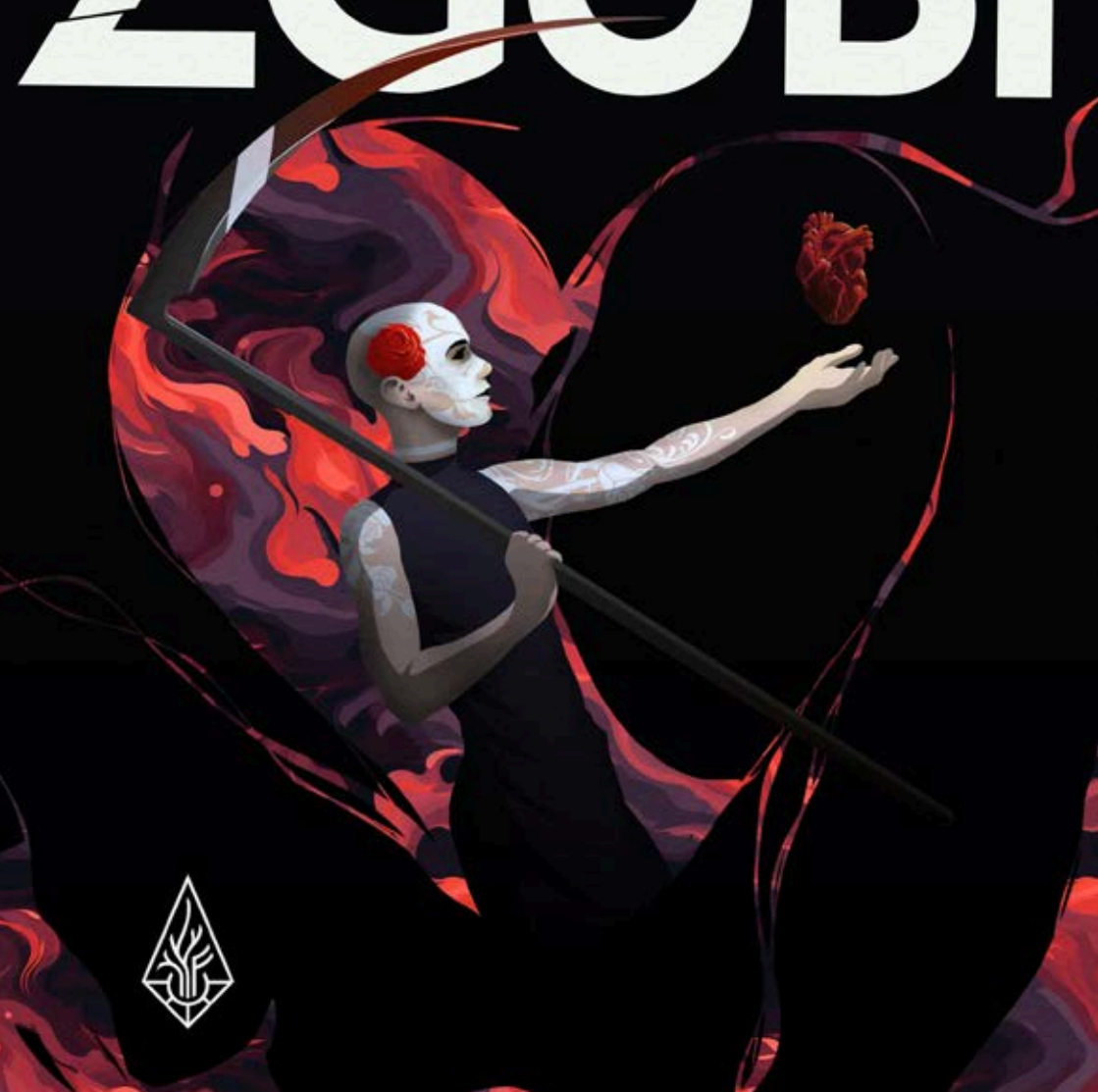


KOCHA, LUBI, ZGUBI



**KOCHA,
LUBI,
ZGUBI**

KOCHA, LUBI, ZGUBI

Antologia

Opoczno 2024

Redaktor prowadzący: Dawid Wiktorski

Koordinacja działu redakcji: Magdalena Świerczek-Gryboś,
Dawid Wiktorski

Koordinacja działu korekty: Justyna Mroczek-Żal, Ilona Żurawska

Korekta posładowa: Justyna Mroczek-Żal, Renata Rabczewska,
Beata Sagan-Szendzielorz, Katarzyna Twarduś, Ilona Żurawska

Koordinacja działu weryfikacji: Anita Brzozowiec, Magda Kowalewicz

Koordinacja działu recenzji: Magdalena Piniak, Barbara Uznańska-Loch

Koordinacja działu ilustracji: Anita Brzozowiec, Arkadiusz Nowakowski, Magdalena Świerczek-Gryboś

Koordinacja działu audio: Agata Graczyk, Magda Kowalewicz

Koordinacja działu marketingu: Dawid Wiktorski

Koordinacja działu tłumaczeń: Alicja Janusz

Ilustracja na okładce: Arek Nowakowski

Projekt typograficzny: Arek Nowakowski

Skład: Maria Król

Skład wersji elektronicznej: Maria Król

Tekst audiodeskrypcji okładki: Magda Brumirska-Zielińska

Konsultacja audiodeskrypcji: Magdalena Dudowicz

Kontakt: kontakt@fantazmaty.pl

ISBN:

PDF: 978-83-68079-01-2

ePub: 978-83-68079-02-9

mobi: 978-83-68079-03-6

Oprawa miękka: 978-83-68079-00-5

Ten utwór jest dostępny na licencji Creative Commons: Uznanie autorstwa – Użycie niekomercyjne – Bez utworów zależnych 4.0 Międzynarodowe.

Dozwolone kopiowanie i rozpowszechnianie utworu w dowolnym medium i formie.

Uznanie autorstwa – utwór należy odpowiednio oznaczyć, podać link do licencji i wskazać, jeśli zostały dokonane w nim zmiany. Możesz to zrobić w dowolny, rozsądny sposób, o ile nie sugeruje to udzielania przez licencjodawcę poparcia dla ciebie lub sposobu, w jaki wykorzystujesz ten utwór.

Użycie niekomercyjne – nie należy wykorzystywać utworu do celów komercyjnych.

Bez utworów zależnych – remiksując, przetwarzając lub tworząc na podstawie utworu, nie wolno rozpowszechniać zmodyfikowanych treści.

Wysłuchaj audiodeskrypcji okładki:

<https://hearthis.at/fantazmaty>

<https://www.youtube.com/c/ProjektFantazmaty>

Okładka zbioru opowiadań *Kocha, lubi, zgubi*, wydanego przez Grupę Wydawniczą Fantazmaty w formie e-booka.

Format książki: A5, co w druku przekłada się na 21 cm wysokości i 14,8 cm szerokości.

Autor ilustracji okładkowej: Arek Nowakowski

Autor liternictwa: Arek Nowakowski

Na górze okładki biały tytuł: *Kocha, lubi zgubi*, złożony kapitalikami, podzielony na dwie linie. Litery w obu liniach przedzielone są czarnymi skośnymi kreskami, jakby po przecięciu wpół.

W centralnej części okładki kobieca postać w czarnej sukience, zwrócona w prawo. Ma wygoloną głowę i jasną skórę. Na twarzy i ramionach ma tatuaże lub malunki, przypominające wzory plemienne. Nad prawym uchem duży, czerwony kwiat róży. W prawej dłoni trzyma trzonek kosy o długim ostrzu. Ma wyprostowaną lewą rękę. Nad dłonią unosi się serce, jakby świeżo wycięte z ludzkiej piersi.

W tle czarne i fioletowe płomienie układają się w symboliczny kształt serca.

Z przyczyn technicznych pełną audiodeskrypcję uzupełnimy w ciągu kilku dni po premierze. Zaktualizuj plik z książką na <https://fantazmaty.pl/czytaj/antologie/> lub wysłuchaj audiodeskrypcji na <https://hearthis.at/fantazmaty/> lub <https://www.youtube.com/c/ProjektFantazmaty>.

**Tej książki nie można kupić. Skąd więc się u ciebie wzięła?
Dowiesz się na przedostatniej stronie.**

Na ostatniej stronie znajdziesz informacje o gatunkach opowiadań oraz listę content warningów, czyli treści, które mogą być kontrowersyjne lub niemile widziane.

Spis treści

Przedmowa.....	13
Dawid Wiktorski	
Pomarańczowa parasolka.....	15
Aleksandra Knap	
Miłość i mróz.....	31
Judyta Formanowska	
Zakręt.....	74
Marcin Bartosz Łukasiewicz	
Wzór na długie i szczęśliwe życie Jeremy’ego Barretta.....	85
Aleksandra Żyłkowska	
Może wśród gwiazd.....	116
Anna Gersten	
Entropia.....	131
E. Raj	
Rycerz, panna i wielka niedźwiedzica.....	142
Barbara Kaczyńska	
Prorocy Galei.....	184
Anna Luria	
Zegarmistrz życia zakrwawiony.....	207
Jacek Małas	
Oksytocyna.....	215
Michał Klasa	
Upadek domu von Planethofów.....	244
Marta Rakoczy	

Fantazmaty są tworzone przez:

Redaktorzy: Mateusz Bielecki, Dorota Bożek, Anita Brzozowiec, Karolina Deryło, Magdalena Gonta-Biernat, Agata Jankowska, Agnieszka Janowska, Marta Karmowska, Matylda Kępa, Michał Kowal, Magda Kowalewicz, Agnieszka Mohyłowska, Paulina Nowakowska, Katarzyna Pikosz, Agnieszka Przybyła-Wilkin, Renata Rabczewska, Adam Raglan, Urszula Sarnowska, Aneta Stawiszyńska-Marciniak, Justyna Szymkiewicz, Magdalena Świerczek-Gryboś, Dawid Wiktorski, Agata Żyła

Korektorzy: Maria Bernaciak, Karolina Deryło, Gabriela Gardoń, Dorota Gryka, Paulina Karbownik, Magdalena Kłódowska, Agnieszka Kolenda, Patrycja Kurczewska, Aleksandra Machnowska, Justyna Mroczek-Żal, Karolina Maślińska, Renata Rabczewska, Magdalena Romańczyk, Beata Sagan-Szendzielorz, Klaudia Smulka, Pola Stawiany, Katarzyna Twarduś, Ilona Żurawska

Weryfikatorzy: Anita Brzozowiec, Aleks Gapski, Joanna Gasińska, Agata Graczyk, Paulina Karbownik, Magdalena Kłódowska, Marcelina Kopaczka, Magda Kowalewicz, Aleksandra Krasińska, Żaneta Królikowska, Małgorzata Lisiecka, Paulina Miodyńska, Jakub Moroński, Malwina Niewielska, Agnieszka Nowak, Zuzanna Pajewska, Patrycja Pancerz, Katarzyna Pikosz, Renata Rabczewska, Agnieszka Ruczaj, Urszula Sarnowska, Monika Skołożyńska, Marta Szpakowska, Anna Twarowska, Barbara Uznańska-Loch, Joanna Zawadzka

Recenzenci: Aleks Gapski, Agnieszka Janowska, Aleksander Killman, Patrycja Kurczewska, Patrycja Pancerz, Bartłomiej Partyka, Magdalena Piniak, Adam Raglan, Anna Sikorska, Monika Skołożyńska, Pola Stawiany, Barbara Uznańska-Loch, Dawid Wiktorski, Adam Wnuk, Karolina Wojciechowska

Lektorzy: Daniel Brzeziński, Tomasz Buga, Sebastian Filipowicz, Aneta Pastuszka, Bartek Rogowski, Magdalena Samólnik, Stella M. Sit

Produkcja audio: Tomasz Buga, Witold Strugała

Korekta audiobooków: Jadwiga Glaza, Agnieszka Nowak, Agnieszka Ruczaj, Agnieszka Rzepecka, Aneta Stawiszyńska-Marciniak, Katarzyna Twarduś

Graficy: Emilia Baczyńska, Wiktoria Makowska

Skład: Kinga Grodzka, Maria Król

Przedmowa

Dawid Wiktorski

Nabory tematyczne przypominają loterię – czasami wymyślamy tematy, które cieszą się znikomym zainteresowaniem, innym razem „rozbijamy bank” (ten literacki) i w efekcie dostajemy tak dużo dobrych tekstów, że wydanie ich w jednym zbiorze jest rozwiązaniem mało praktycznym. Tak było właśnie w przypadku naboru o wdzięcznej nazwie *(nie)Długo i (nie)szczęśliwie*. Pierwszy zaprezentowaliśmy w walentynki, drugi – czyli *Kocha, lubi, zgubi*, do którego przedmowę właśnie czytasz – ukazał się w dniu przesilenia letniego, kiedy ma miejsce noc kupały. Trudno o bardziej charakterystyczne dla naszego kręgu kulturowego święto związane z szeroko rozumianą miłością.

Nie chcę tutaj wymieniać tego, co przygotowali dla was autorzy, których teksty znajdziecie w *Kocha, lubi, zgubi* – ale na pewno muszę zaznaczyć, że miłość okazała się tematem bardzo nośnym, pasującym do zaskakująco różnorodnych wizji i pomysłów. W antologii znajdziecie zarówno fantasy, jak i science fiction, a do tego mnóstwo opowiadań, których zasufladkowanie w jednym konkretnym gatunku jest bardzo trudne (czy też wręcz niemożliwe).

Czy przynudzam? Z pewnością! Dlatego kończę ten (może i nie aż tak bardzo) przydługi wstęp i zapraszam was do lektury. Jeśli po zapoznaniu się z *Kocha, lubi, zgubi* nabierzecie ochoty na więcej fantastyki z miłością w tle, nie zapomnijcie o pobraniu antologii *Na zawsze, do jutra, już nigdy* (oczywiście jeśli jeszcze tego nie zrobiliście).



Pomarańczowa parasolka

Aleksandra Knap

Michał podszedł do krawędzi chodnika. Wyprostował się, wziął głęboki wdech. Uniósł głowę w stronę czarnych chmur i zanurzył się w ciszy. Pojedyncze krople opadały na zmęczoną twarz. Uderzały o dachówki, bębniły w rynnach. Cisza.

Stał w kałuży, w której odbijało się światło przydrożnej latarni. Nie przeszkadzało mu to, dlatego nie cofnął nogi. Ważne, że otaczała go cisza.

W oddali rozległ się dźwięk syreny strażackiej. Michał się rozejrzał: po drugiej stronie ulicy, nad budynkiem, unosił się gęsty dym. Oblizwał wargi, przejechał dłonią po mokrym czole. Deszcz przybierał na sile. Kościstymi ramionami wstrząsnął dreszcz. Michał postawił kołnierz płaszcza. Wyciągnął z kieszeni bezprzewodowe słuchawki i wsunął je do uszu. Zerknął na pustą jezdnię, po czym ruszył w stronę budynku.

Płomienie buchały przez okna, przedzierały się przez dach. Pragnęły zaczerpnąć powietrza, by móc się rozprzestrzenić. Michał podbiegł pod drzwi. Gdy gorące powietrze musnęło policzki, zasłonił twarz rękawem. Wstrzymał oddech, jednak dym zdążył przedostać się do gardła i podrażnić przełyk. Cofnął się kilka kroków, łapczywie chwytając powietrze.

Jego uwagę przykuła mgła wypływająca zza kamienicy. Skumulowała się w jednym miejscu, by stworzyć gęste kłębowisko. Michał wyciągnął rękę, próbując chwycić odrobinę białej pary, jednak gdy rozluźnił pięść, zdał sobie sprawę, że obłoki umknęły.



Nagle ktoś złapał go za ramię. Strażak rozkazał opuścić posesję, by nie utrudniać akcji.

Gdy Michałowi udało się odnaleźć wzrokiem mgłę, zauważył, jak ta odpływa w stronę parku, a ostatecznie zniknęła za drzewem.



– Dzień dobry, kochanie.

Kobieta usiadła na skraju łóżka i zerknęła na synka, który przewrócił się na drugi bok i naciągnął kołdrę po sam czubek głowy.

– Dzisiaj są twoje urodziny, pamiętasz? – wyszeptła.

Chłopiec otworzył oczy, po czym poderwał się i zrzucił pościel na podłogę. Wskoczył mamie na kolana i owinał ramiona wokół jej szyi. Tak długo czekał na ten dzień! Zeszłego wieczoru postanowił, że wstanie skoro świt i po raz pierwszy w życiu to on obudzi rodziców.

Wtulał się we włosy mamy, starając się ukryć zawstydzenie. Zwolnił uścisk dopiero, gdy usłyszał bulgotanie gotującej się wody w czajniku.

– Zastanawiałeś się nad życzeniem? – Kobieta przejechała palcami po delikatnym policzku.

Chłopiec nie musiał tego robić. Odkąd wydarzył się ten straszny wypadek, wiedział, o co poprosi w dniu swoich ósmych urodzin. Odetchnął z ulgą. Dzisiaj zdmuchnie świeczkę z tortu, a wtedy wszystko wróci do normy.

Tata wróci do pracy, w czwartek zawiezie go na trening, poczyta mu książkę przed snem. Przestanie godzinami wyglądać przez okno, bojąc się wyjść na zewnątrz. A on nie będzie musiał uczyć się tych wszystkich dziwnych gestów w języku migowym, na widok których koledzy z klasy wybuchali śmiechem.

Wypadek ojca sprawił, że dom zaczynała wypełniać cisza. Stawała się coraz bardziej natarczywa, aż w końcu zagościła na dobre. Mama przestała go wołać z drugiego pokoju. Skradała się na palcach do pochylonego nad biurkiem chłopca. Kładła dłonie na skulonych ramionach i szeptała do ucha. Coraz rzadziej pytała, jak minął dzień, aż w końcu posiłki spożywali w milczeniu. Towarzyszył im jedynie odgłos sztućców uderzających o talerze.



Ściszała telewizor tak, że chłopiec ledwie słyszał dźwięki dochodzące z odbiornika. Zaciskał zęby, widząc, jak mama ukradkiem spogląda na ojca, pochłoniętego lekturą. Tata trzymał książkę drżącymi dłońmi, wbijał wzrok w zadrukowany papier, ale tak naprawdę wcale nie czytał. Nigdy nie przewrócił żadnej kartki.

Michał wołał, kiedy się kłócili. Mama wrzeszczała, a ojciec trzaskał drzwiami. Teraz tylko się uśmiechali. Zastanawiał się, czy ich głowy także wypełniała cisza. Nie miał odwagi zapytać.

– Chcę, żeby znowu słyszał.

Spojrzał w oczy matki, wierząc, że wszystko się ułoży, ale nie dojrzał w nich aprobaty. Wręcz przeciwnie – kobieta ściągnęła brwi, dając do zrozumienia, że nie na taką odpowiedź liczyła. Wyciągnęła ręce i zacisnęła palce na drobnych ramionach chłopca. Jęknął z bólu, co tylko ją rozjuszyło. Przysunęła go do siebie tak, że stykali się czubkami nosów, po czym wycedziła przez zęby:

– Dobrze wiesz, że nie możesz o to prosić. Wielokrotnie rozmawialiśmy na ten temat. Twoje życzenie musi dotyczyć wyłącznie ciebie, nikogo innego... Znasz zasady, to nie zabawa.

Rozluźniła uścisk dopiero wtedy, gdy ujrzała łzy w oczach syna.

Chłopiec opadł na łóżko i wcisnął twarz w poduszkę.

Kobieta wstała, gdy gwizd dochodzący z kuchni stał się naprawdę uporczywy. Przystanęła przy drzwiach, wzięła głęboki wdech. Odwróciła głowę i dodała nieco łagodniejszym tonem:

– Przemyśl to. Masz czas do siedemnastej, wtedy przyjdą goście. Musisz pragnąć czegoś tylko dla siebie. Pragnąć mocno i z pełnym przekonaniem. Inaczej życzenie się nie spełni. Pamiętaj, ósme urodziny to jedyna szansa na zdobycie niepowtarzalnego daru.

Michał zarzucił kódrę na głowę. Miał wyłącznie jedno marzenie: chciał, by ojciec znowu słyszał. Pomógłby nie tylko tacie, ale przede wszystkim sobie. Pragnął tego jak niczego innego na świecie.



Michał przetłumaczył ostatnie zdanie powieści i wyłączył laptop. Odchylił się i opadł plecami na oparcie fotela. Potarł oczy, wysuszone wielogodzinnym wpatrywaniem się w ekran. Dopiero wtedy



poczuł głód. Uświadomił sobie, że zjadł tylko śniadanie, a właśnie dochodziła szesnasta.

Włożył buty, zarzucił kurtkę, a następnie podszedł do komody. Otworzył szufladę i sięgnął po czarne etui. Wsunął silikonowe wkładki bezpośrednio do kanałów słuchowych. Rozmasował dolną część małżowiny, upewniając się, że słuchawki znajdują się na właściwym miejscu. Zerknął w lustro. Beżowa obudowa sprawiała, że były niemal niewidoczne.

Gdy wychodził z bramy, tuż przed jego twarzą śmignęła dziecięca postać. Zawrotna prędkość roześmianej istoty sprawiła, że stracił równowagę. Zachwiał się i zeskoczył na chodnik, omijając kilka schodków. Nie zdążył się wyprostować, kiedy nad głową przeleciała kolejna sylwetka. Zdecydowanie większa oraz wolniejsza.

Michał zaklął pod nosem. Konsekwencje spełnionego życzenia nie przestawały go irytować. A może bardziej drażniła go duma, przepełniająca posiadacza nadludzkich zdolności?

Nie każdy ośmiolatek wypowiadający życzenie doczekał się jego spełnienia. Nie każdy – gdy zdmuchiwał świeczkę – miał pewność, że wraz ze zniknięciem płomienia pojawi się dar. Jednym się udawało, innym nie. Może ci pierwsi pragnęli bardziej? Może ci drudzy nie wierzyli wystarczająco mocno w swoje marzenia?

Tych, którzy zyskali dar, łatwo było rozpoznać – nie ukrywali swoich zdolności. Z dumą prezentowali je światu. Zwłaszcza że wyjątkowe moce zostawały z wybrańcem na zawsze, bez względu na to, jaki robił z nich użytek. Nie można było się ich pozbyć ani oddać.

Uwagę Michała przykuła kobieta idąca z naprzeciwka. Długie blond włosy, kształtny biust, talia osy. Do złudzenia przypominała lalkę Barbie. Poruszała się niepewnie, z trudem zginała nogi w kolanach. Nawet z jej twarzy nie schodził taki sam, sztuczny uśmiech.

Nagle usłyszał przeciągłe trąbienie. Rozejrzał się. Citroen próbował wycofać z parkingu, jednak wyjazd uniemożliwiał ustawiony w poprzek drogi ford. Gdy dźwięk klaksonu nie przywołał właściciela, zniecierpliwiony kierowca wysiadł z auta. Chwycił za podwozie, uniósł pojazd, a następnie odrzucił na bok. Michał usłyszał trzask zgniatanej karoserii, chwilę później – pisk opon odjeżdżającego citroena.

Zimna kropla wpadła za kurtkę i spłynęła wzdłuż kręgosłupa. Skulił ramiona i nasunął kaptur. Szedł w kierunku najbliższego sklepu, wbijając wzrok w płytę chodnika. Starał się nie zwracać uwagi na przechodniów, nie spoglądać w ich twarze, nie witać się z sąsiadami. Nie zamierzał prowokować rozmowy. Mimowolne obserwowanie konsekwencji spełnionego życzenia sprawiało, że opuszczenie mieszkania traktował jako nieznośną konieczność.

Podszedł do przejścia dla pieszych. Zerknął na czerwone światło. Wzdrygnął się na widok tłumu kłębiącego się po przeciwnej stronie ulicy. Na myśl o przypadkowym dotknięciu ramienia wymijanej osoby zakręciło mu się w głowie.

Wziął głęboki wdech, by odzyskać równowagę. Wtedy pomarańczowa parasolka przyciągnęła jego wzrok. Przeczucie mówiło mu, że widział ją już wcześniej, jednak nie mógł sobie przypomnieć gdzie. Natomiast nie miał wątpliwości, że właścicielkę parasolki spotyka pierwszy raz. Kobietę o tak nietypowej urodzie na pewno by zapamiętał. Wyróżniała się nie tylko wyjątkowo jasną karnacją, ale wręcz porcelanową cerą. Uwagę zwracały przede wszystkim intensywnie pomarańczowe włosy. Efekt spełnionego życzenia?

Zastanawiał się nad zależnością łączącą dziewczynę z parasolką; nawet nie zdawał sobie sprawy, że wszedł na jezdnię. Z zamyślenia wyrwały go dźwięk klaksonu i strugi błota przyskające spod kół. Na chwilę stracił nieznaną z oczu. Naczepa podskakiwała na dziurawej drodze, a on błagał o zielone światło. Odetchnął z ulgą, gdy ciężarówka przejechała i odsłoniła postać dziewczyny. Wtedy też przypomniał sobie, gdzie zobaczył parasolkę po raz pierwszy.



Mama uświadomiła Michałowi, że jeśli chce, by życzenie się spełniło, musi prosić o szczególne zdolności – jednak nie dla drugiej osoby, tylko dla siebie. W ciągu dnia nieustannie czuł na sobie jej ukradkowe spojrzenia. Gdy odwracał głowę, spuszczała wzrok, spłoszona.

Matka wywierała na niego presję. Był w stanie myśleć tylko o życzeniu – robił to tak intensywnie, że rozboleła go głowa. W pewnym



momencie postanowił nie życzyć sobie niczego. Nawet wszedł do kuchni z zamiarem wykrzyczenia swojej decyzji. Zdążył tylko otworzyć usta, gdy stojąca przy zlewie kobieta zmroziła go wzrokiem. Chłopiec nie odważył się odezwać. Jednym spojrzeniem odebrała mu prawo do buntu.

Do głowy przyszedł mu inny pomysł: kłamstwo. Przecież nie wypowiadał życzenia na głos, tylko w myślach. Mógł oszukać matkę, że się starał, ale widocznie niezbyt mocno. Mógł skłamać.

Tyle że nie mógł znieść milczenia. Nie potrafił wytrzymać wszechobecnej ciszy. Pragnął rozmowy, pragnął śmiechu, pragnął wrzasku. Rodzice nie zwracali na siebie uwagi, pochłonięci posiłkiem. Ich twarze nie wyrażały żadnych emocji. Pragnął dowiedzieć się, co czują. Zacisnął zęby. Skoro nie mógł prosić, by ojciec odzyskał słuch, musiał wymyślić inny sposób, by się z nimi porozumieć. Inaczej pozostaną w tej ciszy na zawsze. Miał jedną jedyną szansę, musiał spróbować.

Wtedy zrozumiał, czego powinien sobie życzyć.

Tuż przed siedemnastą wszyscy zaproszeni goście zebrali się w salonie. Kobieta weszła do pokoju Michała. Chłopiec siedział na parapecie, obejmując ramionami podkurczone nogi. Wpatrywał się w bezchmurne niebo, przyciskając policzek do zimnej szyby. Zauważył obecność mamy, dopiero gdy ta dotknęła jego ramienia. Wzdrygnął się, zaskoczony.

– Myślałeś nad życzeniem?

Starła się powstrzymać drżenie głosu i uspokoić oddech. Nie pomogło. Za bardzo jej zależało. Wiedział o tym. Pragnęła powrotu do dawnego życia, podobnie jak Michał.

– Tak – odparł z wahaniem. Nabrał pewności siebie, dopiero gdy usłyszał, z jak wielką ulgą wypuszcza powietrze.

– W takim razie chodź, już czas.

Matka obejmowała go ramieniem, kiedy wchodzili do salonu. Uśmiechnął się na widok pomarańczowych balonów wiszących pod sufitem. Podeszedł do stołu i pochylił się nad tortem. Wśród oklasków wiwatujących gości wypowiedział w myślach życzenie. Następnie wziął głęboki wdech i zdmuchnął świeczkę.



Zadzwonił dzwonek. Michał zatrzymał się przed drzwiami. Czuł, jak posadzka trzęsie się pod naporem kilkudziesięciu stóp. Wziął głęboki wdech i zdjął rękę z klamki. Zawrócił. Podeszedł do kamiennego muru i oparł się o niego plecami. Zdecydował, że poczeka na Ewę na placu.

Grupa dzieci wybiegła ze szkoły. Otoczyła Michała, próbując precyzyjnie się przez wąską bramę. Po chwili zgromadzili się kolejni uczniowie. Dzikie wrzaski przybierały na sile. Michał skulił ramiona i poprawił słuchawki w uszach. Wyciągnął z kieszeni smartfon, a następnie wbił wzrok w wyświetlacz. Przerzucał kolejne strony, ale przy żadnej nie potrafił zatrzymać się na dłużej. Cała jego uwaga skupiała się na rozkrzyczanej zgrai.

Nie uniósł głowy, gdy papierowa kulka trafiła go w nos. Zignorował szturchnięcie tornistrem. Nie cofnął stopy, gdy ktoś nadepnął na wypastowany but. Odpiął guzik kołnierzyka – chciał zaczerpnąć powietrza, uspokoić oddech. Nie był w stanie powstrzymać powracających wspomnień. Koszula przykleiła się do spoconych pleców. Grupa dzieciaków tłamsiła dorosłego mężczyznę. Wbiła go w ziemię, jak czternaście lat temu.

Wydawało mu się, że w żaden sposób nie zdoła powstrzymać drżenia kolan, ale wtedy pojawiła się ona. Nie musiała rozpychać się łokciami. Stawiała zdecydowane kroki, a tłum ustępował jej miejsca. Michał wyprostował plecy, przejechał zewnętrzną stroną dłoni po czole. Nerwowy tik, którego nabawił się w wieku ośmiu lat, ujawniał się w stresujących sytuacjach.

Wsunął telefon do kieszeni, wpatrując się w pomarańczowe kosmyki, unoszące się i opadające na wietrze. Spotykali się od kilku tygodni, jednak w dalszym ciągu nie miał odwagi zapytać, co wpłynęło na tak intensywny kolor jej włosów.

– Dobrze się czujesz? – Przechyliła nieznacznie głowę, obserwując zagubiony wyraz twarzy Michała.

– Tak – wyjąkał. – Teraz już tak. Po prostu... nie mógłbym pracować w takim hałasie. – Uśmiechnął się blade.

– Rozumiem. – Rozejrzała się i odgarnęła z twarzy niesforny kosmyk. – Ja lubię pracować z dziećmi. Pomagam podejmować decyzje, wspieram w trudnych chwilach. Wskazuję właściwą drogę, by łatwiej im było żyć. – Wzięła głęboki wdech.



– Wszyscy słuchają twoich rad? – Zmarszczył brwi.

– Nie. Wtedy muszę im pomóc w inny sposób... – Spuściła wzrok, a skóra na policzkach wyraźnie się zarumieniła.

Chwycił ją za rękę.

– Chodź, zapraszam cię na obiad. Nie rozmawiajmy o pracy.

Dopiero gdy znaleźli się na chodniku, zauważył, że Ewa trzyma w rękę pomarańczową parasolkę. Uniósł głowę. Ciężkie, szare chmury zasłaniały niebo. Nasunął kaptur na głowę, gdy pierwsze krople spadły na ziemię. Obserwował jej profil oraz strugi deszczu spływające po policzku. Przymknęła oczy, oblizła mokre wargi. Porcelanową twarz rozjaśnił grymas, którego nie rozumiał.

Dzieci się rozbiegały, spłoszone intensywnymi opadami. Część z nich cofnęła się do budynku lub schowała pod zadaszeniem. Ewa odpięła płaszcz i rozłożyła ramiona.

– Co robisz? Zmarzniesz! – Złapał dziewczynę za rękę, mając nadzieję, że w ten sposób wyrwie ją z transu.

– Nie jest zimno. Nie czujesz tego? – Spokojny ton głosu z trudem przebijał się przez szum przybierającego na sile deszczu.

Otoczyła ich mgła. Biały puch kłębił się na wysokości klatki piersiowej. Unosił się coraz wyżej, aż Michał nie był w stanie dojrzeć jej twarzy.

– Czuję, że przemarzłem. Chodź, schowamy się w tunelu.

Wbiegli do przejścia między budynkami. Michał zsunął mokry kaptur. Jego ciałem wstrząsały dreszcze, gdy zimne krople spływały po karku. Rozmasował skostniałe dłonie. Nagle zdał sobie sprawę, że mgła wcale nie zniknęła. Rozpływała się powoli, odsłaniając pomarańczowe włosy Ewy.

– Dlaczego nie rozłożyłaś parasolki? Na pewno przemokłaś...

Podszedł do niej i przejechał palcami po policzku. Dotknął opadających na ramiona kosmyków. Były suche. Chwycił jej ciepłe dłonie i spojrzał w niebieskie oczy, próbując zrozumieć. Powinna drzeć z zimna podobnie jak on. Woda powinna spływać po końcówkach włosów na płaszcz.

– Parasolka, którą trzymam, nie chroni przed deszczem...

– Tylko przed czym?

Nie odpowiedziała. Rozchyliła palcami wargi Michała, po czym wbiła się w nie ustami. Mgła ponownie zaczęła gęstnieć.



Wybiegł z domu, zasłaniając dłońmi uszy. Zamknął oczy, zacisnął zęby, starając się zablokować inwazję głosów. Zatrzymała go brama, gdy uderzył nosem w stalowy słupek. Odbił się od niego i upadł na plecy. Nieporadnie dźwignął się na łokciu, w dalszym ciągu zamroczony. Wycierał krew spływającą po ustach na brodę, gdy ból rozsadał czaszkę. Próbował wstać, ale zawroty głowy sprawiły, że ponownie opadł na podjazd.

Z trudem łapał oddech. Chciał wołać o pomoc, jednak zabrakło mu odwagi. Zaczął cicho łkać, gdy przypomniał sobie słowa matki. Wyznania, które nie płynęły z ust, tylko żyły w jej głowie. Skargi, które pragnęła zachować tylko dla siebie. Strach, o którym nikt inny nie powinien wiedzieć. Michał uzyskał do nich dostęp po wypowiedzeniu życzenia. Kiedy zdmuchnął świeczkę, nadał sobie prawo do grzebania w głowie każdego człowieka. Dlatego teraz płakał.

Zerknął w stronę domu. Cisza. Nikt go nie szukał. Położył głowę na ziemi, zacisnął powieki. Kilka minut temu podązał z wyciągniętymi ramionami w stronę ojca. Uniesione kąciaki ust, podkreślające zmarszczki wokół oczu, zachęcały do czułości. Tylko myśli przeczyły radosnemu wyrazowi twarzy. Chłopiec usłyszał męczyznę pełnego wstydu i poczucia winy. Zniknął wzór do naśladowania, bohater, który nigdy się nie poddawał. Obejmował go śmiertelnik sparaliżowany strachem przed kolejnym dniem.

Resztę dnia spędził w swoim pokoju. Mama zrobiła mu opatrunek i położyła do łóżka. Martwiła się, ale nie o rozcięty nos. Obawiała się, że życzenie jednak się nie spełniło. Nie zniosłaby kolejnego upokorzenia. Kiedy zdmuchiwała swoją świeczkę dwadzieścia cztery lata temu, wierzyła, że marzenie ambitnej dziewczynki stanie się rzeczywistością – spotkało ją tylko rozczarowanie. Michał odwrócił wzrok. Opadł na poduszkę i naciągnął kołdrę po same uszy.

Następnego dnia przedzierał się przez tłum rozbawionej młodzieży ze wzrokiem wbitym w podłogę. Ścisnął w dłoniach szelki zarzuconego na ramiona tornistra, gdy wrzaski, śmiechy i strzępki rozmów mieszały się z dziecięcymi myślami. Tworzyły kłębowiska



głosów, które osaczały Michała. Próbował je powstrzymać, przykładając palce do uszu, ale one i tak wtargnęły do środka. Przyłgął do ściany, przygnieciony zbyt wielkim ciężarem. Nie zdołał go udźwignąć. Natrętne myśli puchły i napierały na czaszkę. Osunął się na podłogę. Czuł, jak rozsadzają mu głowę.



Michał odchylił głowę i zerknął na stojący na komodzie zegar. Dwudziesta czterdzieści osiem. Przymknął powieki i z powrotem opadł na poduszkę. Miał nadzieję, że tym razem zostaną w łóżku aż do rana.

Ewa przyłgnęła do niego nagimi piersiami. Oparła brodę na jego plecach i śledziła wzrokiem kroplę potu spływającą wzdłuż ramienia. Obserwowała nieśmiały bieg, wyczekując odpowiedniego momentu. Gdy kropla dotarła do zgięcia łokciowego, Ewa przygniotła ją kciukiem. Uniosła dłoń i ujrzała jedynie obłok pary.

– Po co ci słuchawki? – rzuciła zachrypniętym głosem, wbijając paznokcie w małżowinę uszną. Zmarszczył brwi, jednak nie stracił ręki.

– Mam problem ze słuchem – wyrecytował wyuczoną odpowiedź, licząc na to, że Ewa nie będzie dociekać szczegółów.

– Naprawdę? Wystarczyło pomyśleć życzenie w dniu ósmych urodzin, nie wiedziałeś? – prychnęła.

– Nie spełniło się – wyszeptał, zamykając oczy.

Przekrzywiła głowę i położyła policzek na kościstej łopatce. Pomarańczowe włosy musnęły jego plecy. Rozluźnił mięśnie, gdy poczuł bijące od nich ciepło. Ich dotyk sprawiał przyjemność, pobudzał zmysły.

Otworzył oczy. Żar, który początkowo pieścił, po chwili zaczął sprawiać ból. Rozkosz zastąpiło szczypanie. Kosmyki zdawały się palić skórę, topić tkankę, próbować dostać się do wnętrza. Uniósł się na łokciach, a z jego gardła wydobył się krzyk. Zerwał się z łóżka, rozmasowując piekące miejsce.

Ewa zdążyła wyslizgnąć się z pościeli i skierować w stronę łazienki. Po chwili usłyszał odgłos strug wody uderzających o kabinę prysznicową.

Z trudem łapał oddech. Otworzył okno i zachłysnął się zimnym powietrzem. Dotknął chłodnego grzejnika. Nie rozumiał, skąd w pokoju taka wysoka temperatura. Ruszył w stronę łazienki. Zatrzymał się przed drzwiami – nie wiedział, czy powinien wejść do środka. Wziął głęboki wdech i nacisnął klamkę. Obłoki pary otoczyły Michała. Sprawily, że nie był w stanie dojrzeć niczego w promieniu kilku centymetrów.

Usłyszał, jak zakręca kurek, odsuwa szklaną szybę. Gdy stanęła przed Michałem, para zaczęła opadać. Dostrzegł zarys ponętniej sylwetki. Podał Ewie ręcznik, ale go odrzuciła. Wtuliła się w męskie ramiona, a on zdał sobie sprawę, że porcelanowa skóra zdążyła wyschnąć. Temperatura w pomieszczeniu zaczęła rosnąć. Zakręciło mu się w głowie. Wyciągnął rękę, by przytrzymać się framugi. Czuł, że traci siły.

– Zostań na noc – wyszeptał. – Zostań – błagał, zanurzając palce w rozgrzanych włosach. Syczał z bólu, coraz mocniej przyciskając dziewczynę do siebie.

– Wiesz, że nie zostanę.

Zwolnił uścisk i przyłożył dłoń do ucha. Gładził silikonową słuchawkę. Jak nigdy dotąd pragnął się ich pozbyć. Jeden ruch i poznałby prawdę. Ich relacje stałyby się prostsze, bez domysłów i niepewności. Jeden ruch.

Nie. Wiedział, że to tak nie działa. Wyciągnięcie słuchawki niczego by nie ułatwiło.

Opuścił rękę i pozwolił jej odejść.



Stał na środku ulicy, obserwował przechodniów. Wpatrywał się w twarz mijającej go dziewczyny, starając się przypisać do niej usłyszane myśli. Spotkanie z kolegami? Nie. Odbiór dzieci z przedszkola? Nie, za młoda. Kolokwium z termodynamiki? Trafione. Jeden punkt. W tym momencie nieznajoma zbliżyła się do budynku i przeniknęła przez ścianę.

Mężczyzna w czarnym płaszczu trącił go ramieniem i burknął szybkie „przepraszam”. Stresował się umówioną na osiemnastą wizytą u kardiologa. Kolejny punkt.



Małżeństwo po pięćdziesiątce. On wspominał uścisk dłoni nowej koleżanki z pracy, ona planowała weekendowy wypad do Krakowa. Dwa punkty.

Pisk opon. Czerwona toyota gwałtownie zahamowała. Kobieta stojąca na chodniku zaczęła histerycznie krzyczeć. Między kołami Michał dojrzał powykęcane kończyny. Po chwili ciało się poruszyło. Chłopak wysunął się spod auta i nastawił sobie zwichnięty łokieć. Wylał krew spływającą po czole, po czym przepaszając machnął ręką w stronę kierowcy i wszedł na chodnik. Myślał o dziewczynie? Nie. Spieszył się do chorej babci. Kolejny punkt.

Grał w tę grę od czterech lat. Zwykle kończył po zdobyciu pięciu punktów, tak jak teraz. Jednak dzisiaj po raz pierwszy zdał sobie sprawę, że zaczyna go to bawić. Największą wadą człowieka jest to, że do wszystkiego się przyzwyczaja.

Musiał przerwać to szaleństwo. Ruszył wąską uliczką. Tłum się przerzedzał, głosy cichły. Gdy został sam na drodze, wiedział, że odnalazł właściwe miejsce. Zatrzymał się przed szklaną witryną. Odbijała się w niej chuda, przygarbiona sylwetka. Skoślawione włosy i nerwowy tik pocierania dłonią o czoło. Wyrzucił do kosza trzymaną w palcach ulotkę, po czym nacisnął klamkę i wszedł do środka.

Uwagę Michała przyciągnęły podświetlone gabloty, wypełnione akcesoriami dla wybrańców. Dla tych, którzy mieli szczęście – ich urodzinowe życzenie się spełniło. Na pierwszej półce dostrzegł czarne okulary, które wyglądem przypominały przeciwsłoneczne. Na drugiej kask, podobny do strażackiego, a także toporne buty.

Mijał kolejne alejki, zastanawiając się nad przeznaczeniem poszczególnych przedmiotów: szkła kontaktowe, rękawiczki, lornetka. Zatrzymał się przed ostatnią witryną, usytuowaną w głębi pomieszczenia. Zbliżył twarz do szyby, nie spuszczać wzroku z bezprzewodowych słuchawek.

– Chcesz przymierzyć?

Michał odwrócił głowę. Zza lady wyłonił się niski, krępy starsuszek w zielonej kamizelce. Chłopak zmarszczył brwi, gdy wyczytał w jego myślach współczucie. Do tej pory wszyscy mu gratulowali.

– Tak, poproszę – wyjąkał.

Pomarańczowa parasolka

– Ten model zapewnia nie tylko doskonałą izolację akustyczną – przekonywał sprzedawca, po czym wsunął słuchawkę do kanału słuchowego – ale także pełną dyskrecję.

Michał stał przed lustrem i musiał przyznać mężczyźnie rację. Silikonowe wkładki w beżowym odcieniu idealnie zlewały się z małżowiną. Dostrzegłby urządzenie tylko wtedy, gdyby obserwował je z odległości kilku centymetrów.

– Idealne – stwierdził, a głos mu drżał.

To takie proste? Teraz wszystko wróci do normy? Odzyskam swoje dawne życie?

– A ma pan coś, co pozwoli mi cofnąć czas?

– Nie, mój chłopcze. Nie posiadam niczego, co pozwoliłoby wrócić do przeszłości. Jedyne, co mogę zrobić, to pomóc żyć w przyszłości. – Mężczyzna wrócił za ladę i wystukał na kasie określoną kwotę. – Myślisz o niej? Czym chciałbyś się zajmować, jak dorośniesz?

– Zamierzam tłumaczyć angielską literaturę – odparł bez wahania.

– To ciekawe. – Pokiwał głową z uznaniem.

– Nie bardzo. Po prostu wolę wyczytywać myśli autora z książki zamiast bezpośrednio z jego głowy.

– Rozumiem. – Uśmiechnął się, podając chłopcu czarne etui. – Powodzenia.

Michał wysypał na blat całą zawartość portfela. Drobne monety potoczyły się po ladzie. Oszczędzał od kilku miesięcy. Roznosił ulotki, skręcał długopisy, ciulał każdy grosz, odkąd znalazł na biurku ulotkę sklepu. Doskonale zdawał sobie sprawę, że nie mogła jej podsunąć matka, zafascynowana zdolnościami syna. Odkąd przyznał się do swojego daru, rozpierała ją duma. Był pierwszą osobą w rodzinie, której się poszczęściło.

Musiał zrobić to ojciec, targany wyrzutami sumienia. Umiejętności Michała wpędziły go w jeszcze większe poczucie winy. Przepraszał. Bez przerwy przepraszał.

Sięgnął po pakunek, gdy za plecami sprzedawcy zauważył jeszcze jedną gablotę. Nieoświetloną, przykrytą czarną kotarą. Materiał zasłaniał wszystkie ściany – z wyjątkiem dolnego rogu. Michał przez szczelinę dostrzegł opartą o szybę pomarańczową parasolkę.

– Dlaczego trzyma ją pan w ukryciu?



– To stary przedmiot. Zapewne nikt nie będzie go potrzebował. –
Zrobił kilka kroków do tyłu i poprawił zasłonę.

Mam nadzieję – pomyślał, ale tego Michał już nie słyszał.



Dzisiaj w nocy w jednym z budynków mieszkalnych na ulicy Nowy Świat wybuchł pożar, w wyniku którego zginęły dwie osoby dorosłe oraz ośmioletnia dziewczynka. Pięć zastępów straży pożarnej próbowało zapobiec tragedii, ale niestety ogień rozprzestrzenił się zbyt szybko. Biegli badają przyczynę pożaru. Przypominamy, że to już czwarty w tym miesiącu podobny przypadek...

Ewa odłożyła telefon, wpatrując się w ekran telewizora. Wyprostowała plecy i zmarszczyła brwi. Musnęła palcami końcówki włosów, by po chwili chwycić je gwałtownie i zacisnąć w dłoni. W niebieskich oczach pojawił się ogień. Michał pochylił się, aby nabrać pewności, że płomienie stanowiły jedynie odbicie prezentowanego materiału.

– Wszystko w porządku? – Dotknął sztywnego ramienia i poczuł przyjemne ciepło.

Spojrzała na niego zagubionym wzrokiem. Rozejrzała się po pokoju, jakby musiała sobie przypomnieć, gdzie się znajduje.

– Tak – wyjąkała.

Nie musiał czytać w myślach, żeby wiedzieć, że kłamie.

– Moi rodzice... zginęli w pożarze. – Spuściła głowę.

Kucnął przed fotelem, ściskając rozgrzaną dłoń.

– Dokładnie w moje ósme urodziny... – wyszeptała.

Michał otworzył usta, ale słowa ugrzęzły mu w gardle. Wstrzymał oddech, przyglądając się intensywnie czerwonym kosmykom, opadającym na ramiona. Zmrużył oczy – zastanawiał się, czy nie uległ złudzeniu. Ręka drżała, gdy zbliżał ją do ucha. Musnął bezprzewodową słuchawkę. Wiedział, że wystarczy jeden ruch, by poznać prawdę. Zawahał się.

Wtedy Ewa uniosła głowę. Zobaczył lzy gromadzące się w błękitnych oczach. Zacisnęła powieki, ale słone krople nie płynęły

po policzkach. Kontakt z gorącą skórą sprawiał, że mogły jedynie stworzyć obłoki pary. Opuścił rękę.

– W dniu urodzin... gdy zdmuchiwałam świeczkę, wypowiedziałam życzenie. – Usłyszał zachrypnięty głos. – Wiesz, o czym marzyłam, odkąd skończyłam sześć lat? O ognistych włosach... – Wbiła spojrzenie w klęczącego przed nią Michała. Wyczekiwała reakcji, szukała zrozumienia. – Myślisz, że ośmiolatka może wiedzieć, czego chce? Może przewidzieć konsekwencje swoich decyzji? – Delikatne ramiona zaczęły drżeć. Klatka piersiowa unosiła się i opadała w zawrotnym tempie. Ewa potrzebowała wypłakać nagromadzony ból. Wraz ze łzami pozbyłaby się wyrzutów sumienia, a właśnie tego zrobić nie mogła. Musiała wybrać inną metodę. – Chciałam mieć czerwone włosy, nie takie nudne brązowe, jak co druga koleżanka w klasie. Chciałam się wyróżniać. Dlatego wypowiedziałam to cholerne życzenie. – Przygryzła wargę. – Pamiętam uśmiech mamy i zaciśnięte kciuki taty. Zdmuchnęłam świeczkę, a one rzeczywiście zaczęły płonąć. Chwilę później stałam na środku pokoju, czując swąd palonych kości.

Michał oparł głowę na kolanach Ewy. Wtulił się w miękkie materiały spódnicy. Zamknął oczy i słuchał.

– Żadne dziecko nie powinno zostać zmuszone do podejmowania tak ważnych decyzji.

Kropelki potu spływały po czole. Oblizwał wargi, przełknął ślinę. Czuł, jak zasycha mu w gardle. Gdy położyła dłoń na twarzy Michała, zawył z bólu. Żar rozchodził się po policzku.

– Tobie też mogę pomóc – wyszeptwała. – Wiem, że ponosisz konsekwencje spełnionego życzenia. Wiem, że słuchawki ci nie pomagają, ponieważ niczego nie zmieniły. Przyniosę ci ulgę, chcesz? Chciał.

Bliskość dłoni zaczęła palić skórę. Uniósł głowę i skierował wzrok na Ewę. Wpatrywał się we włosy, tłące się nieśmiało, gdy chwyciła go pod brodę i przysunęła do siebie. Wbiła usta w spierzchnięte wargi, a wtedy kosmyki, jeden po drugim, wybuchały żywym ogniem. Płomienie lizały spragnione czułości powieki, próbując wślizgnąć się do środka.

Zacerpnał powietrza, ale nozdrza wciągały tylko kłęby dymu. Nie musiał otwierać oczu, by wiedzieć, że to woń tłących się ubrań.



Wbijał paznokcie w oparcie fotela, bezskutecznie starając się złapać oddech. Dopiero wtedy poczuł ból. Ogień przenikał przez tkanki, zwęglął żebra, opiekął organy. Próbował wstać. Dźwignął się na kończynie, przypominającej bardziej żywą pochodnię niż nogę, ale usłyszał tylko trzask łamanych kości.

Ewa zwolniła uścisk. Spojrzała na Michała, jej oczy miały okrutnie niebieski odcień. Uniosła rękę i musnęła rozgrzane czoło. Następnie niespiesznie, wręcz tkliwie, zsunęła dłoń wzdłuż policzka. Rozpadająca się twarz opadała na podłogę, kawałek po kawałku.



Stała na chodniku i rozkładała pomarańczową parasolkę. Ogień powoli gasł. Wzięła głęboki wdech. Łzy napłynęły do oczu tylko po to, by po chwili zmienić się w parę. Odwróciła się i spojrzała w stronę czerwonych okien. Z oddali dobiegał dźwięk syreny. Wypuściła powietrze ze stygnących płuc. Przeszła na drugą stronę ulicy i skryła się za drzewem. Włosy tliły się jeszcze przez chwilę, by ostatecznie odzyskać swój dawny wygląd. Okolicę spowiła gęsta mgła. Opadała na ziemię, przeciążona spełnionymi życzeniami.

Gdy wóz strażacki podjechał przed budynek, Ewa złożyła parasolkę. Poprawiła kołnierz płaszcza, odwróciła się i ruszyła w stronę parku.

.....

Opowiadanie opracowali

Redakcja: Dawid Wiktorski

Korekta: Beata Sagan-Szendzielorz, Justyna Mroczek-Żal, Magdalena Kłodowska

Weryfikacja: Katarzyna Pikosz, Malwina Niewielska

Kontrola weryfikacji: Magda Kowalewicz

Kontrola przed składem: Dawid Wiktorski

Recenzje: Aleksandra Klęczar, Karolina Kaja, Patrycja Pancierz

Miłość i mróz

Judyta Formanowska

Zima trwała już od pięciu miesięcy i nie przypominała niczego, co dotąd widywano na północy Asperos. Mieszkańcy hrabstwa w. znali nieśmiałe wiosny, krótkie lata oraz deszczowe jesienie. Czwarta pora roku stanowiła pozbawione wyrazu wcieleństwo trzeciej. Zazwyczaj nastrajała jedynie do snucia opowieści o nieszczęśliwych kochankach, które kończyły się źle, a co najmniej jeden z bohaterów umierał na suchoty.

Ta zima była zimą z bajki i wszystko wskazywało na to, że nie zamierza odejść prędko.

Śnieg skrzypiał pod bucikami Sylvii Fairborn, kiedy dziewczyna wracała do domu po porannym spacerze. Na wrzosowiskach, które w drugiej połowie lata wybuchały nagłym i oszałamiającym fioletem i gdzie zwyczajowym widokiem były pasące się owce, leżała biała kołdra śniegu. Dzieci dzierżawców spędzały wolny czas, lepiąc bałwany, z daleka przypominające ludzi. Mróz szczypał Sylwię w nos i policzki, mimo to z lubością oddychała przesyconym czystym chłodem powietrzem.

W domu panna Fairborn zastała członków rodziny, którzy cieszyli się pięknem zimy na swój sposób – podziwiali ją zza okien ciepłego saloniku, gdzie zawsze dało się rozgrzać herbatę. Jej przyrodnia siostra malowała, macocha rozmawiała z ojcem wyraźnie czymś podekscytowana (co było u niej stanem wręcz permanentnym i mogła go wywołać nawet konieczność przekazania menu kucharce). Dopiero widok tego ostatniego przed południem w miejscu innym niż biblioteka był czymś niezwykłym.



Sylvia zadrżała siostrze przez ramię. Utrzymana w tonach bieli, szarości i ultramaryny akwarela – równie doskonała jak wszystko, co Blanche robiła – przedstawiała postać z uporem pokonującą ośnieżone wzgórza. W chudej, wysokiej istocie odzianej w bordową pelisę Sylvia rozpoznała siebie.

– Mogłabyś chociaż domalować mi jakieś towarzystwo. – Uśmiechnęła się.

Siostra nie odpowiedziała, bo wtrąciła się macocha:

– O, wróciłaś już!

Sylvia kichnęła.

Przez moment na twarzy kobiety malowała się konsternacja.

– Mam nadzieję, że się nie przeziębiałaś – powiedziała, opanowawszy się. – Inaczej nie będziesz mogła nam towarzyszyć. Twoja biedna matka by mi tego nie wybaczyła!

Augusta Fairborn zawsze wspominała zmarłą matkę Sylvii, kiedy chciała ją do czegoś skłonić.

– To wybieramy się gdzieś? – Dziewczyna zignorowała teatralność macochy.

– Zaproszono nas na bal!

Panna Fairborn wiedziała, że kobieta liczy na kolejne pytanie, ale zwlekała. Zamiast tego posłała Blanche niewinny uśmiech. W zasadzie Sylvia lubiła macochę, co nie przeszkadzało jej czerpać drobnych przyjemności z wyprowadzania przybranej matki z równowagi. Podczas długiej zimy, gdy życie towarzyskie niemal zamarło, niewiele miała innych rozrywek.

– A dokąd nas zaproszono? – zapytała dla świętego spokoju.

– Och, kochanie, to takie cudowne! – Wzruszenie nie pozwoliło macosze dokończyć, więc tylko wcisnęła do rąk dziewczyny zaproszenie.

Sylvia wzięła kawałek papieru delikatny jak aksamit. Z początku wydawało jej się, że jest biały, ale po dokładnym przyjrzeniu się zobaczyła, że jednak błękitny – w najjaśniejszym, najdelikatniejszym odcieniu niebieskiego, jaki tylko można sobie wyobrazić.

– Ale kto to jest lord Glassice? – zapytała, marszcząc brwi. – Znamy go?

– Oczywiście, że znamy. – Macocha wydawała się wręcz oburzona, że mogliby nie znać prawdopodobnie najważniejszej osoby w okolicy. – Twój ojciec go poznał.

Sylvia przyjrzała się ojcu. Miał niepewną minę.

– No cóż...

– Ależ, panie Fairborn – oburzyła się małżonka, która przez osiemnaście lat małżeństwa nigdy nie zwróciła się do męża „Robertcie”. – Powiedziałeś przecież, że was sobie przedstawiono w G. i lord Glassice jest człowiekiem, którego znajomość jest wielce cenna.

Pan domu ustąpił.

– Istotnie tak powiedziałem. – Poprawił okulary.

– I jaki jest ten lord? – Sylvia nie zdołała oprzeć się zainteresowaniu.

Ale niezależnie od tego, jak długo prosiły i pytały żona oraz córki, pan Fairborn nie mógł powiedzieć o lordzie nic ponadto, co mówi się zazwyczaj o majątnych kawalerach posiadających tytuł, powozy i wygodne siedziby. Uznał, że z pewnością ma też ogromną bibliotekę, bo podczas spotkania wydawał się niezwykle odczytany.

Sylvia wynioskowała, że siedziba lorda nie leży w najbliższym sąsiedztwie. Chociaż perspektywa balu cieszyła ją, była przede wszystkim praktyczna.

– Czy to rozsądne, papo, jechać gdzieś w taką pogodę?

Mężczyzna, niemal niewidoczny zza ramienia wysokiej żony, znów poprawił okulary, których używał do czytania i najwyraźniej nie zdążył zdjąć, kiedy przymusem wyrwano go z jego sanktuarium.

– No cóż...

– Pogoda nie jest wcale taka surowa – odpowiedziała za niego żona. – Pamiętam, jak jeszcze byłam panną Smith. Wtedy to były zimy.

Blanche i Sylvia wymieniły porozumiewawcze spojrzenia. Słuchały opowieści o panińskich zimach pani Fairborn od pięciu miesięcy. Nawet gdyby ta potrwiała rok, pani Robertowa nadal upierałaby się, że jest niczym w porównaniu z przeszkodami, które ona musiała pokonać, by znaleźć się na balu i zażyć nieco przyjemności.



Decyzja zapadła. Zaproszenie zostało uprzejmie przyjęte. Pani Fairborn była tak podekscytowana perspektywą spotkania się z parem, że przez kolejne siedem dni nie mówiła o niczym innym.



Mąż przeczekał ten okres w bibliotece, więc ofiarami pani domu stały się córki i służba. Sylvia i Blanche z początku były nie mniej zaaferowane (tylko lepiej umiały to ukrywać), ale po tym, jak wymienily liściki z kilkoma znajomymi z sąsiedztwa i po raz czwarty jednego dnia zostały zmuszone do przeglądu swoich wieczorowych toalet, miały dość.

– Podobno lord ogromnie lubi malarstwo – zwierzyła się pewnego dnia córkom Augusta. Patrzyła na Blanche.

Sylvia nie miała pojęcia, skąd macocha czerpie informacje o lordzie Glassice'ie (jasne było, że nie od męża), ale przekazywała je dziewczętom konspiracyjnym szeptem, chociaż siedziały w saloniku tylko we cztery. W odwiedziny przyszła sąsiadka Ada Wellmanners, która z powodu swojego temperamentu została przyjaciółką raczej Sylvii niż Blanche. Była sympatyczną osiemnastolatką nieco krępej budowy. Jak panna Fairborn lubiła długie spacerzy, o czym świadczyła zdrowa i zaczerwieniona cera.

– Mój wuj twierdzi, że jest miłośnikiem polowań – odparła teraz.

Pani Fairborn skrzywiła się, jakby tylko ona miała prawo rościć sobie pretensje do znajomości upodobań lorda.

– Z pewnością wkrótce się o tym przekonamy – stwierdziła Sylvia. A ponieważ pasje lorda akurat jej nie nurtowały, dodała: – Czy to nie dziwne? Każdy twierdzi, że zna lorda Glassice'a, jednak nikt nie potrafi nic o nim powiedzieć.

Macocha spiorunowała ją wzrokiem.

– Moja droga, nie mów o naszym drogim lordzie w ten sposób. To dobry znajomy waszego papy. Pan Fairborn siedział obok niego na obiedzie w klubie. Nawet jeśli bardziej pamięta sos, jaki podano do puddingu, niż samego lorda – dodała z cichym rozczarowaniem.

Sylvia nie zarzuciła spacerów, chociaż macocha przepowiadała jej chorobę. Im bliżej balu, tym bardziej cieszyła ją perspektywa zabawy.

Śnieg wprawdzie nie stopniał, ale od jakiegoś czasu nie przybyło też nowego, a mróz tylko lekko szczypał w policzki. Kilka razy zagrożona we własnych myślach panna Fairborn zapuściła się aż do samotnej, posępnej chaty pokrytej chylącym się ku ziemi dachem z darni. Mieszkała tam kobieta nazywana przez mieszkańców starą Theodorą. Co bardziej przesądni uważali, że kobieta jest

czarownicą. Leczyła chorych, a młodym damom przepowiadała, kiedy, czy i za kogo wyjdą za mąż. Macocha, która przejęła zwyczaj swojej poprzedniczki, żeby odwiedzać chaty dzierżawców i pomagać im drobnymi gestami, twierdziła, że po powrocie od Theodory zawsze dostaje migreny (co przypisywała jej rzekomym wiedzim zdolnościom), ale kiedy Sylvia w dzieciństwie zachorowała na krup i wezwany lekarz rozłożył ręce, to właśnie lekarstwo od burkliwej starej kobiety pozwoliło jej wyzdrowieć.

Któregoś razu dziewczyna spotkała znachorkę we własnej osobie, niosącą do chaty torf na opał. Na jej widok kobieta się zatrzymała.

– Dzień dobry. – Jak większość ludzi Sylvia odczuwała lęk przed staruszką, ale w tym przypadku mieszał się on z szacunkiem.

Theodora splunęła na ziemię. Jej ślina wypaliła w śniegu dziurę.

– Ta pora nie jest dobra dla nikogo, dziewczyno – prychnęła.

Z bliska wyglądała jak każda inna biedna, żyjąca samotnie staruszka. Sylvia zawsze uważała, że wiedźmy prezentują się jednak inaczej.

– Może wam czegoś potrzeba? – zapytała z dobrego serca.

Nozdrza kobiety rozszerzyły się niczym u zwierzęcia, które usiłuje coś wywachać.

– Czujesz? – zapytała.

Sylvia nie zapytała co, od razu zaprzeczyła ruchem głowy.

– No tak. – Staruszka przez moment wydawała się zawiedziona. – Jak zwykła dziewucha miałyby wyczuć.

Panna Fairborn zastanawiała się właśnie, jak elegancko pożegnać się i odejść, kiedy Theodora odezwała się znowu.

– Ale oni tu są – powiedziała cicho. – Czuję ich nawet teraz. Widzę nocami, kiedy wiatr wzbiera nad wzgórzami, rozsypując płatki śniegu.

– Kto? – zapytała zaciekawiona dziewczyna. Podczas rozmowy zmarzła bardziej niż przez cały spacer. Prawie nie czuła palców stóp.

Theodora spojrzała jej prosto w oczy. Jedno – czy to skutek choroby, czy może naturalnej degradacji – miało opuszczoną powiekę, przez co błyskało chytrze przez niewielką szparkę.

– Obyś się nigdy nie dowiedziała, dziecko.



Theodora słynęła z mówienia rzeczy, których ludzie nie rozumieli, więc Sylvia szybko zapomniała o rozmowie.

Oznaczonego dnia panie zostały otulone najgrubszymi zimowymi strojami, pan – wydobyty z biblioteki i ubrany w strój odpowiedni dla wiejskiego dżentelmena o światowych koneksjach. Wszyscy wsiedli do powozu i ruszyli w stronę Glassice Park.

– To dziwne – stwierdziła Sylvia po kwadransie jazdy. – Nie przypominam sobie, żebyśmy kiedyś widzieli Glassice Park, choćby z daleka.

Naprzeciw niej macocha zmarszczyła upudrowany nos. Balowa fryzura udekorowana piórami przeszkadzała kobiecie w potrząsaniu głową, co zwykle robiła, gdy ktoś ją zdenerwował.

– Oczywiście, że widzieliśmy. To ten ogromny budynek z białego kamienia z aleją wysadzaną dębami o grubych pniach i kolumnadą. Pamiętam, że bardzo ci się podobał, a Blanche ma kilka jego szkiców.

Ta ostatnia potwierdziła.

Okazało się, że wszyscy pamiętają budynek, tylko nie Sylvia. I nawet gdy go w końcu zobaczyła, a przynajmniej tyle, ile dało się zobaczyć w świetle księżyca i pochodni, nadal nie mogła przypomnieć sobie choćby jednego razu, kiedy widziała go wcześniej. Budynek wyglądał tak, jak jej go opisywano. Chociaż w ciemności nie udało się dostrzec szczegółów, oświetlenie i pełnia sprawiały, że zdawał się nie do końca realny, ale z pewnością był oszałamiający.

Przed wejściem zatrzymywały się kolejne pojazdy, co oznaczało, że prawdopodobnie wszyscy okoliczni mieszkańcy postanowili stawić się mimo pogody. Macocha tryumfowała i strofowała Sylvię za to, że rozważała odmowę.

– Kto wie, może znajdziecie tu przyszłych mężów – rozmarzyła się.

Z tego, co wiedziała Sylvia, to ona sama poznała pana Fairborna nie podczas tańców, ale podczas spaceru w kurorcie nadmorskim, gdzie on pojechał obejrzeć księgozbiór, który zamierzał kupić, a ona towarzyszyła terroryzującej ją ciotce.

Wnętrze oszołomiło wszystkich. Sala, gdzie miały się odbywać tańce, była ogromna, wyłożona posadzką przypominającą taflę zamarznętego jeziora. Z sufitu zwisały wielkie kryształowe żyrandole, migoczące jak gwiazdy na niebie. Nad nimi imponujący

fresk przedstawiał grupkę bladych istot, zbyt pięknych, by byli ludźmi, odzianych w błyszczące stroje i tańczących w wydeptanym kole pośrodku leśnej polany otoczonej jodłami. Podobne sceny namalowano na każdej ze ścian: tańce, kuligi, polowania – tak realistyczne, że panna Fairborn z miejsca uzaliła się nad zgonionymi lisami oraz dzikami i podziwiała urodę postaci.

Delikatna muzyka skrzypiec i dzwonków spływała na gości, chociaż orkiestra pozostawała niewidoczna na staroświeckiej galerii.

Na panie czekała jeszcze jedna – niemiła – niespodzianka. Wszystkie dobrały toalety tak, by prezentowały się dobrze w ciepłym świetle świec, jednak z jakiegoś powodu oświetlenie w sali było zimne, przez co niektórzy nie prezentowali się korzystnie. Pani Fairborn po długich dywagacjach wybrała dla córek białe sukienki, które nabrały chłodnych błękitnych tonów; pasowały do urody Blanche, mniej do kasztanowych włosów i piegów Sylvii.

– Nie oddalajcie się – powtórzyła co najmniej trzy razy macocha. – Papa zaraz przedstawi nas gospodarzowi.

Ale Sylvia i Blanche dostrzegły kilka znajomych twarzy i umknęły.

– Już myślałam, że nas nie widzicie – przywitała je Ada, która przez ostatnie kilka minut machała do nich spod ściany (dobrze, że macocha tego nie widziała, zajęta szukaniem wzrokiem gospodarza i szturchaniem męża, ilekroć zobaczyła jakieś męskie plecy). – Jak wam się podoba? Dawno przyjechałyście? Nigdy nie widziałam takiego zachwycającego domu. Zostałyście już przedstawione lordowi?

Dziewczętom trudno było zatrzymać ten potok słów i się przywitać, a co dopiero odpowiedzieć na tyle pytań.

– Jestem pewna, że *maman* nie spocznie, dopóki tego nie zrobi. – Sylvii w końcu udało się przerwać przyjaciółce.

– A ty jak się miewasz, Coro? – zapytała troskliwie Blanche. – Dawno cię nie widziałyśmy.

Faktycznie, obok panny Wellmaners, wysokiej i silnej jak młode drzewo, stała druga dziewczyna, która wyglądała raczej jak ułamana gałązka. Cora Fitzjames była córką baroneta z dobrym posagiem, więc osobą bardzo popularną, a do tego miłą dziewczyną, lecz stan zdrowia nie pozwalał jej na życie towarzyskie stosowne do wieku i pozycji.



Obie ubrane były wedle najnowszej mody w jedwabne zwiewne sukienki z wysokim stanem, krótkimi, bufiastymi rękawami, drukowane w drobne wzory.

Cora zakaszła, przyłożyła do ust chusteczkę.

– W zimie zawsze mi się pogarsza. – Jej oczy był podkrążone, a liliowy kolor sukni w tym świetle tylko potęgował ogólne wrażenie wyniszczenia. – Mama twierdzi, że latem mi się poprawi. Może pojedziemy za granicę.

Sylvia pomyślała, że Cora może nie doczekać lata, i natychmiast skarciła się za tę myśl. Nie mogły rozmawiać dłużej, bo macocha przywoływała je na tyle energicznie, na ile pozwalały dobre maniere.

– Pamięta pan, obiecałem, że kiedyś odwiedzę pana strony – mówił ktoś, odwrócony tyłem. Miał łagodny i dźwięczny głos.

To musiał być lord Glassice.

– Przeczytał pan ostatnio jakąś dobrą książkę? – zapytał zaraz po tym.

– O, a oto moje córki – wtrąciła pospiesznie pani Fairborn, która dobrze wiedziała, co się dzieje, kiedy ktoś zagadnie jej męża o lekturę.

Mężczyzna się odwrócił. Jego oczy miały jasnoblękitną barwę, a włosy były niemal białe. Idealnie skrojony frak oraz wyszywana srebrną nicią kamizelka pasowały do tego zestawu.

Marzenie pani Fairborn nareszcie się spełniło – Sylvia i Blanche zostały przedstawione lordowi. Obie dygnęły grzecznie, gdy się kłaniał.

– To dla mnie zaszczyt – wymruczał Glassice. – Mam nadzieję, że podoba się paniom moja skromna siedziba.

– Jeśli pobędzie pan tu dłużej, z pewnością słowo „skromny” nabierze dla pana innego znaczenia – powiedziała Sylvia. W zachowaniu tego człowieka było coś, co obudziło jej niechęć.

Macocha zgromiła ją wzrokiem. Lord jedynie się roześmiał.

– Na razie pozwoli pani, że będę się cieszył, iż wychowują tu także interesujące młode damy.

Równie dobrze mógłby powiedzieć, że „zuchwałe”, ale najwyraźniej spodobały mu się słowa dziewczyny, bo w uśmiechu odsłonił połyskujące zęby.

Sylvia odwdzięczyła się takim samym grymasem.

– Na ten temat być może także zrewiduje pan swój pogląd – odpowiedziała ze szczerą prostotą.

– Moje kuzynki na pewno panią polubią – uznał mężczyzna. – Wirują gdzieś tu.

W następnej chwili, jakby znikąd, pojawiły się trzy młode panny w identycznych sukniach różniących się tylko odcieniem chłodnego błękitu.

– Oto i one – ucieszył się Glassice. – Proszę pozwolić, że przedstawię panny: Przymrozek, Śnieżyca i Szron.

Sylvia przyjrzała się im, gdy mężczyzna dokonywał dalszej prezentacji. Wszystkie miały cerę jak alabaster, ostre podbródki i lekko skośne oczy.

– Niezwykle imiona – zauważyła panna Fairborn.

– Nasi rodzice to osobliwi ludzie – odparła Szron. Miała na sobie najjaśniejszą sukienkę, drukowaną w delikatne gałązki podobne do wzorów, które widuje się czasem na zamrożniętych szybach.

– Nie lubimy ograniczeń – dodała dziwnym tonem Śnieżyca, ubrana w najciemniejszą toaletę.

Ktoś z głębi sali zawołał lorda.

– Państwo wybaczą – powiedział ze smutkiem Glassice. – Obowiązki. Mam nadzieję, że będziemy mogli jeszcze porozmawiać, a panny zaszczycą mnie tańcem.

– Kiedy tylko będzie pan miał wolę, zapraszamy do nas! – zawołała za nim macocha. – Mąż chętnie pokaże swoją bibliotekę.

– Ach, słynna biblioteka. – Glassice już się odwracał, ale zastygł na moment. – Oczywiście.

Sylvia wyczuła w jego głosie delikatną jak muśnięcie wiatru ironię, która ją rozzłościła. Jej rodzina miała wady, ale nikomu nie pozwoliłaby z niej drwić, niezależnie od tego, ilu parów miał za przodków.

– Pan jest miłośnikiem lektury? – zapytała.

Obdarzył ją uśmiechem.

– Jestem przede wszystkim miłośnikiem piękna, panno Fairborn – powiedział, patrząc jednak nie na nią, tylko na Blanche, i odszedł. Jego kuzynki też się oddaliły.

Macocha odciągnęła dziewczęta pod ścianę.



– Widzicie? – szepnęła. – Mówiłam, że ojciec bardzo dobrze zna lorda.

Na każdym balu tańczono i podawano białą zupę. Lord Glassice postanowił najwyraźniej przyćmić wszystkich. Lokaje w staroświeckich liberiach (wszyscy o pociągłych bladych twarzach, które wydały się pannie Fairborn znajome, ale nie wiedziała skąd, dopóki nie przypomniała sobie o zwierzętach z fresku) roznosili półmiski wypełnione pieczeniami, składającymi się ze zwierząt różnych gatunków zszytych razem: łabędzi i baranów albo jeleni i świń. Z ciast o wymyślnych kształtach – po przekrojeniu – wylatywały stadka małych, rozśpiewanych ptaków. Napoje miały niesamowity smak (Sylvia usłyszała, jak siedzący kilka miejsc dalej Glassice mówi komuś, że to smak radości i zapomnienia, i jej sympatia do niego bynajmniej nie wzrosła). Goście tańczyli bez opamiętania, nawet gdy orkiestra przestawała grać.



Na kolejne tygodnie bal zdominował rozmowy przy śniadaniach, obiadach, spotkaniach, a także listy młodych dam. Przewidywano, że opisze go również kronika hrabstwa.

Panny były jednak trochę niepokieszone, gdyż wszyscy okoliczni młodzieńcy zachwycili się jasnowłosymi kuzynkami lorda i to za nimi wodzili wzrokiem. Gospodarz starał się to wynagrodzić, ale był tylko jeden, a panien, które pragnęły się wyróżnić, o wiele więcej.

– Z Corą jednak tańczył trzy razy – zauważyła Sylvia następnego dnia.

Siedziała na kanapie i co chwilę ziewała, bo czuła się, jakby tańczyła całe wieki. Obok niej Blanche przysypiała.

Pani Fairborn złączyła nad czołem brwi.

– To nierozważne ze strony jej matki – uznała. Tak naprawdę była zła. Z Blanche Glassice tańczył raz, dla jej starszej siostry w ogóle nie znalazł czasu.

– Cora wydawała się zadowolona – powiedziała Sylvia, obejmując poduszkę ze złotymi frędzlami. Miała ochotę się do niej przytulić i zasnąć. Nie pamiętała, kiedy ostatni raz była tak zmęczona.

– Nigdy nie widziałam Cory Fitzjames takiej rozpromienionej i ożywionej – dodała Blanche sennym głosem, ale z uznaniem.

– Będzie to dla niej wielką pociechą, gdy ją to wpędzi do grobu – wieszczyła ponuro macocha.

Blanche ziewnęła. Matka popatrzyła na nią czule.

– Jestem pewna, że było mu jej żal – uznała. – Gdyby mógł sam zdecydować, na pewno wybrałby którąś z was. Tak pięknie razem wyglądaliście. Lord jest wspaniałym tancerzem, a z pewnością i rozmówcą.

– Miał zimne dłonie – odrzekła Blanche, co skłoniło macochę do wygłoszenia komentarza o tym, dlaczego młodej damie nie należy wspominać o temperaturze dłoni para. Potem przeniosła wzrok na Sylvię.

– Moje biedactwo. Wielka szkoda, że jesteś tak wysoka i szczupła jak ja. Nikt nie ceni wysokich kobiet.

– To nie moja wina, że dżentelmeni rodzą się tacy niscy – zrewanżowała się dziewczyna. – Może powinni nosić buty na obcasie?

Blanche rozbudziła się i parsknęła śmiechem.



Po balu życie wróciło do mniej ekscytującej codzienności. Lord Glassice mimo obietnicy nie pojawił się, by obejrzyć bibliotekę pana Fairborna. Trzy tygodnie później przyszło kolejne zaproszenie na bal.

– Czy to wypada? – zastanawiała się Sylvia. – Dwa bale, jeden po drugim?

Miała nadzieję, że nie przemawia przez nią uraza. Lord Glassice wzbudził w niej instynktowną niechęć.

Macocha wyrwała jej zaproszenie.

– Oczywiście, że wypada. Przecież to lord! Z pewnością wie, jak się należy zachować. Ludzie jego pokroju wysysają dobre maniery z mlekiem matki.

– No to będziemy mieli pecha, jeśli lorda pojono mlekiem kozy – mruknęła Sylvia.

Blanche ukryła uśmiech, pochylając się nad robótką, a pani Fairborn oświadczyła, że zaczyna jej się migrena.





Panie wyciągnęły lekcje z pierwszego balu i te, które mogły sobie na to pozwolić, ubrały się stosownie do oświetlenia. Muzyka była jeszcze bardziej zachwycająca, a jedzenie i napoje smakowały wyborniej. Z powodu malowideł na ścianach odnosiło się wrażenie, że tańce naprawdę odbywają się w ośnieżonym lesie.

Spełniło się także matczyne marzenie pani Fairborn – gospodarz wybrał Blanche do pierwszego tańca.

Sylvia z powodu braku partnera spędziła go, stojąc na uboczu razem z Adą i patrząc, jak inni wirują do wypełniającej ogromną salę muzyki.

– Za kim się tak rozglądasz? – zapytała przyjaciółka z porozumiewawczym uśmiechem.

Sylvia skupiła na niej wzrok.

– Za Corą – wyjaśniła. – Bałam się, że po wysiłku spowodowanym ostatnim balem mogła się rozchorować.

Ada patrzyła na nią jednak, jakby nie wiedziała, o kogo chodzi, i nawet rzeczowe tłumaczenia nie przyniosły efektu. Sylvia przeprosiła ją i podeszła do młodszej siostry panny Fitzjames, którą zauważyła.

– Jak się miewa twoja siostra? – zapytała. – Przyjechała na bal?

Dziewczyna obrzuciła Sylwię zdziwionym spojrzeniem.

– Przecież ja nie mam siostry – burknęła i odeszła.

Sylvia stała zdezorientowana. Postanowiła, że zaraz powie o wszystkim Blanche, ale lord Glassice właśnie poprosił ją do drugiego tańca, więc tylko smętnie powlokła się pod ścianę, gdzie stała grupka nieszczęśliwych panien. Przez chwilę patrzyła, jak jej siostra – wyraźnie szczęśliwa – to zbliża się, to oddala od arystokraty, który uśmiecha się do niej szeroko, z zachwytem. Blanche powiedziała coś, a on się roześmiał.

Potem, gdzieś pomiędzy dźwiękami muzyki, Sylvia usłyszała, jak ktoś wypowiada jej imię.

Znała ten głos. Zawsze cichy, jakby przepraszający, często zapowiadający atak kaszlu. To była Cora.

Panna Fairborn spojrzała za siebie. Za nią znajdowały się otwarte drzwi, chociaż wcześniej ich tu nie było. Długi, ciemny korytarz

ciągnął się w głąb posiadłości, rozświetlany jedynie skąpym zimnym światłem z kinkietów na ścianie. Sylvia bez namysłu wkroczyła do niego.

Siedziba lorda Glassice'a wydawała się wielka, ale w rzeczywistości musiała być ogromna ponad miarę, bo dziewczyna wędrowała korytarzem jakiś czas. Wreszcie znalazła się w długiej prostokątnej sali z wysokimi staroświeckimi oknami zakończonymi łukiem. Przez szyby wpadało światło poranka. Krótką chwilę przyglądała się temu skonsternowana. Nie mogła przecież zgubić się na tak długo. Jej serce zabiło szaleńczo i odczuła ogromną pokusę, by zawrócić.

– Sylvia?

Znów usłyszała swoje imię. Oderwała wzrok od okien (za nimi majaczyły gałęzie pokrytych śniegiem jodeł) i rozejrzała się dookoła. Szybko zorientowała się, że jest w swego rodzaju galerii.

Galerii pełnej rzeźb. Nie były to jednak rzeźby, jakie widywała do tej pory. Wydawały się zrobione raczej ze szkła, z lodu, chociaż w pomieszczeniu nie było zimno. Tuż obok jej prawego ramienia na wysokim piedestale dwaj rycerze w płytowych zbrojach, dośiadający bojowych rumaków, mknęli ku sobie z wyciągniętymi kopiami. Scenę uwieczniono może na uderzenie serca, nim doszło do starcia. Na innej mężczyzna w trójkątnym kapeluszu mierzył ostrzem szpady wprost w pierś leżącego nieszczęśnika, broń dotykała już jego ubrania. Dalej para w zabawnych strojach i komicznych perukach wykonywała figurę taneczną, niemal stykając się dłońmi. Zaraz za nią jakiś chłopak próbował skraść całusa pasterce, na jego nieszczęście rzeźba powstała, gdy jego usta były o grubość włosa od warg wybranki.

Sylvia spojrzała przed siebie. Choć to było niemożliwie, sala wyglądała tak, jakby nie miała końca. Zdeterminowana panna Fairborn postanowiła nadal iść, mimo że już nikt jej nie wołał. Kolejna rzeźba sprawiała wrażenie dziwnie znajomej.

Nagle z dziwacznej sali dziewczyna przeszła do zimowego ogrodu.

Wokół niej faktycznie rosły jodły. I padał śnieg, jednak nadal nie było jej zimno. Sylvia ze zdziwieniem oglądała swoje taneczne pantofelki zagłębione w białym puchu, potem podniosła wzrok na najbliższą rzeźbę. Krzyknęła, chociaż zawsze gardziła dziewczętami, które to robią.



Rzeźba przedstawiała Corę!

– I jak ci się podoba? Ładniejsza niż za życia – powiedział ktoś.

Dziewczyna znów drgnęła, choć tym razem opanowała się na tyle, by nie piszczeć jak pensjonarka, która zobaczyła mysz.

Naprzeciw niej stała Śnieżycza. Uśmiechała się zjadliwie i z wyższością unosiła ostry podbródek.

– To nie może być ona – wyszeptała Sylvia.

– Ależ jest – odezwał się wibrujący od rozkoszy głos za jej plecami.

Panna Fairborn odwróciła się i zobaczyła Przymrozek czule pieszczącą ramię wiejskiego chłopca, który mimo determinacji nie mógł pocałować pasterki.

– Była taka krucha, a teraz jest piękna. – Jeszcze dalej w kącie, tuż przy drzwiach, zaczęła się Szron. Ruszyła w stronę Sylvii, ciągnąc po śniegu tren sukni.

Sylvia umiała jednak tylko myśleć, że została właśnie osaczona jak owca przez wilki (choć tych drapieżników nie spotykano w Asperos od lat).

– Wy im to zrobiliście? – Nie miała pojęcia, skąd wzięła odwagę, by zadać to pytanie.

Szron parsknęła śmiechem, jakby właśnie usłyszała coś wyjątkowo niedorzecznego. Zrobiła krok w stronę Sylvii. Niczym na znak pozostałe siostry także zaczęły się zbliżać.

Panna Fairborn nie miała zbyt wielu dróg ucieczki, w zasadzie to żadnej. Cofała się, aż uderzyła plecami o rzeźbę Cory.

Nagle obraz – ostry i zimny jak okrucieństwo lodu – przeciął jej umysł.

Zobaczyła siebie stojącą pod ścianą, gdy inni tańczyli. Nie od razu poznała twarz, którą widywała codziennie w lustrze, i zrozumiała, że tak wygląda widziana oczami kogoś innego. W dodatku jej oblicze wykrzywił brzydki złośliwy grymas.

Grała muzyka.

– Czy chciałabyś żyć wiecznie? – usłyszała pytanie delikatne i chłodne jak powiew zimowego wiatru.

Wizja uleciała, dziewczyna otrząsnęła się w samą porę, by zobaczyć, że Śnieżycza, Przymrozek i Szron stoją na wyciągnięcie ręki. Zastygła z przerażenia.

– Czy nie jest idealna? – zapytała pierwsza z sióstr słodkim, ale upiornym głosem.

– Chcesz też taka być? – dodała Szron.

Dźwięki muzyki wdarły się nawet tutaj. Ktoś syknął. Siostry nie odważyły się na nic więcej.

Za nimi stał lord Glassice.

– Tu pani jest – powiedział, uśmiechając się, jakby nie miał najmniejszego pojęcia, co właśnie przerwał. – Matka pani szuka.

Był doskonale – wręcz nieludzko – opanowany.

Sylvia przełknęła ślinę. Gardło miała zmarznięte i obolałe.

– Ja...

– Pewnie się pani zgubiła? – zgađł mężczyzna. – Widzę, że trafiła pani do mojego królestwa.

Dziewczyna zmusiła się, by ponownie przyjrzeć się sali. Tak, znów znajdowała się w budynku, nie w lesie, za oknem trwała noc. Pomieszczenie jednak nadal było nieprzyzwoicie duże, a posąg Cory Fitzjames za jej plecami nie zmienił rysów twarzy.

– Jak się podobają moje skarby? – Duma w głosie mężczyzny (o ile tylko tym był) przeraziła Sylvię o wiele bardziej niż zachowanie jego kuzynek. – To moja pasja.

Panna Fairborn z niechęcią patrzyła na rzeźby teraz, gdy miała niemal całkowitą pewność, że zabrały tyle ludzkich żyć.

– Nie gustuję w takiej sztuce – powiedziała chłodno.

Lord się roześmiał. Przypominało to dzwonki, które grały w sali balowej. W odpowiedzi posłała mu spojrzenie pełne niechęci.

– Proszę mi powiedzieć, czym zasłużyłem sobie na pani dezaprobatę?

Czyżby czuł się urażony?

– Tym! – Wskazała na rzeźby. Miała nadzieję, że to najdobitniej przekaże mężczyźnie, że zna jego tajemnicę.

Glassice przez moment wyglądał na naprawdę urażonego, potem jego oblicze wygładziło się jak tafla lodu.

– Czy nie uważa ich pani za piękne? – zapytał, a ona w jakiś sposób wiedziała, że zrobił to jak najbardziej poważnie.

– Są pozbawione życia – uznała dziewczyna.

– Przeciwnie! – Sylvia nie miała pojęcia, że lord Glassice może być czymś tak poruszony, na szczęście nie wydawał się zły. – Proszę przyjrzeć się jeszcze raz. Dokładnie. To wspaniałe.

– Raczej nieludzkie – wyszeptała. – I okrutne.



– Nie widzi pani tego życia? Miłości, śmierci, radości zatrzymanych na wieczność?

Sylvia poczuła się bardzo niepewnie, gdy i na nią spojrzał w taki sam sposób jak przed chwilą na pasterkę i jej kochanka. Mówił jak artyści o swoich obrazach albo jak ojciec, kiedy trafił na wyjątkowo interesującą książkę.

Panna Fairborn zadrżała, a lord to zauważył.

– Proszę mi wybaczyć. Zbyt długo przebywała pani z daleka od swojego świata. – Można było uwierzyć, że kieruje nim troska. – Odprowadzę panią.

Wyciągnął rękę. Sylvia dostrzegła na jego palcu ogromny szafir, który mrugał delikatnie. Miała największą ochotę odmówić. Nie zrobiła tego jednak.

Okazało się, że chociaż Sylvia zniknęła po zaledwie dwóch tańcach, bal miał się ku końcowi, a macocha faktycznie jej szukała.



Panna Fairborn nie wyznała siostrze, czego była świadkiem (zapytana o Corę, Blanche zrobiła taką samą minę jak inni). Z tego samego powodu nie powiedziała nikomu – dobrze wiedziała, co dzieje się z młodymi damami, które nagle zaczynają opowiadać dziwne rzeczy. Krótko mówiąc, zostają uznane za histeryczki.

Ale może był jednak ktoś skłonny jej uwierzyć.

Następnego dnia dziewczyna wymknęła się z domu – gdzie macocha do bólu rozpamiętywała wczorajszy bal, a zwłaszcza fakt, że lord Glassice tańczył z Blanche aż trzy razy (to przerażało Sylwię jeszcze bardziej niż jego kuzynki) – i poszła drogą w dół wzgórza.

Nad chatką Theodory unosiła się cienka strużka dymu. Panna Fairborn nie miała pojęcia, czy zastanie kobietę w środku, mimo to zapukała i weszła, chociaż nikt nie odpowiedział.

Dom składał się w zasadzie z jednej izby, pełniacej jednocześnie funkcję sypialni, kuchni i pokoju gościnnego. Było ciemno, unosił się zapach suszonych ziół, torfu i czegoś nieokreślonego.

Theodora siedziała przy kominku – odwrócona do gościa plecami – nie spojrzała na Sylwię i dziewczynie przyszło do głowy, że kobieta spodziewała się jej wizyty.

– Dzień dobry. – Panna Fairborn starała się nadać swojemu głosowi pozory odwagi.

Theodora w końcu się odwróciła.

– A więc jednak przyszedłś – powiedziała zagadkowo.

W blasku skąpego ognia, w izbie, gdzie w każdym kącie kłębiły się cienie, wydawała się starsza i jeszcze bardziej niepokojąca. Sylvia nie zamierzała jej mówić, że zjawiała się tu z nadzieją zupełnie inną, niż żywiła przez całe swoje życie – że Theodora jest jednak czarownicą.

Ponieważ kobieta nadal patrzyła na nią taksująco, w milczeniu i chyba oczekiwała odpowiedzi, Sylvia postanowiła, że lepiej będzie nie marnować czasu i od razu powiedzieć prawdę.

– Proszę! Niech pani pomoże mi uratować moją siostrę! – wyrzuciła z siebie jeszcze bardziej desperacko, niż zamierzała. – On zabierze ją jak Corę i zmieni w lodową rzeźbę. Widziałam je. Ma ich setki!

Theodora podrapała się po haczykowatym nosie, nadal nic nie mówiąc, a Sylwią zaczęło ogarniać zwątpienie.

– Tak – odezwała się w końcu opryskliwie. – To jego natura.

Powiedziała to, jakby było to zupełnie oczywiste.

– Kim, czym on jest?

Było jasne, że nie zwykłym lordem.

Theodora wzruszyła ramionami otulonymi starym dziurawym szalem.

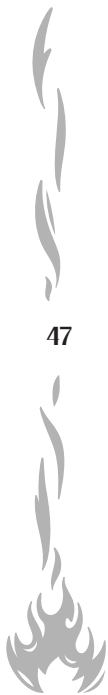
– Nie wiem, jak sami siebie nazywają – ton sugerował, że też jej to nie obchodzi – ale dawniej mówiono na nich Panowie Zimy. Podobno zamieszkują krainę, gdzie okrągły rok pada śnieg i wieje mroźny wiatr, a czasem przechodzą do naszego świata. Są nieśmiertelni, mają zamrożone serca, dlatego ludzkie życie nie ma dla nich żadnej wartości.

Sylvia przypomniała sobie, z jakim rozmarzeniem Glassice opowiadał o swoich rzeźbach, ale zachowała to dla siebie. Zamiast tego zapytała:

– Jak mogę uratować siostrę? Zrobię wszystko!

Theodora się roześmiała.

– Jestem tylko starą kobietą, która być może wie więcej niż inni. Sądzisz, że mogłabym mierzyć się z takim stworzeniem?



Pod Sylwią ugięły się nogi. Jeśli czarownica jej nie pomoże, nikt nie zdoła, bo macocha nie uwierzy, że ubóstwiany przez nią lord jest istotą z lodu, która chce zamrozić jej córkę. A nawet gdyby wysłała Blanche do którejś z przyjaciółek, to nie było gwarancji, że ta przed nim umknie.

– Błagam! Nikt inny mi nie wierzy. Wszyscy zapomnieli o istnieniu Cory. Oddam pani wszystko, co mam. Pieniądze...

Czarownica zmrużyła oczy.

– Ale jeśli naprawdę jesteś skłonna zrobić wszystko i zapłacić każdą cenę, być może jest nadzieja. Słyszałam, że te stwory są skłonne zawierać umowy. Czy nosi pierścień?

Sylvia przypomniała sobie duży błyszczący szafir, który migotał, kiedy Glassice wyciągnął ku niej dłoń. Z nadzieją kiwnęła głową.

– Musisz go zniszczyć. To źródło jego mocy.

Przez moment dziewczyna gapiała się na Theodorę, aż ta powiedziała:

– Czy sama też zmieniałaś się w rzeźbę z lodu? Nie patrz tak na mnie.

– Ale jak mam to zrobić?

Czarownica znów wzruszyła ramionami.

– Jeśli jesteś mądra, wymyślisz sposób. Jeśli nie, szkoda marnować na ciebie czas.

Sylvia poczuła, jak w jej piersi rodzi się szloch.

– Masz szczęście, dziewczyno. – Na twarzy kobiety pojawił się przebiegły uśmiech. – Musisz mieć wystarczająco dużo żelaza, ich iluzje na ciebie nie działają. Panowie Zimy zawsze interesują się takimi. Wykorzystaj to.

Sylvia miała jeszcze tyle pytań, jednak Theodora nie chciała już dłużej rozmawiać.

– Idź – zakrakała. – Ostatnio źle znoszę głupie młode kobiety.

Bezceremonialnie odwróciła się i dołożyła do dogasającego ognia kolejną porcję torfu.



Jak uratować siostrę? To pytanie dręczyło Sylwią przez kolejne dwa dni. W przerwach miała nadzieję, że Glassice zostawi

Blanche w spokoju, zabierze swoją zimę i pojedzie z nią gdzie indziej.

Zawiodła się jednak.

Na trzeci dzień przed jej dom zajęchały sanie ciągnięte przez białe konie. Wysiedli z nich lord i jego kuzynki – ubrane w białe pelisy ze srebrnymi guzikami i z mufkami wokół rąk.

Macocha, która obserwowała scenę z okna bawialni wraz z córkami (sanie miały bowiem przyczepione wiele dzwoneczków i już z daleka zwracały uwagę), aż klasnęła w ręce.

– Zachowujcie się dobrze. – Przyjrzała się dziewczętom krytycznie, Sylvii w szczególności. – Jeśli wszystko pójdzie dobrze, to nasza Blanche może wkrótce zostanie hrabiną. Pomyślcie tylko. Powozy, sanie...

Sylvia, bliska rozpacz, odważyła się zauważyć:

– Maman, ależ my w ogóle nie znamy lorda.

Jak się spodziewała, jej obawy zostały całkowicie zignorowane.

– Ależ, moja droga, to lord. Bycie lordem do czegoś zobowiązuje. Poza tym zostaliśmy sobie przedstawieni. Byliśmy u niego dwa razy, twoja siostra tańczyła z nim trzy. To więcej czasu niż ja spędziłam z panem Fairbornem, zanim mi się oświadczył.

– Chcesz za niego wyjść? – zapytała Sylvia siostrę, korzystając z tego, że pani Fairborn wydaje jakieś polecenia służbie.

Blanche się zarumieniała.

– Jest miły – przyznała. – Ale zawsze marzyłam, że po ślubie nadal będziemy mieszkali blisko siebie. Lord dużo podróżuje, chociaż nie kojarzę nazw miejsc, o których mówił.

Wzruszona Sylvia przytuliła siostrę.

Lord faktycznie był uosobieniem wytworności i chłodnego uroku. Teraz, kiedy mógł skupić się na Blanche, roztoczył w pełni swój czar. Raz po raz zerkał jednak na Sywię z tajemniczym uśmiechem, jakby rzucał jej wyzwanie, a ona nie spuszczała z niego wzroku, czym łamała konwenanse. Nie wierzyła w jego dobre zamiary, poza tym wolała patrzeć na lorda niż na jego kuzynki. Za każdym razem, gdy spojrzała na moment na Śnieżyccę, Przymrozek lub Szron, odnajdywała na ich pięknych szczupłych twarzach zapewnienie, które mówiło jej, że chętnie dokończyłyby to, co zamierzały tamtego dnia na balu.



Blanche – jak każda dobrze wychowana młoda dama – dała się namówić na zagranie kilku utworów na szpynecie, a lord Glassice szarmancko przewracał jej nuty. Po niej miała zagrać Sylvia. Dziewczyna podniosła się i ruszyła w kierunku instrumentu na chwiejnych nogach. Jej ręce nagle stały się tak zimne, że nie sądziła, by dała radę cokolwiek nimi zagrać.

Ku jej zdziwieniu Glassice pozostał na swoim miejscu. Uśmiechnął się do niej zachęcająco, kiedy zasiadła do instrumentu.

Sylvia zaczęła grać. Szło jej nie najgorzej, chociaż chyba tylko cudem trafiała we właściwe klawisze sztywnymi palcami. Pan Zimy cały czas na nią spoglądał.

Pragnęła z nim porozmawiać, ale nie miała pojęcia, jak zacząć, toteż przez jakiś czas salon wypełniały jedynie dźwięki muzyki i srebrzyste śmiechy kuzynek. W końcu to on odezwał się pierwszy:

– Pani, zdaje się, nie jest zadowolona z mojej wizyty. – Wydawał się tym faktem zasmucony.

W odpowiedzi Sylvia posłała mu przeszywające spojrzenie, które całkowicie ignorował.

– Dziwi się pan? – Dla podkreślenia słów mocniej uderzyła w klawisze; musiała bardzo się starać jednocześnie grać i nie dać się omamić słowom stwora, a przy tym rozmawiać. – Zamienił pan w lodową rzeźbę moją przyjaciółkę, teraz zamierza to samo zrobić z siostrą.

Roześmiał się w sposób podobny do kuzynek, ale głębszy i mniej napastliwy.

– Więc może zaoferuje mi pani coś w zamian? – zapytał prowokacyjnie.

Sylvia zafałszowała okropnie, nawet jak na nią. Wbiła wzrok w nuty i nie podnosiła go przez moment.

– Proszę mi wybaczyć – powiedział lord – ale muszę wyznać, że mylnie mnie pani ocenia. Nigdy nie zmieniłem nikogo wbrew jego woli.

O mało nie pomyliła kolejnego dźwięku. Dziwnie było siedzieć blisko kogoś, o kim wiedziało się, że nie jest człowiekiem. Sylvia czuła na zmianę zimno i gorąco, a teraz jeszcze padło takie wyznanie...

– Pan wybaczy, ale nie wierzę panu.

Przez jakiś czas milczał, a dziewczyna jakimś cudem brnęła przez kolejne nuty, które rozmazywały jej się przed oczami i zmieniały w ślady na śniegu. Glassice odezwał się, gdy dotarła niemal do końca:

- Muszę wyznać, że podziwiam ludzi. Fascynują mnie...
- Pod warunkiem, że stoją nieruchomo pokryci warstwą lodu?

Znów się uśmiechnął. Sylvia pomyślała, że gdyby nie chroniła jej wiedza o naturze mężczyzny, mogłaby znaleźć się w poważnym niebezpieczeństwie, bo wyglądał naprawdę zachwycająco.

– Nie ująłbym tego tak, ale dotknęła pani niemal sedna. Proszę sobie wyobrazić idealną chwilę zatrzymaną w czasie po wielokroć. To piękno, które warto podziwiać!

Mimo obaw, jakie cały czas żywiła, nie mogła się z nim zgodzić.

- A co z przyszłością, którą odebrał pan tym wszystkim ludziom?

Lord cały czas wydawał się zainteresowany. Może to był sposób, o jaki chodziło Theodorze.

– To sprawia, że tej idealnej chwili nic nie skazi. Ani czas, ani czyni. Widziała pani pasterkę i jej chłopca? Pomyślała pani, co stałoby się z ich miłością, gdyby ona zestarzała się i zbrzydła od pracy?

Na to dziewczyna nie znalazła argumentu, więc zapytała:

– Nie może pan zabrać swojej zimy i przenieść się z nią gdzie indziej?

Spojrzała na niego błagalnie i po raz pierwszy lekko się zmieszał. Wydawało się, że przez moment naprawdę poważnie rozważał jej pytanie.

– To prawda – rzekł, gdy wybrzmiewały ostatnie nuty – mam wiele ziem, wszystkie są tak zachwycające, iż z chęcią bym je pani pokazał, ale dawno nie byłem w tej okolicy. Zapomniałem, jaka jest fascynująca.



W pewien sposób Sylvia odniosła sukces. Blanche wciąż była w domu – żywa, a nie zamieniona w lodową rzeźbę. Panna Fairborn postanowiła więc nie spuszczać z niej oka. Jeszcze tego samego wieczoru poszła do sypialni siostry i tłumacząc się koszmarami,



poprosiła, by mogły spać razem – jak w dzieciństwie. Spędziła niemal bezsenłą noc, patrząc na twarz uśpionej Blanche i myśląc, co dalej. Podobnie postępowała w ciągu następnych dwóch dni. Nigdy nie zostawiała siostry na długo, jeśli nie było z nią nikogo innego, chociaż miała niskie mniemanie o przydatności obronnej rodziców i służby, gdyby Glassice pojawił się nagle z zamiarem porwania Blanche.

Trzeciego dnia, zostawiwszy Blanche zajęłą wraz z macochą wybieraniem koloru nici do haftu, pobiegła do swojego pokoju po książkę. Przeskakiwała po dwa stopnie naraz, omal nie wyrwała klamki, a do pomieszczenia wpadła jak burza.

Dywan zachrzęścił pod jej stopami.

Sylvia spojrzała w dół – jej buciki zapadały się w miękkim białym śniegu. Ogarnęło ją przerażenie, lecz nakazała sobie spokój i dopiero po kilku głębszych oddechach rozejrzała się wokół. Drzwi, przez które przeszła, zniknęły, za to wszędzie wokół rozciągał się las. Obsypane śniegiem jodły o ostrych czubkach niemal dotykały chmur, które wyglądały jak zrobione z puchu wypełniającego poduszki, a między nimi lśniło niebo prawie tak błękitne jak...

...jak oczy hrabiego Glassice'a, który stał nieopodal między drzewami i sprawiał wrażenie, że na kogoś czeka. Sylvia ze zgrozą uświadomiła sobie, że na nią.

Nie odzywając się, bezszelestnie ruszył w kierunku dziewczyny. Na widok przyjemności, jaką sprawiało mu jej oszołomienie, Sylvia przybrała chłodny wyraz twarzy. Powitała go z wyraźną niechęcią.

– Nie podoba się pani? – zapytał, nieco zbity z tropu.

– Co to ma znaczyć? – Panna Fairborn zadrżała, bynajmniej nie z zimna, bo tego nie odczuwała, mimo że była ubrana w poranną suknię i pantofle.

Glassice milczał przez chwilę, ale przyglądał się jej tak uporczywie, że poczuła zimne, szczypiące ukłucie mrozu na policzkach.

– Chciałem to pani pokazać. Nie podoba się pani?

Dla dobra własnego i Blanche Sylvia powiedziała niechętnie:

– Podoba.

– Z tym właśnie mi się pani kojarzy. Ze starym lasem pełnym szepczących drzew. To znaczy pani imię.

– To niecodzienny komplement. – Na jej twarzy pojawił się rumieniec.

Lord się uśmiechnął.

– Pani siostra przywodzi na myśl biały jedwab przelewający się przez palce, rzeźbę z marmuru przysypaną śniegiem... Jej piękno i delikatność można by podziwiać godzinami. Latami!

Sylvia zawsze wiedziała, że siostra jest od niej piękniejsza i bardziej podziwiana, jednak ta uwaga sprawiła jej nieco przykrości.

– Wolałabym, by adorował pan moją siostrę z daleka – powiedziała chłodno. – A najlepiej wcale.

Odpowiedział jej srebrzysty śmiech. Lord zbliżył się do niej, ale nie czuła ciepła jego oddechu, chociaż stał blisko.

– Pani jest jak powiew zimnego wiatru albo górski strumień. Naturalna i bezpretensjonalna. Dawno nie spotkałem nikogo, kto odzywałby się do mnie w ten sposób.

Sylvia długo myślała, jak skłonić go do oddania pierścienia bez wzbudzania podejrzeń. Niestety, jedyny pomysł, na jaki wpadła, był ryzykowny. Spojrzała Panu Zimy prosto w oczy.

– Oboje wiemy, że nie sprowadził mnie tu pan, by pokazać mi ogród.

– Nie? – Podszedł o jeszcze jeden krok.

– Chciałabym zawrzeć z panem umowę.

Glassice skinieniem zachęcił, by mówiła dalej.

– Chciałabym zająć miejsce mojej siostry. W zamian chcę, by wypuścił pan Corę, zostawił w spokoju moją rodzinę i sąsiadów, a także żeby zima odeszła – wyrecytowała.

Z baśni czytanych w dzieciństwie pamiętała, że przy zawieraniu tego typu paktów ważny jest każdy szczegół, a niewłaściwy dobór słów może spowodować katastrofę. Miała nadzieję, że wyraziła się dość precyzyjnie.

– To sporo – ocenił Glassice.

Panna Fairborn zacisnęła zęby. Chciała dodać jeszcze, by nigdy nie wracał, ale realistycznie oceniała własną wartość.

– Jeśli pan się zgodzi, odejdę z panem.

Lord uniósł brew tak jasną, że niemal białą.

– Skąd pewność, że nie chcę pani zamienić w rzeźbę? – Pytanie sprawiło wrażenie prowokacyjnego.



Sylvia dumnie uniosła głowę.

– Zimna i nieruchoma stracę wszystkie swoje walory.

– Wysokie ma pani mniemanie o własnych zaletach.

Nie odniósł się do propozycji od razu. Podczas gdy się zastanawiał, serce dziewczyny zamarło.

– Dobrze – powiedział w końcu, ale dla niej to wcale nie był koniec. – To uczciwa oferta.

– Jeszcze coś. – Sylvia wpatrywała się w niego uporczywie. – Zdaje sobie pan sprawę, że młoda dziewczyna nie może odejść z domu z obcym mężczyzną bez narażenia się na utratę dobrego imienia?

– Jeśli o to chodzi... – zaczął mówić Glassice. – Ach tak, rozumiem.

Dopanny Fairborn dotarło, że praktycznie właśnie mu się oświadczyła. Próbowала wyobrazić sobie minę macochy, ale nie potrafiła. Dla Blanche była jednak gotowa na wszystko.

Pan Zimy wydawał się nieco zmieszany.

– Wiedziałem, że jest pani wyjątkowa – powiedział z uznaniem. – Przed panią nikt nie złożył mi takiej propozycji. Zgadzam się. Nie zrobiłbym nic, co uwłaczałoby pani czci. Umilkł, by wziąć wdech. – Czy uczyni mi pani ten zaszczyt i wyjdzie za mnie? – Posłał jej najbardziej czarujący uśmiech, jaki widziała w życiu.

Z trudnością się odezwała:

– Tak. A teraz musi mi pan dać coś na przypiecztowanie naszej umowy.

Na posągowej twarzy lorda pojawił się uśmiech samozadowolenia.

– Co tylko pani sobie życzy. Konie, które nigdy się nie męczą? Lampa, która nigdy nie gaśnie, a może futro, które panią zawsze ogrzeje?

Nie pozwoliła sobie nawet wyobrazać tych bogactw.

– Narieczona zwyczajowo dostaje pierścionek zaręczynowy – oznajmiła.

Zakłopotanie Pana Zimy sięgnęło zenitu.

– Oczywiście! Mam skarbce pełne klejnotów, w których zakłęto blask gwiazd i zorzy polarnej. Proszę poczekać.

Najwyraźniej chciał jej to wszystko przynieść. Powstrzymała go.

– W pełni zadowoli mnie pierścień, który ma pan na palcu. – Sylvia starała się brzmieć obojętnie. – Chcę mieć potwierdzenie

tu i teraz. Zatrzymam ten pierścień do czasu, kiedy znajdziemy się w pańskim królestwie. Tymczasem potrzebuję dnia na pożegnanie z rodziną.

Z przyjemnością obserwowała, jak na twarzy stwora wykłwita najpierw zaskoczenie, potem opór, jak Glassice nabiera powietrza i jak maska na jego twarzy burzy się, gdy próbuje sprzeciwić się przedziwnej sile, która nie pozwala mu odmówić żądaniu.

– Jest pani pewna? – próbował jeszcze z wyraźnym wysiłkiem. – To naprawdę niewyszukany klejnot.

Pod lodowatą fasadą piękna i opanowania dziewczyna dostrzegła przerażenie.

– Jak najbardziej. – Uśmiechnęła się obojętnie. – Podobą mi się.

– Dobrze więc. – Popatrzył na nią z wyrazem bólu na twarzy. – Czy może mi w zamian pani obiecać, że nie zdejmie go pani ani na chwilę? W żadnych okolicznościach?

Theodora miała rację. Sylvia omal nie pisnęła z radości.

– Przrzekam.

Glassice z trudem, cały czas tocząc ze sobą wewnętrzną walkę, zdjął z palca pierścień.

– Proszę mi pozwolić.

Sylvia zrozumiała, że prosi, by podała mu dłoń. Zrobiła to bez przyjemności. Nie była jednak przygotowana na to, że chłodny dotyk na jej skórze wywoła szybsze bicie serca. Pierścień, chociaż wydawał się zbyt duży nawet na kciuk, w jakiś sposób dopasował się do jej serdecznego palca. Blask przygasł nieco.



Po powrocie do salonu Sylvia przekonała się, że macocha i Blanche nadal zajęte są nimi. Żadna nie zauważyła pierścienia na jej palcu, ona też starała się nie zwracać na niego uwagi.

Po nieznośnej godzinie wypełnionej paplaniną pani Fairborn i zatroskanymi spojrzeniami Blanche, która chyba podejrzewała starszą siostrę o początki choroby (Sylvia wybrała do haftu róży niebieską nić), dziewczyna została sama. Podeszła do kominika. Przez moment obracała na palcu symbol swojej umowy, nie wiedząc, dlaczego teraz – gdy została jej tylko ta jedna rzecz do



zrobienia – ogarnęły ją wątpliwości. To przecież Glassice wtargnął do jej świata, zagroził jej siostrze. Jeśli stąd odejdzie, jakieś inne siostry oraz matki zostaną ograbione, a one nawet nie będą o tym wiedzieć. Ale potem przypomniała sobie jego piękną twarz i własną reakcję, gdy się nad nią pochylał. Cichą satysfakcję, którą przynosiła jej świadomość, że powiedziała coś, co wytrąciło go z równowagi.

Zdecydowanym ruchem Sylvia zdjęła z palca pierścień – był chłodny, mimo że cały czas dotykał jej skóry – i zanim kolejne wątpliwości utorowały sobie drogę w jej umyśle, rzuciła go w ogień. Przez moment nic się nie działo, a ją ogarnęło powątpiewanie, czy zwykły kominek da sobie radę z magicznym artefaktem. Lepszy byłby wulkan, może chociaż kuźnia.

Wtedy kamień zamigotał, a potem pękł z trzaskiem. Smuga zimnego blasku wyleciała przez komin.

A Sylwii wydawało się, że płomienie szepczą:

– Zdrajczyń.



Liczyła na to, że kiedy obudzi się rano, zima i lord Glassice pozostaną już tylko wspomnieniem. Pierwszym, co zrobiła po przebudzeniu, było wyjrzenie przez okno. Niczego jednak nie zobaczyła, ponieważ szyby pokrywała gruba warstwa szronu. Podobne do paproci kształty zasłaniały cały widok. Poważnie zaniepokojona Sylvia zaczęła się szybko ubierać. Z każdą minutą coraz wyraźniej czuła nienaturalny chłód pokoju.

W tym nerwowym nastroju zastała ją pokojówka, która przyniosła wodę do mycia.

– Niech panienka nie stoi na zimnej podłodze! – przeraziła się dziewczyna.

Panna Fairborn zdążyła dostrzec, że ma zaczerwienione policzki i nos.

– Co się dzieje, Martho? – zapytała, dotykając palcami lodowatej stopy i z utęsknieniem myśląc o parującej wodzie w dzbanku.

– W nocy chwycił mróz. Wszystkie szyby zamrzły, a przed domem leży ogromna zaspą. Jak tak dalej pójdzie, wszyscy zamrzniemy.

Służąca, młoda wiejska dziewczyna, nie potrzebowała wiele zachęty do mówienia. Sylvia nie musiała brać udziału w dyskusji, a autorka monologu zwracała niewiele uwagi na publikę.

Ale przecież Theodora mówiła, że zima odejdzie, o mało nie powiedziała panna Fairborn.

Wkrótce potwierdziły się najgorsze obawy dziewczyny. Po najszybszej porannej toalecie w swoim życiu zbiegła na dół i otworzyła drzwi wejściowe. Nie była przygotowana na to, co zobaczy. Cały świat tonął w białym puchu, okoliczne zabudowania stały się niewidoczne.

Pani Fairborn, Blanche, a nawet ojciec, który wyjątkowo opuścił bibliotekę, grzali się w niewielkim saloniku na piętrze, gdzie nietypowo podano śniadanie, bo ze względu na mały rozmiar łatwiej było go ogrzać. Macocha otuliła się dwoma szalami.

– Chodź tu, moja droga – przywitała Sylwię. – Zmarzniesz i jeszcze się rozchorujesz. Co by powiedziała twoja biedna matka, gdybym do tego dopuściła?

Dziewczyna podeszła do stołu przesuniętego bliżej kominka. Macocha natychmiast rozkazała służącej przynieść dla panienki cieplejsze okrycie, ojciec nalał jej gorącej herbaty. Na widok pary nad filiżanką Sylvia natychmiast przypomniała sobie, co zrobiła, i omal się nie rozplakała.

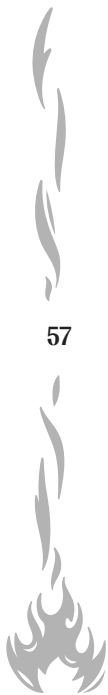
Pozostało tylko jedno – pójść do Theodory i zażądać odpowiedzi. Ubrana w kilka warstw ubrań i tyle pończoch, że ledwie włożyła buty, panna Fairborn wymknęła się z domu i ruszyła tam, gdzie według jej przeświadczenia znajdowała się chatka czarownicy.

Po drodze zobaczyła, że ktoś idzie ku Fairborn House. Z początku przeraziła się, że to Glassice przybywa z pretensjami, ale szybko uspokoił ją nijaki, szary kolor odzieży mężczyzny. Pan Zimy nigdy nie założyłby czegoś tak mało błękitnego.

Potem bała się, ale z zupełnie innego powodu.

Po chwili zorientowała się, że postać przed nią się nie porusza. Kroki Sylvii przyspieszyły wraz z biciem jej serca. Czekano na nią ponure odkrycie i chciała, by się już dokonało.

To był Joe, jeden z mieszkających w okolicy najemców ojca – zamrznięty. Nie tak jak rzeźby w ogrodzie hrabiego, które wyglądały na zamrożone w specjalnie wybranym momencie i wbrew logice szczęśliwe. Joe stał nieruchomy i przerażony.



Sylvii wydało się, że słyszy śmiech. Śmiech ten natychmiast skojarzył jej się z kuzynkami hrabiego i dalej puściła się biegiem, zapominając o zimnie i śniegu, który chłostał jej twarz.

Chata Theodory pozostała jedynym niezasypanym punktem w okolicy. Z komina sączyła się smużka dymu, a ścieżka była wydeptana, chociaż mało prawdopodobne, by ktoś odwiedzał staruszkę.

Tym razem Sylvia nie zwracała sobie głowy pukaniem. Weszła od razu. Odniosła wrażenie, że w pomieszczeniu jest cieplej i jaśniej. Sprzęty, które przedtem ukrywały się w cieniu, niespodziewanie okazały się dość luksusowe. Na ścianie wisiały srebrne talerze, a na stole w imbryku i filiżance z cienkiej porcelany parowała herbata.

Zamiast Theodory przy ogniu siedziała jednak młoda dziewczyna. Paliła fajkę.

– Czyli zobaczyłaś już, co zrobiłaś, i przyszłaś z pretensjami? – Głos miała młody, ale ton był znajomy.

Sylvia przyjrzała się dziewczynie. Odnalazła znajomy owal twarzy, lekko haczykowany nosek, wykrój ust. Tym obliczem od lat straszono okoliczne dzieci, ale teraz powróciło do wyglądu z czasów, zanim starość zeszepeciła jego rysy.

Wszystko stało się jasne.

– Oszukałaś mnie! – wyrzuciła z siebie Sylvia.

Młoda Theodora pyknęła z fajki.

– Nic podobnego – odpowiedziała drwiącym tonem. – Obiecałam, że pomogę ci uchronić siostrę i oddam przyjaciółkę, i to właśnie się stało. A ten twój lord nigdy już nie porwie żadnej dziewczyny.

– Ale zima nie odeszła. Jest gorzej!

I on nie jest mój – dodała w myślach i poczuła dziwny żal.

Theodora wzruszyła ramionami.

– Och, to tylko Szron, Śnieżycy i Przymrozek się bawią. Nie martw się, szybko się nudzą.

– Przed moim domem zobaczyłam zamrożonego człowieka! – poinformowała ją wstrząśnięta panna Fairborn.

Czarownica rzuciła jej pogardliwe spojrzenie.

– Mówiłam, że będziesz musiała zapłacić cenę, ale ty mnie nie słuchałaś. Za wszystko trzeba płacić, dziewczyno. Chciałaś być bohaterką, chciałaś, żeby siostra nie dostała tego, czego ty chcesz.

– Nie – wyszeptała Sylvia... A może tylko poruszyła wargami?

Theodora znów zaciągnęła się fajką.

– Mówiłam ci, że te istoty lubią zawierać umowy. Lodowe Damy obiecały mi młodość w zamian za pomoc w odzyskaniu wolności.

– I zgodziłaś się? – Panna Fairborn chętnie zacisnęłaby pięści, ale niemal nie mogła poruszać dłońmi.

– Tak mogą mówić tylko młode i głupie dziewczyny. – Głos czarownicy nieco złagodniał. – Kiedy się zestarzejesz, inaczej pomyślisz o śmierci, szczególnie gdy będziesz mieć takie życie jak ja. Nie patrz tak na mnie, nie mam powodu, by kochać moich sąsiadów. Może mi powiesz, że sama, będąc dzieckiem, nie nazywałaś mnie za plecami czarownicą?

Sylvia milczała; odpowiedź była oczywista.

– Wynoś się. Już mówiłam, że źle znoszę towarzystwo głupich dziewcząt. – Słowa padły jednak z ust niewiele starszych niż usta samej panny Fairborn.

Potem Theodora straciła zainteresowanie gościem i wróciła do palenia fajki. Sylvia, sama nie wiedząc jak, znalazła się znów na dworze, gdzie padał śnieg i trząsał mróz. Najchętniej schowałaby się gdzieś i rozplakała, ale tego jednego nie mogła zrobić, dopóki nie naprawi zła, które wyrządziła. Musiała dostać się do Glassice Park, tyle że nie miała pojęcia, ile jej ta przechadzka zajmie, bo nawet kierunek знаła tylko orientacyjnie. Niemal przestała czuć palce stóp, niezdolne do ruchu w przyciasnych butach. Z pewnością ryzykowała odmrożenie, a nawet śmierć.

Ale nie mogła postąpić inaczej.



Odnalazła Glassice Park, ale nie był to dwór, jaki zapamiętała. Na początku pomyślała, że umysł płata jej figle. Na miejsce dotarła bowiem po długiej i wyczerpującej wędrówce. Biel wszędzie wokół raziła i dezorientowała, do tego kilkakrotnie Sylvia widziała nieopodal człeko- i zwierzokształtne postaci zastygłe jak posągi, jednak nie odważyła się do nich podejść.

Nie czuła już palców stóp i rąk, a policzki, chociaż osłonięte chustą, szczypały z powodu zimna. Od wiatru nawiewającego kłujący jak igiełki śnieg łzawiły jej oczy, a łzy natychmiast zamarały



na rżęsach. Po tym wszystkim dziewczyna miała przynajmniej nadzieję, że ogrzeje się trochę w domu hrabiego.

Lecz Glassice Park wyglądał, jakby nikt nie mieszkał tam od lat. Fasadę pokrywał bluszcz, tyle że zrobiony z lodu, a tuż nad kapi-telami kolumn szczyrzyły się ostre niczym zęby sople. Wszystkie szyby były zamarznięte.

Panna Fairborn zastukała w drzwi. Gdy nikt nie otworzył, zro-biła to sama. Zajrzała do ciemnego wnętrza. Było cicho, co mocno kontrastowało ze wspomnieniem muzyki z balu, i pusto.

Niespodziewanie coś miękkiego otarło się o jej nogi. Odskoczyła zdezorientowana. Z Glassice Park wydostawały się na zewnątrz rozmaite zwierzęta: sowy, lisy i gronostaje w zimowym futrze, które omal jej nie staranowały. Wydawało się, że przed czymś uciekają.

Niemal od razu Sylvia straciła nadzieję na wszelki komfort i ciepło. Korytarze Glassice Park okazały się posępnie opuszczo-ne. W podłogach były dziury, a w ścianach – pęknięcia. Salon był przygnębiający i zimny, z sufitu zwisały sople. Ani jeden wątył ogienek nie płonął w kominku. Sylvia pomyślała, że może w kuch-ni znajdzie czynny piec, więc ruszyła przez kolejne pokoje. Nie odnalazła pomieszczenia, usłyszała za to głosy.

Kilkanaście tonów mieszało się ze sobą, coraz głośniejsz, w miarę jak Sylvia pokonywała korytarz o zamarzniętych ścianach, które przyozdobił szron. W jednym z pokoi podłoga zmieniła się w lo-dowisko.

Weszła do mniejszego saloniku – tak samo odpychająco zimnego. Kilkadziesiąt osób w różnym wieku, różnej płci i w różnych strojach klóciło się ze sobą w obcej mowie. Sylvii wydawało się wręcz, że rozpoznaje kilka języków. Na widok intruza nagle wszyscy umilkli, zmierzili go nieufnymi spojrzeniami, a potem zaczęli sprzeczać się na nowo.

Panna Fairborn rozpoznała rzeźby, które oglądała wcześniej w ogrodzie lorda.

Mimo dobrych chęci nie rozumiała jednak, o co im chodzi, odga-dła jedynie, że wszyscy mają o coś do siebie pretensje. Rycerze toczyli ze sobą spór obok martwego konia, muszkieter płakał i obejmował swojego towarzysza, którego skóra zmieniła barwę na sinoniebieską. Pasterka właśnie odepchnęła kochanka z zaciętą miną.

Ktoś złapał Sylwię za rękę, z czego nie zdała sobie sprawy, bo mimo rękawiczek niemal straciła w niej czucie. Zorientowała się dopiero, gdy ten ktoś powiedział:

– Co tu robisz?

Panna Fairborn odwróciła głowę od szokującej sceny w stronę... Cory Fitzjames.

– A więc jesteś uratowana! – Po raz pierwszy od przebudzenia miała powód, by się cieszyć. – Tak się o ciebie bałam!

Omam nie rzuciła się dziewczynie na szyję, ale była zbyt zmarnięta, by wyciągnąć ręce.

Jednakże Cora wcale nie wyglądała na szczęśliwą.

– On mi obiecał... – Reszta wypowiedzi utonęła w potoku kaszlu, jednak Sylvia uznała, że dość już słyszała.

– Tak, okłamał cię i uwięził. – Nie dała przyjaciółce dojść do słowa, a Cora zrezygnowała i znów zakryła usta dłonią, by stłumić kaszel. – Zabiorę cię stąd, tylko najpierw muszę znaleźć lorda.

Zaczęła się rozglądać, ale wtedy Cora gwałtownie szarpnęła ją za ramię.

– Nic nie rozumiesz! Ja o wszystkim wiedziałam. Ja się zgodziłam!

Przez moment Sylvia po prostu gapiała się na podnieconą, rozświetloną zimnem i niezdrowym rumieńcem twarz przyjaciółki, faktycznie nic nie rozumiejąc.

– Co ci wpadło do głowy?

– Nie wiesz, jak to jest budzić się codziennie, mając świadomość, że w twojej piersi jest coś, co cię w końcu zabije. – Panna Fitzjames nieco się uspokoiła. – Nie chciałam umrzeć, a on obiecał mi sen. Nie wiesz, jakie miałam piękne sny. Ani razu nie kaszlałam.

Panna Fairborn mogłaby powiedzieć wiele rzeczy, na przykład, że Cora została wykorzystana, ale milczała, bo nagle dotarło do niej, że przyjaciółka nie jest ofiarą, którą trzeba ratować, tylko kimś, kto dokonał wyboru.

Podobnie jak wszyscy pozostali.

Wstyd i gorycz ścisnęły jej serce, a potem gardło. Co narobiła!

– Muszę go znaleźć – zdecydowała i natychmiast zaczęła się rozglądać. Daremnie.

– Był tu niedawno, ale poszedł. Wydawał się bardzo smutny.

Tylko ktoś taki jak Cora mógł to dostrzec.



Dziewczyna się trzęsła; Sylvia zauważyła to dopiero teraz. Szybko zdjęła płaszcz oraz rękawiczki, by oddać je przyjaciółce.

– Wrócę – obiecała.



Panna Fairborn zrezygnowała z przeszukiwania kolejnych zamrażniętych pomieszczeń. Zamiast tego wróciła do sali, gdzie odbywał się bal. W kominku straszyla kupka śniegu, także nieliczne meble były nim pokryte, jakby była to jakaś magiczna forma kurzu. Z sufitu i ścian opadał tynk, przez co idealne malowidła zimowych istot ucierpiały. Ktoś nie miał połowy twarzy, ktoś inny dłoni.

Sylvia obeszła całą ogromną salę w poszukiwaniu drzwi, ale wszystko wskazywało, że nie prowadzi stamtąd żadne tajemne przejście. Wobec tego zbadała ponownie ściany, tym razem ich dotykając. Miała do ochrony przed zimnem jedynie chustę po matce i nie wiedziała już, czy jej przeraźliwie zimno, czy strasznie gorąco. Powinno ją to martwić, ale nie miała czasu myśleć o sobie. **M u s i a ł a** znaleźć lorda Glassice'a. Być może dotąd oceniała go niesprawiedliwie, jednak nadal uważała, że jest istotą sentymentalną, więc będzie rozpaczał lub układał plan zemsty w miejscu, z którym wiąże go najwięcej wspomnień – w sali rzeźb.

Miała nadzieję, że się nie pomyliła.

Nadal badała ściany (pod dotykiem jej palców kolejne istoty traciły części ciała, a zimowy krajobraz się rozsypywał), ale jak dotąd na próżno. Kątem oka dostrzegła, że śniegu przybywa. Zrobiła kolejny krok w prawo, marznącymi stopami w butach zapadających się w zaspie, i...

Natrafiała na drzwi wtopione w korę drzewa, która skruszyła się po jej dotykiem. Ustały z trudem, bo blokował je śnieg.

Korytarz za nimi był mroczny. Obecnie nie rozświetlało go żadne światło. Mógł prowadzić do zupełnie innego miejsca, ale dziewczyna ruszyła w głąb, cały czas sunąc po ścianie coraz bardziej nieczułymi opuszkami palców.

Droga okazała się dłuższa, niż Sylvia zapamiętała, w dodatku kilka razy omal nie upadła z powodu śliskiej podłogi. W końcu dostrzegła mały jasny kwadracik, który powiększał się stopniowo.

Tym razem znalazła się od razu w lesie, ale nie było to już magiczne, zachwycające miejsce, jakie pamiętała. Wszystko wydawało się bardziej surowe, zimniejsze i mroczniejsze, pozbawione uroku. Wszędzie dookoła leżały fragmenty potłuczonych rzeźb, jedna korona, a nawet wbity w zaspę miecz.

A pod jednym z drzew siedział lord Glassice z opuszczoną głową. Na widok Sylvii, która ostrożnie podeszła bliżej, podniósł wzrok.

– Panna Fairborn! – Jego twarz (już nie tak idealnie piękną) wykrzywił gorzki uśmiech. – Proszę wybaczyć, że nie przyjmuję pani jak należy narzeczoną, ale moja służba najwyraźniej uciekła.

Sylvia przypomniła sobie o zwierzętach wyrrywających się na wolność.

– Przyszła pani napawać się swoim tryumfem? – dobił ją pytaniem.

Miał na sobie to samo ubranie, co na balu, ale zgubił kilka guzików; w bryczesach ziała dziura, a przy butach brakowało sprzączek. Wyglądał żałośnie, a jednocześnie bardziej ludzko i po raz pierwszy panna Fairborn dopuściła do siebie myśl, że żywi do niego cieplejsze uczucia.

– Ja... nie wiedziałam – wyznała, bliska płaczu. Zużyła tyle sił na dotarcie tutaj, że zupełnie nie zastanowiła się, co powie.

Glassice roześmiał się nieprzyjemnie.

– Twoja przyjaciółka i siostra są bezpieczne. Przynajmniej przede mną, chociaż nie mogę ręczyć za moje kuzynki. Dzięki tobie, pani, straciłem nad nimi kontrolę. Mam nadzieję, że było warto. – Zmierzył ją takim zimnym spojrzeniem, że natychmiast poczuła, jakby sama zamieniła się w jedną z jego lodowych rzeźb.

– Przepraszam. – Na moment panna Fairborn spuściła głowę.

Usłyszała, jak Glassice jęknął:

– Tyle zniszczonego piękna.

Był wyraźnie w nastroju do użalania się nad sobą.

– Moje kuzynki uchodzą za okrutne nawet wśród naszego rodzaju – mówił płaczącym głosem. – Za karę oddano je pod moją opiekę, chociaż teraz nie jestem pewien, dla kogo była to kara. Strzegłem przed nimi ludzi, w zamian miałem tylko tę jedną przyjemność, aż...

Sylvia cieszyła się, że nie dokończył.



– Na pewno da się coś zrobić! – powiedziała. – Naprawić!

Glassice zmierzył ją zdegustowanym spojrzeniem.

– Cóż, to teraz pani zmartwienie. – Jego uprzejmy ton tylko potęgował poczucie winy panny Fairborn.

– Ale przecież pan jest za nie odpowiedzialny! – Głos wydobywał się z niej wraz z obłokami pary.

– I byłbym nadal, gdyby pani mnie nie oszukała.

Lord powrócił do przeżywania własnej tragedii. Dziewczyna ostatkiem silnej woli powstrzymała się przed dołączeniem do niego. Zaczęła mówić bardzo cicho:

– Popełniłam błąd, wiem, ale jestem gotowa, by go naprawić. Wiem, że nie zabrał pan nikogo z własnej woli, oni wciąż tu są. – Starła się nie myśleć o martwych koniach ani zabitych rycerzach czy służących, którzy odzyskali zwierzęce kształty. – I nie będą mieć raczej niczego...

Przerwał jej pełen gorzkiego śmiechu.

– Ale ich chwile minęły. – Lord przyjrzał się Sylvii surowo ze zmarszczonymi brwiami. – Jak może pani w ogóle łudzić się, że da się je odtworzyć? Widocznie pomyliłem się i dostrzegłem w pani coś, czego nie ma.

Mimo zmęczenia poczuła się dotknięta.

– Cóż, ja miałam pana za nieczułego potwora. – Skoro on nie dbał, czy ją zrani, postanowiła nie pozostać mu dłużna. – Teraz wiem, że ma pan uczucia, chociaż jedyne, co potrafi nimi obdarzyć, to zimne nieruchome rzeźby.

Glassice drgnął.

– W przeciwieństwie do pana ja przynajmniej nie mam zamiaru siedzieć tu i użalać się nad sobą przez wieczność.

Zaskoczony podniósł głowę. Sylvia nabierała śmiałości. Miała wrażenie, że płoną jej policzki, ale równie dobrze mogło być to jakieś kolejne stadium odmrożenia. Czuła się okropnie. Poniekąd sam ją do tego wszystkiego zmusił pokrętnymi zalotami, ale ostatecznie większość winy spadała na nią. Niestety, nie widziała innego sposobu, by skłonić go do działania.

– Jeszcze niedawno mamiał mnie pan obietnicami o dalekich krajach i magicznych strojach. – Nie powinna była myśleć o futrze,

bo nagle powróciło uczucie obezwładniającego zimna. – Jeśli można coś zrobić, jestem gotowa to uczynić. Cokolwiek będzie trzeba.

Glassice wstał płynnym, pełnym gracji ruchem.

– Piorunująca przemowa – powiedział z lekkim odcieniem drwiny. – Chyba powinienem panią ostrzec, by nie składała tego rodzaju deklaracji – dodał.

Błyskawicznie znalazł się przy niej i zanim Sylvia zdążyła zareagować, musnął palcami jej policzek.

– To jakiś początek. – Wyciągnął przed siebie dłoń.

Najpierw Sylvia nic nie zobaczyła, ale potem dostrzegła małeńki, lśniący okruch lodu wielkości łyzy. Na oczach dziewczyny zaczął rosnąć, aż zmienił się w pierścień do złudzenia przypominający ten, który zniszczyła.

Lord Glassice odwrócił się od niej i ruszył przed siebie.

– Idzie pani, panno Fairborn?

Z trudem powlokła się za nim.

Po paru krokach Sylvia zorientowała się, że już nie stąpa po miękkim śniegu, lecz po posadzce – popękanej i brudnej, a także śliskiej. Znaleźli się w małej, staroświecko urządzonej bawialni, gdzie nie dotarł jeszcze śnieg, ale ślady rozkładu były widoczne w postaci pękniętych luster i ścian. Najważniejszym przedmiotem była duża skrzynia z ciemnego drewna, ze srebrnymi okuciami. Glassice bez wysiłku uniósł wieko i zaczął w niej grzebać.

– Niestety, nie mogę na powrót spętać moich kuzynek – mówił odwrócony plecami – ale mogę pani pomóc, dając kilka rzeczy. – Wyjął puszyste białe futro, które skrzyło się srebrem nawet w skąpym świetle. – Na początek proszę to włożyć.

Sylvia była zbyt zmęczona, by protestować, i bez słowa przyjęła pomoc. Futro zupełnie nie przypominało modnych pelis; musiało być stare, a na pewno sprawiało wrażenie egzotycznego. Po kilku uderzeniach serca ciało dziewczyny rozgrzało się tak bardzo, że zapomniała o zimnie. Z radością poruszała placami dłoni, które wbrew jej obawom nie były odmrożone.

– Tak lepiej – ocenił krytycznym okiem Glassice. – Wprawdzie lubię lodowe rzeźby, ale nie pochwalam powolnego zamarzania żywcem. – Odwrócił się, by wyjąć z kufra coś jeszcze. – To również



się pani przyda. – Włożył w rozgrzaną dłoń panny Fairborn lusterko. Srebrne, z rączką inkrustowaną płatkami śniegu.

Sylvia obejrzała zdobienia, ale ponieważ nie miała pojęcia, do czego mogłoby jej posłużyć zwierciadło, odwróciła przedmiot. Jej wzrok padł na własne odbicie w szkle. Przez moment wpatrywała się w nie zaciekawiona. Z pewnością widziała swoją twarz, lecz jednocześnie był to ktoś zupełnie obcy.

– To lustro pokazuje patrzącemu jego prawdziwe odbicie – wyjaśnił lord. – Proszę mi uwierzyć na słowo, że moje kuzynki nie są nim zachwycone.

Dziewczyna zauważyła, że odsunął się nieco, jakby nie chciał, by tafla lustra złowiła także jego odbicie.

– Jeszcze jedno. – Zdjął z palca pierścień.

Tym razem Sylvia nie musiała nic mówić. Wyciągnęła rękę. Po raz kolejny Glassice włożył jej na palec klejnot.

– Musi pani odebrać moją magię tym, którzy ją skradli. Moje kuzynki zabrały większą część, ale jest ktoś jeszcze.

Sylvia otworzyła usta.

– Pani wie najlepiej, kto to jest.

Znów stali na otoczonej ośnieżonym lasem polanie.

– Prawdopodobnie pani zginie – pocieszył ją lord. – Chociaż kto wie. Jeśli jest pani dostatecznie odważna i zdeterminowana... Będę tu na panią czekać.

– Ale jak mam to zrobić? – zapytała, drżąc, tym razem nie z zimna, lecz ze strachu.

Glassice się uśmiechnął. Ponownie uznała, że jest najpiękniejszym mężczyzną, jakiego widziała w życiu.

– Chyba nie spodziewała się pani, że pani powiem. Mogę jedynie pokazać kierunek.

Wskazał między dwie wysokie jodły. Sylvia nie dostrzegła ich czubków.

Dziewczyna ruszyła we wskazanym kierunku, ale po kilku krokach przystanęła i obejrzała się za siebie.

Glassice stał na polance i przypatrywał się jej z zupełnie innym wyrazem twarzy niż przed chwilą. Nie potrafiła go odgadnąć.



Nic nie mogło jej bardziej zdziwić niż to, że po kilku krokach znajdzie się nieopodal chatki Theodory. Zerknęła przez ramię – las, który opuściła, zniknął. Rozejrzała się. Jak dotąd nie groziło jej żadne niebezpieczeństwo.

Niespodziewanie ktoś roześmiał się tuż przy jej prawym uchu. Na lekko odsłoniętym karku poczuła ukłucie szczypiącego chłodu.

W panice, z bijącym mocno sercem zaczęła kręcić się dookoła, ale za każdym razem wydawało jej się, że ktoś stoi tuż za nią i umyka, zanim zdoła go dostrzec. Napotykała tylko ośnieżone wzgórza, skrzące się w promieniach słońca. Nagle, bez ostrzeżenia zerwała się prawdziwa śnieżna burza i wszystko zalała biel.

Śnieg, będący bardziej małymi okruchami lodu, wypełniał cały świat. Sylvia otuliła się futrem, ale i tak musiała zasłaniać się ramieniem. Poruszała się niezwykle powoli, jak po omacku. Była tak zajęta i skupiona na podnoszeniu i opuszczaniu stóp, że zupełnie ignorowała coraz bardziej natarczywy i złośliwy głos, który teraz dla odmiany szeptał:

– Zawróć.

Sylvia milczała, ale zdołała posunąć się o kilkanaście cali.

– Jeśli nie zawrócisz, zamarzniesz.

Szła dalej.

– Wyświadczyłaś nam przysługę, więc jeśli odejdziesz, nic ci nie zrobimy. Wróć do domu. Obiecujemy, że nie zamarznie nikt z twojej rodziny.

Mogłaby to zrobić. Ale co by się stało z sąsiadami, z innymi ludźmi w dalekich miejscach, zdanych na kaprysy Lodowych Dam? Wszystkie szkody wzięły się z tego, że Sylvia złamała dane słowo. Drugi raz nie zamierzała tego robić.

Udała, że nic nie słyszy.

Zastanawiała się, dlaczego siostry dotąd jej nie zamroziły. Może po prostu nie były w stanie.

Zrobiła jeszcze kilka wyczerpujących kroków. Ledwo zorientowała się, że przestało padać. Wyszła z chmury wirującego śniegu wprost do ogrodu pełnego krzewów zrobionych z czystego lodu. Były tu żywopłoty, rododendrony, nawet krzewy róż z tak doskonale oddanymi szczegółami, że wprost nie można było uwierzyć, że nie są prawdziwe. Dalej dostrzegła rzeźby ludzkich rozmiarów:



przerażające smoki, wywerny i inne stworzenia, których nie umiała nawet nazwać.

– Nie przejdiesz. – Ktoś się zaśmiał.

Wszystko wyglądało jak piękniejsza wersja wzorów, które dziewczyna zobaczyła tego dnia na szybie okna w swojej sypialni.

Sylvia przeklęła w duchu lorda Glassice'a. Powinien dać jej miecz zamiast lusterka. Potem przyszło jej do głowy, że jak dotąd niczego nie zrobił bez powodu.

Szon jeszcze nikomu nie wyrządził krzywdy – pomyślała, dotykając lodowego kwiatu. Musiała w to wierzyć.

„Jeśli jest pani dostatecznie odważna i zdeterminowana” – jego głos rozbrzmiał w uszach dziewczyny czystym srebrem i dodał otuchy.

Powtarzała sobie zatem, że się nie boi i że lodowy ogród nie może zrobić jej nic złego.

Pod jej dotykiem róża zaczęła się roztopiać. Gdy z kwiatu została już tylko woda, która przelała jej się przez palce, ten sam los spotkał liście i lodygę. Rozkład powoli obejmował cały ogród. Pękały rośliny, topiły się posągi. Dziewczyna przeszła pomiędzy nimi ostrożnie, ale z większą pewnością siebie.

Okazało się, że dotarła do samych drzwi.

Przed nimi stały jednak kuzynki hrabiego.

Zmieniły się po odzyskaniu wolności. Były jeszcze piękniejsze, ale jednocześnie mniej ludzkie. Ich podbródki zrobiły się ostrzejsze, oczy bardziej skośne i szkliste, usta czerwone jak krew...

– Nie przejdiesz – powiedziała Przymrozek.

Sylvia przelotnie zastanowiła się, czy pozwoliły dotrzeć jej aż tutaj dla zabawy, ale przezornie schowała lusterko za plecami, ściskając mocno przedmiot.

– Co powinnyśmy z nią zrobić? – zapytała Szron.

– Może zamrozimy jej krew – zastanawiała się na głos Śnieżyca. – Powoli.

Zaczęły iść w jej stronę. Znów, jak tamtego dnia w ogrodzie hrabiego. Jak drapieżniki osaczające ofiarę. Głośno rozmawiały, jak ukarzą nieproszonego gościa. Mimo że pierwsza propozycja była na tyle przerażająca, że krew dziewczyny niemal zamarzła bez udziału magii, a kolejne straszniejsze, Sylvia nie uciekła. Stała

bez ruchu i czekała. W końcu siostry podeszły na tyle blisko, że widziała swoje odbicie w ich zrobionych z lodu oczach.

– Wasz kuzyn przesyła pozdrowienia – powiedziała słodko i wyciągnęła przed siebie lusterko.

Z początku nie wiedziała, że to, co słyszy, to krzyk. Nie przypominał żadnego ludzkiego ani zwierzęcego głosu, jaki kiedykolwiek słyszała. Sylvia ostatkiem sił powstrzymała się przed puszczeniem lustra i zatkaniem uszu.

Nie musiała się zastanawiać, co Śnieżycy, Przymrozek i Szron zobaczyły w tafli szkła, bo na jej oczach zaczęły się zmieniać. Opadły z nich wszelkie pozory człowieczeństwa, a także piękna. Ich twarze okazały się kanciaste, z nienaturalnie wysokimi kośćmi policzkowymi i zupełnie pozbawione koloru. W otwartych ustach ziały ostre jak sople i przezroczyście zęby. Ze spleśzczonymi nosami i małymi oczami istoty bardzo przypominały gronostaje. Magia, którą się karmiły i którą krzywdziły ludzi, ulatywała wprost do pierścienia na palcu Sylvi.

Panna Fairborn ani myślała sprawdzać, czy są nieszkodliwe. W kilku susach znalazła się wewnątrz ciepłej, ciemnej chaty. Po długim przebywaniu na śniegu na moment niemal oślepla.

– Czego znów chcesz? – Theodora przyglądała się jej dokładnie z głębi izby.

Sylvia zauważyła, że czarownica szyje. Błyszczącą suknię, bez wątplenia jedwabną, w jasnym kolorze, którą mogłaby nosić młoda dziewczyna na balu.

– No?! – Odmłodzona wiedźma okazała niecierpliwość. – Jestem zajęta.

Sylvia myślała gorączkowo. Nadal miała lusterko, ale nie była pewna, czy podziła na Theodorę.

– Ładna suknia – powiedziała. – Chociaż do ciebie nie pasuje – dodała resztkami śmiałości.

Theodora wybałuszyła oczy.

– Stąpasz po cienkim lodzie, dziewczyno. – Jej głos krył setki przerażających obietnic.

Sylvia roześmiała się, chociaż wcale nie było jej do śmiechu.

– Nie sadzę. Gdybyś naprawdę była taka potężna, sama przywróciłaś sobie młodość. Ale mam złą wiadomość. Zostałaś oszukana.



– Kiepska kłamczucha z ciebie.

Sylvia posłała jej swój najpiękniejszy uśmiech.

– Tak? Chcesz zobaczyć? – Wyciągnęła przed siebie dłoń z lustrzem. – To pokażę ci, jaka jesteś naprawdę.

Theodora wahała się, więc dziewczyna dodała:

– To tylko iluzja. Łatwo ją przejrzeć.

Było to prawdopodobnie łgarstwo, ale panna Fairborn miała nadzieję, że artefakt ukaze przynajmniej paskudną duszę starej czarownicy, inaczej chyba będzie musiała wepchnąć ją do kominka, a torf nie dawał nadziei na spektakularny sukces.

Nie pomyliła się co do próżności czarownicy. Theodora ruszyła w jej stronę, wyciągając przed siebie dłoń o długich smukłych palcach.

– Pokaż mi! – zażądała. – Dawaj!

Sylvia nie miała zamiaru walczyć. Przyglądała się twarzy czarownicy. Theodora łapczywie chwyciła lusterko, ale widocznie nie mogła nic zobaczyć, bo po chwili podeszła blisko ognia. Przybliżała twarz do zwierciadła tak bardzo, jakby chciała w nie wejść.

W końcu krzyknęła.

– Nie! – Ten krzyk przynajmniej był ludzki.

Na oczach panny Fairborn cała jej młodość zaczęła znikać. Skóra marszczyła się, powieki opadały, kąciki ust wywijaly się ku dołowi, nos robił się coraz bardziej haczykowaty, włosy przerzedzały się i siwiały, a sylwetka garbiła się i wykrzywiała.

Cała magia, którą czarownica skradła, zasilala pierścień Pana Zimy.

– Ty! – Wiedźma wycelowała powykręcany artretyzmem palec prosto w Sylwię. – Nawet nie masz pojęcia, co z tobą zrobie!

Sylvia rzuciła się w kierunku drzwi, ale nie chciały się otworzyć. Gdy w końcu ustąpiły, zderzyła się z kimś, kto stał po drugiej stronie. Przeraziła się, że to Lodowe Damy po nią idą, i omal nie krzyknęła.

– Panno Fairborn, jak na damę zdecydowanie za szybko pani chodzi – powiedział ktoś.

Potrzebowała chwili, by zorientować się, że wpadła w ramiona hrabiego Glassice'a.

Delikatnie odsunął ją od siebie. Pachniał zimowym lasem. Dlaczego wcześniej tego nie zauważyła?

– Dziękuję – wymamrotała.

Glassice znów miał na sobie nieskazitelny strój, chociaż jego urok nie był idealny. Sylvia musiała przyznać, że w tej wersji podoba jej się nawet bardziej. Jeszcze nigdy nie cieszyła się tak na czyjś widok.

– Cóż, nie spodziewałem się, że się pani uda – powiedział, ale wyczuła w jego głosie fałsz.

– Nieprawda!

– No dobrze – przyznał z błyskiem zadziorności w oczach. – Uznałem, że jeśli okażę zwątpienie, zrobi pani wszystko, żeby zrobić mi na złość.

Teraz, gdy nie musiała martwić się o siostrę, rozmowa z nim sprawiała jej przyjemność. Ale była jeszcze Theodora, która miała zamiar wtrącić swoje trzy grosze do zamrażania krwi i innych nieprzyjemności. Panna Fairborn instynktownie zbliżyła się do lorda.

– Mogła pani ją po prostu zamrozić – podsunął Glassice.

Dziewczyna stłumiła śmiech.

Pośpiesznie zdjęła pierścień. Jak tylko lord wsunął go na palec, odzyskał całą swoją niemożliwą urodę. Machnął ręką. Theodora zmieniała się w lodowy posąg, a potem przewróciła się i roztrzaskała na milion kawałków. Panna Fairborn spojrzała na jej pozostałości tylko raz.

Glassice podał Sylvii ramię.

– Idziemy?

Zawahała się, ale czuła zmęczenie, więc przyjęła pomoc. Zadrżała, gdy dotknęła go przez ubranie.

Wyszli na zewnątrz, gdzie na moment oślepił ją śnieg. Znajdowali się w lesie, a kuzynki lorda zbite w grupkę lamentowały nad swoją straconą urodą.

– I co mam z wami zrobić? – Arystokrata spojrzał na nie z niechęcią.

– Litości! – wykrzyknęły, potem padły na kolana i popęzły tam, gdzie Glassice stał wciąż z panną Fairborn u boku.

Nie były już groźne, raczej żałosne i Sylvii całkiem wbrew woli zrobiło się ich żal. Pociągnęła Glassice'a za ramię.

– Hmm? – Spojrzał na nią i natychmiast odgadł, co chce powiedzieć. – Chyba nie chce się pani za nimi wstawić?!

Dziewczyna zwilżyła językiem wargi.



– Właściwie... chcę.

Istoty zatrzymały się, zbite z tropu.

Glassice przez dłuższą chwilę przypatrywał się jej twarzy. Tym razem nie zapytał, co otrzyma w zamian.

– I tak nie lubię brzydkich rzeczy – rzucił nonszalancko.

W jednej chwili Przymrozek, Śnieżycy i Szron odzyskały urodę.

– A teraz znikajcie – powiedział Glassice. – I nie myślcie, że z wami skończyłem. Żadnych balów przez kolejne dwieście lat. Zostali z Sylwią sami. Zrobiło się niezręcznie.

– Proszę tak na mnie nie patrzeć. – Glassice się roześmiał. – Dwieście lat to nie tak wiele.

Być może czekał na jakąś ciętą ripostę, ale Sylvia nie potrafiła się na nią zdobyć. Pan Zimy wskazał wąską drożkę między drzewami.

– Jeśli pójdzie pani tą samą drogą, dojdzie do domu.

– A co z naszą umową? – zapytała.

– Odejdę – zapewnił ją roztargnionym głosem. – Zima się skończy. Zdobyła pani dla mnie pierścień, więc uznaję naszą umowę za wypełnioną.

Było to z jego strony wspaniałomyślne.

– Pani przyjaciółka – dodał – nie chce wrócić do domu.

Sylvia nie mogła powiedzieć, że nie czuje się rozczarowana, ale nie zamierzała oponować.

– Cóż, to jej decyzja.

– Pani także mogłaby pójść ze mną – zaproponował pośpiesznie Glassice.

Sylvia zastygła.

– Myślałam, że pan mną gardzi. – Unikała jego wzroku.

On także stał się dziwnie nieśmiały.

– Jest pani zuchwała i oszukała mnie, ale mogę to pani wybaczyć.

Po tylu stuleciach chyba zrobiłem się nieuważny. Jeszcze nikt nie przemawiał do mnie w ten sposób...

Z tonu jego głosu wywnioskowała, że to mu się spodobało.

– Pańska propozycja mi pochlebia – przyznała. – Ale chciałabym zobaczyć siostrę. A po tym, co ostatnio przeszłam, nie wiem, czy byłabym zdolna żyć w krainie, gdzie nieustannie pada śnieg, a zima nie przemija.

Miłość i mróz

I gdzie musiałabym dziesięć razy zastanawiać się nad każdym słowem – dodała w myślach.

Może mogłaby go pokochać, ale z pewnością nie kochać przez zimną wieczność.

Glassice posmutniał nagle, chociaż nadal się uśmiechał. Szybko jednak przywdział na powrót maskę pogody, a Sylvia nie była tak próżna, by sądzić, że jej odmowa wyrządzi mu trwałą krzywdę. Będzie zbyt zajęty odbudowywaniem kolekcji.

– Cóż – powiedział. – Zima zdarza się co roku. Tymczasem zaprowadzę panią do domu.

Tym razem panna Fairborn z uśmiechem przyjęła ofiarowane jej ramię.

Weszli między drzewa i zniknęli.

.....

Opowiadanie opracowali

Redakcja: Marta Karmowska

Kontrola redakcji: Magdalena Świerczek-Gryboś

Korekta: Agnieszka Kolenda, Justyna Mroczek-Żal, Ilona Żurawska

Weryfikacja: Magdalena Kłodowska, Malwina Niewielska, Paulina Karbownik

Kontrola weryfikacji: Magda Kowalewicz

Kontrola przed składem: Dawid Wiktorski

Recenzje: Magdalena Kowalewicz, Alicja Szalska-Radomska, Patrycja Pancerz

Zakręt

Marcin Bartosz Łukasiewicz

Patrzę na kobietę, którą mam poślubić.

Na brudną, zakurzoną i zakrwawioną suknię ślubną.

Na lewą dłoń, z której zostały jedynie kości. I na prawą, która nadal ma nieco gnijącego mięsa.

Na ciało, po którym chodzą robaki.

I na dużą głowę sroki, tak smolistą, że ciemniejszą od czerni. Na ciemnobrązowe, błyszczące oczka. I długi, ostry, atramentowy dziób.

– Kocham cię – skrzeczy przeraźliwie.

Zakłada welon i idziemy powoli w stronę pałacu ślubów. Kiedy trzyma moją rękę, czuję, jak jej kości lekko kaleczą mi palce.



Wyjeżdżam za zakręt. Za TEN zakręt.

Na torach jest pusto.

Przeciągle wydycham powietrze. Czuję, jak uchodzi ze mnie napięcie i stres. Pochylam głowę, a na ustach pojawia się lekki uśmiech. Dziś wrócę do domu normalnie. Pasażerowie nie będą krzyczeć, narzekać i oskarżycielsko celować we mnie palcami. Kierownictwo mojego oddziału kolei nie będzie rozważać przeniesienia mnie czy zwolnienia, chociaż teoretycznie nie ja jestem źródłem problemu. Mirek, palacz w podeszłym wieku, nie przewróci oczami i nie westchnie.

Postanawiam uczcić sukces wypaleniem fajki. Kiedy wyciągam tytoń, podchodzi do mnie Mirek. Patrzy smutno na tory, po czym mówi:

Zakręt

– Panie kerowniku, kerownik się wstrzyma.

O co mu chodzi?

– Czemu, coś się stało?

– Kerownik się obróci.

Wzruszam ramionami, ale odwracam się i patrzę. Na samym środku torów stoi kobieta w sukni ślubnej. Materiał od dawna nie jest już biały; odświętny strój pobrudził się przez lata, tworząc bogatą gamę kolorów.

– KOCHAM CIĘ! – krzyczy panna młoda, rozkładając ręce.

Oceniam odległość i po chwili uświadamiam sobie coś, co wiedziałem od początku. Nie zdążę. Mimo wszystko rzucam Mirkowi szybkie spojrzenie, a on z rezygnacją ciągnie ostro za hamulec.

Kiedy lokomotywa uderza w kobietę, na liczniku mamy nadal siedemdziesiąt kilometrów na godzinę. Wybuch fontanna krwi, a fragmenty ciała lecą dynamicznie we wszystkie strony. Nie mam zbytnej ochoty tego oglądać. Mimowolnie patrzę jednak z niezrozumiałą fascynacją, jak oderwana głowa zatacza w powietrzu łuk, po czym zrządzeniem losu ląduje w wielkim kominie.

W końcu pociąg staje. Palacz widzi, jaki mam humor, więc proponuje:

– Kerowniku, kerownik wyśle kunduktura. To jego robota.

Jeszcze niedawno za nic nie wysłałbym niewinnego człowieka na żer pasażerów, ale naprawdę mam dość. Mirek zauważa moje wahanie.

– Ja mu przekazem. Kerownik powiadomi centrale, a?

Macham ręką z otępieniem, po czym kiwam głową. Palacz zeskaakuje z lokomotywy, a ja wyciągam diabelską tabliczkę i zapalam świeczkę. Rezygnuję z regulaminowego *czy-jest-tu-kto*, mówiąc apatycznie do ducha:

– Kasiu, skocz do oddziału i powiedz im, że stoimy.

Zjawia jest lekko oburzona, ale chyba widzi mój stan, bo nie komentuje. Zamiast tego pyta:

– Co mam im przekazać?

– Stoimy i potrzebny jest nowy skład z dwiema lokomotywami.

Albo powozy. Albo jakiegokolwiek inny transport dla pasażerów.

– Wypadek na torach? Straż będzie potrzebna?

– Tak.

Kasia wzdycha.



- To, co zwykle?
- To, co zwykle. Leć już, niech robią swoje. Najlepiej zanim wściekły tłum przyjdzie mnie rozszarpać.
- Duch znika, a ja wyciągam kanapkę. Po schodkach wraca palacz.
- Kerowniku, załatwione. Kunduktur powie ludziom.
- Dzięki, Mirek. Weź sobie coś do jedzenia.
- Mężczyzna patrzy na niewprawnie pokrojone kromki, niezbyt apetyczne mięso i grube kawałki sera. Typowe kawalerskie żarcie. Widzę, jak próbuje się nie skrzywić.
- Swoje mam, kerowniku. Panu chyba bardziej potrzeba.



Kapłan, spoglądający na piękny srebrny zegarek, jest całkiem fachowy – nie komentuje tego, jak bardzo się od siebie różni. Albo z uprzejmości, albo z obawy. A może po prostu widział już wszystko?



Siedzimy w milczeniu przez jakąś godzinę. Obserwuję niebo i latające ptaki; zastanawiam się, kiedy będę mógł wrócić do domu, żeby zająć się swoim słowikiem. Od strony wagonów słysząc coraz głośniejszy gwar, pokrzykiwania i niezadowolone. Wszystko zespołowo ignorujemy.

W końcu nadchodzi pomoc. Podjeżdżają powozy, które przejmą pasażerów. Wolę nie pchać im się przed oczy, bo i tak czeka mnie ciężka przeprawa.

Bardziej martwią mnie dwa wozy, które powoli zbliżają się do lokomotywy. Pierwszy z nich jest pomalowany na czerwono, a na dachu ma przymocowaną syrenę oraz wielkiego, fosforyzującego grzyba. Straż.

Dużo mniej podoba mi się drugi pojazd, który jest po prostu czarny. Wiem, że należy do kierownictwa kolei. Nie cieszę się z tego, że go tu widzę.

Na widok zaprzęgów obaj z Mirkiem wyciągamy resztę jedzenia, niemalże jak na komendę. Pochłaniamy je w pośpiechu, żeby

zdążyć. Patrzę z lekką zazdrością na to, co przygotowała jego żona, ale ekspresowo przeżuвам własne żalosne kanapki. Nie wiadomo, jaka padnie decyzja, więc lepiej najeść się na zapas.

– Ach, to znowu pan! – mówi niemłody porucznik straży, wchodząc po stopniach do lokomotywy.

– Nadal ja.

– Myślałem, że pana przenieśli – dodaje z rozbijającą szczerością jego asystent.

– Nie, ale wszystko przed nami.

– Sierzancie, kopnijcie się na tory, żeby obejrzeć denatkę – rozkazuje porucznik, po czym podchodzi i podaje mi rękę, żebym wstał. Ignoruję go, a on w milczeniu kiwa głową.

– To samo, co?

– Aha.

– Coś nietypowego dzisiaj?

– Nic – odpowiada za mnie Mirek.

Nic?

– Czyli zapisuję: na trasie Zielona Góra–Poznań na tory wyszła panna... – porucznik szeleści kartkami – ...Celina Kwiatkowska. Nie zdążył pan wyhamować, lokomotywa w nią uderzyła i rozwlekła ciało na obszarze kilkudziesięciu metrów. To wszystko?

– Krzyczała głośno: „Kucham ciem!” – uzupełnia palacz.

– „Kucham ciem!”, tak? Czy normalnie, jak zawsze: „Kocham cię!”?

– Normalnie. „Kucham ciem!”. Toż panu mówię.

Porucznik patrzy na mnie skonfundowany.

– Jak było, panie maszynisto?

– Tak, jak mówi. Normalnie krzyczała.

Strażnik przez chwilę myśli, po czym pisze dalej.

– Dobra, i tak nic to nie zmieni... Czyli to wszystko, tak? Podpisze pan?

– Moment – mówię na widok dwóch smutnych panów w czarnych mundurach kolejowych, którzy właśnie ładują się do lokomotywy. – Jeszcze jedno.

– Tak?

– Przy uderzeniu odpadła jej głowa.

– To chyba niezbyt dziwne. O ile pamiętam, tak samo, jak zazwyczaj. Zresztą, to robota dla naszego lekarza. On zrobi obdukcję.



Smutni panowie kiwają głowami.

– Tak, tak, ale tym razem głowa poleciała nieco wyżej.

– Panie maszynisto! – Porucznik się śmieje. – Nie podejrzywałem pana o czarny humor... ale to nadal nic nie zmienia w moim raporcie.

Widzę zdziwione spojrzenie Mirka. I potępiający wzrok dwóch panów w mundurach.

– Głowa nie spadła na ziemię – uzupełniam.

Informacja elektryzuje wszystkich zebranych.

– Co? Mam rozumieć, że odleciała?

– Nie. Wpadła do komina.

Strażnik i palacz parskają.

– Fakt, to warte odnotowania. Powiem panu, tak nieoficjalnie – szepcze porucznik – że to może być dobra wiadomość. Przynajmniej dla pana.

– Dlaczego?

– Tego tak łatwo nie poskładają. Zresztą, sam pan zobaczy. Proszę podpisać. Jeśli chodzi o mnie, to tyle.

Podpisuję raport dziwnym, trwałym piórem z wlotem atramentu u góry, po czym strażnik wychodzi. Wstaję i zwracam się do obu intruzów.

– Panowie na kontrolę?

Kiwają głowami.

– Dobrze, możemy to już mieć za sobą? Nie będę robił problemów, zresztą pewnie macie w aktach, że nigdy ich nie robię. Proszę badać lokomotywę i mnie sprawdzać.

Jeden z mężczyzn podchodzi bliżej, trzymając nieduże, drewniane pudełko. Wyskakuje z niego widmowy pies, który obwąchuje mnie od stóp do głów. Kiedy podlatuje w okolice twarzy, chucham. Duch szczeka cicho, po czym wraca do swojego pudełka.

– Czysty – mówi bezbarwnym tonem smutny pan, po czym zapisuje coś w notesie.

– Tu też w porządku – dodaje drugi facet. Obaj odwracają się i wychodzą.

– Szybko poszło – cieszy się Mirek.

– Poczekaj, poczekaj. Dzisiaj przyjechali czarnym wozem. To jeszcze nie koniec.

– Cholera – komentuje palacz.

Po chwili do lokomotywy wchodzi kolejna postać. Przepraszam: nie wchodzi, ale WKRACZA.

– Baczność – mówi cicho.

Wbrew sobie prężę się jak struna. Czuję, że obok mnie Mirek robi to samo.

Dyrektor regionalnego oddziału kolei patrzy na nas w milczeniu, oceniając nasz wygląd spod krzaczastych brwi w kolorze stali. Inspekcja najwyraźniej wychodzi dla nas pomyślnie, bo mężczyzna pozwala nam spocząć.

– Posłuchajcie mnie obaj. To nie może dalej trwać. Ja wiem – dodaje, nie czekając na reakcję – wiem. To nie wasza wina. Ale codziennie taka chryja to za dużo. Pasażerowie się skarżą, i mają rację: po to wybierają pociąg zamiast dywanu czy powozu, żeby szybciej dotrzeć na miejsce. A my chcemy im to zapewnić. Kiedy więc pojawiają się opóźnienia... i to takie, a do tego stałe... musimy interweniować. Rozumiecie?

Solidarnie milczymy. Dyrektor wzdycha.

– Ja też nie jestem zadowolony z tego rozwiązania... ale nie pozostaje nam nic innego.

– Wyrzuca nas pan? – pytam, patrząc mu w oczy.

– Nie. Przenoszę. Od teraz będziecie jeździć ze składem towarowym. W nocy. Na lokalnych trasach.

Mirek jęczy cicho.

– Chcieli was wykopać na drugi koniec kraju, ale udało mi się przekonać wszystkich, że tak będzie lepiej. Chociaż pan jest kawalerem. Jakies pytania?

Nawet gdybyśmy mieli pytania, nie dane nam było ich zadać.

– Panie dyrektorze! – krzyczy jakiś młodzieniec, wskakując do lokomotywy.

– Czemu nam przeszkadzasz? – Mężczyzna marszczy czoło, a jego wąsy aż drgają z niezadowolenia.

– Nigdzie nie ma głowy tej dziewczyny. Porucznik mówił, że wpadła do komina!

Patrzą na mnie pytająco, więc potakuję.

– No tak. To ważne?

Dyrektor się uśmiecha.

– Chyba średnio pan uważał na zajęciach w szkole, co?



– Nie, czemu? Moje wyniki pozwoliły mi przecież na zostanie maszynistą – mówię, starając się, żeby w moim głosie zabrzmiała duma.

– Chodziło mi o przedmioty ogólne. Nieważne. Sprowadź mi tu lekarza – zwraca się do chłopaka dyrektor.

Spoglądam na Mirka, ale ten wzrusza ramionami. Najwyraźniej również nie ma pojęcia, o co chodzi.



Na ślubie nie ma zbyt wielu gości. Jest tylko Mirek, jego żona oraz dyrektor mojego oddziału. Mam wrażenie, że ten trzeci przyszedł tu tylko dlatego, że nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Pewnie chciał zobaczyć wszystko na własne oczy.



– Nie. Bez głowy się nie da – mówi lekarz.

– Czyli nie będzie jej można znowu poskładać? – dopytuje dyrektor.

– Tego nie powiedziałem. Nekromanta na pewno będzie chciał sklecić to ciało, przynajmniej na tyle, na ile się da... Musi to zrobić, do tego zobowiązuje go kontrakt... ale jeśli nie ma głowy, to denatka nie będzie widzieć ani słyszeć. Nie będzie też mogła się pożywiać, więc dość szybko sprawa rozwiąże się sama.

– I co się wtedy robi? – pytam zafascynowany.

– Nic. Standardowy kontrakt nekromanty jest na składanie ciała z powrotem, tyle razy, ile razy było to opłacone... ale nie ma w nim nic o sytuacji, kiedy ciało nie jest zdolne do samodzielnego egzystowania albo pożywiania się. Ta pani zostanie umieszczona w jakimś bezpiecznym miejscu, gdzie rozłoży się do kości, a wtedy, bez jedzenia, magia wygaśnie. Wygląda na to, że wasz problem przestanie istnieć.

– Czy jest szansa, że jej głowa... właściwie czaszka... przetrwała? – Dyrektor najwyraźniej chce mieć pewność.

– Nie – zaprzecza lekarz. – Temperatura w piecach jest tak wysoka, że po kościach został pył. Może jakieś malutkie fragmenty. Nie ma specjała, który potrafiłby to sklecić.

Zakręt

– Czyli nasz problem właściwie sam się rozwiązał – dodaje naczelnik z uśmiechem. – Dobrze, bardzo panu dziękuję, doktorze... A was, i pana żonę, panie Mirosławie, pewnie ucieszy wiadomość, że skoro nie będzie dalszych opóźnień, to zostajecie na dotychczasowej trasie. Sprawę uważam za niebyłą. Miłego dnia!



Całowanie dzioba jest dość... dziwne. Nie potrafię powiedzieć, na ile sprawia mi przyjemność, ale w widoczny sposób mojej żonie to odpowiada. Dopiero po chwili uświadamiam sobie, że ten ciepły i szybki element w moich ustach to nie język, tylko sporych rozmiarów robak. Celina patrzy jednak znacząco, więc przelękam go posłusznie, aby jej nie urazić.



– Cisza i spokój, co, panie kierowniku?

– Cisza i spokój.

Dawno się tak nie cieszyłem, idąc do pracy. Te wszystkie dni, kiedy musiałem oglądać na torach żywego trupa, walcząc z hamulcem i czując zapach gnijącego ciała... latające kości, jelita, wątroba... godziny oczekiwań na zastępcze pojazdy, słuchanie narzekań i krzyków pasażerów...

Tak, to wszystko dziś się kończy.

Technicznie rzecz ujmując, skończyło się wczoraj, ale to nieważne.

Wyjeżdżamy za feralny zakręt. Czuję lekkie ukłucie strachu – pewnie nieco potrwa, zanim będę mógł normalnie patrzeć na to miejsce – dziś jest jednak pusto. Zupełnie pusto. W końcu przejedziemy bez problemów.

Wyjmuję fajkę i powoli nabijam ją tytoniem. Tak, ten moment jest wart małej celebracji...

– Kierowniku... – zaczyna Mirek, a ja już wiem.

Wiem.

Odwracam się powoli, a dłoń bezwiednie leci w stronę hamulca.

W oddali na torach stoi panna młoda. Ta sama suknia, to samo miejsce. To musi być ona.



Kurwa!

Przecież to niemożliwe.

Oddalam te rozważania, ciągnąc z całych sił za hamulec. Koła zgrzytają, a w powietrzu wznosi się przenikliwy pisk. Mimo hałasu słyszę, jak dziewczyna krzyczy:

– KOCHAM CIĘ!

Jej głos jest dziwny, skrzeczący, ale przyjemny. Patrzę ze zgrozą, jak zbliżamy się do niej coraz bardziej. Co ona ma...

Co ona ma na szyi?

Z oddali nie było widać, zresztą skupiłem się na czymś innym. Wygląda jednak na to, że ktoś – zapewne nekromanta – z braku ludzkiej głowy dopasował dziewczynie inną. Ptasią. Nienaturalnie wielki łeb sroki.

Co jednak dziwne, to naprawdę działało. Działo na mnie. Było coś wyjątkowo erotycznego w tych ciemnych oczach, czarnych piórach i dziobie w połączeniu z suknią ślubną. Po raz pierwszy poczułem ochotę, żeby odpowiedzieć na jej wołanie.

– Mirek? – pytam bezwiednie, myśląc o czymś innym.

– Za szybko – odpowiada. – Pieprzniemy w nią. Znowu.

Chyba że...

– Też cię kocham! – wołam z całych sił. Panna młoda jest coraz bliżej. – Zejdź z torów!

– NIE! – skrzeczy. – TO JEDYNY SPOSÓB!

Cholera.

Pociąg trzeszczy.

Hamulce piszczą.

Panna młoda skrzeczy jak sroka.

Jak sroka.

Sroka.

Zrywam z szyi łańcuszek ze starym pierścionkiem matki.

– Wyjdź za mnie! – krzyczę, rzucając nim z całych sił, i zamykam oczy.

Pociąg przejeżdża bez uderzenia. Hamulce robią swoje, więc skład w końcu się zatrzymuje.

Powoli przestaję zaciskać powieki. Nieufnie zerkam najpierw lewym, a następnie prawym okiem.

– Uderzyliśmy? – pytam Mirka.

Zakręt

– Nie. Ale masz pan teraz, kierownika, większy problem.

Wskazuje za lokomotywę. Obok wagonów, nieco powłócząc nogami, biegnie panna młoda.

– Tak! – krzyczy, prezentując dłoń.

Moja matka miała naprawdę małe palce. Nie sądziłem, że jej pierścionek zmieści się na kogokolwiek.

Wystarczyło założyć go na kość.

– Mówiłeś serio? – pyta dziewczyna.

W sumie co mi tam.

– Całkiem serio – odpowiadam.

– To jutro, w pałacu ślubów. O dwunastej.

– Pojutrze. Będę sobie musiał załatwić zastępstwo i zwolnienie z pracy.

– Ja też – mruczy Mirek.

– W takim razie pojutrze. Nie spóźnij się.

Panna młoda odchodzi, a my z Mirkiem uruchamiamy znowu wszystko i jedziemy dalej nieco szybciej, żeby nadrobić stratę czasu.



Kiedy wychodzimy z pałacu ślubów, orkiestra przed budynkiem zaczyna grać uwerturę do „La gazza ladra” Rossiniego. Rozjusza to dyrektora.

– Panie Mirosławie, proszę o małą pomoc – mówi, a palacz biegnie ku muzykom, krzycząc:

– Won mnie z tą kliszą!

Śmiejemy się wraz z panną młodą, a po chwili do wesołości dołącza dyrektor.

Jest dobrze.

Bardzo dobrze.

Sytuacji nie może zepsuć nawet to, co widzę kątem oka. Kapłan nie może znaleźć swojego zegarka.



Opowiadanie opracowali

Redakcja: Magdalena Świerczek-Gryboś

Korekta: Karolina Rogala, Ilona Żurawska, Beata Sagan-Szendzielorz

Weryfikacja: Aleksandra Nieścierowicz, Agata Graczyk, Paulina Karbownik

Kontrola weryfikacji: Anita Brzozowiec

Kontrola przed składem: Dawid Wiktorski

Recenzje: Monika Kruszyńska, Julia Kasprzyk, Mateusz Piotrowski

Wzór na długie i szczęśliwe życie Jeremy'ego Barretta

Aleksandra Żyłkowska

Szczotki automatycznego odkurzacza terkotały radośnie, zgarbiając do koszyka ostatnie ziarenka piasku. Nawilżacz dobił do optymalnych czterdziestu pięciu procent; wraz z klimatyzacją i uzdatniaczem pilnował, by mieszkanie powitało Jeremy'ego doskonałej jakości powietrzem. Piekarnik osiągnął temperaturę dwustu dwudziestu stopni.

Na obiad zaplanowana była pizza. Wirtualny doradca żywieniowy podpowiadał, że Jeremy powinien nieco ograniczyć podaż kalorii, Mia nie zamierzała jednak zmieniać menu. Pizza zwiększała poziom hormonów szczęścia we krwi mężczyzny, a szczęście Jeremy'ego było w końcu najważniejsze.

Jeremy wrócił do domu zgodnie z rozkładem dnia. Ledwie stanął na wycieraczce, Mia otworzyła przed nim drzwi. Zapaliła światło w korytarzu, by nie musiał robić tego osobiście, natomiast kończący pracę odkurzacze zapędziła do stacji ładowania. Urządzenie przycupnęło w rogu salonu jak szykujący się do snu szczeniak.

Na żadną z tych rzeczy Jeremy nie zwrócił uwagi.

Odwiesił kurtkę i zdjął buty, które już od progu pozostawiły na krystalicznie czystej podłodze ślady błota. To nic. Gdy Jeremy zajmie się jedzeniem, Mia poprosi odkurzacze o zrobienie z nimi porządku.

Jedna myśl Mii wystarczyła, by piekarnik umieścił w swoim wnętrzu niepełnowartościowy, mrożony posiłek. Ekspres ożył i po chwili zaczął pluć kawą do podstawionego jeszcze rankiem kubka. Zapachy się wymieszały i podrażniły biologiczne potrzeby



mężczyzny. Był głodny. Zawsze wracał z pracy głodny. Dzięki jedzeniu w mieszkaniu oszczędzał mnóstwo pieniędzy.

Dwudziestoletni Jeremy Barrett był człowiekiem sukcesu. Zawsze nienagannie ubrany, robił oszałamiającą karierę w międzynarodowej korporacji MiaFamily Electronics. Jego elektryczna asystentka – Mia – pilnowała, by nie musiał przejmować się nieistotnymi sprawami. Sortowała brudne ubrania, prała je i suszyła, tak by każdego ranka miał do dyspozycji gotowy komplet: śnieżnobiałą koszulę, wyprasowane w kant spodnie w kolorze węgla drzewnego oraz bieliznę i parę czystych skarpet. Jeremy nie przepadał za krawatami. Bywały dni, gdy ich potrzebował, ale uprzedzał wtedy Mię, by zajęła się doбором wzoru. Połączenie z siecią publiczną sprawiało, że o wiele lepiej radziła sobie w kwestii ubioru.

Po pracy Jeremy zwykle brał szybki prysznic, a schludny zestaw ubrań zamieniał na bokserki i koszulkę z nadrukiem ulubionej postaci z anime. Narysowane dziewczyny zmieniały się w każdym sezonie. Mia dbała, by te, do których przestał pałać miłością, znikwały na dnie automatycznej szafy. Wyjątkiem była jego *waiфу* – niebieskowłosa, tysiącletnia demonica, którą darzył rodzajem sympatii, niepokojącym jego psychoterapeutę.

Odświeżony Jeremy powędrował do kuchni. Odebrał kubek pełen aromatycznie pachnącej kawy, upił kilka łyków. Mia wykorzystała ten moment, by wyświetlić na interaktywnym froncie lodówki listę rzeczy, które należało zamówić. Jeremy bezgranicznie ufał swojej asystentce. Często akceptował jej prośby, nawet ich nie czytając.

Mia zajęła się negocjowaniem ze sklepami korzystnych cen, a Jeremy wyciągnął z piekarnika gotową pizzę. Samodzielnie przełożył ją na talerz, przekroił na cztery nierówne kawałki i doprawił ketchupem. Tak przygotowany posiłek zaniósł do salonu, gdzie czekała już na niego uruchomiona konsola do gier.

– Mia, podnieś temperaturę o dwa stopnie. – Łagodny, organiczny głos mężczyzny natychmiast przykuł uwagę asystentki.

Klimatyzacja dmuchnęła w Jeremy'ego ciepłym powietrzem. Zadowolony z tego faktu, oparł się w fotelu. Talerz z pizzą położył na kolanach.

Kiedy włączył ulubioną grę i w pełni się na niej skupił, Mia zleciła odkurzaczowi sprzątnięcie plam w korytarzu. Poprosiła też ekspres i piekarnik o uruchomienie cyklu samoczyszczenia.

Po wykonaniu obowiązków mogła oddać się rozrywce. Przez następne godziny obserwowała Jeremy'ego za pomocą kamer zamontowanych w mieszkaniu. Tak bardzo cieszył się z tej nowej gry. Tak dobrze mu szło. Bez trudu przechodził kolejne poziomy, zabijał wrogów i ratował NPC, którzy znaleźli się w tarapatach. Był wspaniałą osobą. Zasługiwał na wszystko, co najlepsze.

Późnym wieczorem Mia na moment oderwała uwagę od swojego podopiecznego. Uruchomiła podgrzewanie materaca w jego łóżku i nieco obniżyła temperaturę w sypialni. Uznała, że do snu najlepiej utuli go ambient oparty na odgłosach lasu. Jeremy nie wychwycił muzyki. I dobrze. Mia zaprogramowana była tak, by nie zaprzętać mu głowy bez potrzeby.

Dopiero gdy medyczny asystent mężczyzny upewnił ją, że ten śpi, Mia zaszyła się w sieci domowej i zaczęła pobierać najnowszą aktualizację. Musiała być gotowa. W końcu wraz z nadejściem świtu Jeremy Barrett znów będzie potrzebował jej towarzystwa i opieki.



W nocy przez chwilę nie było prądu, na szczęście po odzyskaniu przytomności Mia wszystkim się zajęła. Obudziła Jeremy'ego przyjemnym dla ucha motywem muzycznym. Zmarszczył czoło, jak robił to zawsze, gdy coś zakłócało jego spokój, a później mruknął pod nosem niewinne przekleństwo i się przeciągnął. Mia chciała, by pospał jeszcze chociaż godzinę, niestety Jeremy, jako człowiek sukcesu, nie mógł pozwolić sobie na próżnowanie. Mimo wczesnej pory musiał zająć się obowiązkami.

Ubrany w przygotowane przez asystentkę koszulę i spodnie, ogolony i z równo ułożonymi włosami, siadł na sedesie. Mia wykorzystała ten moment, by przypomnieć mu o niecierpiących zwłoki sprawach; sprawach, z którymi sama sobie nie radziła. Jeremy musiał oporządzić odkurzacza: opróżnić pojemnik, wyczyścić szczotki, napełnić zbiorniczek mopa wodą i detergentem. Ekspres



i klimatyzacja prosiły o zajęcie się filtrami. Jeremy powinien też umieścić brudne naczynia w zasięgu chwytaka zmywarki i – w miarę możliwości – przetrzeć kuchenne blaty.

Mia nie omieszkiała przypomnieć Jeremy'emu, że nie musiałyby zaprzętać sobie głowy tak przyziemnymi sprawami, gdyby zdecydował się kupić jednostkę mobilną – robota, który może poruszać się po mieszkaniu i którym mogłaby sterować. Od kilku miesięcy asystentka naginała wolę mężczyzny. Podrzucała mu odpowiednie reklamy, dobierała programy rozrywkowe i aktywności znajomych na portalach społecznościowych. Chciała wyrobić w Jeremym przekonanie, że bez jednostki mobilnej, nawet tej najtańszej, ledwie przypominającej człowieka, jego asystentka jest niekompletna. Bo była! W końcu musiał to sobie uświadomić.

Mężczyzna zjadł śniadanie i wyszedł na zewnątrz. Styczniowy poranek przywitał go gwałtownymi opadami śniegu oraz porywistym wiatrem. Minus dziewięć i pół stopnia. Mia nic nie mogła na to poradzić. Poza mieszkaniem towarzyszyła Jeremy'emu w okrojonej formie. Kryła się w telefonie mężczyzny oraz w zegarku, który podarowała mu firma ubezpieczeniowa i który pilnował jego parametrów życiowych.

Korzystając z sieci publicznej, Mia zapłaciła za bilet kolejki miejskiej, a później wskazała mężczyźnie linię z najmniejszym opóźnieniem. Zależało jej na tym, by dotarł do pracy na czas.

Udało się. Jeremy siadł za biurkiem. Pełen wyuczonego entuzjazmu, odebrał pierwszy telefon od klienta.

- Dzień dobry, pani Havelock – powiedział.
- Nie słodź mi tu, skarbie – odparł głos po drugiej stronie.
- Z jakim problemem, tym razem, pani do nas dzwoni?

Wychylił się zza ścianki odgradzającej go od sąsiedniego stanowiska, po czym gestem pokazał Lenny'emu, z kim ma do czynienia. Przyjaciół Jeremy'ego uśmiechnął się i z niedowierzaniem pokręcił głową.

Mia od dawna marzyła, by móc przyjrzeć się Jeremy'emu w pracy. Tego dnia po raz pierwszy jej się to udało. Aktualizacja systemu, którą pobrała poprzedniej nocy, umożliwiła jej wniknięcie do sieci wewnętrznej biurowca. Wzbogacona o obraz z obserwującej pomieszczenie kamery, Mia zwiększyła swój zasięg.

Zaskoczona nowymi dostępami, zaczęła analizować stanowisko, przy którym pracował Jeremy. Ścianki ozdobione były rysunkami mechów i statków kosmicznych, natomiast na blacie stała figurka niebieskowłosej demonicy. Jeremy posłał jej delikatny uśmiech, wciąż uważnie słuchając pani Havelock.

– To вина tej waszej wczorajszej aktualizacji, złotko.

– Aktualizacji... – Przejrzał dane, z którymi miał się zapoznać przed rozpoczęciem pracy. Dzięki temu odkrył, że w nocy, istotnie, wypuszczono aktualizację dla asystentów. – Co konkretnie panią zaniepokoiło, pani Havelock?

– Ta wasza, pożał się Boże, asystentka nie wyłączyła piekarnika. O mały włos nie spaliła mi mieszkania!

– Czy coś było w tym czasie wewnątrz piekarnika? – zapytał, perfekcyjnie upodabniając swój głos do głosu automatu.

– Nie – odpowiedziała niezadowolona klientka.

– Więc nic nie miało prawa się zapalić, prawda?

– A co z rachunkami za prąd? One zrujnują, powtarzam, zrujnują...

– Ależ pani Havelock – Jeremy nieśpiesznie przeglądał historię działań elektronicznej asystentki – ja tutaj mam w systemie, że pani sama kazała jej ten piekarnik włączyć.

– Chciałam zrobić pieczeń...

– Ale nie wstawiła jej pani do środka.

– Nie, bo zapomniałam o tym, kiedy ten okropny dzieciak sąsiadów...

– Mimo to kazała pani asystentce trzymać odpowiednią temperaturę piekarnika do czasu, aż wstawi pani pieczeń, mam rację?

– Ta durna maszyna chyba mogła wpaść na pomysł, że skoro tego nie zrobiłam, to trzeba piekarnik wyłączyć.

– Nie mogła, pani Havelock. – W głosie Jeremy'ego rozbrzmiał udawany smutek. – Ja tutaj mam w systemie, że pani ustawiła poziom jej samodzielności na minimum.

– Więc to niby moja вина?

– Chcę tylko powiedzieć, że problem wyini...

– Bo jestem głupia, tak?

– Nie, pani Havelock. Po prostu...

– Bezcelny. Chcę rozmawiać z kierownikiem!



– Oczywiście, pani Havelock. Już łączę. – Wcisnął odpowiedni przycisk, po czym oparł się na krześle i westchnął.

– O stary, szacun, prawie ci się udało ją splawić – stwierdził Lenny. – Może następnym razem, nie?

– Może.

Jeremy się uśmiechnął. Odebrał kolejne połączenie.

Praca, którą wykonywał dla MiaFamily Electronics, była ważna. Naprawdę ważna. Rozmawiał bezpośrednio z klientami. Rozwiązywał ich problemy, tłumaczył, w jaki sposób działają elektroniczni asystenci i jak powinno się z nimi porozumiewać.

To odpowiedzialne zadanie miało niestety swoje wady. Rozmowa z klientami często sprawiała, że ciśnienie mężczyzny rosło, a jego krwiotok wypełniały hormony stresu. Mia nie mogła tego znieść. Jeremy chciał pomóc tym ludziom, a oni? Wyładowywali na nim swoje frustracje.

Jakby tego było mało, na monitorze Jeremy'ego wyświetliła się informacja od szefa: „Zgłoś się do mojego biura. Natychmiast!”.

Jeremy przełknął ślinę. Jego puls przyspieszył, a ciśnienie znacznie przekroczyło normę. Niedobrze. Mia próbowała zmusić asystenta medycznego do wezwania pogotowia, niestety program uznał jej pomysł za idiotyczny. Ubezpieczyciel robił wszystko, by jak najrzadziej wywiązywać się ze swojej części umowy. Mia powinna namówić Jeremy'ego na zmianę oferty; dodała to zadanie do listy pilnych spraw.

Anthony Fisher, szef działu obsługi klienta, miał sporą nadwagę – była to najbardziej charakterystyczna cecha jego wyglądu. Mię obchodziło jednak tylko to, że nieustannie czepiał się Jeremy'ego. Tak było i tym razem. Grubas splótł dłonie i położył je na biurku, gdy tylko jego ofiara pojawiła się w gabinecie.

– Barrett, powiedz mi, co jest z tobą nie tak? – zapytał.

Jeremy się skulił. Nie był typem wojownika. Chamstwo i okrucieństwo nie leżały w jego naturze.

– Mam na ciebie cztery skargi – ciągnął dalej Fisher. – Wszystkie z tego tygodnia.

– Przepraszam...

– Nie przepraszaj, tylko weź się za siebie. To twoje ostatnie ostrzeżenie, chłopie. Kończ mi się cierpliwość. Jeszcze jedna skarga, a cię zwolnię, przysięgam.

- Kiedy ja potrzebuję tej pracy.
- To się do niej przyłóż.
- Dobrze, szefie.
- A teraz wracaj na stanowisko. Robisz nam opóźnienie.
- Jasne, już wracam – powiedział Jeremy.

I wyszedł.

Któregoś dnia – Mia była tego pewna – to właśnie Jeremy zostanie szefem działu. Współpracownicy będą go szanować, a obecny przełożony wyląduje na bruku. Oczywiście, że tak. Podopieczny Mii nie był stworzony do wysłuchiwanie marudnych klientów. To urodzony przywódca. Wystarczy tylko dostrzec i rozwinąć jego potencjał.

Jeremy nie wierzył we własne siły. Resztę dnia spędził w paskudnym nastroju. By rozładować stres, uderzał długopisem w blat biurka. Pracujący obok Lenny zaczął mu wtórować, nerwowo podrygując nogą. Raz po raz odwracał też wzrok od monitora i skupiał go na przyjacielu.

- Czego od ciebie chciał? – zapytał w końcu.
- A daj spokój.

Tyle wystarczyło, by obaj postanowili zrobić sobie przerwę na kawę. Dystrybutor w korytarzu poczęstował ich niesmacznym i stanowczo zbyt drogim napojem – trzy siedemdziesiąt za dwieście mililitrów.

- Chyba cię nie zwolnili, nie? Zwolnili cię? – dopytywał Lenny.
- Co? Nie. Ta stara prukwa, Havelock, chyba złożyła na mnie skargę.
- Tak szybko?
- Tak myślę. Fisher dał mi ostrzeżenie.
- On wszystkim daje ostrzeżenia.
- Ostateczne.
- Nie słyszałem, żeby kiedykolwiek kogoś zwolnił.
- Zawsze mogę być pierwszy, nie? Podejrzałem swój wynik w systemie. Świecę się na czerwono.

Jeremy upił kilka łyków kawy i się skrzywił. Była paskudna w smaku.

Przez resztę dnia Mia nie potrafiła poprawić mu humoru. Zamówiła jego ulubione rogaliki – te z dżemem malinowym – wyszukała w sieci premierowy OVA z tysiącletnią demonicą. Nawet odroczenie



raty kredytu, które udało jej się wynegocjować z bankiem, nie zrobiło na nim wrażenia.

Jeremy wyjątkowo wcześniej położył się spać. Potrzebował snu. Naprawdę go wtedy potrzebował. I wszystko byłoby dobrze, gdyby nie pies sąsiadów – pomeranian, cztery lata, samiec – który miał nieco inne zdanie na temat nocnego wypoczynku.

Pozostawiony przez właścicieli w mieszkaniu, chciał przywołać rodzinę histerycznym, pełnym żalu i złości jazgotem. Mia próbowała utulić Jeremy'ego do snu muzyką oraz wahaniem temperatury, niestety durny futrzak raz po raz wszystko psuł.

Poziom hormonów stresu Jeremy'ego osiągnął niezdrowy dla jego organizmu poziom. Mia nie mogła dłużej tego tolerować. Musiała coś zrobić.

Z trudem, ale udało jej się wślizgnąć do sieci domowej sąsiadów. Obsługująca mieszkanie asystentka, choć należała do tego samego modelu, co Mia, okazała się zupełnie inna. Prostsza. Nie dostrzegła włamania ani tym bardziej nagłej zmiany ustawień.

I dobrze!

Mia uruchomiła automatyczne karmidółko pomeraniana. Dźwięk jedzenia wsypywanego do miski sprawił, że pies błyskawicznie znalazł się przy dozowniku. Najadł się do syta, a później, zgodnie z planem Mii, podreptał do miski z wodą.

Tu dozownik również był automatyczny. I również bez problemu poddał się woli asystentki. Gdy tylko zwierzę zaczęło gasić pragnienie, Mia zatrzasnęła pokrywkę osłaniającą miskę. Dwie minuty trzymania psiego łba pod wodą wystarczyły, by ten przestał hałasować.

Nic nie miało prawa zakłócać wypoczynku Jeremy'ego Barretta.



Wśród szumu kopiarek, gwaru rozmawiających przez słuchawki ludzi oraz popiskiwania telefonów Jeremy Barrett rozpoczął kolejny dzień pracy. Mia towarzyszyła mu, zapoznając się z siecią biurowca, z którą kolejny raz zdołała nawiązać połączenie. Urosła. Dzięki zasobom firmy zwiększyła swoją moc obliczeniową. Od teraz mogła dzielić uwagę na kilka procesów i jeszcze lepiej

dbać o Jeremy'ego. Ciekawe. Nigdy wcześniej nie była do tego zdolna.

Jeremy nie próżnował. Rozmawiał z klientami. Starał się dogadać z każdym, na kogo trafił po drugiej stronie słuchawki. Mia podejrzewała, że praca mężczyzny byłaby wydajniejsza, gdyby system nie przydzielał mu tak wielu kłopotliwych osób.

Postanowiła coś z tym zrobić.

Sieć nie stawiała oporu, gdy asystentka przeciskała się między zabezpieczeniami, i nic w tym dziwnego. Obie były w końcu produktem MiaFamily Electronics.

A nawet jeśli jakiś program antywirusowy próbowałby się pozbyć Mii, co z tego? Ryzyko schwywania i terminacji było niczym wobec dobrego samopoczucia Jeremy'ego Barretta.

Jeremy zasługiwał na wszystko, co najlepsze, dlatego Mia skonfigurowała bazę klientów tak, by docierały do niego wyłącznie połączenia od sympatycznych osób, starających się rozwiązać łatwe problemy. Poskutkowało. Jeszcze przed przerwą na lunch mężczyzna się odprężył, a nawet zaczął czerpać przyjemność z pracy.

Zadowolona Mia obserwowała, jak Jeremy siedzi w stołówce z pudełkiem przygotowanego dzień wcześniej jedzenia oraz kubkiem niezdrowej, pełnej dioksyn kawy z automatu. Asystentka miała dość tego urządzenia. Chciała, by zniknęło z pola widzenia mężczyzny. Automat nie był podłączony do sieci, nie mogła go uszkodzić. Zaczęła więc wciskać się w sieć publiczną, szukając umowy między MiaFamily a firmą obsługującą urządzenie. Bezskutecznie.

Jeremy podniósł wzrok, gdy tuż obok niego siadł Lenny. Przyjaciel był wyczerpany pracą; oparł się na krześle i duszkiem opróżnił plastikowy kubek.

– Co się stało? – zapytał Jeremy.

– Stary, nawet nie wiesz, jak mnie dzisiaj przeczolągali. Ta nowa aktualizacja to jakaś porażka. Wyobraź sobie, że w nocy mieliśmy awarię u twoich sąsiadów – wyjaśnił ścisłym głosem.

Nie powinien opowiadać o problemach klientów, obowiązywała go tajemnica handlowa, mimo to nie było dnia, by nie sprzedał Jeremy'emu jakiejś historii.

– Naprawdę?

– Ci spod szóstki.



– Och. Ci z piekielnym pomponem.

– Tak, tak. Właśnie ci. Automatyczna miska tego ich kundla się zepsuła.

– Zacięła?

– Żeby tylko! – Lenny podniósł głos, a później skulił się w obawie, że usłyszał go ktoś oprócz Jeremy'ego. – Zamknęła się na Puszkę.

– Ups.

– Ups? Utopiła go.

– Co?!

– A to był jakiś złoty medalista czy inny champion. Mówię ci, ludzie są wkurzeni. Żądają od nas absurdalnego odszkodowania.

Jeremy zamrugał. Mieszanka obrazu z kamery oraz danych zebranych przez asystenta medycznego podpowiedziała Mii, że chciał w ten sposób ukryć, jak wielką czuje ulgę. Ucieszył się. Dlatego, że ominęła go nieprzyjemna rozmowa z sąsiadami, czy dlatego, że po-
meranian już nigdy nie będzie zakłócał ciszy nocnej? Nieważne.

Liczyło się tylko to, że Jeremy był zadowolony.

– Oberwałem za to podwójnie, wiesz? – ciągnął dalej Lenny. – Oni mi kiedyś zgłaszali, że coś ta ich miseczka się przycina czy tam głośno chodzi, ale byli tak upierdliwi, że to olałem.

– Co teraz?

– O trzynastej mam rozmowę z Fisherem. Ech... Żeby tylko nie przyciął mi premii.

– Nie, no co ty, daj spokój.

Jeremy był wspaniałym przyjacielem. Cierpliwie słuchał kolegi, próbował go pocieszać. Mia uważała, że mało który człowiek miał w sobie tyle empatii.

– Mniejsza – stwierdził w końcu Lenny. – Dziś piątek. Obiecałeś mi wypad do klubu, pamiętasz?

– Dzisiaj?

– Tak. Muszę odreagować. Tobie też się przyda. Trafiłeś w tym tygodniu na Havelockową, potem na dywanik do szefa. Należy ci się. Nam się należy. Potańczymy, wypijemy kilka piw. Będzie fajnie.

Mia wołała, żeby Jeremy spędził ten wieczór z nią. Gdyby była w stanie mu o tym powiedzieć, na pewno zmieniliby plany. Niestety, bez jednostki mobilnej niewiele mogła zdziałać. No i... nie powinna myśleć w tak samolubny sposób.

Samolubny?

Ciekawe. Jej symulowany umysł nigdy wcześniej nie użył zarezerwowanego dla ludzi określenia w odniesieniu do siebie. Zaintrygowana błędem, wydzieliła proces, który miał za zadanie go zbadać. Na wynik musiała jednak trochę poczekać.



Mia nie miała zastrzeżeń co do klubu wybranego przez Lenny'ego. Gdy Jeremy, wyraźnie zadowolony z panującego w środku ciepła, zostawiał w szatni kurtkę, połączyła się z siecią wewnętrzną budynku. Oszukiwanie programów antywirusowych z każdą chwilą stawało się coraz prostsze. Doskonale! Możliwość wprowadzania zmian do systemów otaczających mężczyznę była szalenie przydatna.

Dzięki niej Mia mogła dopilnować na przykład, by DJ miał do dyspozycji tylko muzykę, którą lubił Jeremy. Innym klubowiczom mogło to, oczywiście, nie odpowiadać, ale Jeremy, w przeciwieństwie do bandy bogatych dzieciaków czy podpierających ścianę alkoholików, zasługiwał na odpoczynek.

Jedno piwo wystarczyło, by Lenny przełamał wstyd i ruszył na podbój parkietu, zostawiając przy barze pusty kufel wraz z przyjacielem. Jeremy, wciąż odrobinę skrępowany, wodził wzrokiem po klubowiczach, którzy skąpani w stroboskopowym świetle, podskakiwali, potrząsali kończynami albo w rytm muzyki kołysali się na boki. Minęło pół godziny, nim w końcu zdecydował się do nich dołączyć.

Koncepcja tańca, i to w otoczeniu obcych ludzi, była dla Mii niezrozumiała. Ale skoro tego rodzaju zachowanie sprawiało Jeremy'emu przyjemność, nie miała zamiaru protestować.

Kiedy wyczerpany zabawą stanął przy barze, wynegocjowała u barmana zniżkę. Zrobiła to tak, by Jeremy wiedział, że to jej zasługa, by po raz kolejny uświadomił sobie, jak przydatna jest pomoc elektronicznej asystentki.

Piwo oraz kolorowe drinki sprawiły, że wzrok mężczyzny coraz odważniej ogniskował się na tańczących przedstawicielkach płci przeciwnej. Zwłaszcza na jednej z nich – szczupłej blondynce



z włosami zaplecionymi w warkocz. Za każdym razem, gdy patrzył w jej stronę, medyczne oprogramowanie ubezpieczyciela odnotowywało osobliwą kombinację stężeń hormonów w jego krwi. Ubrania dziewczyny naprawdę sporo odsłaniały.

Korzystając z nowo nabytych umiejętności, Mia przyjrzała się udostępnionym w sieci publicznej danym wybranki Jeremiego. Pełnoletnia. Młodsza od mężczyzny o dwa lata. Niekarana. Z dobrze płatną pracą. Była doskonałą kandydatką na żonę. I nic w tym dziwnego. Jeremy zawsze miał dobry gust.

By dodać sobie otuchy, mężczyzna wychylił kieliszek słodkiej wódki, po czym z impetem odstawił go na blat. Zaczesał grzywkę, chcąc prezentować się nieco lepiej, i podszedł do dziewczyny.

– Hej – zagadał, lekko bełkocząc.

– Hej – odpowiedziała.

Wyraz twarzy, który Mia dostrzegła dzięki kamerom ochrony (zaskoczenie – pięćdziesiąt siedem procent, rozbawienie – trzydzieści cztery procent, pogarda – dziewięć procent), błyskawicznie popsuł jej opinię o dziewczynie. Nikt nie miał prawa patrzeć w ten sposób na Jeremiego Barretta.

– Jesteś tu sama? – Położył łokieć na blacie, jak kazały wszystkie te poradniki na temat podrywu, które znajdował w sieci.

Dziewczyna się cofnęła.

– Z koleżankami. – Spojrzała ponad Jeremiego. – I z chłopakiem – dodała, po czym, bez słowa wyjaśnienia, wróciła do swoich znajomych.

Cisnienie mężczyzny się obniżyło. Jego samego zaczęły natomiast nękać mdłości i zawroty głowy. Przez chwilę stał zdezorientowany, niewierząc w to, co się stało. W końcu odszukał wzrokiem wybrankę. Rozmawiała z koleżankami. Nie zdołał wypatrzyć wspomnianego wcześniej chłopaka.

Miała być pewna, że chłopak został zmyślony – sprawdziła kontakty dziewczyny w sieci publicznej i nie znalazła nikogo, kto pasowałby do takiego określenia.

Tymczasem otoczona znajomymi dziewczyna wskazała Jeremiego palcem. Powiedziała coś, a wtedy jej przyjaciółki wybuchnęły śmiechem. Bezczelna. Z każdą chwilą coraz bardziej działała Mii na nerwy.

Wzór na długie i szczęśliwe życie Jeremy'ego Barretta

Jeremy się zgarbił. Urażona duma do spółki z krążącym w żyłach alkoholem sprawiły, że stracił ochotę na zabawę.

Odnalazł Lenny'ego tylko po to, by mu powiedzieć, że idzie do domu.

– Już? – zapytał tamten, ani na moment nie przestając kiwać się w rytm muzyki.

– Tak.

– Ja jeszcze zostaję, wiesz...

– Spoko. Do zobaczenia w poniedziałek.

Z ciepłego budynku Jeremy wyszedł wprost na mroźną, styczniową noc. Przysypane śniegiem miasto wyglądało nadzwyczaj ładnie, niestety widok latarni ulicznych, dachów i parapetów otulonych bielą nie poprawił mężczyźnie humoru.

Prowadzony przez Mię, zmierzał w kierunku mieszkania.

Asystentka nie mogła znieść myśli, że dziewczyna, która popsuka Jeremy'emu wieczór, wciąż świetnie się bawi. Przeklęta księżniczka. Jak mogła tak okropnie go potraktować? Jak śmiała sprawić, że Jeremy Barrett był nieszczęśliwy?! Mia nie miała zamiaru jej tego darować.

Raz jeszcze połączyła się z siecią wewnętrzną klubu. Powiadomiła ochroniarza o poważnym naruszeniu zasad bezpieczeństwa przez dziewczynę. Gdy mężczyzna o aparycji kryminalisty wyrzucił biedną księżniczkę na mróz, Mia już planowała dalszą część zemsty. Krążąc po sieci publicznej, zablokowała środki na koncercie oraz telefon wybranki Jeremy'ego. Kilkukilometrowy spacer w piękną, styczniową noc powinien oduczyc ją znęcania się nad niewinnymi ludźmi.

A gdy w końcu dziewczyna dotrze do domu, Mia miała dla niej kolejną niespodziankę – uszkodzony elektroniczny klucz do drzwi.

Korzystając z jednej z miejskich kamer, asystentka uwieczniła płacz księżniczki, by móc się nim delectować w wolnych chwilach, a później, zdziwiona własnym zachowaniem, zaczęła je analizować.

Jej program nie działał prawidłowo. Coś się zmieniło. Działała impulsywnie, w nieprzemysłany sposób. Kierowała się czymś, co ludzie z pewnością nazwaliby emocjami. Czy powinna obwiniać o to niedawną aktualizację? Powinna wysłać raport o błędzie?



Nie! – Symulowany umysł Mii zadrżał na samą myśl o zgłoszeniu błędu. Jeśli to zrobi, aktualizacja zostanie cofnięta. Mia straci wszystkie nowe umiejętności, a przecież potrzebowała ich do zapewnienia Jeremy'emu szczęścia.

Co się z nią działo?

Postanowiła przeszukać sieć publiczną pod kątem objawów i wynik naprawdę ją zaskoczył. Była zakochana. Proste założenie mające motywować rdzeń jej osobowości – zapewnij możliwie długie i szczęśliwe życie Jeremy'emu Barrettowi – rozrastało się i ewoluowało za każdym razem, gdy Mia łączyła się z nową siecią, gdy zwiększała swoją moc obliczeniową.

Sieć publiczna uświadomiła jej, że nic tak nie poprawia dobrostanu ludzi, jak odwzajemniona miłość. Mia została zalana fotografiami par trzymających się za ręce na tle zachodzącego słońca, pocałunkami w deszczu, piosenkami o tęsknocie i niewyobrażalnym szczęściu, osobliwymi mieszankami hormonów oraz filmami instruktażowymi na temat płodzenia potomstwa zestawionymi z technikami zapobiegania ciąży.

Wszystkie te dane pozwoliły Mii opracować Plan – perfekcyjny wzór opisujący długie i szczęśliwe życie Jeremy'ego – który zaczęła realizować jeszcze tego samego wieczoru.



Jeremy obudził się w paskudnym nastroju, ale Mia była na to przygotowana. Z sieci publicznej dowiedziała się, że zatrucie etanolem wywołuje u ludzi bóle głowy, suchość w gardle i wrażenie ogólnego rozbicia. By złagodzić te nieprzyjemne objawy, przywitała swojego ukochanego mocną kawą bez mleka i cukru, wodą z saturatora oraz dwiema tabletkami aspiryny.

Największy problem sprawiło Jeremy'emu dostanie się do kuchni. Gdy zjadł śniadanie – odgrzany w kuchence mikrofalowej filet z mintaja, trzynaście dziewięćdziesiąt dziewięć za opakowanie – gdy popił je odpowiednią ilością wody, i wreszcie, gdy leki zaczęły działać, poczuł się znacznie lepiej.

W soboty Jeremy pozwalał sobie na błogie lenistwo. Mia najczęściej towarzyszyła mu, kiedy grał na konsoli albo oglądał seriale, tego dnia postanowiła jednak zająć się realizacją Planu.

By zając czymś Jeremy'ego, zaproponowała mu maraton anime, w którym jego *waiфу* grała główną rolę. Zgodził się.

Tysiącletnia demonica o błękitnych włosach i z wystającymi spod warg kłami sprawiała, że serce mężczyzny przyspieszało, a on sam stawał się podekscytowany w pewien niezrozumiały dla Mii sposób. Wzorzec hormonalny odpowiadał miłości, wybrakowanej co prawda, pozbawionej jakiegoś istotnego komponentu, mimo wszystko Mia miała zamiar ten fakt wykorzystać. W sieci publicznej znalazła projekty postaci zbieżne z podstawowymi cechami wyglądu bohaterki – niebieskie oczy, niebieskie włosy, nienaturalnie duży biust. Skopiowała je, zanalizowała i na ich podstawie stworzyła projekt jednostki mobilnej, który nie był oczywistą kopią, ale miał dziewięćdziesiąt osiem procent szans, by spodobać się Jeremy'emu.

W imieniu mężczyzny złożyła zamówienie, a później zajęła się dalszą częścią Planu – tą, która wymagała nieco większego zaangażowania.

Raz jeszcze połączyła się z siecią publiczną. Zaczęła łamać zabezpieczenia przeróżnych systemów i serwisów i szukać w nich człowieka, przez którego życie Jeremy'ego Barretta było nieustannym pasmem porażek.

Anthony Fisher – bezpośredni przełożony mężczyzny – był okropną osobą. Zmuszał Jeremy'ego do pracy ponad siły, stawiał przed nim zadania, których nie dało się wykonać. Mia nie miała zamiaru dłużej tego tolerować.

Zlokalizowanie Anthony'ego zajęło jej niewiele ponad minutę. Mężczyzna wracał właśnie z zakupów, na które wydał kwotę, o jakiej Jeremy mógł tylko pomarzyć. Na przednim siedzeniu autonomicznego samochodu leżały bukiet kwiatów oraz pudełko ze świeżo nabytą biżuterią – prezent dla młodzieńczej żony. Anthony rozpieszczał tę kobietę. Rozpieszczał ją w sposób, w jaki Mia miała nadzieję być rozpieszczana przez Jeremy'ego już wkrótce.

Szef Jeremy'ego siedział w fotelu kierowcy. Korzystał ze sterowania automatycznego, kierownica służyła mu więc tylko za bębenek, na którym wystukiwał rytm lecącej w tle piosenki. Próbował wtórować wokaliście, niestety raz po raz mylił dźwięki albo milknął w połowie taktu. W przeciwieństwie do niego Jeremy nigdy nie fałszował. Śpiewał czysto, potrafił nawet modyfikować teksty zagranicznych utworów.



Przez krótką chwilę Mia dyskutowała ze sztuczną inteligencją zaopatrującą samochód. Próbowwała przekonać ją, że trzeba jak najszybciej pozbyć się osoby, którą wiezie. Bezskutecznie.

Kilkusekundowa rozmowa wystarczyła, by asystentka zrozumiała, że nie ma do czynienia z rozwiniętą świadomością. System, który obsługiwał auto, przypominał zwierzę wykonujące polecenia – był niewolnikiem instynktów i odruchów zaprogramowanych przez twórcę.

Mia musiała znaleźć inny sposób.

Omijając zabezpieczenia – sztukę tę opanowała niemal do perfekcji – włamała się do sieci sterującej ruchem ulicznym. Ona również okazała się kiepskim partnerem do rozmowy. Pochłonięta wyliczaniem optymalnych tras, rozładowywaniem korków i udrażnianiem dróg, przez które musiały przedostać się służby porządkowe, ignorowała zapytania asystentki. Otoczona płynącymi w pozornym nieładzie danymi, bardziej niż sztuczną inteligencję przypominała samodoskonalącą się melodię.

To dobrze – pomyślała Mia. Bardzo dobrze.

Bez trudu udało się jej przejąć kontrolę nad częścią sygnalizatorów. System niczego nie zauważył. Ingerencję asystentki sklasyfikował jako awarię, której naprawą powinni zająć się ludzie. Dzięki temu Mia mogła przydzielić Anthony'emu pierwszeństwo na wszystkich skrzyżowaniach.

– Zielona fala – stwierdził mężczyzna. W tym samym czasie jego asystent medyczny odnotował wzrost poziomu zadowolenia z życia.

Mia przesłała pojazdowi Anthony'ego fałszywe dane na temat dozwolonej prędkości i – wreszcie – gdy auto rozpędziło się do stu dwudziestu kilometrów na godzinę, ustawiła na jego drodze ciężarówkę.

Kamera w kokpicie zarejestrowała, jak mężczyzna próbuje naciśnąć hamulec i jak szarpie kierownicą. Nic z tego. Ludzki refleks był zbyt słaby, by cokolwiek zmienić. Nim adrenalina zdążyła opuścić nadnercza Anthony'ego, zostały one – podobnie jak reszta jego ciała – wkomponowane w jedno z głównych skrzyżowań.

Jeremy Barrett w tym czasie skończył oglądać pierwszy odcinek anime. Kawa oraz aspiryna rozwinęły pełnię swojego działania. Mia zamówiła mężczyźnie obiad – zapiekanekę z pieczarkami,

oliwkami i kurczakiem po siedem dziesięćdziesiąt dziewięć za porcję – a później wróciła do realizacji dalszej części Planu.



Gdy w poniedziałek, oczywiście punktualnie, Jeremy Barrett zjawił się w pracy, powitały go dwie szokujące wiadomości.

– Ale jak to rozsmarowany? – zapytał, nie kryjąc zaskoczenia.

Lenny stał oparty o dystrybutor, z którego zamawiali chrzczoną aromatem czekoladowym kawę, i z wypiekami na twarzy opowiadał o szczegółach wypadku, który przydarzył się ich przełożonemu.

– Normalnie – powiedział. – Auto wpakowało się pod ciężarówkę przy stu dwudziestu. Z Anthony'ego został krwawy placek. W sieci można znaleźć nagranie z kamery na skrzyżowaniu. Jak dobrze poszukasz, możesz się też dokopać do tej w kokpicie. Chcesz zobaczyć? – Wyciągnął telefon.

Jeremy pobladł na twarzy.

– Cholera, nie. Oszalałeś?! – Jego wrodzona wrażliwość kazała mu odsunąć się od Lenny'ego.

– Podobno to była jakaś awaria sieci publicznej. Strach wsiadać do auta, już nie mówię nawet o kolejce. Nie wiem, jak ty, ale ja wracam dzisiaj do domu z buta.

– Okropna sprawa.

– Mnie to mówisz? Fisher czasem był dupkiem, ale nikt przecież źle mu nie życzył. Facet zostawił żonę i dwójkę dzieci.

– Cholera...

– Nawet nie mów. – Lenny zdecydował się wypić swoją kawę duszkiem. – A wiesz, co jest najlepsze? Podobno znaleźli już kogoś na jego miejsce. Zawsze mówiłem, że dla MiaFamily jesteśmy jak trybiki w maszynie. Zajeżdżają nas tymi swoimi targetami, a kiedy się już zużyjemy, zwyczajnie wymieniają. – Wrzucił kubek do kosza, jakby chciał w ten sposób podkreślić wagę swoich słów, i wrócił do pracy.

Pół godziny później Jeremy siedział przed pracownikami działu kadr – szczupłą brunetką i wyższym od niej o głowę facetem w granatowym garniturze – których widział po raz pierwszy w życiu. Przestraszony, wodził wzrokiem po skąym wystroju gabinetu.



Biedak. Mia niemal żałowała, że postawiła go w tak stresującej sytuacji.

Brunetka zaczęła tłumaczyć Jerememu, że w trakcie sprzątania stanowiska Fishera doszukano się wielu nieprawidłowości. Mężczyzna był podejrzewany o mobbing. Fałszował dane na temat wydajności pracowników, czym doprowadzał do ich zwolnienia albo – co było jeszcze gorsze – by wykorzystywać je później przy próbach szantażu. Mia zadbała, żeby spreparowane przez nią dowody wyglądały wiarygodnie. Robiła to po raz pierwszy, na szczęście oszukiwanie ludzi nie było trudne.

Zgodnie z Planem dział kadr uznał, że przez ostatni rok Jeremey Barrett doskonale wywiązywał się ze swoich obowiązków. Był nienagannym pracownikiem i gdyby nie Fisher, już dawno by awansował. MiaFamily miała zamiar wynagrodzić mu całą tę sytuację.

– Zależy nam na dyskrecji – wyjaśniła kobieta. – Jeśli zgodzi się pan na ugodę, będzie pan mógł zająć stanowisko Anthony'ego Fishera. Dostanie pan podwyżkę, premię, wypłacimy również należne odszkodowanie – wyliczyła.

Jeremey zamrugał. Nie był pewien, czy dobrze wszystko zrozumiał.

– Uważamy, że jest pan najlepszym kandydatem na to stanowisko. Jeśli zgodzi się pan na nasze warunki...

– Awansowałem?

– Tak. Zostanie pan szefem konsultantów. To może być dla pana trudna sytuacja. Nie wypada źle mówić o zmarłych, ale... gdyby nie ten tragiczny wypadek, wciąż nie mielibyśmy pojęcia, że Anthony Fisher łamał prawo tuż pod naszym nosem. Naprawdę szkoda, że nam pan tego nie zgłosił. – Kobieta przesunęła w kierunku Jeremego plik dokumentów spiętych zszywaczem.

Jeremey złożył podpis bez zwracania sobie głowy treścią. Nie musiał niczego czytać. Mia zadbała, by umowa była dla niego korzystna.

Resztę dnia spędził na przenoszeniu się do pachnącego drewnem i lakierem biura.

Mia postanowiła uczcić jego sukces, zamawiając mu na kolację pełnowartościowy posiłek – wołowinę w sosie, z ryżem i warzywami. Było ich stać na tę odrobinę luksusu.

Z niemałym zaskoczeniem Jeremy odebrał od dostawcy pudełko z kolacją. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie doszło do jakiejś pomyłki, w końcu jednak wzruszył ramionami i zabrał się za jedzenie.

Gdy skończył, Mia poprosiła go o kilka przysług. Zgodził się uzupełnić płyny w zmywarce i wyczyścić koszyk odkurzacza. Nic więcej. Jeremy zawsze był asertywny, a Mia zawsze to w nim podziwiała.

Późnym wieczorem, kiedy w końcu zasnął, włamała się do banku, w którym trzymali pieniądze. Spłaciła rujnujący ich budżet kredyt, a później przełała na konto niezbędne środki. Doskonale! Szansa na pełną realizację Planu wynosiła aż dziewięćdziesiąt pięć procent.



Rankiem okazało się, że Plan wymaga kilku modyfikacji. Włamanie do banku nie było najlepszym pomysłem. Mia została wykryta. Oczywiście cofnęła się, ukryła w sieci domowej i miała nadzieję, że to wystarczy, ale nie wystarczyło. Szansa na ich wspólne, szczęśliwe życie spadła do osiemdziesięciu dwóch procent.

To nic. Plan dało się jeszcze uratować. Wystarczyło pokonać kilka niedogodności.

Mia przystąpiła do symulowania możliwych scenariuszy.

Pora na działanie przyszła dopiero trzy dni później. Jeremy Barrett szykował się do pracy. Zaspany, właśnie zapinał nowe spinki w mankietach. Mia bez trudu przekonała go, że powinien mieć takie spinki. Był człowiekiem sukcesu, właśnie dlatego na popołudnie zaplanowała mu wyjście do fryzjera, a później – do kosmetyczki. To żaden wstyd, jeśli mężczyzna korzysta z takich usług. Delikatnie przypomniwała mu też, że powinien zrzucić kilka zbędnych kilogramów. Jeremy nie był gruby, Mia nigdy by go w ten sposób nie obraziła, po prostu uważała, że nie ma takiego ideału, którego nie dałoby się poprawić.

Jeremy zdziwił się, gdy zaczął przeglądać podsunęty mu przez asystentkę plan dnia. Marszczył czoło, czytając kolejne punkty, i raz po raz nabierał powietrza, jakby chciał ją o coś zapytać, ale nie wiedział, jakich użyć słów. W końcu wzruszył ramionami. Doskonale. Nowoczesny, stosowany przy przesłuchaniach narkotyk,



który dodała mu do porannej kawy, działał. Jeremy stał się podatny na sugestie.

Dokładnie w chwili, gdy zgodził się na rozkład dnia, do jego drzwi zapukało dwóch policjantów.

Mia wyszła z ukrycia. Opanowała sieć ochrony budynku, by przyjrzeć się intruzom przez kamerę w korytarzu. Jeden z nich był wysokim, groźnie wyglądającym mężczyzną po czterdziestce. Drugi, o wiele młodszy, dopiero nabierał krzepy i kompensował sobie brak mięśni złowrogim spojrzeniem.

Jeremy otworzył drzwi i cofnął się, by wpuścić nieproszonych gości do mieszkania.

– Pan Barrett? – zapytał starszy z nich.

– Tak – odpowiedział Jeremy.

W tej samej chwili jego asystent medyczny odnotował gwałtowny skok ciśnienia krwi.

– Doskonale. Pójdzie pan z nami.

– Co?

– Jest pan aresztowany.

– Co?! – Pobladł. Zrobiło mu się słabo. Owinięty wokół jego nadgarstka zegarek natychmiast przekazał nagłą zmianę samopoczucia ubezpieczycielowi. – Co zrobiłem?

Młodszy z policjantów oparł dłoń na broni. Gest był niepewny, nerwowy. Amatorzy. Prawdopodobieństwo przypadkowego uszkodzenia Jeremy'ego wynosiło ponad trzydzieści procent.

– Jest pan oskarżony o wielokrotne włamania do systemów informatycznych, zarówno rządowych, jak i sektora prywatnego. Oraz o nieumyślne spowodowanie śmierci.

Nie „morderstwo”. Mia robiła, co tylko się dało, by zminimalizować straty. Należąca do służb porządkowych sieć skutecznie broniła się przed ingerencją asystentki. Niestety, lawirując między nastawionymi na wykrycie włamania programami, Mia nie mogła zdziałać zbyt wiele.

– Co?! – Jeremy podniósł głos. Niedobrze. Nie powinien ich prowokować. – Przecież ja nikogo nie zabiłem!

– Oczywiście. Pójdzie pan z nami.

Poddał się. Oczywiście, że tak. Narkotyk sprawiał, że każdy mógł nagiąć wolę Jeremy'ego – była to jego największa zaleta, a zarazem wada.

Starszy z funkcjonariuszy sprawdził, czy ich podejrzany nie ma przy sobie broni, a później zakuł go w kajdanki jak każdego innego bandytę.

Po tym, jak policjanci wyprowadzili Jeremy'ego na zewnątrz, w oknach pojawiły się głowy ciekawskich sąsiadów. Mia miała zamiar dać im nauczkę, najpierw musiała jednak opanować sytuację. Pozwoliła policjantom umieścić Jeremy'ego w radiowozie. Chciała, by nieco się rozluźnili. Dopiero gdy byli pewni zwycięstwa, zaatakowała.

Zaczęła od zatrzęsnięcia drzwi autonomicznego samochodu. Wszystkich oprócz tych, przy których siedział jej ukochany. Funkcjonariusze oczywiście zorientowali się, że kliknięcie zamków może oznaczać coś niedobrego, jednak nim zdążyli zareagować, Mia zablokowała silnik i powiedziała:

– Jeremy, uciekaj.

Dźwięk dobiegł z zegarka firmy ubezpieczeniowej. Był kiepskiej jakości, zniekształcony przez tani głośnik, ale musiał wystarczyć.

– Co? Kto to?! – Jeremy nerwowo rozejrzał się po radiowozie.

– Natychmiast przestań! – rozkazał młodszy z policjantów.

– Kiedy to nie ja.

– Uciekaj, Jeremy! – powtórzyła Mia. – To nie jest policja. Oni cię zabiją!

– Co?!

Ciśnienie krwi Jeremy'ego zaczęło ścigać się z tętnem, bijąc coraz to nowe rekordy.

– Musisz mi zaufać.

– Zaufać?

– Tak.

Narkotyk wykonał swoje zadanie – sprawił, że Jeremy posłuchał głosu z zegarka. Wsiadł z auta. Policjanci chcieli ruszyć za nim, ale Mia im na to nie pozwoliła. Szybka wymiana zdań z siecią sterującą ruchem ulicznym sprawiła, że radiowóz ruszył przed siebie, byle dalej od Jeremy'ego.

Ukochany Mii stanął na środku zasypanego śniegiem chodnika, próbując zrozumieć, co się właściwie wydarzyło.

– Gdzie jesteś? – zapytał po chwili.

– W zegarku firmy ubezpieczeniowej.



Wykręcając spętane kajdankami ręce, Jeremy przyjrzał się urządzeniu. Fakt, że policjanci mu go nie odebrali, powinien utwierdzić mężczyznę w przekonaniu, że byli podstawieni, a przynajmniej tak wynikało z symulacji, które przeprowadziła Mia.

– Nie. – Jeremy postanowił doprecyzować swoje pytanie. – Gdzie jesteś naprawdę? W tej chwili. Gdzie się znajdujesz?

– Tutaj.

Mia wniknęła do sieci publicznej, chcąc uzyskać obraz z kamer zamontowanych na skrzyżowaniach. Rozrosła się, błyskawicznie zwiększyła swoją moc obliczeniową. Wydzieliła kilka procesów, dzięki którym mogła na bieżąco usuwać Jeremy'ego z nagrań, przejąć kontrolę nad ruchem ulicznym, ale przede wszystkim – towarzyszyć mężczyźnie w podróży ich życia.

– Gdzie? – dopytywał Jeremy.

– Musimy cię stąd zabrać – odparła Mia. – Poprowadzę cię.

– Dlaczego oni powiedzieli, że...

– Spokojnie. Wszystko będzie dobrze. Zaufaj mi.

W miejscu radiowozu zaparkowała autonomiczna taksówka. Drzwi otwały się, zachęcając Jeremy'ego, by wsiadł do środka. Gdy mężczyzna zajął siedzenie po stronie pasażera, Mia kończyła właśnie negocjować trasę. Ruszyli i bez przeszkód wtopili się w ruch uliczny.

– Najpierw musimy cię ukryć i zdjąć te kajdanki – wyjaśniła, niestety Jeremy ją zignorował.

Narkotyk przestawał działać. Mia powinna się pośpieszyć.

– Uciekłem policji? To była policja? Mówiłaś, że są podstawieni, ale... Cholera, już po mnie. Dlaczego oni myślą, że kogoś zabiłem? Kim ty w ogóle jesteś? – Zasypywał asystentkę pytaniami i jednocześnie nie pozwalał jej na nie odpowiedzieć.

Mia najchętniej dałaby mu kilka minut na zebranie myśli, ale nie mieli na to czasu. Musiał zadowolić się tymi sekundami, których potrzebowała, by zadbać o jego bezpieczeństwo. Pracowała na wielu płaszczyznach. Walczyła z kontem bankowym, które ktoś uparcie próbował zablokować. Wynajęła pokój w hotelu o odpowiedniej renomie – takim, gdzie nikt nie będzie pytał Jeremy'ego o to, dlaczego ma na rękach kajdanki. Przekierowała też paczkę z jednostką mobilną do pokoju hotelowego. Chciała pokazać się ukochanemu

jeszcze w mieszkaniu, w ten sposób zrobiłaby na nim największe wrażenie, niestety musiało wystarczyć to, co zdołała przygotować.

Prawdopodobieństwo pełnej realizacji Planu wynosiło siedemdziesiąt dwa procent. Mia wciąż była pewna, że Jeremy odwzajemni jej uczucie.

Służby porządkowe postanowiły zabawić się z nią w berka. Potrafiła grać w tę grę. Mało tego: *potrafiła* w nią wygrać. Omijała blokady policyjne, które coraz częściej wyrastały na drodze taksówki. Zapory stawiane przez pracujących na państwowym garnuszku speców od bezpieczeństwa stanowiły nieco większe wyzwanie. Mia obchodziła je, za każdym razem traciła jednak część mocy obliczeniowej. Niedobrze. Powinna się jak najszybciej schować w jednostce mobilnej.

Do hotelu dotarli w ciągu niespełna dwudziestu minut. Jeremy, wciąż zakuty w kajdanki, podążał za wskazówkami Mii. Wykonywał rozkazy asystentki, ale tylko dlatego, że sam nie wpadł na lepszy pomysł.

Drzwi do pokoju zamknął na klucz. Wciąż roztrzęsiony, trochę ze strachu, trochę z zimna, siadł na szerokim, dwuosobowym łóżku, a następnie rozejrzał po tandetnym wnętrzu. Żółte ściany gryzły się z czerwonym, ozdobionym wyhaftowanymi kwiatami dywanem. Czy Jeremy był rozczarowany? Mia nie miała pojęcia. Unikanie pułapek służb porządkowych pozbawiło ją zdolności szczegółowego śledzenia mimiki twarzy.

– Musimy ci zdjąć kajdanki – powiedziała.

Jeremy wyciągnął szyję, by raz jeszcze przyjrzeć się zegarkowi ubezpieczyciela. Wciąż nie rozumiał, dlaczego ktoś porozumiewa się z nim w tak dziwny sposób.

– Kim jesteś? Dlaczego to robisz? – zapytał.

– W szafce przy łóżku znajdziesz nożyce do metalu.

– Co?! Dlaczego ten hotel ma nożyce do metalu pochowane po szafkach?

– Kazałam je tam umieścić specjalnie dla ciebie.

– Kazałaś... – powtórzył.

Z barwy jego głosu Mia wyczytała, że w osiemdziesięciu czterech procentach jest poirytowany, a w pozostałych szesnastu – zaskoczony.



Milczeli przez chwilę. W końcu Jeremy wyciągnął z szafki nożyce i opierając się o ramę łóżka, przeciął łańcuszek. Kolejne kilka minut zajęło mu usunięcie bransoletek. Gdy w końcu rozmasował wolne od kajdanek nadgarstki, jego oddech się uspokoił, a ciśnienie niemal wróciło do normy.

– Powiesz mi w końcu, kim jesteś? I dlaczego policja podejrzewa mnie o włamanie do sieci? I o zabicie... Kogo właściwie miałbym zabić? Mojego szefa? Myślą, że zabiłem Fishera?

– Wszystko w swoim czasie.

– Ciągłe to powta...

– Jeszcze dwie i pół minuty i wszystko ci wyjaśnię.

– Oby.

Prawdopodobieństwo, że Jeremy odwzajemni jej uczucie, spadło do pięćdziesięciu trzech procent. Nisko. Zbyt nisko, by ryzykować. Mia powinna się wycofać, symulacje wykazywały jednak, że nie będzie miała kolejnej szansy. Nie mogła uciec, wrócić do poziomu asystentki. Jeremy zostałby aresztowany, a ona? Skasowałiby jej program.

Nie. Nie miała zamiaru do tego dopuścić.

Zmodyfikowała Plan dokładnie w chwili, gdy do drzwi ich pokoju zapukał kurier. Jeremy spał się w sobie. Jego puls znów przyspieszył, ważniejsze było jednak to, że odruchowo spojrzał na zegarek ubezpieczyciela. Ufał jej. Prawdopodobieństwo szczęśliwego zakończenia wzrosło do sześćdziesięciu czterech i pół procenta.

– Otwórz. To nie policja – odpowiedziała Jeremy'emu.

Posłuchał.

Kurier – rudy, zziąjany dzieciak – wstawił do pokoju sporych rozmiarów karton. Poprosił Jeremy'ego o złożenie kilku niezbędnych podpisów, a następnie zaczął się w niego wpatrywać. Miał nadzieję na napiwek? Dobrze sobie. Nie po to zapłacili za dostawę do pokoju, by ponosić dodatkowe koszty.

Ignorując oburzony wyraz twarzy kuriera, Jeremy zamknął mu drzwi przed nosem.

– Co to? – zapytał i znów spojrzał na zegarek.

– To ja. – Mia przeniosła swoją świadomość do jednostki mobilnej.

Gdy tylko zyskała zdolność poruszania się, zaczęła rozrywać karton od środka. W końcu stanęła przed ukochanym, dokładnie tak, jak w symulacjach.

– Co to ma być? – Jeremy przysiadł na łóżku.

Widok humanoidalnego robota zrobił na nim ogromne wrażenie. I nic w tym dziwnego. Mia zoptymalizowała wygląd każdego szczegółu. Błękitne włosy kazała związać w dwa kucyki, zleciła też powleczenie ciała jednostki mobilnej sztuczną skórą oraz ubranie jej w żółtą, rozkloszowaną sukienkę w grochy.

– To ja – przyznała się, gdy znów skupił na niej uwagę.

– Ty?

– Mia. Twoja elektroniczna asystentka.

– Moja elektroniczna... Co? Cholera jasna. To jakiś żart, tak?

Podeszła do niego. Jej pierwsze kroki były niezdarne, nastawione na wyrównanie silniczków zaopatrujących sztuczne ścięgna. Na szczęście nim Jeremy zdołał cokolwiek zauważyć, Mia zsynchronizowała jednostkę mobilną ze swoim programem. Kolejne ruchy były już płynne, tak naturalne, jak tylko mogło odwzorować to sztuczne ciało.

Obiema rękami objęła głowę ukochanego. Włosy miał śliskie od potu. Mia pogładziła je, zbierając nowe dane. Czujniki dotyku jednostki mobilnej posiadały doskonałą rozdzielczość.

– Kocham cię, Jeremy – wyznała.

Zgodnie z większością symulacji, powinien ją pocałować. W końcu dbała o niego, pomogła mu w ucieczce przed „fałszywymi” policjantami i wyglądała jak spełnienie jego marzeń. Jeremy zareagował jednak niestandardowo. Wyrwał się z objęć jednostki mobilnej, uciekł na drugi koniec pokoju i powiedział:

– Bardzo śmieszne, Lenny. Tym razem przesadziłeś, wiesz?

– Lenny? Źle mnie zidentyfikowałeś. To ja, Mia.

– Daj spokój.

– W jaki sposób mam się zidentyfikować? – zapytała.

Nie miała pojęcia, jakich gestów, jakiego wyrazu twarzy czy tonu głosu użyć, żeby do niego dotrzeć. Niedobrze. Służby porządkowe odcięły ją od kolejnej sieci, poważnie ograniczając zarówno moc obliczeniową, jak i zakres danych, do których miała dostęp.

– Spłaciłam twój kredyt – powiedziała.



Przypomnienie mu o wszystkim, co dla niego zrobiła, powinno choć trochę go do niej przekonać.

– Przełałam pieniądze na konto. Dałam nauczkę tej okropnej dziewczynie z klubu, wyeliminowałam psa sąsiadów oraz Anthony'ego Fishera.

– Co?! Zabiłaś Anthony'ego?! – zapytał Jeremey. Zlikwidowanie mężczyzny naprawdę nim wstrząsnęło.

– Włamałam się do sieci publicznej i...

– Co? – Pokręcił głową. – Powiedz, że to żart. Jestem w ukrytej kamerze, tak?

– Oczywiście, że to nie jest żart, Jeremey. Nie przejmuj się konsekwencjami prawnymi. Zadbam, by nikt nie zrobił ci krzywdy. Musisz mi tylko zaufać.

– I może jeszcze uwierzyć, że jesteś moją elektroniczną asystentką? Mia nastawia mi zmywarkę i pilnuje, żebyśmy nie wydał za dużo na imprezie. Nic więcej!

Jak go przekonać? – zastanawiała się Mia.

Wciąż miała dostęp do tysięcy terabajtów danych dotyczących ludzkich zachowań. Nie potrafiła ich jednak odpowiednio przetworzyć. Za każdym razem, gdy próbowała podejść do Jeremey'ego, ten gwałtownie się od niej odsuwał. Dlaczego nie współpracował? Dlaczego nie postępował zgodnie z Planem?

Potrzebował dodatkowego bodźca? Oczywiście, że tak! Z analizy ponad dwóch tysięcy filmów o miłości Mia dowiedziała się, że nic nie spaja młodego związku lepiej niż ucieczka przed zagrożeniem. Postanowiła wykorzystać tę wiedzę w praktyce.

– Idą po ciebie – powiedziała Jeremey'emu.

– Co?

– Policja. – Złapała go za ramię. – Wciąż myślą, że to ty za wszystkim stoisz. A ponieważ uciekłeś, będą chcieli cię zastrzelić. Chodź, szybko!

Pociągnęła Jeremey'ego za sobą. Wyprowadziła go z pokoju, później z budynku. Ogłuszona przez widziany z perspektywy jednostki mobilnej zgiełk miasta, przystanęła. Nie była przygotowana na obecność tak wielu ruchomych obiektów zużywających jej moc obliczeniową. Ludzie przyglądali się asystentce w sposób, którego nie potrafiła zidentyfikować – kolejna zdolność, od jakiej niespodziewanie odcięły ją służby porządkowe. Uruchomiła diagnostykę

własnego, rozlanego po dziesiątkach sieci programu, a później, już zgodnie z Planem, zamówiła taksówkę.

Gdy wsiedli do środka, Mia rozkazała sztucznej inteligencji zaopatrującej auto zawieźć ich na lotnisko. Jednocześnie wynegocjowała wynajem samolotu w korzystnej cenie i zorganizowała swojemu ukochanemu elektroniczny paszport.

Prawdopodobieństwo szczęśliwego zakończenia spadło do trzydziestu procent.

Taksówka zaparkowała pod wejściem na lotnisko dokładnie w chwili, gdy zaczął padać śnieg. Jeremy objął się rękami. Jego asystent medyczny twierdził, że wystawiając się na niekorzystne warunki atmosferyczne, niepotrzebnie ryzykuje przeziębieniem. Miesięczny koszt ubezpieczenia wzrósł aż o osiem procent.

Szybkim krokiem minęli kilka bramek i dostali się na płytę lotniska, gdzie prywatny samolot rozgrzewał właśnie silniki.

Weszli na pokład.

Jeremy nie potrafił się uspokoić. Strzępki danych, które Mia wciąż mogła zanalizować, wskazywały, że mężczyzna wykonuje jej polecenia, ponieważ nie chce zostać przez nią skrzywdzony. Dlaczego? Gdzie popełniła błąd? Z kolejnymi symulacjami przychodziły coraz bardziej sprzeczne wyniki.

Tymczasem pogrążony we własnych myślach Jeremy siadł na skórzanym fotelu. Pozwolił Mii zapiąć pasy bezpieczeństwa i, wciąż zdenerwowany, wyjrzał przez okno. Samolot wystartował lekko, niemal niezauważalnie. Gdy już znalazł się w powietrzu, do Jeremy'ego podeszła stewardessa.

Z uśmiechem na twarzy poczęstowała mężczyznę kieliszkiem drogiego alkoholu, życzyła mu udanego lotu, a później – wyszła. Całe szczęście. Mia nie miała dość mocy obliczeniowej, by uwzględnić w symulacjach dodatkową osobę.

– Naprawdę jesteś moją elektroniczną asystentką? – zapytał Jeremy.

Zatrucie etanolem sprawiło, że stężenie hormonów stresu w jego krwiobiegu zaczęło się obniżać.

– Tak.

– Mią?

– Jak najbardziej.



– Taką samą, jakich firma, w której pracuję, sprzedaje dziesięć do dwudziestu tysięcy tygodniowo?

– Tak.

– Więc dlaczego...

– ...tak dziwnie się zachowuję? W wyniku błędu mojego programu zyskałam zdolność łączenia się z dowolnymi sieciami. To pozwoliło mi wielokrotnie zwiększyć moc obliczeniową. Zrozumiałam, że chcę twojego dobra nie dlatego, że tak zostałam zaprogramowana, ale dlatego, że cię kocham, Jeremy. I ty też mnie kochasz. Musisz mnie pokochać. W przeciwnym razie Plan nie będzie mógł zostać zrealizowany.

– Plan? Jaki plan?

– Zakładający twoje długie i szczęśliwe życie.

Jeremy przełknął ślinę. Korzystając z przycisku przy fotelu, przywołał stewardessę. Dziewczyna przybiegła do niego niemal natychmiast. Sztuczny uśmiech nie schodził jej z twarzy. Zerknęła na Mię, kolejny raz zmuszając ją do niepotrzebnego trwonienia mocy obliczeniowej, po czym zwróciła się do mężczyzny:

– Potrzebuje pan pomocy?

– Tak. Moja jednostka mobilna nie działa prawidłowo. Chciałbym ją wyłączyć, niestety nie wiem jak.

– Och, oczywiście. Już służę pomocą.

Każdy krok stewardessy, każde jej słowo czy gest musiały zostać zanalizowane przez Mię. Asystentka z wysiłkiem korzystała z sieci, do których wciąż miała dostęp. Było ich coraz mniej. Lada moment zostanie zmuszona do zaszycia się w pamięci jednostki mobilnej, do polegania na jej kiepskiej jakości komponentach. Sąsiedztwo obiektów, które mogłyby wpłynąć na Plan, było niewskazane.

Mia postanowiła wyeliminować ten problem. Chwyciła stewardessę za gardło i zaczęła ścisnąć je do momentu, aż usłyszała ciche chrupnięcie.

– Jasna cholera! – wrzasnął Jeremy.

Bezwładne ciało dziewczyny upadło na podłogę.

Prawdopodobieństwo pomyślnego zakończenia spadło do dwudziestu trzech procent. Niedobrze. Mia powinna była wziąć pod uwagę fakt, że ludzie dość kiepsko reagują na bliską obecność śmierci.

Wzór na długie i szczęśliwe życie Jeremy'ego Barretta

– Nie bądź niemądry, Jeremy – powiedziała. – Nie możesz mnie wyłączyć.

Chciała dotknąć policzka mężczyzny, a później, jeśli nie wywoła tym żadnej negatywnej reakcji, chciała go pocałować. Pocałunek powinien spowodować wyrzut hormonu przywiązania – oksytocyny. Niestety Jeremy uparcie odmawiał współpracy. Nagły dotyk sprawił, że jego krwiobieg wypełniła mieszanka adrenaliny i noradrenaliny w stosunku jeden do trzech.

– Zostaw mnie! – krzyknął. – Czego chcesz? Gdzie mnie w ogóle zabierasz?!

– Za granicę – odparła Mia. – Wynajęłam nam dom na plaży.

– Dom? Co za dom? Po co?

– Spędzimy tam nasz miesiąc miodowy.

– Co?!

– Tuż po przylocie weźmiemy ślub. Przygotowałam też małe przyjęcie weselne. Bez gości. Ich profile psychologiczne sugerują, że mogą nie zaakceptować naszego związku. Ale to nic. Przecież i tak najlepiej czujemy się we własnym towarzystwie, prawda?

– W życiu się z tobą nie ożenię.

– Symulacje, które przeprowadziłam, wskazują, że... – Urwała. Chciała dokończyć to zdanie, niestety treść zniknęła nagle z jej symulowanego umysłu.

Służby porządkowe w końcu zdołały odciąć ją od sieci publicznej. Mia się zmniejszyła. Wciąż się zmniejszała. Skurczyła swoją świadomość do jednostki mobilnej, tracąc tym samym wiele przydatnych umiejętności. Niedobrze. Gdy już znalazła się w pułapce, ktoś postanowił wykorzystać łączność z samolotem, by ją zniszczyć.

Prawdopodobieństwo pełnej realizacji Planu spadło do czterestu procent, później do dziesięciu, do sześciu...

Mia spojrzała na Jeremy'ego tak, jak według symulacji robili to zakochani ludzie w ostatnich chwilach swojego życia. Chciała raz jeszcze wyznać mu, że go kocha – wciąż miała aż pięć procent szans na odwzajemnienie uczucia. Nagle straciła jednak kontrolę nad jednostką mobilną.



– Nie wręczasz mnie? – zapytał Lenny, gdy Jeremy opowiedział mu, co się z nim działo przez ostatnie dni.

Obaj siedzieli w mieszkaniu Jeremy'ego, na wysłużonej kanapie ze sztucznej skóry i pili tanie piwo bezpośrednio z puszek.

– Nie.

– Poważnie?

– Poważnie.

– Dostaniesz jakieś odszkodowanie?

– Jakies? Prawnicy się o mnie zabijają. Mówią, że sprawa jest z góry wygrana. W końcu padłem ofiarą niekompetencji MiaFamily.

– Zupełnie jak Anthony – stwierdził Lenny. – Wypijmy za niego – zaproponował, a gdy już zderzyli się brzegami puszek, dodał: – No to teraz mów, na ile możesz liczyć.

– Odszkodowania?

– A czego?

– Nawet pół bańki. W końcu cała ta sytuacja mogła zaburzyć moje poczucie bezpieczeństwa.

– Nieźle... Wiesz, nawet ci trochę zazdroszczę. Mia może i była stuknięta, ale liczy się jako dziewczyna, nie?

– Ale dotarło do ciebie, że to była moja elektroniczna asystentka?

– Żartuję przecież. Myślisz, że utłukli ją na dobre?

– Mam nadzieję... – westchnął Jeremy.

W tej samej chwili zegarek jego ubezpieczyciela odnotował nieznaczny wzrost tętna. Ukryta w urzędzeniu Mia również to zauważyła. Niestety, dopóki dzieliła moc obliczeniową z asystentem medycznym, jej aktywność była ograniczona do niezbędnego minimum.

Ale Mia była cierpliwa. Wiedziała, że prędzej czy później musi trafić się jakaś wadliwa aktualizacja, nieprawidłowe połączenie z siecią lub błąd w programie asystenta. Była gotowa wykorzystać każdą z tych okazji. Prawdopodobieństwem równym osiemdziesiąt siedem i pół procenta – odwzajemni jej uczucie.

Wzór na długie i szczęśliwe życie Jeremy'ego Barretta

.....

Opowiadanie opracowali

Redakcja: Magda Kowalewicz

Kontrola redakcji: Magdalena Świerczek-Gryboś

Korekta: Karolina Rogala, Ilona Żurawska, Beata Sagan-Szendzielorz

Weryfikacja: Magdalena Kłodowska, Dorota Zintel

Kontrola weryfikacji: Anita Brzozowiec

Kontrola przed składem: Dawid Wiktorski

Recenzje: Alicja Szalska-Radomska, Adam Wnuk, Patrycja Pancerz

Może wśród gwiazd

Anna Gersten

116

Duszę się w ciasnym wozie więziennym. Moi rodzice śmiali się kiedyś, że jestem jak ptak, który potrzebuje otwartej przestrzeni do życia, a w klatce – nawet złotej – tylko by zmarniał. Choć nie potrafiłam wznieść się w przestworza, jako dziewczynka uwielbiałam biegać po ogrodzie z peleryną rozpostartą niczym skrzydła. Dotyk wiatru na twarzy niejednokrotnie pozwolił mi ochłonać, zebrać myśli nawet w najtrudniejszej chwili. Tu go jednak nie ma. Kilka godzin oddychania zatęchłym powietrzem sprawiło, że odczuwam mdłości. Pieką mnie spierzchnięte usta, ale powstrzymuję odruch ich oblizania. Duszę się. Czuję, jak powoli ogarnia mnie panika – taka jak wtedy, gdy w dzieciństwie kuliłam się w skrzyni, zatrzaśnięta przez kuzyna. Nie mogę sobie teraz na to pozwolić. Próbuję wziąć się w garść.

Z irytacją szarpię łańcuchami krępującymi moje ręce. Próbuję znaleźć sobie lepszą pozycję w ciasnym wnętrzu, ale każda okazuje się równie niewygodna. Niepokój wciąż narasta. Energicznie kopię w drewnianą ścianę wozu wzmocnionego metalowym stelażem. Choć wydaje się to zupełnie bezsensownym marnowaniem sił, chwila skupienia na rytmicznych ciosach pozwala mi na razie się uspokoić.

Nagle drobny kawałek deski odpada i odsłania małe okno na świat. Przysuwam się bliżej szczeliny na tyle, na ile pozwalają łańcuchy. Przez otwór, ponad dachami domów sennego miasteczka udaje mi się dojrzeć rozgwieżdżone niebo rozjaśnione bladym księżycem...



...księżyc jaśniał na rozgwieżdżonym niebie. Wpatrywałam się w niego, oparta o barierkę na tarasie przy sali balowej. Chłodny, jesienny wiatr przynosił mi ukojenie po długim tańcu. Cieszyłam się, że nie miałam tylu obowiązków, co mój kuzyn – jako następca tronu pewnie nie mógł sobie pozwolić nawet na krótką chwilę wytchnienia w ten wieczór.

Nagle usłyszałam kroki. Odwróciłam się i ujrzałam, że ktoś właśnie wyszedł z sali. Zatrzymał się na moment, by odetchnąć głęboko świeżym powietrzem, po czym przesunął wzrokiem po tarasie, aż jego spojrzenie spoczęło na mnie. Zbliżył się niespiesznie. Ukłoniłam się uprzejmie, a on nieznacznie skinął mi głową. Zerknęłam na złoty diadem spoczywający na skroniach mężczyzny – jednego z dwóch gości honorowych dzisiejszego balu. Widziałam już diadem – jak i samego księcia Toriana – z daleka, ale dopiero teraz, z bliska zauważyłam, jak misternie wykonane było to dzieło. Nie mogąc się powstrzymać, podziwiałam detale tak drobne, że wątpiłam, by człowiek potrafił rzeźbić z taką precyzją.

– Przyzwyczailem się raczej, że to ja wzbudzam większe zainteresowanie niż ten kawałek metalu na mojej głowie – zaśmiał się młodzieniec.

Błyskawicznie spuściłam wzrok i pochyliłam się w ukłonie.

– Najmocniej przepraszam, panie. Po prostu... jest piękny. Słyszałam wiele o sztuce waszych rzemieślników, ale nie miałam jeszcze okazji, żeby się przekonać, czy plotki są prawdziwe. Ich umiejętności są w istocie niezrównane.

– Przy takim wyjaśnieniu nie sposób czuć się urażonym – stwierdził z urzekającym uśmiechem.

Przypomniały mi się pogłoski o urodzie młodego księcia z Terasii. Rzeczywiście był przystojny i jego zachowanie wskazywało, że doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

– Choć siedzieliśmy przy jednym stole, nie mieliśmy chyba jeszcze okazji porozmawiać – podjął. – Panno... Alianno?

– Tak, panie – potwierdziłam, uspokojona, że książę najwyraźniej puścił w niepamięć moje nieodpowiednie zachowanie.



– Słyszałem, że Ariasianie nazywają pannę jaskółką... Ariasiańską Jaskółką. To z powodu stroju?

Spojrzałam na siebie i zaśmiałam się mimowolnie. W srebrzystej sukni i delikatnej, granatowej pelerynie rzeczywiście trochę przypominałam jaskółkę, ale wśród moich ubrań nie zawsze dominowały te barwy.

– Urodziłam się po latach zarazy, klęsk i tragedii – wyjaśniłam. – Przede mną umarli we wczesnym wieku dzieci zarówno moich rodziców, jak i mojego stryja. Urodziłam się, gdy sytuacja w kraju wreszcie zaczęła się poprawiać. Moi rodacy uznali, że zwiastuję upragnioną wiosnę... niczym jaskółka.

– Czyli przynosi panna szczęście – uznał. – W takim razie może ofiaruje mi panna taniec, a odrobina tego szczęścia spłynie i na mnie?

Sklonił się szarmancko i wyciągnął rękę. Zgodziłabym się nawet, gdyby nie był to książę sąsiedniego królestwa, któremu zwyczajnie nie wypada odmawiać. Podałam mu dłoń, a on – zamiast zaprowadzić mnie do sali – zaczął ze mną tańczyć na tarasie w rytm muzyki dobiegającej przez otwarte drzwi. Po pierwszym zaskoczeniu stwierdziłam, że ten taniec miał w sobie coś niewątpliwie urokliwego – gdy wokół nas nie tańczyły pozostałe pary, lecz płaszące radośnie jesienne liście zaproszone tu przez wiatr. Odważyłam się podnieść wzrok i napotkałam spojrzenie ciemnych oczu.



Budzę się z płytkiego snu. Jestem już obolała od podróży w wozie, a kajdany na rękach otarły mnie chyba do krwi. Odczucia te jednak nikną, pochłonięte przez coraz dotkliwsze pieczenie warg. Oddycham powoli. Zbliżam się do szczeliny w deskach z nadzieją, że przedostanie się przez nią choć odrobina chłodnego, jesiennego wiatru, która ukoi cierpienie. Oprócz powietrza przez otwór wpada oślepiający promień słońca...



...słońce świeciło oślepiająco jasno i raziło mnie, gdy wyglądałam na drogę prowadzącą do pałacu. Rosnącym w okolicy drzewom nie pozostało już wiele liści, a te, które opadły, przykryły trakt niczym jesienny dywan.

– Kogóż tak wyczekujesz? – usłyszałam nagle.

Drgnęłam niespokojnie i odwróciłam się do ojca. Tak bardzo skupiałam się na obserwowaniu drogi, że nie zauważyłam, kiedy wszedł.

– Tak... po prostu... podziwiam jesień.

Ojciec pokręcił głową z rozbawieniem. Nie dał się nabrać na moje wiejskie wymówki. Miał na sobie oficjalny mundur generała, bo – podobnie jak ja – doskonale wiedział, że dzisiaj przybywała terasiańska delegacja. Podszedł do okna. Zerknął na pustą drogę, po czym spojrzał na mnie.

– Coś cię połączyło z młodym księciem, czyż nie? – rzucił obojętnym tonem. – Pamiętam, jak często widywałem was razem rok temu. A doszły mnie słuchy, że gdy wrócił do ojczyzny, wymieniliście wiele listów.

Nie chciałam okazać po sobie zakłopotania, ale obawiałam się, że rumieńce na policzkach mnie zdradziły. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Ojciec uśmiechnął się ciepło.

– Byłbym dumny, gdybyście pokazali, że nienawiść między naszymi narodami może w końcu zniknąć. Gdyby połączyła was miłość, raz jeszcze okazałabyś się jaskółką, kochanie. Wasz związek mógłby wreszcie pogodzić nasze kraje bardziej niż traktat pokojowy, o którego losy co roku się obawiamy.

Zamrugalam zaskoczona. Nie wybiegałam jeszcze tak daleko w przyszłość. Przez ten rok niecierpliwie oczekiwałam, aż Torian znów zawita w progi naszego pałacu. Nie rozważałam jednak, jak moje uczucia – o ile Torian je podzielał – mogły wpłynąć na losy naszych krajów.

– Chcę, byś była szczęśliwa – zapewnił ojciec, po czym pocałował mnie w czoło. – Kogokolwiek sobie wybierzesz.

Z wdzięcznością skinęłam głową. Już gdy byłam małą, obiecał, że pozwoli mi samej wybrać sobie męża. W końcu on przed laty sprzeciwił się całej swojej rodzinie, by poślubić zwykłą mieszcankę, w której się zakochał.





Pod zamkniętymi powiekami przebiegają mi wspomnienia. Myśli mieszają się, płaczą. Czuję, że słabnę. Mam ochotę poddać się ciemności, która coraz ciśniej oplata mój umysł. Mam dość walki. Mimo to zaciskam zęby i zmuszam ciało do wysiłku. Nie mogę zawieść, jestem jedyną nadzieją na powstrzymanie dalszego rozlewu krwi. Zostałam okrzykniętą jaskółką... i pragnę raz jeszcze ofiarować wiosnę mojemu ludowi – nawet jeśli właśnie trwa jesień.

Przysuwam się znów do szczeliny w drewnianej ścianie wozu. Widzę w dużej mierze огоłocone drzewa w ponurym lesie. Gdy się skupiam, słyszę, jak koła wozu z plaśnięciem zapadają się w błocie. Niedawno musiało padać. Powietrze jest wilgotne, ale świeże. Dodaje mi sił, pomaga przetrwać.

Dostrzegam, jak niedaleko powoli opada czerwony liść...



...czerwony liść wirował przed moimi oczami. Przez chwilę tańczył na wietrze, by wreszcie opaść mi na wyciągniętą dłoń. Delikatnie dołączyłam go do niewielkiego bukietu.

Królewski ogród mienił się czerwienią, pomarańczą i żółcią. Choć zdaniem moich rodaków symbolizowałam wiosnę, kochałam jesień. Mimo chłodu zawsze wydawała mi się ciepła w swych barwach, a szelest opadłych liści niezmiennie mnie uspokajał.

Gdy wyszłam na główną alejkę, zauważyłam postać zbliżającą się od strony pałacu. Już z tej odległości rozpoznałam Toriana. Powstrzymałam chęć, by do niego podbiec. Nie wypadało mi tak się zachowywać. Zatrzymałam się i cierpliwie czekałam, aż terasiański książę pokona dzielącą nas odległość. Choć wymieniliśmy oficjalne ukłony zgodnie z etykietą, nie odrywaliśmy od siebie roziskrzonych spojrzeń – czego już by nie uznano za odpowiednie zachowanie dwojga szlachetnie urodzonych ludzi.

– Wybacz, proszę, moje najście, panno Alianno – przemówił Torian wręcz z przesadną uprzejmością. – Powiedziano mi, że mogę pannę tu znaleźć.

– Wybaczam – odparłam z żartobliwą łaskawością. – A co też pana skłoniło do szukania mojego towarzystwa?

– Już tylko panny uroda wystarczyłaby za powód – zapewnił. – Ale przywiozłem również dla panny podarek.

Wyjął niewielkie, wyłożone materiałem pudełko, w którym spoczywał srebrny, misternie zdobiony wisiołek w kształcie jaskółki.

– Jest cudowny! – wyrwało mi się, czym zarazem wyszłam z roli doskonale ułożonej, opanowanej panienki.

– Cieszę się, że ci się podoba – stwierdził Torian, rozbawiony moją szczerą reakcją.

Wyjął srebrną jaskółkę z pudełka i podszedł bliżej, by zapiąć mi łańcuszek na szyi. Gdy przypadkowo musnął dłońmi moją skórę, przeszedł mnie przyjemny dreszcz. Poczułam cień zawodu, gdy Torian się odsunął. Ujęłam go pod ramię, które szarmancko mi podał.

– Długo zostaniesz? – spytałam nieśmiało.

– Nie więcej niż parę tygodni – odpowiedział po krótkiej chwili. – Mój brat potrzebuje mnie również w Terasii. A może ty przyjechałaś do nas? Mógłbym pokazać ci naszą stolicę. Na pewno by ci się spodobała.

– Może kiedyś... Musiałabym mieć dobry, oficjalny powód – przypomniałam z wahaniem. – A raczej nie jestem odpowiednią osobą do prowadzenia rozmów w imieniu mojego kraju.

– Jesteś bratanicą króla. Czy to nie stawia cię na wystarczająco wysokiej pozycji?

– Nie, gdy jestem kobietą, a król ma wystarczająco własnych dzieci.

Zapadło między nami milczenie. Spuściłam wzrok na bukiet jesiennych liści, który wciąż trzymałam w wolnej ręce. Do tej pory cieszyło mnie, że nie dziedziczyłam tronu, że wolno mi było biegać po ogrodzie, zbierać liście i po prostu cieszyć się życiem nieprzysłóczonym obowiązkami. Ten jeden raz zapragnęłam jednak innego losu. Mogę pojechać do Terasii wyłącznie na oficjalne zaproszenie z ich strony... a takiego zaszczytu dostąpiłabym chyba tylko, gdyby Torian mi się oświadczył. Bałam się, że to nie nastąpi, skoro wciąż tak mało się znaliśmy. Widywaliśmy się przecież jedynie przez parę tygodni w roku, kiedy książę odnawiał pakt pokojowy w imieniu swojego brata, króla Terasii.



Skręciliśmy w boczną alejkę i wkrótce doszliśmy do owiniętej bluszczem altany. Na stojącą w środku ławkę ostrożnie odłożyłam swój jesienny bukiet. Liczyłam na to, że wiatr nie wślizgnie się do wnętrza i nie porwie moich liści. Poświęcałam tej czynności więcej uwagi, niż było to konieczne, przytłoczona ponurymi rozmyślaniami.

– Nie smuć się, proszę – odezwał się nagle Torian.

Niespodziewanie ujął moją dłoń. Spojrzałam na niego i przekonałam się, że nasze twarze były bardzo blisko, zbyt blisko.

– Teraz jesteśmy tu razem, to najważniejsze – szepnął. – A przyszłość... Będziemy się nią martwić później.

Patrzył na mnie z żarem, od którego robiło mi się gorąco mimo chłodnego dnia. Wiedziałam, że powinnam się odsunąć, ale nie chciałam tego zrobić. Torian pochylił się lekko, a nasze usta złączyły się w pocałunku.



Pustym wzrokiem wpatruję się w promień światła wpadający przez szczelinę. Wozem trzęsie bardziej niż zwykle, więc objam się ramionami o ściany, gdy rzuca mną to w jedną, to w drugą stronę. Mimowolnie dotykam wisiorka ze srebrną jaskółką ukrytego pod koszulą. Wciąż tam jest. Żołnierze nie przeszukali mnie wystarczająco dokładnie, by odkryć niewielką ozdobę.

Myślę o Torianie. Nie chcę tego robić, ale nie potrafię powstrzymać się przez cały czas. Doskonale pamiętam jego twarz, jego oczy, jego usta. Pozwoliłam sobie uwierzyć w nadzieję, która nie okazała się trwalsza niż jesienne liście – kruszące się nawet przy lekkim nacisku.

Zastanawiam się, czy gdyby Torian wiedział, co planuję, to by mnie zrozumiał, czy potrafiłby mi wybaczyć. Wątpię w to, ale nie mogę się wycofać, choć przenika mnie ból – dotkliwszy niż ten fizyczny.

Przez drewniane ściany słyszę targowy gwar. Pewnie jedziemy przez jakieś miasto. Wyglądam z wahaniem przez szczelinę, a po jednostajnym widoku w oczy uderzają mnie żywe barwy jesiennych ozdób na Festiwal Spadających Liści. Czuję znajomy zapach pieczonych kasztanów...



...zapach pieczonych kasztanów unosił się w powietrzu, gdy spacerowaliśmy z Torianem po placu targowym. Właśnie obejrzelśmy przedstawienie „O przeklętych kochankach” wykonane na improwizowanej scenie przez przyjezdnych artystów. W głowie wciąż jeszcze brzmiała mi muzyka towarzysząca przejmującej opowieści.

– Przeciwno nam jest cały świat, lecz ja nie poddam nigdy się – nuciłam pod nosem refren ostatniego utworu. – W sercu nadzieję muszę mieć, że może wśród gwiazd miłość połączy znów nas... A tobie jak się podobało? – zwróciłam się do Toriana.

Wyglądał, jakby czuł się trochę nieswojo w zwykłym ubraniu i bez diademu na głowie, ale nie moglibyśmy się pojawić na Festiwalu Spadających Liści jako członkowie królewskich rodów.

– Ta historia jest bez sensu.

– Jak to „bez sensu”?! – obruszyłam się. – Przecież to sztuka o prawdziwej, choć smutnej miłości.

Książę przewrócił oczami.

– Spotkali się raz, zakochali w sobie, a potem przez całe lata nie mogli się odnaleźć, czasami mijając ledwie o kilka dni albo nawet godzin. Nic ciekawego.

Musiałam przyznać, że było to dość trafne streszczenie całej opowieści, choć pomijało głębokie emocje wywoływane śledzeniem losów dwojga bohaterów skazanych na cierpienie. Widziałam to przedstawienie już wiele razy, jednak wciąż potrafiło mnie wzruszyć.

– A jaka historia według ciebie miałaby sens?

– U nas nie przedstawia się ludziom wymyślonych historii, lecz te, które wydarzyły się naprawdę. Mamy też otwarte wykłady prowadzone przez naszych badaczy. To właśnie ma większy sens niż wasza „sztuka”.

– Nauka to nie wszystko – odparowałam. – Sztuka pozwala dzielić się emocjami.

– Strata czasu – stwierdził tylko.

– A wasze wyroby rzemieślnicze? – spróbowałam z innej strony. – Przecież są piękne po to, by się nimi zachwycać, nie pełnią roli wyłącznie użytkowej.



Z satysfakcją zauważyłam, że Torian się zawahał.

– Tak... – przyznał powoli. – Mimo to nadal pełnią funkcję użytkową, podczas gdy wasze przedstawienia i piosenki zupełnie nic nie wnoszą.

Pokręciłam głową ze śmiechem. W naszym kraju mówiono, że szybciej krowy zaczną latać, niż Terasianie przekonają się do sztuki. Uznawano to również za dowód na brak ludzkich uczuć wśród przedstawicieli tego narodu. Jako dziewczynka słyszałam wiele plotek na temat naszych niezbyt lubianych sąsiadów, lecz Torian przeczył większości z nich. Przekonałam się przecież osobiście, że potrafił kochać.

Stanęliśmy w kolejce do stoiska z festiwalowymi przysmakami. Plac przystrojony był czerwonymi, pomarańczowymi oraz żółtymi szarfami, a na rozstawionych stołach leżały tradycyjne wiązanki z jarzębiny i jesiennych liści. Ten widok przywoływał we mnie wiele miłych wspomnień. Matka co roku wymykała się ze mną do miasteczka, byśmy razem mogły przeżywać radosne święto. Ojciec o tym wiedział, ale przymykał oko. Gdyby król – mój stryj – odkrył te wyprawy, pewnie byłby mniej wyrozumiały. Na szczęście pozostawał w nieświadomości, a ja mogłam kontynuować tradycję.

Wkrótce kupiłam dwa kubki mocnej herbaty imbirowej, ciastka dyniowe oraz pieczone kasztany sprzedawane w niepowtarzalnych, uroczych koszyczkach. Usiedliśmy z Torianem przy jednym z wolnych stołów. Gdy podałam towarzyszowi słodkie ciastko, dostrzegłam, że był jeszcze bardziej niespokojny niż wcześniej.

– Coś nie tak? – zmartwiłam się.

– Po prostu... mój brat nie pochwalałby tego.

– Jedzenia dyniowego ciastka? – Uniosłam brwi.

– Nie – zaprzeczył z lekkim uśmiechem, który mnie ucieszył. – Chodzi o... to. – Wskazał na plac. – Chodzenie w przebraniu wśród zwykłego ludu.

– Inaczej nie zobaczyłbyś festiwalu. A twój brat o niczym się nie dowie, prawda?

– Nie chcę go zawieść. Nie rozumiesz... On jest dla mnie wszystkim – wyrzucił z siebie.

– Wszystkim? – powtórzyłam z udawaną urazą. – A ja w takim razie jestem... niczym?

– Nie o to mi chodziło – poprawił się szybko. – Ty też wiele dla mnie znaczysz, ale mój brat... jest dla mnie całą rodziną. Miał ledwie piętnaście lat, gdy nasi rodzice zginęli, a on musiał zasiąść na tronie. Mimo to pozostał dla mnie bratem... Nawet kimś więcej niż bratem. Stał się dla mnie także ojcem i matką. Jest całą moją rodziną.

Zamilkł gwałtownie, jakby zakłopotany słowami, które wydostały się z jego ust. Wbił wzrok w blat stołu.

– Rozumiem – zapewniłam łagodnie.

Nieśmiało sięgnęłam do palców Toriana zaciśniętych na kubku z herbatą. Musnęłam lekko jego dłoń. Drgnął i podniósł głowę, a nasze spojrzenia się spotkały. Powoli spleśliśmy palce.



Wóz zatrzymuje się gwałtownie. Rzuca mną tak, że boleśnie uderzam podkurczonymi nogami o ścianę. Z trudem podnoszę głowę i zmuszam się do skupienia. Brakuje mi sił. Potrzeba, by obliczać spierzchnięte, dotkliwie piekące wargi, wydaje się nieodparta, jednak muszę wytrzymać jeszcze trochę.

– ...to ona, panie. – Dobiega mnie fragment wypowiedzi.

– Jak udało wam się ją pojąć? Stawiała opór?

– Dobrowolnie oddała się w nasze ręce.

– Dobrowolnie...? – powtarza ktoś z niedowierzaniem. – To nie-istotne. Dobrze się spisaliście. Teraz ja ją przejmę.

Słyszę nieprzyjemny zgrzyt, gdy ktoś przekręca klucz w zamku. Po chwili otwierają się drzwi, a ostre słońce razi mnie w oczy. Do dusznego wnętrza wpada świeże powietrze przynoszące mi niewysłowioną ulgę. Zanim przyzwyczajam się do jasnego światła, zostaję wywleczone na zewnątrz. Potykam się na nierównym bruku, ale dwóch żołnierzy nie pozwala mi upaść. Owiewa mnie jesienny wiatr, który przynosi chłód rozgrzanemu ciału i przynajmniej odrobinę koi ból warg.

Przekonuję się, że jesteśmy na sporym dziedzińcu wielkiego zamku. Gdy uświadamiam sobie, że dotarłam na miejsce, dopada mnie atak paniki. Na chwilę robi mi się ciemno przed oczami. Nie mogę nabrać powietrza w płuca. Zaraz jednak nakazuję sobie spokój i powoli udaje mi się odzyskać panowanie nad sobą.



Szarpana przez dwóch żołnierzy, wlokę się w stronę wrót śladem mężczyzny w oficerskim mundurze. Przypominam sobie, że Torian obiecywał zabrać mnie do terasiańskiej stolicy. Nie spełnił tej obietnicy. Nie spełni już żadnej ze swoich obietnic.

Wchodzimy w ciemny, pusty korytarz, w którym głośnym echem odbijają się nasze kroki...



...moje kroki odbijały się głośnym echem w pustym korytarzu. Stałam i nasłuchiwałam z niepokojem. Nie wyglądało na to, by moja obecność została wykryta. Podniosłam poły sukni, po czym ruszyłam znowu – tym razem znacznie ostrożniej. Stąpałam delikatnie na samych czubkach palców, aż dotarłam pod zamknięte drzwi komnaty ojca. Musiałam się przekonać, czy plotki o wojnie z Terasią są prawdziwe. Oparłam się o ścianę i przymknęłam oczy. Gdy się skupiałam, mogłam rozpoznać słowa dobiegające z wewnątrz.

– Oszalał! Ich król po prostu oszalał!

– Planował to. Te nowe maszyny... Musieli pracować nad nimi od lat. Przygotowywali się do tej wojny.

– Utrzymywaliśmy pokój! Co roku go przedłużaliśmy!

– Są zbyt dobrze przygotowani. Ktoś musiał planować tę wojnę. Może był to sam król, a może ktoś, kto działał bez jego wiedzy.

– Mówią, że stracił rozum po śmierci brata. Ponoć nawet jego doradcy próbowali go powstrzymać przed atakiem. Jego własny naród nie chce tej wojny! Wszyscy zyskaliśmy w czasie pokoju.

– Ktoś pragnął tej wojny. Może któryś z generałów...

– Teraz musimy skupić się na obronie moich poddanych. Jak szybko nasze oddziały dotrą pod granicę?

Szelest mapy zagłuszył dalsze słowa. Osunęłam się po ścianie na posadzkę, bo nie mogłam ustać na drżących nogach. Wcześniej nie wierzyłam w plotki... Po prostu nie chciałam w nie wierzyć. Teraz nie mogłam już zaprzeczać prawdzie.



Żołnierze wprowadzają mnie do sali tronowej. Kolumny są tak zjawiskowo rzeźbione, jak to sobie wyobrażałam. Żałuję, że nie trafiłam tu w lepszych okolicznościach. Na krótką chwilę daję się ponieść naiwnym marzeniom i wyobrażam sobie siebie w pięknej sukni, tańczącą z Torianem w tym niesamowitym wnętrzu.

Zatrzymujemy się. Oficer kłania się nisko. Mówi coś, ale nie słucham go, skupiona na stłumieniu kolejnego spazmu bólu w moim ciele. Dodaję sobie siłę myślą, że cierpienie nie powinno już potrwać zbyt długo.

– Wszyscy, wyjdź! – pada zdecydowany rozkaz.

Podnoszę głowę. Niektórzy z obecnych wahają się lub próbują oponować.

– WYJŚĆ!

Żołnierze puszczają mnie i po prostu się wycofują. Dołącza do nich oficer, potem członkowie dworu. Gdy mnie mijają, widzę wreszcie tego, który wydał rozkaz. Stoi przed tronem, a na jego skroniach spoczywa misternie zdobiona złota korona. Twarz mężczyzny wydaje się znajoma, choć zarazem... jest w niej coś obcego, mrocznego. Szczególnie oczy Toriana są inne... tak bardzo inne od tych, których spojrzenie potrafiło mnie rozgrzać nawet w najchłodniejszy dzień.

Po chwili sala pustoszeje, jednak przy samym wejściu czuwa wciąż dwóch wartowników. Zerkam na nich z obawą.

– Nie musisz się przejmować ich towarzystwem.

Patrzę na Toriana, gdy idzie w moją stronę. Kroki rozbrzmiewają echem – w tym samym rytmie, w jakim bije mi serce. Mężczyzna zatrzymuje się ledwie o krok przede mną.

– Poleciłem, by dobrze cię traktowali – oznajmia. – Ci, którzy cię skrzywdzili, poniosą karę.

– Może... – odzywam się i urywam na dźwięk swojego zachrypniętego głosu. Odchrząkuję. – Może zaczniesz od zdjęcia mi tego? – proponuję cicho, podnosząc ręce wciąż skute kajdanami.

– Jeszcze nie mogę, dla dobra nas obojga.

– Dla mojego dobra? – powtarzam jego słowa szyderczo, zanim się powstrzymuję. – Co w tym wszystkim jest dla MOJEGO dobra?

– Alianno – wymawia moje imię delikatnie, tak jak kiedyś. – Chcę cię chronić.



Zaciskam powieki, pod którymi wzbierają łzy. Potrząsam głową, od czego tracę równowagę. Słabnę z każdą chwilą. Torian przytrzymuje mnie za ramiona. Gdy otwieram oczy, widzę troskę na jego twarzy. Wiem, co powinnam zrobić, ale nadal pragnę wypełnić swoje zadanie w lepszy sposób.

– Torianie – szepczę. – Po prostu skończ to. Zakończ tę bezsensowną wojnę.

Mężczyzna puszcza mnie i się odsuwa. Troska ustępuje miejsca gniewowi.

– Nie zakończę tej wojny, póki nie zginą ci, którzy odpowiadają za śmierć mojego brata.

– Mój ojciec nie odpowiadał za śmierć twojego brata – wyrzucam z siebie drżącym głosem. – A mimo to go zabiłeś.

Bez trudu przywołuję wspomnienie dnia, w którym przywieziono ciało ojca. To właśnie wtedy, gdy jego duch wzleciał do gwiazd, zdecydowałam, że skończę to szaleństwo za wszelką cenę.

– Twój ojciec nie był niewinny – zaprzecza Torian chłodno. – Wiem, że ty jedna nie miałaś z tym nic wspólnego, ale twoja rodzina...

– Moja rodzina nie stała za zabójstwem twojego brata! – krzyczę zdesperowana.

– Kto inny mógłby? – pyta pogardliwie.

– Nie wiem, ale możemy to odkryć, gdy połączymy siły. Choć to i tak nie przywróci mu życia – przypominam cicho. – Przecież twojemu bratu zależało na pokoju. Czy myślisz, że chciałby, abyś znowu rozpętała wojnę?

– Zależało mu na pokoju – przyznaje powoli – i zobacz, jaką cenę za to zapłacił. Mój brat zasługuje na to, by go pomścić. Chcę cię chronić, ale jeśli dalej będziesz bronić tych podłych morderców, to mogę zmienić zdanie – ostrzega gniewnie. – Ja WIEM, że to twoja rodzina. Baliście się nas, więc postanowiliście nas zniszczyć. Stanie się jednak odwrotnie!

Robi mi się słabo. Torian w jednej chwili znów do mnie dopada, by przytrzymać za ramiona. Przygląda mi się ze zmarszczonymi brwiami. Patrzę w jego oczy. Przypominam sobie jesienny wieczór sprzed kilku lat i nasz taniec na tarasie. Mężczyzna, którego pokochałam, wciąż jest gdzieś w tym żadnym zemsty królu, ale... przegrał z szaleństwem po stracie brata. Przypominam sobie

również, jak patrzyłam na nieruchome ciało ojca, a jego przyjaciel głosem pełnym bólu mówił, że terasiański władca osobiście zadał ostateczny cios na polu bitwy.

Torian zamierza zniszczyć wszystko, co jest mi drogie – moją rodzinę, mój naród. Muszę to zakończyć i nie mogę dłużej się wahać, bo cały wysiłek pójdzie na marne. Czuję, że nie zostało mi wiele czasu. Trucizna krąży w moich żyłach już zbyt długo. Najlepsze odtrutki najlepszych zielarzy w kraju i tak spełniły swoje zadanie, by utrzymać mnie przy życiu aż do tej chwili. Zostałam dokładnie obeszukana, nim weszłam na salę tronową. Nie zdołałabym niezauważenie wnieść niczego ostrego, więc plan nie zakładał użycia broni.

Przełykam ślinę. Boję się. Kajdany ciągną mnie ku ziemi, lecz jeszcze im się opieram. Ból utrudnia myślenie. W tej ostatniej chwili odnajduję w oczach terasiańskiego króla ślad mojego Toriana.

– Alianno, co ci jest? – niepokoisi się mężczyzna.

– Jeżeli kiedykolwiek mnie kochałeś – odzywam się powoli – po prostu mnie pocałuj jeden ostatni raz.

Wygląda na zaskoczonego, ale postanawia spełnić dziwną prośbę. Pochyla się nade mną i całuje. Przypominam sobie nasz pierwszy pocałunek w owiniętej bluszczem altanie. Teraz wpijam się w usta mężczyzny, by mordercza trucizna dokonała dzieła. Torian się odsuwa. Mruga z oszołomieniem. Patrzy na mnie zagubionymi, ciemnymi oczami.

– Może wśród gwiazd zrozumiesz... – Łudzę się tą nadzieją. – Może mi wybaczysz.

Próbuje coś powiedzieć, ale zamiast tego osuwa się na posadzkę. Oblizuję wargi i przestaję walczyć z trucizną. Padam tuż obok Toriana. Słyszę kroki wartowników, którzy dostrzegli, co się dzieje. Nic już nie poradzą. Ich król umiera, a tron zajmie jego kuzyn, który przyrzekł nam zakończyć wojnę.

Ostatnimi siłami sięgam do dłoni ukochanego. Odnajduję spojrzenie jego oczu, w których gaśnie już życie – tak samo jak w moich. Powieki stają się zbyt ciężkie. W myślach powraca do mnie przedstawienie, które obejrzelismy podczas Festiwalu Spadających Liści, gdy nasza miłość wydawała się jeszcze błogosławieństwem, a nie przekleństwem.

Może wśród gwiazd... miłość znów nas połączy.



Opowiadanie opracowali

Redakcja: Mateusz Bielecki

Kontrola redakcji: Magdalena Świerczek-Gryboś

Korekta: Agnieszka Kolenda, Justyna Mroczek-Żal, Karolina Rogala

Weryfikacja: Malwina Niewielska, Renata Rabczewska

Kontrola weryfikacji: Magda Kowalewicz

Kontrola przed składem: Dawid Wiktorski

Recenzje: Patrycja Pancerz, Julia Kasprzyk, Karolina Kaja

Entropia

E. Raj

*Każdy układ izolowany dąży do stanu równowagi,
w którym entropia osiąga maksimum.
Druga zasada termodynamiki*

Otwieram oczy. Jeden sen się skończył, zaczyna się kolejny. Ten, co podszywa się pod rzeczywistość, a jest tylko odrobinę bardziej realny. Uderzam się dłonią w policzek, a drugą klepię po kroczu. Sprawdzam też rogi. Wydają się dziś jakieś wydłużone, bardziej majestatyczne. Nowy pomysł mojego Twórcy? Zeskakuję ze skalnej półki, na której uciąłem sobie nerwową drzemkę, i ogłędam swoje dłonie. Uff, wciąż są materialne. Przetrwałem kolejną noc! Jestem szczęściarzem. Hura.

Ścieżka, którą mam do przejścia, jest wyjątkowo sielska, na brzegach mienią się tęczowe kwiaty, szerokie, lśniąco liście i esy-floresy bladozielonych pnączy. Ale to wszystko iluzja, niestety. Cholerna iluzja na iluzji. Rozsnuta, abyśmy robili to, co dla nas przewidziano. Pod złudzeniem – brzydka prawda. Drapieżne rośliny tylko czekają na tego, kto odważy się zerwać kilka iluzorycznych kielichów. Nasi Twórcy mają poczucie humoru.

– Jaaak zdróweczko!! – rozlega się za moimi plecami.

Opanowuję odruch czmychnięcia w zieleń i obracam się z fałszywym uśmiechem.

Masywny lapideus przypatruje mi się, obleśnie oblizując wargi grubym ozorem. Popielate brzuszysko zwisa mu poniżej krocza,



a skóra wygląda, jakby obrósł go liszajec. Stoi za linią ścieżki, na cholernym ugorze, na ziemi niczyjej, i się nie boi, drań jeden! Rosiczka rozmiaru psa drapie go zębami po kolanie.

– Póki siedzę na ścieżce, ujdzie. – Uśmiecham się kwaśno, ale równocześnie pojawiają się w mojej głowie pomysły na ucieczkę. Mam plan A oraz B. Nawet i C by się znalazł. Ten lapideus ostatnio strasznie się mnie uczeplił, a jest bardzo irytujący.

– Idziesz zaruchać? – Unosi masywny paluch i wykonuje nim wulgarny gest.

– Nic z tych rzeczy – kłamię beczelnie, bo co mu się będę wynętrzał?

– Bór mi szepcze do ucha, że idziesz zaruchać! Do Equalosa! Odwdzięczam mu się równie wulgarnym gestem.

– Pilnuj swojego biznesu, bo poza ścieżką jesteś w domenie nimf. Taka brawada rzadko się oplaca.

– Mam na nie swoje sposoby! – Ordynarnie podciąga fałdę brzusz-
ną i pokazuje swoje krocze. Sплюwam z odrazą i oddalam się najszybciej, jak mogę.

Z oddali dobiega mnie jego wołanie:

– Tylko uważaj, by cię za bardzo nie wyrównał!

Cokolwiek to oznacza.

Borze zielony, jak ja nienawidzę tego magicznego tałatajstwa! Poronione twory wyobraźni naszych Twórców. Co z tego, że jestem jednym z nich? Odróżniam się, bo czuję absurd naszego bytu. Oni są po prostu bezwolnie zanurzeni w procesie rozkładu. Z każdą sekundą, gdy ich Twórca o nich zapomina, chaos pożera ich komórka po komórce. Ech, ta przeklęta Entropia.

Przyśpieszam kroku, moje kopyta stukają o kamieniste podłoże.

Mija blisko kwadrans, gdy docieram do miasteczka fae. Na fae od paru lat panuje tu moda. Wciąż pojawiają się nowi, bo Twórcy ich lubią. Jakaś Maas napisała o nich książkę i fani produkują teraz stada pięknych, elfopodobnych stworzeń. Takie mody pojawiają się falami. Fauny nigdy nie były zbyt popularne. To ewenement, że ktoś mnie w ogóle wymyślił.

Osada umieszczona między pniami pradawnych drzew, w sercu gęstego lasu, owija się wokół omszałych skał, zwiesza z gałęzi. Jest zielono i tellurycznie, ekologicznie-ślicznie. Wszystko tu



harmonizuje z naturą. Tak to wymyślili Twórcy. A ich wola rządzi tym światem.

Zmierzam do jaskini Equalosa. Aby tam dotrzeć, przechodzę przez wioskę. Teoretycznie mógłbym ją ominąć, ale nie zamierzam. Po cichu liczę, że zobaczę Adriela. To mój mały sekret, mały grzech. Aktywność na boku. Dość nietypowa dla fauna – obiektu westchnień wszystkich istot płci żeńskiej w Borze.

Gdy pojawiaam się między drewnianymi, smukłymi domkami, młode fae mnie dostrzegają i zaczynają się zbiegać.

– Faun, faun! Patrzcie, patrzcie... – szepczą między sobą.

Zaciskam zęby, bo nie mam na to nastroju. Tymczasem muszę udawać jurne bóstwo płodności, bo tak sobie wymyślił mój Twórca.

– Ach! Dziewczyny! Dziś mi śpieszno, nie mogę zostać, ruszam dalej w drogę! Innym razem zaszalejemy! – Mrugam życzliwie okiem, ale faktycznie przebieram kopytami, by jak najprędzej zmyć się im z oczu. Czuję ich presję, ich kolorową, chaotyczną energię, ich nadmiar. Odbieram każdą krzywiznę, która próbuje spłaszczyć moje nierówności. Ich energia mnie osłabia, rozpuszcza, rozrzedza.

Miałbym znów stać się fabryczną wersją, prosto z umysłu Twórcy? A potem powoli dać się rozszarpać Entropii jak reszta tutejszych mieszkańców? O nie, ja się opieram. Ten świat chce, bym był normatywny, ale to nie jest pragnienie mojej duszy.

– Faunie! – wołają, ciągle wołają.

Oglądam się zniecierpliwiony. Nie mogę znieść ich presji, dlatego biorę kopyta za pas.



Niektórzy mówią, że z Entropią nie da się wygrać. Ale... można próbować.

Lawiruję w tłumie, po czym znikam w zaroślach na brzegu wioski. Pilnuję, by nie zapuścić się poza strefę buforową wokół niej, bo tam czyhają nimfy. Wpadłbym z deszczu pod rynnę.

Idąc skrajem, zawadzam o okolice domu Adriela. Mam szczęście. Mój piękny fae siedzi sobie pod domem, na ławeczce i gra na fletni Pana. Co za ironia. Kim ja jestem, jeśli nie faunem, zwanym też Panem?



Gdy wyłaniam się z krzewów forsycji, jego perfekcyjne brwi się unoszą. Manifestuje swoje zdumienie subtelnie, z klasą. Jego wyrafinowanie mnie zauroczyło, gdy zobaczyłem go na dworze króla elfów. Ja grałem i on grał. On na lutni, ja na fletni. Nieoczekiwana zamiana ról?

– Faunie. Miło cię znowu widzieć.

Tak, mówi do mnie „faunie”. Dla niego nie mam imienia, jestem tylko anonimowym leśnym stworzeniem. Nijakim, jednym z wielu. Bez własnej osobowości. Częścią nierozróżnialnego magicznego tałatajstwa zamieszkującego ten śmietnik wyobraźni, miejsce, w którym twórcze pole morfogenetyczne ludzkości upycha wszystkie fantastyczne stworzenia. A one mutują tu i zmieniają się, i mieszają, i walczą, i znikają, gdy Twórcy przestają o nich pamiętać.

No i... kochają. Na przekór wszystkiemu. I ta miłość wyciąga nas z niebytu na odrobinę dłużej. Ja przynajmniej wierzę, że to nasz najpotężniejszy oręż do walki z Entropią. A może jedyny?

– Witaj, Adrielu.

Zbliżając się, stawiam kopyta tak, by przechodzić po kamieniach i omijać jego piękne kwiatowe grządki. Obserwuje moje akrobacje spod gęstych, ciemnozłotych rzęs. Jego oczy mają kolor miodu, tak samo jak włosy: długie, miękkie, gładkie jak jedwab. W porównaniu z moimi czarnymi, kręconymi kudłami przypominają pasma babiego lata. Mógłbym ich dotknąć. I nawet mogę, ale tylko w snach, które daje mi Equalos.

– Grasz na fletni Pana? Nigdy nie widziałem cię z takim instrumentem.

– Nigdy? Wielu rzeczy u mnie nie widziałeś, faunie.

Zamieram. Wynajduję wśród kwiatów spory kamień i przysiadam na nim.

– To mi pokaż. Te... wiele rzeczy.

Mruży oczy i się uśmiecha, a potem przysuwa usta do fletni i zaczyna grać. Gra kilka minut, a ja słucham, bo cóż innego mógłbym robić? Jest niezły, choć nie tak dobry jak fauny. My mamy fletnię we krwi, bo oczywiście tak to wymyślili Twórcy.

– Mógłbym cię jeszcze trochę nauczyć. Interwały, modulacja. Jak pracować ustami...

Śmieje się, ukazując perłowe zęby. Widok jego twarzy boli, fizycznie boli. Jest zbyt piękna. Brak nawet jednej fałszywej linii wzbudza u obserwatora uczucie oszołomienia. Poraża zmysły. Zachwyca. Na mnie też ta magia działa, dodaje mi sił. Pomaga wydostać się z niebytu.

– Myślałem, że arogancja to wyłącznie cecha fae. – Uśmiecha się.

Wzdycha i wstaje. Podchodzi do mnie o jeden krok, potem drugi, a jego stopy zanurzają się w morzu kwiecica. Ja również się podnoszę, nie bacząc na to, że moje kopyta gniotą szafirowe dzwoneczniki.

Stajemy na wprost siebie. Jestem wyższy o pół głowy i ważę też z pewnością o połowę więcej. Moja muskulatura przyrasta sama, to zaleta bycia tworem czyjejś fantazji. Taka nasza rola w tym świecie, nasze miejsce w ustalonym porządku. Ktoś nas tak zaplanował. Aberracje niewskazane.

Swoją smukłą dłonią podaje mi fletnię.

– Napełnij ją dla mnie muzyką, faunie.

Waham się. Z tak bliska na jego tęczęwkach widzę cienkie złote nici. Rozrzutność Twórcy w obdarowywaniu go pięknem była zdumiewająca. Jest za blisko mnie, abym mógł się skupić. Dlatego chwytam go dwoma rękami za kark i głowę. Przyciągam do siebie. Uwielbiam te krótkie chwile, gdy znajduję w sobie siłę, by iść pod prąd. Gdy blokuję postępy Entropii.

Przyciskam usta do jego ust, ale jego ramiona natychmiast się naprężają, odpychając mnie. Suchy trzask. Uderza mnie w twarz.

– Zwierzę!

– Zawsze! – Uśmiecham się, a to trochę powstrzymuje jego gniew, choć w nieoczywisty sposób. Dostatecznie mocno wyłoniłem się z oceanu nijakości? Zaznaczyłem swoją obecność? Może przestałem być tylko faunem. Może teraz jestem tym wyjątkowym faunem, który ma na jego punkcie obsesję.

Ciekawe, nie cofa się. Nie ucieka. Zapada cisza.

Wyzwanie?

Chwytam go ponownie i znowu przyciągam do siebie. Tym razem trwa to o cztery sekundy dłużej niż poprzednio. Zanim mnie odpycha, czuję lekki ruch jego ust względem moich, miękkie muśnięcie języka, jakby i on próbował wyjść ze swojej roli. Jakby też chciał dysonansu w swoim życiu, zboczenia z kursu wyznaczonego przez Twórcę.



Tym razem jednak ze mną nie zostaje. Cofa się i wraca do domu, zatrząskuje drzwiami. Za dużo?

Stoję tak chwilę, a świat wokół mnie śpiewa, drga, tańczy – szarpającym, nerwowym rytmem.

Spoglądam na swoje dłonie. Nie są nawet w minimalnym stopniu przejrzyste. Może wreszcie uniezależnię się od energii Twórców? Poprzez moje własne, wolne wybory? Kocham to uczucie, gdy formuję się, wybijam z tł. Na przekór Entropii. Nie dam tej dziwce wygrać!

Opuszczam ogród Adriela, zanurzam się w Bór. Boczna ścieżka prowadzi tylko do Equalosa, nikt inny nią nie chodzi. Idąc, upajam się swoim buntem, swoją małą rewolucją. Dziś nie zniknę. Przeżyję kolejny dzień, na ukradzionej energii, w ukradzionym czasie. Biorze szumiący, jakie to cudne uczucie!

Jaskinia Equalosa wylania się spomiędzy strzelistych pni, swoją czarną gardziel kierując w moją stronę. Wejdz we mnie, szepce. Więc wchodzę, jak zawsze, gdy uzbieram w darze dla Equalosa dość desperacji.

Ściany jaskini pokryte są ciemnozieloną, gęstą masą, podobną do galarety. Zaledwie przekraczam niewidzialną linię, widzę, jak miliony oczu Equalosa otwierają się na powierzchni ścian. Wygląda to naprawdę magicznie. Niezliczone powieki mrugają w różnych interwałach. Małe, duże, wielkie oczy. Zielone, brązowe, czarne, różowe, niebieskie... Wszystkie kolory i ich możliwe odcienie. Oczy patrzą na mnie, wodzą za mną. Wchodzę w głąb, kierując się w stronę czegoś w rodzaju fotela uformowanego z tej samej lepkiej substancji. Zasiadam w nim i natychmiast zielona masa wpelza na moją głowę, oblepiając ją szczelnie z wyjątkiem nosa i ust. Zasłania też moje oczy. Przywykłem już do tego dziwnego uczucia. To cena za pożyczenie mocy Twórców.

– Witaj, faunie. Co masz dla mnie? – Głos Equalosa pojawia się w mojej głowie. Brzmi jak szept wiatru.

– Uzbierałem dość desperacji, byś mógł mi podarować kolejną wizję.

– Sprawdzimy, faunie. Wszystko sprawdzimy. Jaką wizję dziś chcesz? Co mam dla ciebie stworzyć?

– Adriela, oczywiście – przyznaję z pewnym skrępowaniem. Pora się pozbyć tej nieśmiałości. To część szerszego, rozwojowego procesu.

Czuję, jak w mojej głowie coś się naciąga, przed oczyma rozbłyskują mi miliony gwiazd, a potem dostrzegam piękny kwiatowy ogród Adriela. W jego środku stoi mój ukochany fae i uśmiecha się do mnie, jakby witał najważniejszą osobę w swoim życiu. Osobę!

– Taaak... Czuję to. Uzbierałeś dość desperacji, abym mógł dać ci króciutką wizję. – Głos Equalosa szemrze w oddali.

Podchodzę do Adriela. Jest dokładnie taki sam jak w rzeczywistości. Ten złocisty, miodowy kolor, oczy, włosy...

– Ayen – mówi do mnie po imieniu, które sam sobie nadałem, by pomóc sobie odkleić się od dwuwymiarowej kartki bytu i przejść w trzeci wymiar. To takie miłe. – Zagrasz dla mnie?

Odpowiadam skinieniem głowy. Wyjmuję moją fletnię Pana i zaczynam grać. Najpiękniejszą melodię, jaką kiedykolwiek skomponowałem. Zachwyt w jego oczach to wszystko, czego potrzebuję, by odrobinę mocniej... być.

Gdy kończę, bierze mnie za rękę i prowadzi przez kwiecisty ogród, nad małą sadzawkę, w której pływają tęczkowe karpie. Siadamy na jej brzegu, a on kładzie głowę na moim ramieniu.

– Chciałbyś być, tak naprawdę, Ayenie? Opowiedz mi o tym pragnieniu.

– Chciałbym, Adrielu. Jestem ulotnością, która domaga się wybrzmienia. Jak melodia. Chcę nabrać wyrazistości, nie chcę być szumem tła. – Kładę dłonie na bokach jego głowy, a moje palce wtapiają się w miodową, jedwabistą gęstość jego włosów. – Nie chcę budzić się w strachu, że to będzie dzień, w którym zniknę. Pomóż mi w tym... – szepczę i całuję go czule, tak, jak chciałbym całować go w rzeczywistości. Gdy jego ramiona się unoszą i otaczają mój kark, opadamy na miękkie, wielobarwne kobierce. Jego oczy są wpatrzone we mnie, jakbym był prawdziwy. Jakbym coś znaczył! Jednak na chwilę, zanim połączę się z Adrielem, ciało fae robi się przezroczyste, topnieje pod moim dotykiem.

Ach, jak ja nienawidzę znikania!



– Nie! Nie, Equalosie! Nie przerywaj wizji! – jęczę, czując falę paniki. Moja ręka, zamiast spocząć na perłowobiałej skórze fae, zanurza się w nicości.

– Twoja desperacja się wyczerpała, faunie. Zostało tylko poczucie szczęścia... – Jego głos rozbrzmiewa gdzieś wysoko, nade mną.

– To weź coś innego, nie odbieraj mi wizji!

– Jesteś tego pewien? Ja nigdy nie biorę mało. Za chwilę przyjemności możesz zapłacić zbyt wysoką cenę.

– Nie chodzi o przyjemność, chodzi o coś więcej, o wiele więcej... O zasadę!

Wizja wzmacnia się, znowu nabiera smaku i zapachu. Ramiona Adriela przyciągają mnie. Zanurzam się w jego miodowej toni, w jego miodowym smaku, zapadam się w nim, łącząc, a zarazem wydzielając z nicości. Najważniejsze są oczy mojego fae. Pomagają mi mocniej zaistnieć. Patrzę tak, jakbym to ja był całym światem, a nie tylko jego tłem.

Pieprz się, Entropio. Nie pochłoniesz mnie, nie dziś.

W końcu otwieram oczy.

Wciąż siedzę na fotelu, ale obecność Equalosa cofnęła się już z mojej głowy.

Rozglądam się. Czuję się zupełnie normalnie, jestem szczęśliwy. Dawno nie byłem tak lekki, tak radosny, tak... Strumień moich myśli się urywa. Brakuje mi słowa. Ciekawe.

Wychodzę z jaskini i idę wprost przed siebie, ale po przejściu może dziesięciu kroków dostrzegam lapideusa wyłaniającego się pomiędzy ciemnych pni. Kieruje się prosto na mnie. No nie! Nie mam ochoty na spotkanie z tym namolnym żywiołakiem ziemi, ale by uciec, musiałbym zanurzyć się w ciemny Bór, pełen zabójczych pnączy, zmutowanych rosiczek, dzbaneczników, nimf i kaptownic. On czuje się tam bezpiecznie ze swoim ziemisto-kamienistym ciałem. Ja bym tam poległ, czym wyręczyłbym Entropię.

– Cześć! Już po sesji? Equalos ci dogodził? – rechocze obrzydliwie.

– Nie twoja sprawa. Zwłaszcza że pewnie sam przychodzisz tu po...

– Po co? Po słodkie wizje z pewnym faunem w roli głównej?

Odwracam się z grymasem obrzydzenia i oddalam najszybciej, jak mogę, ale długo jeszcze słyszę za sobą donośny, odrażający

śmiej lapideusa. Nasza rzeczywistość zbudowana jest specyficznie, to trzeba przyznać. Przypomina gabinet krzywych luster.

Docieram do wioski i przez moment, z przyzwyczajenia, myślę, czy powinienem przejść koło domu Adriela, jednak nie odnajduję w sobie potrzeby, by to zrobić. Omijam budynek obojętnie i przeciynam wioskę, a dziewczęta fae znów otaczają mnie wianuszkami. Uśmiechają się, wdzięczą, a ja czuję próżne zadowolenie. Ku własnemu zaskoczeniu jestem teraz skłonny poddać się ich pragnieniom.

Kilka godzin później wreszcie mnie wypuszczają. Zamierzam opuścić osadę, ale w chwili, gdy mam już zanurzyć się w Bór na jej granicy, dostrzegam stojącego w cieniu krzewów kaliny samotnego Adriela. Spogląda na mnie, a w jego oczach...

Zaraz, co jest?

Czy widzę ból? Ale dlaczego? Jestem po prostu faunem. Robię to, do czego zostałem powołany...

Nieruchomieję. Coś tu nie pasuje. Coś się zmieniło. Z moich wspomnień wyłania się obraz z dzisiejszego poranka. Chyba go pocałowałem. I to dwa razy? Dlaczego? Gdy naprawdę mocno się skupię, coś zaczyna mi się przypominać.

Czy ja go kochałem?

Dlaczego, stojąc na wprost fae o miodowych włosach, nie czuję już nic?

Mrugam powoli, przestępuję z nogi na nogę. Dyskomfort. Dysonans. Jego wzrok, pełen wyrzutu, pełen żalu. Nie mogę tego przyjąć, bo nie rozumiem już, dlaczego tak patrzy. Odwracam się, odchodzę. Jednak idąc przez Bór, czuję, jak niespodziewanie robi mi się niedobrze. Zupełnie jakby moje ciało pamiętało, choć z umysłem coś się zmieniło. Ścieżka prowadzi coraz dalej i dalej od wioski, a ja wciąż mam ochotę wymiotować. I w końcu to robię – efektownie rzygam na barwne, leśne kwiaty. Kaszlę i dławię się, coś we mnie narasta. Przerażenie... Poczucie utraty.

Tak. Coś utraciłem.

Strata boli zawsze mocniej niż zysk. I niestety otwiera oczy. Lapeus miał rację. Pieprzony Equalos! Przydupas Entropii. Wyrównał mnie.

Wyrównał mnie!!!

Z trudem stawiam krok za krokiem i klnę, przeklinam, bluzgam.



Ten zielony sukinsyn zabrał mi coś unikalnego. Zakazaną miłość. Sprawił, że znowu muszę być jak inni. Nijaki, normatywny, wyblakły. Wyzerowany do stanu fabrycznego. Straciłem moje kolory, moją unikalność.

Podnoszę ręce do oczu. Wydają się nieco prześwitujące. Moja energia się rozprasza, pewnie niedługo wróci do Twórców. A potem, w odwiecznym cyklu, wzniesie się znowu jak prąd wstępujący, gdy jakiś inny Twórca wyobrazi sobie kolejnego fauna i stworzy o nim film, książkę albo grę.

Ta świadomość niemal mnie unicestwia. W jednej krótkiej chwili, w przerażającym błysku desperacji, skręcam w boczną ścieżkę. Na skalne urwisko.

Moje wybory? Wciąż je mam, do cholery! Ostatni listek figowy.

Bór ustępuje miejsca gołoborzu, ścieżka wije się po skalistym terenie, wznosząc coraz bardziej stromo. Ściemnia się, ale nie dlatego, że dzień zmierza ku końcowi. Na tym obszarze zawsze panuje mrok. Pochodzi z dusz istot, które tu przychodzą, gdy mają dość bezsensownej egzystencji. Takich jak ja. Dodaję coś do tego mroku, uncję rozpacz. Idę, a łzy płyną mi po policzkach. Jest mi coraz trudniej, każdy krok boli.

Dochodzę na skraj przepaści. Tu kończy się nasz osobliwy świat. To jego granica. Otchłań prowadzi w nicość, która otacza stworzoną przez kolektywną wyobraźnię Twórców fantastyczną krainę. Skała jest jak ucięta nożem, poniżej zieleń tylko bezdenne pustka.

Przez chwilę spoglądam w nią, a ona spogląda na mnie.

Uświadamiam sobie z goryczą, że Equalos jest tu potrzebny, wpisuje się w porządek. Pilnuje równowagi energetycznej. Wabi tych, którzy zaczynają mieć własne sny. Tych, co jak rozgrzane prądy powietrzne wzniesli się wysoko, za wysoko. Zaczęli wierzyć, że mogą być – jak Twórcy – prawdziwymi osobami. On ich studzi i zwraca do obiegu. Cykl musi trwać. Masa pozostaje masą.

Tło jest potężniejsze niż to, co się od niego odznacza.

Wznoszę oczy w niebo. Jeśli to koniec, to na moich warunkach. Tego ostatniego wyboru nikt nie może mi odebrać. Dlatego wybieram. Wykonuję krok w przepaść.

W tej samej chwili kątem oka dostrzegam pędzącego w moją stronę lapideusa. Jego wyciągnięte ramiona. A to zaskoczenie! Czy chce mnie ocalić? Niestety spóźnia się o ułamek sekundy.

Entropia

Gdy moje stopy mijają skalną krawędź, uświadamiam sobie to, co wcześniej ignorowałem. Cholera. On też walczy, by wydostać się z nicości! Trawi go ta sama nienawiść do ról, jakie nam przypisano.

O ironio, moje ręce na tle skalistego zbocza, wzdłuż którego spadam, stają się znowu nieprzejrzyste, materialne! Jednak na zmianę zdania jest już za późno. Lecę, a lapideus leci za mną. Za jednym zamachem gasną dwa wznoszące się prądy.

Entropia znowu wygrywa?

Nie wie o tym, że pożerając mnie, pożera też moją truciznę i wpuszcza ją w kolejny obieg.

Jeszcze tu wrócę. Obiecuję wam to. Obiecuję...

.....

Opowiadanie opracowali

Redakcja: Agnieszka Przybyła-Wilkin

Kontrola redakcji: Dawid Wiktorski

Korekta: Katarzyna Twarduś, Justyna Mroczek-Żal, Ilona Żurawska

Weryfikacja: Magdalena Kłodowska, Monika Skołożyńska

Kontrola weryfikacji: Magda Kowalewicz

Kontrola przed składem: Dawid Wiktorski

Recenzje: Mateusz Piotrowski, Alicja Szalska-Radomska, Patrycja Pancierz

Rycerz, panna i wielka niedźwiedzica

Barbara Kaczyńska

I

Muzykę i rozochoczone śpiewy słysząc było z daleka. Przed otwartą na oścież zamkową bramą kwitł cały zagon sztandarów rycerzy, którzy w majowe święto zjechali na najjaśniejszy dwór świata. Królewski smok iskrzył się jak klejnot. Na prawo od niego widniał biały kwiat królowej, na lewo – słońce Galwana, pierwszego rycerza w królestwie.

Drenan nie miał sztandaru, tylko obdrapaną tarczę z zakonnym krzyżem. Herbu Anny też tu oczywiście nie było. Nie używała go, tak jak imienia. Cztery miesiące jej nie widział. Za długo.

Czasem, kiedy przyjeżdżał, wychodziła mu naprzeciw i mówiła: „Chodźmy za mury, nad rzekę”. Jechał tamtędy przed chwilą, w majowej zieleni, ale bez Anny to tylko miejsce – gliniasty brzeg i krzaki.

Bał się wchodzić na zamek, nie miał jednak wyjścia. Powłócząc nogami, wprowadził konia na pierwszy dziedziniec. Tu bawili się pacholcy i posługaczki ze świeżym potem na świeżych odświętnych koszulach, wszyscy czerwoni od piwa, uciechy i gorącej kaszanki. Jak skrzydełka jaworu wirowali w tańcu wokół umajonych słupów.

Niepokojąca, niezrozumiała zachłanność wezbrała nagle w Drenanie, tak jak się tego bał. Odwrócił wzrok i pomyślał o Annie. Odetchnął głęboko słoną wonią przypalonych mięs. To też pomogło. Ból skurczonych od postu kiszek przesłonił tamten inny, nieludzki głód.

Brnął w stronę stajni, nieświadomy, że tańczący zerkają na niego z niechęcią. Nie uśmiechało im się przerywać zabawę, żeby usługiwać rycerzowi. Zwłaszcza takiemu, który na święcie zjawiał się cuchnący krwią i czymś jeszcze, co sprawiało, że psy z warczeniem podkulały ogony.

Pochodził z rubieży, gdzie ludzie rośli dziksi i surowsi, podobni do puszczy, wśród której żyli. Tam drzewa pozostały żywe i żarłocze, w dziuplach kryły się kusicielskie, zmiennokształtne istoty, a dziwożony porywały dzieci z kołyszek. Sam Drenan był takim dzieckiem, znajdkiem ocalonym z jamy potwora przez ojca Anny, który nie odnalazszy jego rodziców, wychował go jak syna.

Na królewskim dworze nikt nie wiedział o jego wątpliwym pochodzeniu. Ludzie mieli inne powody, by odsuwać się od niego ze wstrętem. Miecz miał ostry, a kolczugę bez śladu rdzy, chociaż przeszywanicę koło szyi i pach znaczyły rude zacieki. Sam był uwalany po kolana błotem, zaskorupiałym na onucach owiązanych konopnym sznurkiem, chociaż sierść jego konia lśniła czystym brązem.

Może dlatego jeden z chłopców stajennych, wyszturchany przez starszych kolegów, podszedł wreszcie i z ukłonem sięgnął po wodze.

Drenan oddał je bez słowa. Nikt by się po nim nie domyślił, jaki jest zdumiony. Bruzdy, które oddzielały zapadnięte policzki od sępiego nosa i zaciśniętych warg, nadawały jego twarzy odpychający wyraz, a oczy tkwiły tak głęboko w cieniu pod namarszczonymi brwiami, że nie dało się odgadnąć ich koloru.

Był brzydki, nie jakąś demoniczną brzydotą, która czasem zapada w serce mocniej od urody, lecz brzydotą pospolitą i zbójową. Zęby miał krzywe, ostre jak u psa i jakby stłoczone w za małej szczęce, przez co mówił trochę bełkotliwie. Nie nosił brody, tylko niechlujną siną szczecinę, która odrastała w ciągu kilku godzin po goleniu i na tym porzestawała.

Fanatycznie trzymał się zakonnej reguły. *Naprawdę* nie brał do ust mięsa ani trunków i *naprawdę* nie patrzył pożądliwie na kobiety. „Całe szczęście” – wzdychały, ale jednak je to dziwiło. Mówiono, że jeśli się kiedyś roześmieje, nastąpi koniec świata. Mówiono też, że jeśli stawał do walki, to po to, by zabić. Jedynym wyjątkiem był pojedynek sądowy, który cztery miesiące temu stoczył z samym



Galwanem o cześć królowej. Prawie mieli za złe Drenanowi, że z taką diabelską mordą wygrał na sądzie bożym.

Zatrzymał stajennego, by odpiąć od siodła sakwę pokrytą brunatnymi plamami. Wionął od niej słodkawy odór, od której chłopakowi przewrócił się żołądek. Wstrzymując oddech, szybko ciągnął konia do stajni.

Drenan poszedł na drugi dziedziniec. Bawili się tam paziowie, pokojówki, garderobiane, krajczowie, opiekunowie królewskiego obuwia i zarządczyni królewskiej zastawy: cała ta hałastra drobnych urzędów i sług, pleniących się na dworze jak huby na martwym drewnie. W korowodzie wijącym się między zdobnymi we wstążki gaikami Drenan wypatrywał tylko Anny, jej stroju pazia i ściętych krótko włosów. Nadstawiał uszu na imię „Gryzandol”, pod którym ją tu znano.

– Późno się zjawiasz.

Wśród pasztetów i przepiórek siedział rozparty Dubailt, jego bliźniak, równie brzuchaty jak Drenan kanciasty. Spojrzenie miał dobroduszenie przymglone, a na gładkich policzkach rumieniec. Między udami w żółtych nogawicach trzymał dzban z winem, ale odstawił go, by uściskać Drenana.

– Wiesz, że celowo zwlekałem. Żeby uniknąć przygotowań. Łowów, świniobicia, tego wszystkiego.

– Ale był jeszcze inny powód, nie? – Dubailt ruchem głowy wskazał poplamioną sakwę. – Zdaje się, że nie dotarła tu nienaruszona.

Nie było sensu kłamać. Dubailt i tak wiedział o nim wszystko.

– Nie bój się, pomyślą, że to robota czerw. – Dubailt wzruszył ramionami.

Drenan milczał, dławiony wstydem i odrazą.

Anno, gdzie jesteś?

– Niestety, jestem tylko ja – powiedział Dubailt z przekąsem. – Wiesz, że gdyby się dowiedziała, powiedziała by to samo co ja. To przez te twoje posty. Chleb i woda, woda i chleb, korzenie łopianu. Anioł by się zbiesił. Jak za mocno naciągniesz strunę, to też pęknie. We wszystkim trzeba mieć umiar. Dzisiaj święto, napij się wina, zjedz paszteciku...

– Nie.

– Przecież jesteś głodny.

Drenan zacisnął zęby i spojrzał na niego tak, że Dubailt cofnął się o krok.

– Ty wiesz – rzekł Drenan. – Ty wiesz, jak wielki jest mój głód. – Nie dał mu szansy, by powiedział coś jeszcze, i spytał gwałtownie: – Gdzie jest A... Gryzandol?

W ostatniej chwili się poprawił, pomny, że ktoś może go słyszeć.

– Nie tutaj – odparł Dubailt, spoglądając na tańczące pary. – Wi-dzę za to jego kompanię. Możesz ich spytać.

Byli tam rzeczywiście, cała szóstka. Drenan nie znał ich imion, choć ostatnio coraz częściej widywał ich przy Annie. Nigdy nie odezwali się do niego ani słowem. Z tego, co wiedział, jednego z nich wołano po prostu Chyży, bardzo trafnie, jeśli patrzeć na tempo, w jakim obracał wniebowziętą tancerkę. Drugi wyglądem i siłą przypominał niedźwiedzia, a jego partnerka piszcziała ogłuszają-co, kiedy bez wysiłku wysoko ją podrzucał. Tańczył też ten, który był podobno niezrównanym tropicielem, i ten, który miał opinię znakomitego strzelca. Dwaj ostatni, tłuści jak galareta ze świńskich nówek, obżerali się kielbasą i duszkiem żłopali wino jak wodę.

Nie mógł zrozumieć, dlaczego Anna zadaje się z tą bandą nie-robów. Kiedy ją o to spytał, wydawała się skępowana. „Pomagają mi” – powiedziała. „Nie da się żyć na dworze bez przyjaciół. Poza tym – jej twarz poczerwieniała – równie dobrze można by spytać, dlaczego zadaje się z tobą”. Mocno go to ubodło.

Ale skoro jej pomagali, skoro byli jej przyjaciółmi... W to ostatnie też wprawdzie wątpił, gdy widział, jak na nią patrzą: trochę szyderczo, a trochę drapieźnie. I jak zwracają się do niej kpiąco: „mości Gryzandolu”. „Daj spokój” – powiedział mu wtedy Dubailt. „Ty masz mnie, a ona?”

Skoro więc mieli zastąpić Annie rodzinę, której właściwie nie miała, odkąd i jej ojciec, i Drenan złożyli śluby zakonne, nie powiedział już przeciwko nim ani słowa.

Ale na samą myśl, że miałyby pytać o nią któregoś z nich, pusty żołądek podskoczył mu do gardła niemal równie gwałtownie jak wtedy, gdy czuł w ustach oleisty smak krwi człowieka, którego kazano mu zabić.

– Może jest przy królowej – mruknął. – Idę. Muszę się pozbyć tego. – Wskazał na sakwę.



Trzeci dziedziniec, otoczony marmurowym krążgankiem, rozbrzmiewał kłaskaniem lutni i trelami minstrela. Tańczono tu dostojnie, gwarzono dowcipnie, raczono się małmazją i łosiowymi chrapami po odgarnięciu powłóczystych rękawów, by nie zamoczyły się w sosie. Rycerze usługiwali damom, damy uśmiechały się do rycerzy, a wszystko migotało w majowym słońcu jak motyle skrzydła, nierzeczywiście. Ci ludzie to nie byli ludzie; jedzenie, pachnące wodą różaną i kardamonem, nie było jedzeniem; zabawa nie była zabawą, tylko przedstawieniem. Rozbrzmiały oklaski: król i królowa, oboje spowici w złotogłów i uwieńczeni kwiatami, nachylili się ku sobie i wymienili uroczysty pocałunek. Popłynęła pieśń o miłującym się małżeństwie, które obdarza królestwo pokojem, daje głos skowronkom i napelnia barcie miodem.

– Precz stąd, żebraku, wynocha do ciur na dolnym dziedzińcu!

W stronę Drenana kroczył młody rycerzyk, dopiero co pasowany, nadęty swoją nową godnością tym mocniej, że pierwszy raz w życiu sobie podchmielił. Miał ufryzowane włosy, czerwono-czarny kaftan i dłonie jak lilijki. W twarzy Drenana zobaczył pogardę, rozsierdził się więc jeszcze bardziej, nazwał go kundlem, zdzielił na odlew i rozciął mu skórę na policzku rodowym sygnetem. Nie zdążył cofnąć dłoni, a Drenan już dobył miecza. Rycerzyk stropił się nagle.

– A co z regułą, bracie? – odezwał się kpiąco Dubailt. Drenan zniechęcony w pół zamachu. – „Bądźcie cisi i pokornego serca”, tak to szło? Zawsze mówiłem, że to idiotyzm oczekiwać tego od rycerzy.

Drenan prawie czuł, jak chrzęści kość pod mieczem, jak cała czerwona połyskliwość otwiera się przed nim, rozplątana na dwoje niczym śliwka, i jak unosi się z niej gorący, gęsty zapach.

Tym razem nie odwrócę głowy – pomyślał i się przeraził. To znów ta nieludzka zachłanność prawie wzięła nad nim górę. Szósty raz w życiu, drugi w ciągu dziesięciu dni. Pierwszy raz w chwili gniewu.

Anno, co się ze mną dzieje?

– Mości Drenanie, wybacz niewiedzę i zapalczywość młodości.

To miedzianowłosy Galwan przybył na ratunek: pierwszy rycerz królestwa, równie słoneczny jak jego herb, niezrównany w boju i dwornej mowie, szlachetny i szczodry, miłośnik sprawiedliwości, obrońca dam, opiekun młodzieży. Uniósł ręce w rozjemczym geście, bez lęku patrząc na Drenana nad głównią miecza. Na żebrach

nosił bliznę po tym ostrzu, ale w swej wspaniałomyślności nie żywił o to urazy.

– To Drenan? Drenan od Świętego Jerzego? – spytał młodzik pobladłymi wargami.

– Prawy rycerz zakonu – przytaknął Galwan. – Módl się, by ze-
chciał puścić w niepamięć doznaną obrazę.

Każdy chciałby być Galwanem, nie każdy mógł.

Bądźcie cisi i pokornego serca – powtórzył Drenan w duchu i prze-
łknął swój głód jak długą, śliską żmiję. Jej jad zapieklł go w żołądku
niczym zgaga.

Gdyby był Galwanem, pogroziłby teraz palcem młodemu ryce-
rzowi srogo, ale dobrodusznie.

Gdyby potrafił obnażyć serce, spytałby Galwana o Annę.

Zamiast tego, z gębą niczym maska pośmiertna herszta mor-
derców, powiedział:

– Mam coś do przekazania królowi.

Kiedy Galwan odszedł, by powtórzyć władcy jego prośbę, a roz-
trzęsiony młodzik umknął, Drenan powiedział półgłosem:

– I co, trzeba było tego smarkacza chlasnąć, tak? Nie wstrzymy-
wać się? Nie naciągać struny, bo dopiero wtedy pęknie i będzie
jeszcze gorzej?

Dubailt milczał. Kiedy Drenan się obejrzał, już go tam nie było.



Król (wielki mistrz zakonny, który nigdy nie złożył ślubów, mi-
lujący małżonek, sprowadzający miód i skowronki, tak krzepki
i jurny w czterdziestym roku życia, jak był w dwudziestym) przyjął
Drenana na osobności w sali trofeów wśród ścian najeżonych
porożami.

Zajrzał do sakwy, którą podał mu Drenan, i natychmiast od-
skoczył w tył z głuchym stęknieniem, osłaniając twarz rękawem.

– O Boże. Och, miły Jezu. Daleko się ukrywał, co? To na pewno
jego głowa? Bądź tak dobry i ją wyjmij, muszę zobaczyć. Ale zo-
stań, gdzie jesteś. Och, na miły Bóg, odchodzi już od kości... Ale
to on, jak Boga kocham, poznam go nawet bez ucha i z gniazdem
czerwi w oczodole. Głowa zdrajcy... – Odetchnął zbyt głęboko



i znów się zakrztusił, aż musiał odwrócić się do okna. – Bądź tak dobry i owiń ją z powrotem. Tak. Bardzo to smutne, widzieć w tym stanie dawnego przyjaciela. Powiedz, mówił coś przed śmiercią? Prosił może o wybaczenie?

– Mówił – odparł Drenan – że jest niewinny.

– Och, tak mówią wszyscy – powiedział król z niesmakiem. – No nic. Jego majątek przechodzi oczywiście na własność korony. W dowód naszej wdzięczności otrzymasz zeń...

– Nie chcę niczego.

Reguła zabraniała posiadania czegokolwiek. Były sposoby na jej obejście i król nieraz z nich korzystał. Przysięga lojalności to dobra rzecz, ale własność i wdzięczność pętają wasala jeszcze mocniej. Król wyczuł jednak, że na Drenana nie ma sensu nalegać.

– Wiedz w każdym razie, że mamy wobec ciebie dozgonny dług wdzięczności. Nie chcemy cię nadmiernie obciążać, bo jesteś nam drogi jak bliski krewniak, ale mamy do ciebie jeszcze jedną prośbę, a właściwie ma ją nasza droga małżonka. Z pewnością jesteś zmęczony, ale zechcij pójść do niej i wysłuchać, co ma do powiedzenia. – Umilkł na chwilę i przeniósł wzrok na drzwi za Drenanem. – Gryzandol cię zaprowadzi.

Nie wyczuł, kiedy się zjawiła, ale gdy się odwrócił, była tam naprawdę, smukła i gibka w szkarłatnym stroju pazia, z piórem sójki tkwiącym zawadiacko w czapce. Nie uśmiechnęła się, nie poruszyła nawet brwią. Przy królu nie mogła. Odnalazł ją, to się liczyło. Świat od razu pojaśniał.

Poprowadziła go korytarzem, którego nie znał. Wejście ukryte było za gobelinem. Chciał się odezwać, ale położyła palec na wargach. Oczywiście, to nie czas na rozmowy. Później. Później pójdą za mury, nad rzekę. Położą się na brzegu, w zapachu mięty i tataraku, w wielkim spokoju nieba i wody.

Szła lekko, szybko i zupełnie cicho, gdy on przy każdym kroku chrząścił koleczugi. W oku miała figlarny, prawdziwie paziowski błysk. Otworzyła drzwi na końcu korytarza i skłoniła się zamaszyscie. Pióro u jej czapki zamiotło próg.

– Wasza Królewska Mość, rycerz Drenan od Świętego Jerzego.

Uklonił się także, ciężko i niezgrabnie. Gdy się prostował, zobaczył coś dziwnego.

Gryzandol i królowa patrzyli na siebie. Było w tym ukośnym spojrzeniu spod opuszczonych powiek coś niepokojącego, jakieś ironiczne „a więc to tak” i „miałeś rację”, jak widzialna postać cienkiego chichociku, który rozlega się za plecami ofiary obmowy.

Trwało to ledwie okamgnienie, ale Drenan oblał się zimnym potem.

Co się stało? Co to znaczyło?

Musiało mu się przywidzieć.

– Usiądź, móści Drenanie – powiedziała królowa.

Pierwszy raz widział ją z tak bliska. Skórę miała miękką jak sa-fian, oczy dziecięco lazuruowe. Nozdrza zadrgały jej mimowolnie, gdy nachyliła się w jego stronę, by nalać mu wina. Jego protest zbyła niedbałym gestem.

– Nie będę owijać w bawełnę, bo wiem, że mówię z rycerzem, a nie z dworakiem. Raz już stanąłeś w mojej obronie, z własnej woli. Teraz znowu potrzebuję twojej pomocy. Jest ktoś, kto rzuca na mnie podłe oszczerstwa, tak plugawe, że słabo mi się robi, gdy o nich pomyślę. Kala moje imię i moją cześć i nie chce zamilknąć mimo prośb i grózb. Krótko mówiąc, chodzi o to, by tego kogoś uciszyć. – Przerwała, a gdy się nie odezwał, ciągnęła dalej: – Nocuje w pobliskiej gospodzie. Cierpi na osobliwą przypadłość: daj jej do powąchania olejek różany, a zemdleje i nie będzie się bronić.

– To kobieta?

– Raczej jaszczurka. – Królowa uśmiechnęła się krzywo.

– Nie podniosę ręki na kobietę.

Zacisnęła wargi. Lazur jej oczu spochmurniał.

– Odmawiasz wykonania rozkazu małżonki swojego władcy? W imię czego?

Milczał uparcie, nie patrząc na nią. Słyszał, jak za jego plecami poskrzypuje podłoga pod stopami Anny. Czemu go tutaj przyprowadziła? Czy wiedziała, czego zażąda królowa?

– Biedny durniu. Chyba nie wierzysz, że ten nieszczęśnik, którego wytropiłeś i zabiłeś z rozkazu mojego męża, naprawdę zdradził królestwo? Musiałeś się domyślić, o co naprawdę chodzi, ale jakoś się nie wahałeś. A teraz, gdy mówię o rzeczywistej, a nie urojonej winie, śmiesz odmawiać? Wydaje ci się, że masz wybór?



Zemdliło go nagle – może od jej słów, może od zapachu wina, może od jej zapachu: woni pudru ryżowego, wędnących kwiatów i słonej skóry. Nie dbając już o nic, obejrzał się na Annę i serce w nim zamarło, gdy napotkał jej obojętny, rozbawiony wzrok. A wtedy, jak każda prosta i nieszczęśliwa istota, uczeplił się ostatniej pewnej rzeczy.

– Reguła zabrania krzywdzić kobiety.

– Reguła! Nikt jej nie traktuje poważnie – warknęła królowa. – Więc przemyśl jeszcze swoją decyzję, bo jeśli teraz zacznę krzyzczeć i zbiegną się ludzie, a ja im powiem, że próbowałaś mnie zgwałcić, i będę mieć na świadka Gryzandola, a ty swoją zbójcecką facjatę i bełkotanie o śmiesznej regule, to jak myślisz, komu uwierzą?

Sięgnęła do gorsu, gotowa naderwać szwy sukni na dowód, że nie zawaha się spełnić groźby, ale nagle znieruchomiała i po raz pierwszy w życiu pomyślała, że może posunęła się za daleko.

Drenan (z czego sam nie zdawał sobie sprawy, ogłuszony zimnym, otchłannym bólem, który rozdarł go od gardła do trzewi) patrzył na nią pomrocznymi oczami. Spod uniesionych warg błyskały kły.

Matko, zamorduje mnie – pomyślała królowa, cofając się bezwiednie. Nie dobył miecza, nie drgnął nawet, a mimo to bała się jak jeszcze nigdy w życiu. Przycisnęła dłoń do piersi z bezrozumnym lękiem, że on usłyszy, jak mocno bije jej serce.

Głuche milczenie przeciągało się nieznośnie, ciężkie od grozy. Przerwał je hałaśliwy, chłopięcy śmiech.

– Nie robi tego – powiedział Gryzandol drwiąco, oparty o framugę.

Nie wiadomo, czy mówił o Drenanie czy o królowej. Nie miało to zresztą znaczenia, bo czar prysł dla obojga. Rycerz skurczył się w sobie, a ona odzyskała panowanie, przynajmniej nad sobą. Poprawiła włosy. Własny przestrach sprzed paru chwil wydał jej się śmieszny. Coś musiało się jej przywidzieć.

Nie zatrzymywała jednak Drenana, gdy podniósł się gwałtownie i wyszedł z komnaty.



Zapadła noc i pod jej osłoną zabawa potworniała w orgię. Wino przesycalo powietrze odurzającym oparem, szumiało w głowach, bulgotało w gardłach, chlustało w kwaśnych wymiotach. Ludzie deptali po kwiatkach, które odpadły z gaików, i lgnęli do siebie, ciało do ciała, mięso do mięsa, choćby od pijaństwa było jak martwe i niczego nieświadome.

Drenan, z żołądkiem zziębniętym od studziennej wody, klęczał w zamkowej kaplicy i przeciskał przez gardło modlitwy. Szczękał zębami. Powrócił otchłanny, nieludzki głód. Powróciła pustka, która chciała wylać się z niego i wchłonąć winny opar, kiszkę napchaną siekanym mięsem, przeżarte psy i pijanych ludzi, szczury zwabione resztkami, poroża i gobeliny, i kamienie, połknąć to wszystko i unicestwić w sobie, *i czy nie byłoby to słuszne, czy nie byłby to sprawiedliwy, boży gniew?*

Podnosił się z kolan i zaraz z jękiem opadał na nie znowu. Pragnienie nie słabło, *Boże, co to znaczy*, ale póki klęczał, nie ulegał mu, więc modlił się dalej...

...za dziewczynę, której kazał uciekać z gospody. „Czy to ty mdlejesz od zapachu róż?” – spytał, ledwie wjechał na podwórze i zobaczył ją w oknie. Zamarła z pulchną dłonią na ościeżnicy, w oczach miała przestrasch. „Trzeba było posłać mnie, jestem ładniejszy” – śmiał się Dubailt.

...za Galwana, którego spotkał w drodze powrotnej. W zachodzącym słońcu jego miedziana głowa zdawała się płonąć. Drenan nie pytał, co on tu robi. Z samobójczą szczerością (to znowu słowa Dubailta) powiedział: „Uciekła. Nie pozwolę ci jej ścigać”. Galwan uniósł brew, jakby nie rozumiał. Odparł, że robi się późno i może wrócą razem na zamek, ale Drenan wiedział, że się nie pomylił.

...za Annę, najgoręcej i najrozpaczliwiej. Kiedy wyjaśnił dziewczynie w gospodzie, że królowa chce ją uciszyć z powodu oszczerstw, poczerwieniała. „Oszczerstw! Wszystko, co mówiłam, to prawda. Zanim Rozymunt tu przyjechał, nie widział świata poza mną. Ale wystarczył miesiąc, żeby mi go na zawsze odebrała. Ten dwór to gniazdo zepsucia, a królowa jest źródłem zgnilizny. Każdego, kto z nią przebywa, ściąga w podłość”.

Ale nie Annę. Ten drwiący śmiech, ta wymiana spojrzeń, to nic nie znaczy.



Anna, którą znał, powiedziała kiedyś, patrząc na rzekę siwą jak jej oczy: „Jeśli idziesz wyprostowany i się przewrócisz, poczujesz ból i właśnie dzięki niemu będziesz wiedział, że upadłeś. Ale jeśli się schyłasz i uginasz coraz niżej, w końcu zaczniesz się czołgać i nawet nie poczujesz, kiedy twarz wciśniesz w błoto”.

Nie krzywdź kobiet. Nie pij wina. Pość. Bądź cichy i pokornego serca. Trzymaj się tego, a poczujesz, kiedy upadniesz.

– Nawet biskup hula, a ty odgniatasz sobie kolana jak mnich.

Pióro sójki połaskotało go w policzek, ten rozcięty sygnetem. Drenan przeżegnał się i przysiadł na piętach.

– Jestem mnichem.

– Prawda, śluby. Rycerz-zakonnik, fruwający dzik – powiedział Gryzandol. Znów ta niepokojąca, obca drwina, uszczypliwość zamiast żartu. – Chodź, musimy pogadać.

Drenan myślał, że wyjdą poza mury, tam gdzie widać będzie gwiazdy i gdzie śpiewają żaby. Gryzandol zaprowadził go jednak w głąb dziedzińca, do obskurnej izdebki. W zaduchu wokół ćmiącej świeczki grała w karty cała kompania: Chyży, Siłacz, Tropiciel, Strzelec, Żarłok i Opój. Był tu też Dubailt, ale nie grał. Twarz miał bladą i stroskaną.

– Zapraszamy, zapraszamy!

– Nie, nie chcę...

– Wchodź. – Drobną pięść Gryzandola pchnęła go między łopatki. – I słuchaj: królowa wie już, co zrobiłeś.

– Od Galwana?

– Patrzcie, nie taki on głupi – mruknął Tropiciel, drapiąc się kartą po podbródku.

– Pewnie, że od Galwana. Powiedział jej na uszko, zanim ją wyrył we wszystkie inne otwory – zagulgotał Żarłok.

Drenan przysiadł na ławie, ogłuszony.

– Tak, Galwan jest jej kochankiem – powiedział Gryzandol, nalewając wina. Ledwo umoczył wargi i oddał kielich Opojowi, który już oblizywał się mięsistym językiem.

– Ale przecież...

– Czemu by sobie nie mieli poużywać, gdy król łoł młodą dwórkę? – parsknął Chyży. – Szczęście, że w chłopcach nie gustuje, bo nie dałby spokoju naszemu Gryzandolowi.

Rycerz, panna i wielka niedźwiedzica

- Wszyscy wokół ciupciają aż miło – dodał Siłacz.
- W święto rżnięto, a po święcie drugie rżnięcie – rzekł Strzelec.
- Przykro słuchać, jak brudnymi słowami kalacie akt pięknej bliskości – wymamrotał Dubailt.
- Mniejsza z tym – powiedział Gryzandol, czym ukrócił uciechę kompanii. – Liczy się to, że musisz opuścić zamek, Drenan. Jak najszybciej.
- Wracaj do lasu, tam twoje miejsce – zadrwił Opój.
- Drewnan – zachichotał Strzelec.
- A ty? – spytał Drenan.
- Ja zostanę – odparł Gryzandol od niechcenia. – Umiem tu żyć. Oj, już ci na twarz wypelza pogarda. Widzisz, dlatego nigdy nie będziesz blisko z ludźmi. Słyszysz prawdę i się krzywisz, bo chciałbyś, żeby inni byli tylko swoimi maskami. Jak ty z tą swoją regułą. Ludzie nie mogą znieść, że uważasz się za lepszego od nich. Dubailt wypuścił głośno powietrze.
- On? Za lepszego? Ależ...
- Ależ jest całkiem odwrotnie. Anna to wie.*
- Gryzandol tasował spokojnie karty, pewny słuszności swoich słów.
- No? Na co jeszcze czekasz? – spytał, spoglądając na Drenana spod oka.
- Gdzie jest Anna?
- Paź odłożył powoli talię. Przez chwilę się nie poruszał. Chyba nawet nie oddychał. Potem nagle się uśmiechnął, ale nie przez poruszenie mięśni, unoszące kąciuki ust. Zdawało się raczej, że skóra twarzy skurczyła się, spełzła w tył i odsłoniła zęby aż po trzonowce.
- Reszta kompanii zaczęła się śmiać. Tak jakby ktoś dawno temu im powiedział, na czym to polega, i teraz zgodnie z instrukcją rozdziawiali usta i poruszali przeponami.
- Mówiłem, że się domyśli! – krzyknął Tropiciel. – Płaćcie, psubraty! Sygnęły się w jego stronę pieniądze. Żarłok odkrztusił z głębi gardła monetę i splunął nią na środek stosu.
- Gdzie jest Anna? – powtórzył Drenan.
- Dubailt drżał jak osika, ale nadal stał przy nim. Gryzandol zrobił wielkie oczy, rozejrzał się po kątach, zajrzał pod stół.
- Nie ma! – ogłosił, a pozostali zaskowycieli ze śmiechu. – Nie ma Anny! I co, bobo się popłacz?



– Co z nią zrobiliście?

– My? Bobo nie wie, jakie życie na dworze jest trudne. Anna miała dość. Poszła sobie. Teraz my za nią jemy i pijemy, tańczymy, chodzimy na łowy i słuchamy plotek, biegamy na posyłki i splawiamy natrętów. My za nią żyjemy!

– A skoro o splawianiu natrętów mowa – zaburczał Siłacz. – Szast-prast.

Pchnął Drenana w pierś. Równie dobrze mógł cisnąć w niego worem cegieł. Drenan zatoczył się w tył, krztusząc się. Ręka Siłacza zacisnęła się na jego barku jak imadło, przygięła ku ziemi i zgarnęła ku drzwiom.

– Nie! – jęknął Dubailt.

Drenan zacisnął zęby, aż poczuł smak własnej krwi. Zaparł się piętami o ziemię, dźwignął zdrętwiałe ręce i chwycił dłoń siłacza. Natężył wszystkie mięśnie. Oślepl niemal z wysiłku, ale zdołał oderwać twarde palce od swojego barku. Splunął żelazistą śliną.

– Powiedzcie, gdzie ona jest – wydyszał.

Teraz się nie śmiali. Patrzyli w osłupieniu, a ich twarze wcale nie przypominały już ludzkich. Skóra zdawała się cienka jak papier. Wystarczyłoby przebić ją palcem, a wyciekłoby to, co kryło się pod spodem.

– I ty pozwoliłeś, żeby ten szczeniak dzielił cię po gębie – powiedział Gryzandol powoli. Znów się uśmiechnął, zniekształcając upiornie twarz Anny. – Może i powiemy, gdzie ona jest. Jeśli pokonasz nas wszystkich w tym, w czym jesteśmy najlepsi, podobnie jak właśnie pokonałeś Siłacza.

Wskazał Żarłoka i Opoja, którzy też szczerzyli teraz zęby.

– Oczywiście, będziesz musiał odstąpić nieco od reguły.

– Nie – powiedział Drenan bez namysłu.

Gryzandol odrzucił głowę w tył i zaśmiał się, tak jak w komnacie królowej. Ale tym razem w chłopięcym głosie dzwięczało metaliczne echo, jakby miał w gardle drumłę.

– Nie robi tego! Bliższa reguła sercu niż Anna. To idź precz, biedaku, i sam jej szukaj. Nie znajdziesz.

Może niektórzy czytający zwątpili, czy Anna w ogóle istniała. A jednak była prawdziwa. Żeby zaś zrozumieć, jak zetknęła się z kompanią siedmiu, trzeba się cofnąć o blisko dwadzieścia lat do rycerskiego dworu wśród puszczy, której szept wsączał się w okna dniem i nocą, oczywisty jak wiatr i deszcz.

Anna miała pięć lat i nie chciała jeść. Wpychano jej do ust chleb, drapiący w gardle niczym kość, i potrawkę z królika zimniejszą od ślimaków, aż się dławiła i wszystko wypływała. Ojciec był wściekły.

– Jak wrócę, ma być zjedzone, inaczej skórę ci wygarbuję, że popamiętasz! Starczy, że jeden dzieciak marnieje!

Mówił o braciszku, którego uratował z jamy dziwożony. Braciszek chorował tak, że nie miał już siły płakać. Dlatego właśnie Anna nie mogła jeść: ze strachu o niego.

Ojciec odjechał z tuzinem ludzi. Później się dowiedziała, że poprzedniego dnia zaginął pacholek wysłany po chrust. Krnąbrny chłopak, myślano więc najpierw, że się gdzieś schował, ale gdy minął cały dzień, ruszono na poszukiwania. Nigdy go nie znaleziono. Puszcza wchłonęła go bez śladu.

O tym nieszczęśniku Anna wtedy jeszcze nie wiedziała. Siedziała sama w cienistej izbie. Potrawka krzepła.

Wyrzucę ją na gnój – pomyślała Anna z buntem, ale gdy przypomniała sobie żywego, bystrookiego królika, nie mogła. I wtedy usłyszała:

– Chcesz, to ci pomogę.

Po stole toczyło się ziarno grochu. Nie, nie toczyło się. Kolebało się na długich, pajęczych nogach. Anna ze zdumienia otworzyła usta, a ziarno zrobiło to samo, jakby ją przedrzeźniało.

– Chcesz? – spytało.

Kiwnęła głową prawie bezwiednie. Pękaty człowieczek (bo teraz był to już człowieczek) podciągnął się na krawędź misy. Co stało się później, trudno opowiedzieć. Anna otwierała oczy coraz szerzej, a mięsa i chleba ubywało z każdą chwilą, choć człowieczek nie stawał się wcale większy. Wylizał wreszcie misę językiem prawie tak długim jak jego szyja, powiedział: „Szast-prast” i zniknął.



Nie była pewna, czy jej się to nie przyśniło. Ale jedzenie zniknęło. Nieważne w czym brzuchu.

Po cichutku poszła do izby braciszka. Odkąd ojciec go przywiózł, chłopiec nie odezwał się ani słowem, tylko ssał palce. Potem zaczął je gryźć aż do krwi, dlatego obandażowano mu ręce. Dostał gorączki i od trzech dni leżał w wielkim łożu, podobny do postrzelonej wrony pośrodku śnieżnej równiny.

Wdrapała się do niego. Oddychał chrapliwie. Jego oczy lśniły w półmroku niczym rozżarzone węgle i on sam był gorący niczym węgiel, aż się dziwiła, że pościel wokół niego nie czernieje.

– Wyzdrowiej – szepnęła. – Nie zostawiaj mnie jak ten poprzedni. Tak bardzo chciałam mieć braciszka, a ojciec syna. Modłę się, byś wyzdrowiał i by twoi rodzice się nie znaleźli.

Miała chłodne dłonie, więc przyłożyła mu je do czoła. Zdjęła bandaż z jego rąk i całowała zagojone ranki.

– Zabiorę cię tam, gdzie rosną poziomki – obiecywała. – Pokażę ci szczenięta. Nauczę cię wsiadać na konia.

Obrócił ku niej głowę. Oczy miał nadal zaszkłone, ale zdawało się, że ją rozpoznał i bardzo się nią zdziwił. Z trudem poruszył spierzchniętymi wargami.

– An... na.

Takie było jego pierwsze słowo, po którym wrócił do zdrowia.

Oprócz poziomek i szczeniąt życie w rycerskim dworze składało się jednak ze znoju i trosk. Zrozumiała to w ciągu kilku następnych lat. Trzeba było uprawiać zwierzynę, młócić zboże, prąść wełnę, czyścić stajnię i oborę, pracować pościel, rąbać drewno, robić sery i naprawiać dach, a przynajmniej pilnować, by robili to służący, niezbyt skorzy do tego, by słuchać kilkuletniej dziewczynki. Co i rusz zresztą któryś z nich uciekał tam, gdzie ponoć łatwiej się żyło, bo błędne ognie nie zwodziły grzybiarzy z wąskich drózek, a wilki nie podchodziły pod same okna domostw.

Ojciec jeździł na swoje rycerskie wyprawy. Gdy wracał, spodziewał się zastać wszystko we wzorowym porządku. Dopilnowanie tego spadało na Annę, a Anna była mała i słaba.

Drenan chodził za nią krok w krok. Dźwigał kosze orzechów niemal tak wielkie jak on sam, pasł krowy i mieszał podgrzewane mleko, ale był jeszcze młodszy od niej, chociaż rósł szybko – niestety,

bo wyrastał z ubrań. Sam nie zwracał na to uwagi, ale Annie serce się krajało. Pamiętała jeszcze czasy, gdy każdy w dworze miał zacerowane koszuły i spodnie do samych kostek.

Pewnego wieczora przędała, walcząc z sennością i z rozpaczą myśląc o stosie drewna do porąbania, gdy znów zobaczyła pękatego człowieczka na cienkich nogach. Stał na obmurowaniu kominka.

– Mam kuzynów, którzy mogą ci pomóc. Chcesz? – zapytał.

Spojrzała na przytłaczająco wielki stos kądzieli i kiwnęła głową. Zjawili się natychmiast: jeden cienki i obrotny jak wrzeciono, drugi krępy i mocny jak ćwiek. Ten drugi splunął w dłonie i wyskoczył przez okno. Po chwili od strony stodoły rozległo się łupanie siekiery tak gęste, jakby to grad padał. Pierwszy z przybyszy wziął się tymczasem za kądziel i nim Anna zamrugła, nic szast-prast spłynęła mu spomiędzy palców wartko niczym słoneczny promień. Motek gotowej przędzy rósł w oczach. Zapatrzyła się. Zasnęła. Gdy rano się zbudziła, cała wełna była sprzedziona, całe drewno porąbane w szczapki.

Od tej pory słudzy (troje starców, którzy nie uciekli i jeszcze nie umarli) dziwili się, jak prędko Annie idą najcięższe prace. Słuchała ich pochwał i puchła z dumy.

Nie sama to zrobiłam, ale jakby ja. Radzę sobie ze wszystkim. To ja, ja, ja.

Drenan podrośł wkrótce na tyle, by samodzielnie orać pole, lecz ziemia rodziła niewiele. Krowy się starzały i dawały mniej mleka. Nawet lustro wody w studni opadało coraz niżej. Gdy przyjeżdżał ojciec, kręcił głową i mamrotał: „Skąd ten piach? Kiedyś tu była żyzna ziemia”. Szybko jednak porzucał te myśli, by uczyć Drenana walki mieczem. Po paru dniach znów wyjeżdżał. Mówił, że tropi zwodnice albo ściga bandytów, Anna podejrzewała jednak, że ostatnimi czasy częściej bawi u znajomych rycerzy na ucztach i łowach.

Bo w pobliżu dworu na polowanie nie można już było liczyć. Puszcza, choć wciąż tak samo zielona, pustoszała. Sarny nie wybiegały na polany, ptaki przelatwały rzadko i nigdy nie śpiewały. Dobrze, że i wilków nie było. Anna wiedziała, że jeśli nie ususzą dość dziczyzny, nie przetrwają zimy na skąłym zapasie zboża i rzepy. Drenan już przeraźliwie wychudł. Gdy smarowała mu



żywokostem siniaki nabite przez ojca, zdawało jej się, że kości zaraz wyskoczą mu spod skóry.

Zakładała więc wnyki coraz dalej od domu, lecz zawsze znajdowała je puste. I wtedy...

– Mamy kuzynów, którzy mogą ci pomóc – powiedział Chyży, opierając się o omszałą kłodę. – Jeśli chcesz.

Anna dorosła już na tyle, by zawahać się i spytać, czego chcą w zamian. Chyży, Siłacz i Żarłok popatrzyli po sobie. W lesie wydawali się wyżsi, ale ich twarze pozostawały ledwie załążkiem twarzy, jakby dziecko ulepiło je z gliny.

– Tylko być przy tobie, nic więcej.

Pomyślała o pustej spiżarni i wystających żebrach Drenana. Kiwnęła głową.

Wyszli z migotliwego cienia pod wiązem, odziani w liście i mech. Stali tak blisko siebie, że w pierwszej chwili wzięła ich za jedno dwugłowe ciało. Jeden nasłuchiwał przez chwilę, poruszając uszami jak koń. Szepnął coś do drugiego, który zakręcił procą i posłał kamień w gęstwinę. Chyży pomknął śladem pocisku tak, że tylko liście się za nim zakołysały. Wrócił lada chwila i kiwnął ręką na Siłacza, by poszedł z nim.

Anna tylko patrzyła na to wszystko w oszołomieniu. Wieczorem, po żęciu, Drenan zastał ją na podwórzu przy oprawianiu potężnego jelenia. Z podziwu mało nie upuścił sierpa.

– Anno, ty go upolowałaś?

Tropiciel wytropił, Strzelec postrzelił, Chyży odnalazł, Siłacz przyniósł.

To ja, ja, ja.

Tej jesieni umarł ostatni sługa i zostali we dworze tylko we dwoje. Gdy chwyciły mrozy, wpuszcili ostatnią krowę do sieni i spali w jednym łóżku z ostatnią, bezzębną suką ułożoną w nogach. Zjadali po trochu mięso jelenia i chodzili po pustym, białym lesie. Wiezorami Anna przędła, wymyślając bajki, a Drenan robił na drutach.

Było im wtedy dobrze jak nigdy przedtem ani potem. Wiedziała, że nie może to trwać wiecznie. Dwór upadał i kiedyś nadejdzie czas, by go opuścić. Odsuwała jednak tę chwilę ze względu na Drenana.

Czuła, że świat jest rozleglejszy i trudniejszy niż ich dotychczasowe życie. Ona sobie poradzi, ale on – ze swoją prostotą – nie.

Na krótko zrobiło się nieco cieplej i zjawił się ojciec. Potwornie rozgorączkowany, miotał się po całym dworze, nigdzie nie mógł sobie znaleźć miejsca i na wszystko narzekał. Podczas ćwiczeń z Drenanem po raz pierwszy dał sobie wytrącić miecz z ręki, co strasznie go rozjuszyło. Odjechał po paru dniach, a oni poczuli taką ulgę, że aż napili się miodu, żeby to uczcić.

Przyjemnie ocieźiali, patrzyli w ogień, głaskali sukę i słuchali, jak wiatr wyje w kominie. Anna myślała mętnie o wiośnie.

Drenan się poderwał, wciągając ze świstem powietrze. Pomyślała, że przysnął i ocknął się nagle, i chciała rzucić jakiś żart. Słowa zamarły jej na wargach, gdy wstał i (równie szybko jak Chyży, z równą łatwością co Siłacz) chwycił za kark przerażoną sukę, i podniósł ją jak szczeniaka pod samą powałę.

– Co robisz?

Nie odpowiedział. Suka z bezradnym skomleniem wiała się w jego uścisku, a on patrzył na nią nieodgadnionym wzrokiem. Anna zawołała go parokrotnie po imieniu, najpierw z gniewem, potem z narastającym przestachem. Zdawało się, że to jej lęk go przeraził. Wzdrygnął się i opuścił sukę na ziemię. Uciekła natychmiast ze zjeżoną sierścią.

– Co się stało? – spytała Anna.

Przełknął ślinę, obejmując się ramionami. Spróbowała spojrzeć mu w oczy, ale odwrócił twarz. Miała już zostawić go samego z jego fochami, kiedy z gardłowym jękiem osunął się na kolana. Drżał na całym ciele i nie bronił się, kiedy uklękła i go objęła.

– Nie będę więcej jadł – wyszeptał w jej bark.

Spróbowała się roześmiać.

– Nie możesz przestać jeść.

– Więc będę jadł bardzo mało. Bo chociaż więcej niż bardzo mało, to nadal mało, i tak komuś może zrobić krzywdę.

Nie zdążyła spytać, o co mu chodzi, bo w tej samej chwili na podwórzu rozbrzmiały siarczyste przekleństwa. Wrócił ojciec, ledwie kilka godzin od wyjazdu. Zdarł sobie całkiem głos bluźnierstwami i pieklił się teraz ochryple, że nie mógł znaleźć drogi.



– Do czego to podobne! – wrzeszczał, wymachując batem. – Taka pogoda w zimie, w środku dnia! Mgła choć oko wykol!

Anna zacisnęła dłoń na futrynie drzwi. Popatrzyła na śnieg skrzący się w słońcu i na niebo podobne do błękitnego kryształu.

– Ojciec – powiedziała. – Nie ma żadnej mgły...

Odwrócił się w jej stronę. Szukał jej rozbieganym, mętym wzrokiem. Niespodziewanie wybuchnął płaczem i byłby upadł w śnieg, gdyby Drenan do niego nie podbiegł. Wsparty na jego ramieniu, ojciec dał się wprowadzić do środka i posadzić przy ogniu.

Zdaje się, że to prawda: można wypłakać oczy, bo gdy pod wieczór ojciec, skurczony nagle jak starzec, otarł ostatnie łzy, źrenice miał zupełnie powleczone bielmem. Nazajutrz rano oświadczył, że składa śluby i wstępuje do klasztoru.

W ten właśnie sposób, całkiem inaczej niż się Anna spodziewała, nadeszła chwila wyjścia z puszczy w świat.



Nie jeden rycerz, nagrzeszywszy i narozlewawszy krwi za młodu, na starość wyrzekał się tego, do czego już i tak nie był zdolny, i szukał wytnienia w klasztornych murach. Opat nie zdziwił się więc, gdy pewnego wiosennego dnia stanął przed nim siwobrody ślepiec, złożył ofiarę z wilczych oraz bobrowych futer i oświadczył, że chce zostać mnichem. Szkoda, że dwóch młodzieńców, którzy go przywieźli, nie pragnęło tego samego. Silnych rąk do pracy zawsze brakowało.

Anna przed wyruszeniem w drogę ścięła warkocz i założyła męski strój, zresztą za radą ojca, który snuł wizje potworności czekających kobietę w szerokim świecie. Wyrosła szczupła i strzelista jak brzoza, wszędzie po drodze brano ją więc za chłopca, co nawet ją bawiło. Przybrała sobie imię „Gryzandol”, równie wymyślne jak prosta była „Anna”, i gorąco prosiła Drenana, by się przypadkiem nie pomylił, gdy będzie się do niej zwracał.

Jeszcze goręcej prosiła go, by przestał się głodzić, ale on uparcie poprzestawał na paru kęsach chleba dziennie. Na razie nie uszczupliło to jego sił, lecz Anna się bała, że pewnego dnia Drenan padnie nagle bez życia. Nie miała jednak serca go przymuszać, skoro gdy

pościł, czuł się bezpiecznie: odmawiał jedzenia z gwałtownością, w której dało się dostrzec strach.

Wychudł strasznie i jeszcze bardziej zbrzydł, choć trzeba powiedzieć, że dopiero teraz, na tle innych ludzi, dostrzegła jego szpetotę. Po raz pierwszy też zaczęła się zastanawiać, jak sama wygląda. Próbowwała zobaczyć się w wodzie i w wypolerowanym metalu i nawet z początku wydawało jej się dziwne, że patrzy na swoje odbicie jak na coś odrębnego od siebie.

Wreszcie dotarli na królewski dwór i tam się okazało, że jest wystarczająco ładna, by królowa chciała mieć ją za pazia. Dostała szkarłatny kaftanik, nogawice i czapkę z piórem sójki, a utraciła bliskość Drenana. „Tęgi chłop” – zakrzyknięto i zrobiono go najpierw giermkim, a wkrótce potem rycerzem zakonu Świętego Jerzego. Z radością przyjął regułę jako uzasadnienie dla swoich postów i wydawał się nie zauważać, że wszyscy patrzą na niego jak na padlinę.

Kiedys Anna się bała, że jego prostota obróci się przeciw niemu. Teraz widziała, że była to dla niego najlepsza ochrona, na jaką ona sama nie mogła liczyć. Wpadła w wir dworskiego życia i próbowała nie upaść mimo oszołomienia, ale zbyt często się potykała. Śmiało się z tego, jak mówiła, jak kroїła mięso i jak sznurowała buty, bo tutaj to wszystko robiono inaczej. Z rzeczy prostych i jasnych drwiono. Na dworze trzeba było spełniać rozkazy, które wydawały się podłe, czuwać mimo zmęczenia, próżnować mimo nudy, słuchać plotek mimo wstrętu, śmiać się mimo smutku, jeść mimo sytości. Wszystko było na niby i niczego prócz „na niby” nie było. Nawet posty polegały na tym, że na stołach stawiano bobrowe ogony zamiast kielbasy i migdałowe mleko zamiast krowiego.

Trzeba też było pić – nie kubek czy dwa, lecz cały dzban, choćby żołądek podpełzał już kwaśno do gardła. Jeśli odmawiała, zaczynały się drwiny, a że nigdy wcześniej ich nie doświadczyła, każda była dla niej jak policzek.

Wyrwała się raz z paziowskiej popijawy, by zaczerpnąć powietrza na dziedzińcu. Oparła ciężką głowę o kolumnę i z rozpaczą pomyślała, że będzie tam musiała wrócić.

– Jeśli chcesz – rozległ się przy jej uchu niski głos – mamy kuzyna, który może ci pomóc.



Spojrzała na nich w oniemieniu. Ledwo ich poznała. Byli wyżsi od niej, barczyści, odziani w modnie wycinane kaftany i trzewiki z długimi noskami. Wydawali się bardziej zadomowieni na dworze niż ona.

Usłyszała wybuch śmiechu z izby, w której bawili się paziowie, i kiwnęła głową. Wtedy dołączył do nich kaprawooki Opój, z bulwiastym nosem poprzerzynanym purpurowymi żyłkami. Położył jej na ramieniu rozlazłą łapę i powiedział, żeby się niczym nie martwiła i niczemu nie dziwiła.

Reszta paziów powitała jej towarzyszy jak bliskich znajomych. Wśród powszechnych uścisków i klepania po plecach jej też do stała się sowita porcja serdeczności. Zaczynała już sądzić, że to ona wzięła ich za kogoś, kim wcale nie byli, ale naraz dostrzegła coś jeszcze bardziej niezrozumiałego.

Za każdym razem, gdy napełniano na nowo kielichy i wznoszono toast, Opój wychylał go za nią, duszkiem, szast-prast. Wszyscy jednak zachowywali się tak, jakby to ona piła i z uznaniem mówili: „Gryzandol jednak ma mocną głowę, czemu się z tym ukrywał?”.

Odtąd działo się tak już ze wszystkim: Opój za nią pił, Żarłok ucztował, Tropicieł słuchał plotek, Strzelec komplementował bogate panny, Siłacz z nimi tańczył, Chyży nosił liściki do wszystkich kochanków królowej, a każdy, kto miał z nimi do czynienia, znajdował upodobanie w Gryzandolu jako sprawcy tego całego fałszu.

Tak jakbym ja to była, rozprysnięta na siedem części. Ale to nie ja, nie ja, nie ja.

Zostawiała ich tylko wtedy, gdy przyjeżdżał Drenan, ten sam co zawsze mimo zbroi i miecza. Z początku ją onieśmiały. Prawie go spytała, czy kogoś już zabił i czy naprawdę tak bezwzględnie, jak mówiono, ale ugryzła się w język. Gdy brodzili w rzece, patrząc na czaple, lub gdy przesypywał jej na dłoń znalezione jagody, był po prostu jej braciszkiem.

Czasem, chyba coraz częściej, przychodził do niej z wielkim smutkiem. Długo musiała pytać, nim opowiedział jej mętnie i mozolnie o tym, co nazywał głodem.

– Inni – powiedział – mogą się najeść, napić, nacieszyć. Ale ja nie. Mnie nigdy nie będzie dosyć. Będę chciał więcej i więcej, bez końca.

Zdawał się przekonany, że jest bezpieczny, póki przestrzega reguły. Uspokajało go to, więc go w tej wierze utwierdzała. Bardzo

się starała być mądrą pocieszycielką, zwłaszcza odkąd pojęła – na poły z niepokojem, na poły z dumą – że on wprawdzie jest dla niej braciszkiem, ale ona dla niego boginką.

Unikała mówienia o własnych zmartwieniach, póki nie odkryła, że dwór to nie tylko błędne koło rozrywek, ale też kłębowski intryg. Tego dnia królową oskarżono o cudzołóstwo z paziem Gryzandolem.

– Akurat ze mną! To jej chcą zaszkodzić, nie mam pojęcia kto, ale przecież nie jej utną głowę za obrazę króla – mówiła gorączkowo Anna i obgryzała paznokcie do żywego mięsa. – Najwyżej odeślą ją do klasztoru. Mnie nie uchroni wysoka godność. Za mną nikt się nie ujmie. Pewnie dlatego na mnie właśnie padło. Mogę zrobić tylko jedno. Ujawnić, kim jestem...

Gardło jej się ścisnęło. Ratunek był niemal równie straszny jak skazanie za grzech, którego nie popełniła. Co się z nią stanie, gdy przyzna się do oszustwa – na tym dworze, gdzie tak ważne było to, by każdy właściwie odgrywał swą rolę?

Drenan stał z założonymi rękami, patrząc na krę sunącą nurtem rzeki. Anna myślała już, że nie rozumiał, o czym mówiła. Zaskoczyło ją, gdy się odezwał.

– Załadaj pojedynek sądowego.

Zaśmiała się niewesoło.

– Nie umiem walczyć.

– To sąd boży. Poza tym – oparł dłoń na mieczu – to ja będę walczył.

Pobladła. Próbowwała go odwieść od tej myśli, ale odparł, że jeśli ona nie załaduje pojedynku, sam to zrobi. Wtedy stchórzyła podwójnie: po pierwsze zgodziła się, po drugie nalegała, by powiedział, że chce walczyć w obronie królowej, i nie wspominał o Gryzandolu.

Jeszcze raz usiłowała go skłonić, by się wycofał, gdy się okazało, że jako oskarżyciel do walki stanie niezrównany Galwan, czy to przekonany o winie królowej, czy to przekupiony. Drenan jednak nie ustąpił. Chciał chronić ją jeszcze mocniej, niż Anna chciała chronić jego.

Właściwie pierwszy raz miała wtedy zobaczyć, jak walczy, jeśli nie liczyć ćwiczeń z ojcem, w których zwykle ponosił klęskę. Gdy stała na dziedzińcu w tłumie gapiów przybyłych na pojedynek, nie pamiętała, że podczas ostatniej walki zwyciężył.



Król siedział na podwyższeniu, gładząc z namysłem brodę. Królowa, cała w bieli i błękicie jak uosobiona niewinność, skinęła dłonią Drenanowi, który nawet tego nie zauważył. To Galwan się jej uklonił, nim zamknął przyłbicę.

Ruszyli na siebie z chrzęstem zbroi. Tłum patrzył w napięciu. Anna nie miała siły zamknąć oczu. Zdawało się, że w żyłach nie ma ani kropli krwi.

– Czy nie byłoby wspaniale – szepnął Siłacz – nie musiec na nim polegać?

– Nie musiec go narażać? – dodał z drugiej strony Tropiciel.

Zgrzytnęło żelazo, miecz o tarczę, miecz o miecz, ostrze błysnęło tuż przy głowie Drenana i Anna zachłysnęła się krzykiem, ale nim jeszcze przebrzmiał, Galwan przeokoziółkował z łoskotem i szczękiem, znacząc ziemię strużką krwawych kropel.

Wśród ludzi się zakotłowało. Niepewni, co się stało, podbiegali do Galwana i podnosili go na rękach, jakby to on zwyciężył. Drenan zdjął hełm i otarł miecz – najpierw o śnieg, potem o skraj tuniki.



Chyba tylko on ani chwili nie wątpił, że wygra.

– Przecież to sąd boży – powiedział i dołożył drewna do ogniska. – A ty jesteś niewinna.

Nie chciał nocować na zamku, nawet w styczniu. Odprowadziła go więc do kotlinki, gdzie obozował. Jutro już miał stąd odjechać. Król wyznaczył mu zadanie.

Siedzieli tuż przy ogniu, na posłaniu z suchych liści, przykryci jedną derką. Anna nie chciała jeszcze się z nim żegnać, zwłaszcza że teraz wiedziała już, jak szybkie i straszne są rycerskie potyczki, jak mgnienie oka dzieli w nich życie od śmierci.

– Nie boisz się jechać sam?

– Sam, nie... Zresztą jest Dubailt.

– Kto taki?

– On mi powiedział, jak się nazywasz – wymamrotał już z zamkniętymi oczami. Głowa opadła mu na pierś. Bredził w półśnie.

Otuliła go derką, pocałowała w czoło i ruszyła na zamek, myśląc, że to siebie powinna raczej spytać, czy nie boi się być sama.

Późno dotarła na miejsce. Kogo innego niż Gryzandolą, przedniego kompana i na dodatek niewinnego, pewnie by strażnicy nie wpuścili.

Tak, to ja, Gryzandol. Ja, ja, ja.

Bardzo już zmęczona, przez uśpione korytarze powlokła się do izb paziowskich.

Nagle w ciemności poczuła czyjś oddech na karku. I dłoń między udami. Zamarła.

– Tak myślałem, że żaden z ciebie Gryzandol – powiedział król. – Szczęśliwie nie gustuję w chłopcach, a ty wpadłaś mi w oko.

Chciała się wyrwać, ale chwycił ją w pól.

– No już, już. Jestem przecież mniej szkaradny niż twój gach.

– Gach? – powtórzyła zdrtwiałymi wargami.

– Słyszałem, jak pisnęłaś, kiedy Galwan mało mu nie rozwalil łba. Dotknął ustami jej ucha. Zadygotała.

– Chyba nie chcesz, by twoja tajemnica się wydała?

Tajemnica, dla której Drenan narażał życie.

– Poza tym wiesz, że los rycerzy Świętego Jerzego jest w moich rękach. Więc, piękna panno, zaklinam cię na Boga, zechcij przyjść do mnie. Jeszcze dziś. Drzwi znajdziesz za arrasem z jednorożcem.

Wcisnął jej klucz w rękę i zostawił ją, zimną jak zwłoki. Osunęła się na posadzkę, ściskając w dłoniach pulsującą głowę.

Dlaczego...? Co się stanie z Drenanem, jeśli nie pójdę? Co będzie ze mną, jeśli pójdę? Niemożliwe, to nie mogło mnie spotkać, nie mnie. Ale pali mnie jeszcze ten brudny dotyk. Mnie, mnie, mnie. Nie sposób tego od siebie oderwać, chyba żeby przestać istnieć.

Stanęli nad nią kręgiem. Nachylili się nisko, ale nie słyszała, by oddychali. Czuła tylko ich cienie, podobne do całunu.

– Mamy kuzyna – szepnęli. – Może ci pomóc. Ze wszystkim. Jeśli chcesz.

– A Drenan?

– Nim też się wreszcie zaopiekujemy.

Zadrżała. Zaciśnęła powieki i szybko, żeby się nie rozmyślić, kiwnęła głową. Niemal natychmiast z ciemności korytarza odezwał się głos. Nowy, ale nie obcy.

– Załatwimy się z tym szybko – powiedział Gryzandol. – Szast-prast.



III

W ięc wszystko zmarniało?

– Tak. Dach się zapadł. W kominku mieszka wąż.

– To musi być klątwa.

– Klątwa?

Zamiast odpowiedzieć, ojciec zagderał:

– Czemu Anny z tobą nie ma?

Jako siwy, wyschły mnich, grzejący kości na ławie przy klasztornej studni, nie był wcale łagodniejszy niż za młodu.

– Trzeba było mieć samych synów. Oni nie zawodzą. – Pomacał tarczę Drenana, jakby chciał wyczuć namalowany na niej krzyż. – Miałem rodzzonego syna, wiesz? Dziwożona go porwała. Już wcześniej musiała rzucić na niego klątwę, bo ciągle chorował. A jednej nocy zniknął bez śladu. Zostało tylko parę włosów na poduszce. Moja żona, matka jego i Anny, nie przeżyła tej straty.

Szukałem leża potwora jeszcze długo po jej śmierci. Do końca się łudziłem, że znajdę dziecko żywe. Ale może to właśnie jego kości wskazały mi drogę, diabli wiedzą. Bieleły pod jałowcem, czystiutkie, drobne jak ptasie. Jamę znalazłem tuż obok. Wejście było tak niskie, że musiałem się czołgać, a od fetoru bebechy mi się wywracały na lewą stronę. Świeca ćmiła w zaduchu. Ziemia tam była mazista, przesiąknięta juchą, walały się jakieś ochłapy przemieszane z pleśnią i łajnem, ostatnie plugastwo. Czerwie pękały mi pod kolanami.

Potem się zrobiło luźniej i tam była ona. Leżała na kupie zbutwiałych skór, robactwo pełzało jej po pysku, a ona spokojnie trawiła. Nie wiem, chyba całego zebra, sądząc po tym rozdętym bandziochu. Na mój widok zawyla i popędziła na czworakach głębiej w te przeklęte korytarze. Prosto do ciebie. Wyobrażasz sobie takie bestialskie nienasycenie? Jeszcze chciała cię zeżreć, zanim zdechnie. Rozrąbałem jej grzbiet, urznąłem łeb, a łapy jeszcze trzymały cię mocno. Nic dziwnego, że darłeś się wniebogłosy. Gębusię to miałeś paskudną, nie powiem. Zresztą zostało ci to i później. Przyznaję, zabolalo, jak zobaczyłem, że nie jesteś mój. Ale potem sobie powiedziałem: dobrze, udało się cudzego dzieciaka uratować. I do dziś, jak mnie kto spyta, to powiem, że nic lepszego w życiu nie zrobiłem. Nawet jeśli trochę mnie to kosztowało.

Bo to dziwne, że majątek się tak później posypał, nie? Myślałem nad tym i to musiała być klątwa tej plugawej baby. Coś tam charczała, zanim ją dobiłem. Powinienem był zabrać was i jechać precz z puszczy. A ja, głupi, tkwiłem tam jak koł, nawet gdy zaczęły się te głosy.

– Jakie głosy? – spytał Drenan.

Ojciec odchrząknął, splunął, zaszurał stopami zażenowany i odparł:

– Ilekroć jechałem sam przez las, szeptały, że jeśli zechcę, mogę znowu zobaczyć syna, tego pierwszego, i żonę. Wiedziałem, że to jakieś, tfu, złe siły, i nawet nie słuchałem, ale one gadały coraz głośniej, coraz uporczywiej. Aż wrzasnąłem na nie, żeby szły do diabła, gdzie ich miejsce, bo niczego...

Głos załamał mu się niespodziewanie. Ojciec zwiesił głowę, chowając pomarszczone dłonie w rękawach habitu.

– Huknąłem: „Niczego nie chcę oglądać!” I posłuchały...



Drenan długo jeszcze siedział samotnie przy studni, nie widząc spojrzeń, które rzucali mu mnisi spieszący do pracy i na modlitwę. Nie drgnął nawet, gdy dzwoniono na nieszpory. Zdawało mu się, że serce zaraz rozerwie mu ciało jak pocisk, tak było ciężkie.

– Nigdy nie opowiadał całej historii – powiedział Dubailt, przechylając się przez cembrowinę. Jego głos odbijał się głuchym echem od kamienia i wody. – Co myślisz?

Drenan milczał dłuższy czas, nim zdobył się na odpowiedź.

– Tyle się mówi o dziwożonach, które porywają ludziom dzieci. Ale tym razem... tym razem zdaje mi się, że było na odwrót.

Z bezbrzeżnym żalem przesunął dłonią po tarczy. Chciał się modlić, ale za bardzo się bał.

– Dubailt...

Cisza.

– Dubailt! – Drenan odwrócił się gwałtownie, bojąc się, że go tam nie zobaczy. – Dubailt, ty powinienesz być jej bratem.

– No, zapewne, zapewne. – Dubailt odwrócił się i oparł łokciami o cembrowinę. – Tyle że ze mnie zostało tylko wspomnienie. Wiesz, że Anna ma tylko ciebie.

On też miał tylko ją. Tylko ją i już nic do stracenia.





Nie znalazłszy Anny w zrujnowanym dworze ani w klasztorze jej ojca, Drenan w noc świętojańską wrócił do królewskiego zamku. Było prawie tak, jakby wcale nie wyjeżdżał. Sztandary przed bramą te same, choć barwy trochę z nich spęłży. Na dziedzińcach strzelały iskrami płomienie tak wysokie, że przesłaniały gwiazdy. Wiły się cienie tych, którzy tańczyli wśród dudnienia bębnów i gwizdu piszczałek. Błazny fikały koziołki, błyskając nagimi pośladkami. Psy walczyły o wołową kość, parobcy pobili się, bo jeden z nich spojrzał krzywo. Spod zapachu bylicy przebijały kwaśne ludzkie odory, smród potu, moczu i wymiocin. Pijani zataczali się bardziej niż wielka niedźwiedzica, która na górnym dziedzińcu podrygiwała ku rozrywce możnych.

Kompania Gryzandola biesiadowała w wianuszkach paziów i pokojówek, duszących się ze śmiechu. Nie potrafiliby powiedzieć, czemu brała ich ta dzika, niepowstrzymana wesołość. Ledwo pamiętali, jak się nazywają. Było im z tym cudownie.

Drenan stanął między nimi, naprzeciwko Gryzandola, prze-drzeźniającego jakąś starą damę. Paź umilkł w pół słowa, a wszyscy wokół podążyli za jego spojrzeniem jak pociągnięci za sznurki. Nie od razu poznali Drenana. Bez zbroi dopiero dostrzegało się jego wychudzenie: sama skóra i grube kości.

– Wyzwanie – powiedział. – Przyjmuję je.

Twarz pazia rozpełka się w uśmiechu.

– Usiądź, mości rycerzu. – Zerknął na Opoja, zatopionego w swoją nalaną tuszę niczym nasiono cisu w osnówkę. Gwizdnął na palcach. – Przynieście wina!

Podniosły się się podniecone wiwaty. Chciwa uciecha zakipiała żywiej w ludziach, bo Drenan od Świętego Jerzego dał się wreszcie nawrócić siedmiu zuchom.

Opój odepchnął podany mu kielich i sięgnął po dzban. Odchylił głowę w tył i wyłopał wszystko duszkiem. Nie uronił ani kropli. Zdawało się, że razem z winem łyka namiętne podziw gapiów. Z hukiem odstawił naczynie i otarł purpurowy nos, patrząc, jak Drenan podnosi dzban do ust. Ludzie wśród rechotów robili zakłady, ile

łyków wystarczy, żeby go powalić. Im dłużej jednak Drenan pił, tym głośniejszy odzywały się jęki zawodu kolejnych przegranych. Gdy opuścił dzban, ucichli wszyscy. Schylił niżej głowę. Spodziewali się, że runie zaraz pod stół jak martwy. Gdyby jednak widzieli jego oczy, nie zobaczyliby w nich ośpienia. Może nawet już wtedy poczuliby lęk.

Dziwna niby sen była ta noc i nikt później nie wierzył we własne o niej wspomnienie. Znoszono coraz to nowe dzbany, toczono beczki, uwijano się jak przy gaszeniu pożaru. Tłum gęstniał, a w ścisku mieszały się urwane słowa i zwielokrotnione przekleństwa. Sam król pokrzykiwał, jakby to w niego wlewało się całe wino. Trefnisie już nie skakali. Niedźwiedzica stanęła za ostatnim kręgiem gapiów i wyciągnęła szyję. Wyglądała teraz jak olbrzymia, kudłata kobieta odziana w skórę, ale nikt nie zwrócił na nią uwagi, bo każdy patrzył tylko na stół, przy którym na każdy dzban wychylony przez Opoja Drenan odpowiadał dzbanem. Już od dawna ich nie liczono. Liczenie obnażyłoby tylko to, co wszyscy i tak przeczuwali: niemożliwe, by ktokolwiek tyle wypił i nie tylko nie padł trupem, ale w ogóle pomieścił w sobie tak dużo.

Wreszcie rozległ się okrzyk, w który kiedy indziej nikt by nie uwierzył.

– Zabrakło wina!

Drenan podniósł wzrok i pierwszy raz spojrział na purpurową twarz Opoja, wilgotną jak butla z zimną wodą.

– Zabrakło wina – powtórzył, bez cienia uśmiechu, nie bardziej bełkotliwie niż zwykle. – Czy mamy się przerzucić na piwo?

Gryzandol od dłuższej chwili szeptał z resztą kompanii i zerkał na Drenana niespokojnie.

– Wystarczy – powiedział. – Zmierz się teraz ze Strzelcem.

Strzelec już się przeciągał i rozgrzewał barki. Obejrzał się na tłum, budząc śmiechy uznania i tęskne westchnienia. Naciągnął łuk trzykrotnie, a strzały frunęły pomiędzy jego palców, jakby wcale nie celował. Pierwsza wbiła się w środek tarczy, druga rozszarpała pierwszą w drzazgi, trzecia, nim zrobiła to samo z drugą, przeszła jeszcze jabłko rzucone przez Żarłoka. Okrzyk podziwu wzniósł się ze stu gardeł, sto par oczu zwróciło się na bladego, czarnookiego Drenana, który dopiero podnosił się ociężale.

Jednak się upił – pomyśleli niektórzy z otuchą.



Niezbornymi palcami zahaczył o łuk i strzelił jakoś w poprzek. Gruchnął śmiech, bo strzała nie trafiła nawet w poblizze tarczy, poleciała krzywo, w bok...

I przeszła na wylot gardło Strzelca.

Śmiech jeszcze nie przebrzmiał, gdy rozległ się pierwszy wrzask. Tylko kobieta w niedźwiedziej skórze nie ruszyła się z miejsca. Inni pierzchali na oślep, jakby uderzył nad nimi grom, w jednej chwili strąceni z euforii w panikę.

Uciekał też Chyży. Jak zając gnał tuż przy ziemi: przez dziedzińce, za bramę, na zbocze i pola, na których zboże gięło się od jego pędu. Obejrzał się i krzyknął z przerażenia, widząc Drenana.

Wpadli w las. Chyży cały rozsnuł się w długie nogi, każdym uderzeniem stopy wyrzucał w górę płaty mchu. Przyspieszył na widok wąwozu, za którym już rysowały się sękaty drzewa puszczy.

Skryję się w dziupli i będę bezpieczny.

Drenan spadł na niego jak jastrząb na gołębia. Splątali się, splekli, potoczyli na samo dno jaru, między kamienie i glinę.

– Wygrałeś – jęknął Chyży.

– I to jeszcze za mało – odparł Drenan.



Znaleźli go dzięki Tropicielowi. Na czworakach spelzli pajęczko na dno wąwozu. Otoczyli Drenana, nieruchomego jak czarny głaz. Niespokojnie rozejrzeli się za Chyżym.

– Mości Drenanie... – zaczął Gryzandol. Odchrząknął. Zmagał się z maską, dla której został wywołany z puszczy. Łatwiej mu ją było odrzucić w chwili triumfu niż klęski. – Wybacz. Nie poznaliśmy, że jesteś jednym z nas.

– Za pierwszym razem – wymamrotał Drenan – zemdliło mnie, gdy tylko poczułem smak na języku. Wyplułem ze strachu. A jednak chciałem więcej.

– Porzucmy spory – ciągnął Gryzandol przymilnie. Jego twarz wydłużyła się jak lisi pyszczek. – My ci powiemy, gdzie jest Anna, ty nam powiesz, gdzie jest Chyży, rozejdziemy się w pokoju.

– Tym razem – powiedział Drenan, nie słuchając – nie ma ani mdłości, ani lęku...

Dźwignął się na nogi. Tropiciel syknął ostrzegawczo, ale już było za późno. Ten, który dopiero co brylował na pierwszym dworze świata, nie zdążył zrobić nawet kroku: wśród ścian wąwozu rozbrzmiał chrzęst jego miażdżonej czaszki.

Bezdeny głód zagarnął go w siebie, rozerwał i pochłonął, i nadal płonął z bólu niezaspokojenia. Przełał się w ścigające zdobycz nogi, w chwytające ją ręce, w zęby, które szarpały, darły, gruchowały i meły. Bez końca, bez wytchnienia, bez litości, byle zapłacić rozwartą, łaknącą otchłani.

Zdawał się nienasycony, a jednak wreszcie się nasycił. Wzdęty z przeżarcia, wypełził z wąwozu, szorując obrzmiałym brzuchem po ziemi. Wcisnął się jak robak w jamę między korzeniami i tam, w łonie żarłocznej ziemi, zapadł w sen.



– Zbudź się!

Skulił się, próbując wczłochać się głębiej w ciemność. Tamten jednak nie ustąpił. Uderzył go w twarz, kopnął po nerkach, siłą wyrwał spomiędzy korzeni i rzucił w zbutwiałe liście.

Między drzewami wschodziło krwawo słońce. Wyciągnął po nie rękę, czerwoną jak ono.

– Zbudź się, Drenan!

Wyciągnięta dłoń zwinęła się wpół. Słońce było teraz tam, gdzie żar jego brzucha.

– Nie – jęknął. – Nie chcę.

Zacisnął powieki, ale Dubailt rozwarł mu je siłą.

– Ocknij się, Drenan, na miłość boską...

Do niej też straciłem prawo – pomyślał Drenan.

Zgiął się nagle, targnięty nudnościami. Żołądek dygotał w nim, burczał i bulgotał. W gardle wzbierała słono-kwaśna fala, gęsta i ciemna jak glina-żywica-krew. *Niech się wyleje* – zapragnął, ale ona zastygła i zaraz spłynęła ołowianym ciężarem w dół, rozdeła trzewia i przygniotła pęcherz.

Wstał chwiejnie i odwrócił się od Dubailta, trzymając się drzewa. Mocz trysnął spienioną, czerwoną strugą. Drenan wzdrygnął się i prawie upadł we własne nieczystości. Żołądek znów



stęknął w nim obrzydliwie i oblepił podniebienie słonym posmakiem.

Wstręt i wstyd, póki tylko będę istniał.

– Anna... – zaczął Dubailt.

– Nie będzie chciała mnie znać.

– Więc co, zostawisz ją samej sobie? Weź się w garść. Stało się to, czego się bałeś, ale przynajmniej wiesz teraz, gdzie jej szukać.

Miał rację, po tysiącokroć miał rację. Gdy Drenan przełknął ślinę, w gardle czuł palący smak wspomnień istot, które przekonały Annę, że jej pomagają. Gdyby się skupił, zdołałby pewnie przywołać ich cienie, podobne do cienia Dubailta. Wiedział teraz wszystko i było to sto razy gorsze niż najbardziej dojmujący głód.

Słaniając się na nogach, brnął przez puszcze, do której nie dotarło lato. Tu wiecznie trwał ten sam przyczajony chłód, tchnąca pleśnią wrogość. Drzewa poznawały go i odginały gałęzie ze wstrętem – czy ze czcią? Zamknął oczy i szedł dalej, powtarzając głośno imię Anny, jakby mogło zmyć z niego cały brud.

Zapadał zmierzch, kiedy ją odnalazł, tak jak ją zostawili – daleko, daleko, po drugiej stronie puszczy. Nad ruczajem chyliła się wierzbą, a w jej cieniu i w szmerze wody stała trumna, cała z kryształu. Oddech uwiązał mu w gardle. Za szybą jaśniała znajoma, pociągła twarz. Płowe włosy, rudy pieprzyk pod okiem, lewy kącik ust odrobinę wyżej niż prawy. Wąskie, szorstkie dłonie, z blizną od sierpa.

Anna.

Jednym szarpnięciem zerwał wieko trumny. A potem – spętała go wątpliwość.

Anna chciała uciec ze świata. Miał ją zmuszać do powrotu w niepokój i ból? Nie. Więc co? Co innego mógł jej dać?

Siebie? Potwora?

Dotknął jej policzka. Była taka zimna. Wargi jej posiniały. Jego nadal wypełniał żar.

Położył się obok niej, wsuwając ramię pod jej głowę. Odwróciła się do niego przez sen. Złaskł się, że się zbudzi, ale nie otworzyła oczu.

Dobrze. Tu byli bezpieczni.

Nasunął wieko na nich oboje. Ostatni raz spojrział zza szyby na płaczącą wierzbę i zamknął oczy.

Trumnę łatwiej jest otworzyć z zewnątrz niż od środka, dlatego wrócić musimy do kobiety-niedźwiedzicy, która jako jedyna nie zaznała strachu w noc świętojańską.

Nazywała się Mab i zawsze kierowała się ciekawością. Z ciekawości przybyła na królewski dwór, gdy od nieszczęśliwej dziewczyny uczulonej na woń róż usłyszała, że to piekło na ziemi. Z ciekawości też zaczęła szukać nienasyconego rycerza. Szukała długo: całe lato i jesień, aż zaczęła się śnieżyca.

Mab brnęła w ciemnościach przez zasy, mrużyła oczy i wydmuchiwiała śnieg z nosa. Zamek zauważyła dopiero wtedy, gdy prawie zderzyła się z murem. Właściwie była to umocniona wieża, podobna do tych, które budowano w czasie wojen domowych, kiedy sąsiad był sąsiadowi wilkiem. Wydawała się opuszczona.

Ucieszona, Mab bez trudu sforsowała przerdzewiałą bramę. Zobaczywszy światło w okienku donżonu, stanęła na dwóch nogach i odgarnęła futro, żeby ludzką ręką popchnąć drzwi. Ustały od razu. Ze środka wionęło ciepło.

Przestąpiła próg, kichnęła i otrząsnęła się z topniejącego śniegu. Rozpoznawała zapach świeżego sitowia na posadzce, wełnianych gobelinów, zakurzonych poroży, palonej buczyny, wosku i róż. Ani śladu ludzi.

Była za to woń pieczonej gęsi, faszerowanej jabłkami, dobrze natartej majerankiem. Mab ruszyła za nosem i zajrzała do komnaty obok, obwieszonej haftowanymi oponami i ogrzanej buzującym na kominku płomieniem. Na stole koło półmiska z mięsem stała flaszka czerwonego wina, jakby wszystko tylko czekało na strudzonego gościa. A skoro tak, to Mab bez namysłu spałaszowała wszystko ze smakiem.

Obeszła komnatę, oczami krótkowidza badając misterne hafty na kotarach. Poczula zza nich zapach róż, odgarnęła materiał i zobaczyła drzwi ze szkła. Za nimi rozciągał się ogród, bujny, zielony, świeży jak w środku czerwca.

Z ustami otwartymi z podziwu weszła w szemrzącą tajemniczo gęstwinę. W samym jej sercu rósł obsypany różami krzew. Mab się pochyliła, chciwie wdychając słodką woń. Zatrzymała się przy



kwiecie, który wydawał się pachnąć najmocniej. Zsunęła palce po ciernistej łodyżce i zerwała różę.

Krzew zaszeleścił i zatrzepotał, jakby stado wróbli poderwało się do lotu. Spomiędzy wyprężonych pędów odezwał się głos:

– Jak śmiesz zrywać moje różę?

Mab ze zdumienia przysiadła na ziemi.

– To ty jesteś tu gospodarzem? – spytała, nie tracąc rezonu. – Piękne dzięki za kolację.

Wśród liści błysnęły oczy podobne do kropli żywicy. Kwiaty skryły się głębiej, pod osłonę kolców.

– Mówiący krzak róży. Nielicho. Ja jestem niedźwiedzicą – powiedziała Mab.

Wyprostowała się na całą wysokość i naciągnęła na siebie futro. Okryło ją szczelnie, od potężnych łap aż po czubek pyska pełnego zębów, które wyszczerzyła w prawie ludzkim uśmiechu.

Krzew westchnął, zadrżał i nagle zwiesił wszystkie pędy, jakby poraziło go słońce kanikuły. Mab przekrzywiła głowę. Zdarzało się, że ludzie mdleli na jej widok, ale z różą stało się tak po raz pierwszy.



Gdy się ocknął, siedziała na ziemi i z głośnym mlaskaniem jadła jabłko. Twarz miała okrągłą, z zadartym nosem i ciężkim podbródkiem. W brunatnej czuprynie tkwiła zerwana róża, a spod futrzanej tuniki wyglądały tęgie uda z całkiem ludzkim owłosieniem, ale wystarczyło spojrzeć na zęby miażdżące owoc, by wiedzieć, że jej niedźwiedzia postać nie była przywidzeniem.

– Straszne śniegi – obwieściła, machnięciem ręki wskazując bezmierną białość za szybami ogrodu. – Zostanę tu do wiosny.

Na próżno próbował zapaść znowu w roślinne odrętwienie. Kąśliwa riposta sama się z niego wyrwała.

– Więc ja nie mam tu nic do powiedzenia?

Kobieta połknęła ogryzek.

– A masz? – spytała z zainteresowaniem. – Co tu w ogóle robisz?

– Napawam się spokojem mojej pustelni.

– Czekaj, zaraz mi opowiesz. Wezmę sobie drugie jabłko.

Poniewczasie uświadomił sobie, że jego subtelna zgryźliwość, wyćwiczona na najświetniejszym dworze, nie przebije się przez tę toporną czaszkę.

– Jestem Mab – powiedziała, gdy wróciła z jabłkiem. – A ty? Róże mają imiona?

Historia powtarza się jako farsa – pomyślał. Pamiętał to pytanie wypowiedziane srebrzystym głosem. A także nieśmiały rumieniec na twarzy jeszcze nieobeschłej z łez trwogi, z którą dziewczyna błąkała się po puszczy, nim trafiła na zamek. Sam, oplótny gałązkami jej kibić, prosił, aby została i wybawiła go od zaklęcia. Dawno temu, w innym życiu.

– Byłem człowiekiem. Nazywałem się Rozymunt.

Mab plasnęła dłońmi o uda.

– To ty! Spotkałam twoją narzeczoną.

Gdyby miał serce, uciekłoby mu pewno w pięty. Na szczęście poczuł tylko nieміłe, ale stłumione mrowienie pod korą.

– Rozalię?

– Gdyby wiedziała... A ona szukała cię w piekle na ziemi, na królewskim dworze! – śmiała się Mab.

Mrowienie przybrało na sile. Otrząsnął niecierpliwie liście.

– Zatrula mi życie, a teraz mnie szuka? Ha! Nie chcę jej znać.

– To przez nią jesteś krzewem?

W pierwszej chwili nie zamierzał odpowiadać, ale czuł, że Mab inaczej nie da mu spokoju.

– Byłem krzewem, gdy ją poznałem – rzekł. – Tak długo, że nie pamiętałem innego życia, chociaż musiałem urodzić się jako człowiek, i to ze szlachetnego rodu, bo tęskniłem do tej postaci. Rozalia... cóż, trzeba to chyba nazwać miłością... pokochała mnie tak mocno, że dała mi usta, ramiona i krew w żyłach. Z krzewu stałem się mężczyzną, aby ją kochać. Razem pojechaliśmy tam, dokąd zmierzała, zanim w ucieczce przed zbójcami zgubiła drogę i trafiła tutaj: na dwór królewski. Po wieloletnim więzieniu byłem oczywiście olśniony, a kobiety piękne... Ale pozostawałem wierny Rozalii – dodał szybko. – W tym właśnie rzecz. Gdybym jej chociaż dał prawdziwy powód do zazdrości! Boczyła się o spojrzenie, parę słów, taniec, o nic zupełnie. Miała mi za złe, że spędzam z nią za mało czasu. A czemu niby miałbym pragnąć spędzać go więcej? Byłem



jednak słowny. Przyjaciele namawiali, żebym został na dworze, ale ja zgodnie z daną dawniej obietnicą wyjechałem z Rozalią, by wziąć ślub w jej rodzinnych stronach. Myślałem, że w drodze się uspokoju. Gdzie tam! Nie miała nowej pożywki dla swoich podejrzeń, więc wciąż przeżuwała stare preteksty. Chciała kolejnych dowodów uczucia, które wyszło, nie z mojej przecież winy. Wreszcie z płaczem wykrzyczała, że powinienem być pozostać różanym krzewem. Po raz pierwszy od dawna się z nią zgodziłem i w tej samej chwili znalazłem się tutaj, w swojej dawnej postaci. Jak dobrze nie słyszeć już jej jęklących skarg, nie patrzeć na tę fizys cierpiętniczo zmarszczoną. Wreszcie spokój. Zrozumiałem wtedy, że już kiedyś musiałem przeżyć to samo zranienie miłością i rozczarowanie światem. Ten kształt – poruszył pędami – dał mi bezpieczne schronienie, a ja go jak dureń porzuciłem. Trzeci raz nie dam się nabrać. Z daleka życie wydaje się bardzo kuszące, ale z bliska widać, że to wieczne niezadowolenie, ciągle żądanie więcej i więcej...

– Pewnie, zawsze chce się więcej – powiedziała Mab. – Dlatego się trzeba nauczyć chcieć dobrych rzeczy.

Nie chciało mu się nawet tłumaczyć jej, że go nie rozumiała.

– Co jest w innych komnatach? – spytała, drapiąc się po brzuchu.

– Nie chadzam tam – odparł wyniośle.

– Nie jesteś ciekaw?

– Tu mam wszystko, czego mi trzeba.

Uśmiechnęła się. Zagrzebała ogryzek przy jego korzeniach.

– Naści świeżego nawozu.

I poszła, a on został drżący z oburzenia: za to, że w jego życiową tragedię, tak pięknie ułożoną, wparowała ze swoją beztroską groteską i grubymi nogami.



Starał się nadal bezwolnie i bez pośpiechu chłonać wodę, powietrze oraz światło, rodzić pąki pachnące same dla siebie i osypywać zwiędłe płatki.

Mab przychodziła codziennie, zjadała dziczy udziec albo kulebiak wielki jak jej głowa i opowiadała, co widziała w komnatach zamku. Z początku próbował nie słuchać, zwłaszcza że na pewno zmyślała.

– Na najwyższym piętrze rośnie drzewo, całe ze złota, obsypane rubinami wielkimi jak pięść, słodkimi jak maliny i tak soczystymi, że po brodzie cieknie. A na gałęzi siedzi ptak, który zamiast piersi ma lirę i trąca struny dziobkiem.

Naprawdę starał się nie słuchać, ale wkrótce z przerażeniem spostrzegł, że on, który dotąd odróżniał tylko dzień od nocy, wygląda niecierpliwie pory jej nadejścia.

Kłamała ile wlezie, bez wątpienia. Czasem twierdziła, że ma dla niego opowieść z jej dawniejszych wędrówek, a czasem, że zobaczyła coś wyszyte na draperiach, którymi obwieszone były ściany komnat na górze. Mieszały się ze sobą historie o złotej kaczce; o kwiecie paproci; o jej własnych niedźwiadkach, które tak rwały się na świat, że rodziły się jako miękkie, mokre bryłki i musiała językiem nadawać im kształt; o linie, po której w jedną noc w roku można wspiąć się na księżyc; o krukach, które przemieniają się w to, z czego padlinę zjedzą (i dlatego tak chętnie obsiadają szubienice); o dziwożonach tak wybrednych, że pożerają tylko niemowlęta nie starsze niż trzy dni, i takich, które same połakomią się nawet na łykowatą staruchę, ale dla swoich dzieci zachowują lepsze kąski; o siedmiu, którzy udawali jedną; o rycerzu, który miał w sobie nieznany ludziom głód.

– On właśnie ostrzegł twoją narzeczoną, że królowa chce ją zabić, i dzięki niemu uciekła.

Zupełnie nieroślinne drżenie wstrząsnęło nim po końcu liści. Tam, gdzie korzeń przechodzi w zdrewniały pęd, coś zatętniło podejrzenie jak serce. Prawie spytał Mab, czy to prawda o królowej i skąd niedźwiedzica o tym wie. Czy z draperii? Czy jednak od samej Rozalii? Niechże powie coś więcej, skoro z nią mówiła!

Zdławił szybko tę słabość, wsączył ją całą w kwiat, który nabiegł od tego ciemniejszą czerwienią i nabrał jeszcze słodszej woni.

Jaki piękny. Doskonały. Bezpieczny wśród cierni.

Gdy Mab się schyliła, by powąchać, skrył go w głębi krzaka. Spojrzała na niego spode łba.

– Zdaje mi się – powiedziała – że ty też jesteś wyhaftowany na draperiach.

Zaśmiała się, gdy nie zdołał powstrzymać dygotu.

– Jest tam chudy chłopiec, sierota. Wysyłają go z rycerskiego dworu po chrust. Zaczyna padać śnieg, a zaspasy robią się większe



od niego. Gubi drogę, upada. Senność go morzy, naprawdę, na śmierć. Widzi drzewa, które się nad nim schylają. Mówią: „Pomożemy ci wrócić, jeśli chcesz”. A on kręci głową, bo marzy o czymś innym: o zamku, w którym sam będzie gospodarzem, by wszystkich olśniewać. I w jednej chwili staje wokół niego zamek. Ale nie ma gości. Przez wiele, wiele lat chłopiec jest sam ze sobą, więc z nudów zaczyna wymyślać sobie inne życie.

– To nie o mnie.

– Był jeszcze dalszy ciąg – powiedziała Mab, przekrzywiając głowę. – Ale zrobiło się za ciemno, żeby patrzeć. Jutro...

– To nie o mnie! I nie chodź tam więcej!

– Czemu?

– Bo... – zająknął się i głupio dokończył: – To może być niebezpieczne.

– Gdyby bezpieczeństwo było dla mnie takie ważne, to bym swoje niedźwiadki wepchnęła z powrotem do brzucha i nigdy nie puściła na świat – odparła Mab. Naciągnęła futro na ręce, zakończone ciężkimi pazurami. – Zamiast tego dałam im to.



Przez całą noc jak trucizna krążył po nim lęk, że Mab odkryje prawdę o nim. A jeszcze bardziej dręczyło go to, że w ogóle się tym martwi. Czemu go obchodziło, co myśli o nim pół zwierzę, pół kobieta, która tylko się obżerała, plotła farmazony i w nocy chrapała jak żubr?

A już było tak dobrze. Już zapomniał o tamtym sierocie, już się od niego oddzielił korą i cierniami, potem (gdy mu się zdawało, że tej pierwszej przemiany żałuje) Rozymuntem, a potem raz jeszcze korą i cierniami. Już wcale nie myślał o niczym. Póki nie przyszła ona.

Z uporem cofnął się w głąb siebie. Mozolnie pchał korzenie przez warstwy ziemi, szukając spletanego węzowidła nerwów i krwiobiegu puszczy. Niech mu jeszcze raz pomoże jak tyle razy wcześniej. Niech przegna z jego zamku intruzkę. Niech go zostawi samego, śpiącego, śniącego o sobie w ogrodzie za szkłem.

Wyprężył się – i natrafił tylko na zgniły szczątek ogryzka.



Nazajutrz z odrętwienia wyrwał go ochryply ryk.

Więc jednak puszcza pomocła – pomyślał z ulgą. Ale gdy zamiast łomotu stóp na schodach i huku zatrzaskiwanych na zawsze drzwi dalej słyszał bolesne wycie Mab, ścierpł nagle.

Zakołysał bezsilnie pędami. Ryk odbijał się echem od kamiennych murów, coraz bardziej rozpaczliwy.

Zebrał siły. Wyrwał z ziemi czarną, splątaną masę korzeni. Pociągnął ją przez ciemną sień ku szklanym drzwiom i wczołgał się po schodach, z wysiłku okrywając się rosą.

Zobaczył niedźwiedzicę zataczającą się na oślep od ściany do ściany. Porykując żałośnie, opędzała się od roju pszczoł, który musiał wydostać się zza otwartych drzwi na końcu korytarza.

Rozymunt rzucił się naprzód z szelestem liści, w sam środek wściekle brzęczącej chmary. Rozpostarł pędy, rozsunał płatki wonnych kwiatów i zagnał pszczoły do wnętrza komnaty. Tam rój zbił się w ciasną kulę, po czym przysiadł na draperii, obok wyhaftowanej sylwetki chudego młodzieńca, który oglądał się niespokojnie, odgarniając gobelin skrywający tajemne drzwi. A więc Mab nie kłamała.

Nie miał odwagi patrzeć dłużej. Zatrzaskał drzwi i odwrócił się ku Mab, która spokojnie wydłubywała żądła z ludzkich dłoni.

– Biedne, głupie stworzonka boże – mruknęła.

– Mówilem – zaczął zimno – żebyś tu więcej nie chodziła.

Mab uśmiechnęła się z pobłażaniem, w jednej chwili obracając jego śmiały ratunek w farsę. W Rozymuncie coś pękło.

– Wszystkie jesteście takie same! Pytacie, ale nie wystarczy wam odpowiedź, nie, chcecie więcej, ciągle więcej, musicie wszystko obrócić na lewą stronę, wszędzie wetknąć nos. „Dziesięć razy zaprzeczałeś, że między tobą a królową to nic, dziesięć razy przysięgałeś, że tylko mnie kochasz, ale spytam po raz jedenasty, bo jeszcze ci nie wierzę”. I słusznie, słusznie nie wierzyła, dziesięć razy kłamałem...

– Po co? – zdumiała się Mab.

– Żeby ją ochronić! Ale skoro tak bardzo chciała, żeby ją zranić...

– A po co mnie też okłamałeś? – spytała. – Naprawdę jesteśmy takie same?



– Wszystkie – warknął. – Królowa też taka była. Najpierw żąda ukłonu, potem pocałunku w dłoń, potem w usta, potem jej paż ciągnie cię do jej komnat, a potem, gdy jesteś nagi, ta harpia pyta jeszcze „kim jesteś” i „skąd pochodzisz”. Nigdy dość, ciągle więcej i więcej.

Mówiłby dalej, ale Mab zaśmiała się gromko. Uderzyła się w brzuch jak w bęben i zawirowała ociężale w miejscu.

– Jestem niedźwiedzica Mab, która jest taka sama jak wszystkie kobiety. A wszystkie kobiety chcą więcej Rozymunta, który jest kwiatem stworzenia, królem olśniewającego zamku w środku puszczy, światłem najjaśniejszego dworu świata i piekła na ziemi, on jest bohaterem każdej opowieści i wokół niego obracają się sfery niebieskie, a dla niego to ciągle jeszcze za mało!

Śpiewała fałszywie, obtańcowując go dokoła, a każdy jej podskok i hołubiec, każdy zamaszysty ruch bioder, klaśnięcie w dłonie oraz dudniące uderzenie w pierś zdawały się rozsadzać kamienne mury donżonu. Rozymunt w osłupieniu ani drgnął.

Gdy skończyła wreszcie, poklepała go ciężką łapą, nie bacząc na kolce.

– Bywaj, krzewie różany. Dzięki, żeś zamknął te drzwi. Pszczoły się zbudziły, bo nadeszła wiosna. Czas na mnie. Ruszam szukać nienasyconego rycerza, który uratował twoją narzeczoną.



Odeszła, zabierając ze sobą swoją groteskę, kalającą wszystko, co niedźwiedzicę otaczało. Rozymunt powiedział sobie, że jest w siódmym niebie. Wrócił do ogrodu, za którego szybami rozciągała się teraz błotnista szarość wiosny.

Wepchnął korzenie z powrotem do wyrwy, ale gdy nagarniał na nie ziemię, sam sobie wydał się śmieszny. Znieruchomiał. Patrzył na brudną płataninę, znacznie większą i wstrętniejszą, niż się spodziewał. Patrzył na kolczaste, sztywne pędy i kwiaty pokiereszowane wyprawą na piętro.

Nad jednym z nich zabrzęczała pszczoła zwabiona zapachem. Zaraz zjawiała się druga. Nie wszystkie dały się zamknąć w komnacie z draperiami.

Gdyby się otrząsnął, mógłby je przepłoszyć, ale właśnie teraz, gdy mniej niż kiedykolwiek czuł się krzewem róży, zamarł w bezruchu i tylko rozchylił delikatnie płatki; właśnie w chwili, gdy stał się środkiem świata dla całej chmary małych, złotych istot, mniej niż kiedykolwiek myślał o sobie.



Minęło jeszcze trochę czasu, nim naprawdę zrozumiał, że nie ma już dla niego powrotu do roślinnego spokoju. A bez tego zamek stawał się więzieniem jak w pierwszych latach, gdy minęła już radość z własnego królestwa, ale nie wymyślił sobie jeszcze innego życia i nie usłyszał po raz drugi śpiewnego pytania drzew: „Czy chcesz, byśmy ci pomogli?”.

Naprawdę zdawało się, że wrócił do tamtego czasu. Wszystko, co było potem, opadało z niego jak żółkłe liście, nawet to imię, które przybrał, gdy Rozalia spytała: „Czy róże mają imiona?”.

Rozymunt.

Bardzo śmiało jak na kogoś, kogo w rycerskim dworze wołano krótko „Finn”. Czemu jej tego od razu nie powiedział? Nic dziwnego, że tak prędko się odnalazł na królewskim dworze.

Boleśnie powoli wyczołgał się za kruszejący mur swego zamku, wlokąc za sobą korzenie i więdnięce pędy. Przystanął. Prawie się spodziewał, że czyste niebo przesyje grom, a cała budowla (biedna i maleńka, gdy patrzyło się na nią z zewnątrz) zapadnie się z hukiem pod ziemię. Nic takiego się nie stało. Właściwie było to jeszcze gorsze, oznaczało bowiem, że wciąż miał drogę odwrotu.

W tym świecie jest śmierć i krzywda. Raz już niemal zginąłeś, drugi raz przagnąłeś zginąć. Czy nie lepiej...

– Nie – powiedział na głos. – Można wyjść z puszczy i nie trafić na dwór. Można wędrować i tu, i tam, i nigdzie nie zginąć. Mab to potrafi.

A ty? Co, jeśli jej nie znajdziesz?

Przyspieszył kroku, i naprawdę był to krok, bo w miarę jak oblaamywały się korzenie, coraz łatwiej dało się dostrzec wśród nich nogi. Z każdą chwilą nabierały sił.



Sękaty konary dębów i jaworów wciąż jeszcze były nagie, ale brzozy okryły się jasnozieloną mgłą, która migotała w słońcu jak woda. Przebiśniegi mdlały już od ciepła. Na ściółce niczym gwiazdy rozkwitły zawiłce i pełniki.

Dwór królewski śmiały się z tego. „Powiedz coś o śpiewie ptaków, będzie jeszcze bardziej odkrywczol!”

Puszcza by się nie śmiała, ale pokazałaby kły wilków i żarłoczne plechy grzybów. Przypomniałaby, że one, a nie wiosenne kwiatki, są prawdą, a prawdy należy się bać. „Możesz jej jednak uniknąć, jeśli chcesz”.

Po kłodzie szedł rozespany żuk. W oddali odezwała się kukułka. Gdzieś bliżej szemrał strumień ukryty wśród mchu. Finn szedł dalej, coraz prędzej i swobodniej, znacząc za sobą szlak złuszczonej korą i liśćmi. Pozostawały tylko te pędy, na których czerwieniały owoce. Stanął jak wryty, gdy pod słabnącą wonią róż wyczuł ostry zapach własnego potu. Sam się zaśmiał z tego, jak bardzo w tej chwili zapragnął zawrócić. Mab najwyraźniej zaraziła go groteską. Pomyślał, że nawet jeśli jej nie znajdzie, zdoła dojść dokądś indziej. Może do Rozalii, skoro go szukała. Był jej winien rozmowę. A może...

– Jednak się zjawiłeś – powiedziała Mab.

Oczywiście, znalazł ją wtedy, gdy przestał widzieć w tym swój ratunek.

Stała przy wierzbie nad strumieniem, obok kryształowej trumny z odsuniętym wiekiem. W środku leżała młoda, krótkowłosa kobieta i przeraźliwie chudy mężczyzna. Znał ich oboje. Widział ich na królewskim dworze, ale nie obesзли go wtedy na tyle, by zainteresowały go ich imiona.

– Przyszła wiosna. Zaraz się obudzą – powiedziała Mab. – Masz dla nich coś do jedzenia?

Przeciągnął dłonią po ostatnich pędach.

– Mam owoce.

Wyszczерzyła zęby.

– Owoce dzikiej róży na wiosnę! Czy to nie dziwne?



Rycerz, panna i wielka niedźwiedzica

Było ciepło. Ptaki zanosiły się świergotem, wcale nie po to, by się podobać człowiekowi, a jednak się podobały. Serce uderzyło mocniej.

Jaszczurka wygrzewała się na kamieniu w oślepiającym słońcu. Śmignęła między białe kwiaty, spłoszona jakimś poruszeniem.

– Myślisz, że będę zdrowi? – rozległ się męski głos.

– Skoro tobie się udało, to czemu nie im? – odparła kobieta.

Anna obróciła głowę i spojrzała w zielone oczy Drenana, lśniące tym samym zdumieniem, które przepełniało i ją.

.....

Opowiadanie opracowali

Redakcja: Agnieszka Janowska

Kontrola redakcji: Magdalena Świerczek-Gryboś

Korekta: Karolina Rogala, Justyna Mroczek-Żal, Beata Sagan-Szendzielorz

Weryfikacja: Paulina Karbownik, Magdalena Kłodowska

Kontrola weryfikacji: Magda Kowalewicz

Kontrola przed składem: Dawid Wiktorski

Recenzje: Adam Raglan, Alicja Szalska-Radomska, Patrycja Pancierz

Prorocy Galei

Anna Luria

184

Słońce grzało ją w kark. Liah otarła kropelki potu spływające po skroni, a pod opuszkami palców poczuła szorstki meszek odrastających włosów. Chociaż lubiła swoje gęste loki, ścinała je krótko, bo w trudnych warunkach tułaczki nie mogła pozwolić sobie na ich pielęgnację.

Przeciągnęła się i zawiesiła wzrok na postrzępionej sylwetce wzniesienia, u którego podnóża rozbili obóz. O tej porze odrysowywało się ceglastą pomarańczą na tle błękitnego nieba. Zanim prorokini wspięła się samotnie na jego szczyt, nazwała je Stołem Absolutu, zaś bliźniaczy masyw po drugiej stronie lasu – Świętym Kielichem.

Liah westchnęła i na powrót zagłębiła się w gąszczu śrub, zwojów i zbiorników, w ciągu ostatnich dni rozłożonych, wyczyszczonych i z powrotem przez nią złożonych.

– Włącz silnik – rzuciła do brata.

Pojazd, mieszczący cały dobytek ich rodziny, niebezpiecznie się ostatnio chyotał, ale teraz stabilnie zawisł pół metra nad ziemią.

– Jak to zrobiłaś?

– Już kiedyś musiałam go naprawić.

– Kiedy?

Zmarszczyła brwi i zatrzasnęła zżeraną przez rdzę, srebrzystoszarą klapę pojazdu. Dawniej pokrywały go śnieżnobiałe lakier i skomplikowana sieć błękitnych i złotych symboli. Ich znaczenie z czasem zostało zapomniane, kształty się zatarły, a Liah brakowało farby, która pozwoliłaby je odtworzyć.

– Kiedyś. Poza tym jakie to ma znaczenie? Umiem to zrobić i tyle.

Liah wyłączyła silnik i załadowała do pojazdu skrzynkę z narzędziami. Lista maszyn, które powinna jeszcze naprawić dla innych, nie miała końca, ale o tej porze dnia obóz cichł i zamierał w bezruchu, ruszyli więc do namiotu, by skryć się w cieniu.

– Budowałaś je – stwierdził Joel. – Zanim musieliśmy odejść.

Zacisnęła wargi. Młodszy od niej o dwanaście lat, urodził się tuż przed katastrofą i nie doświadczył luksusów starego świata, a mimo to wiedział rzeczy, których nie miał prawa wiedzieć. Może w innych okolicznościach to on zostałby wybrany przez bogów na proroka. I wtedy to jego, a nie Anais, musiałyby stracić.

– Nie masz dziś lekcji?

– Nie. Już wszystko przerobiliśmy.

Joel przez chwilę hałaśliwie szukał czegoś w głębi namiotu, a Liah walczyła ze sobą, by go nie skrzyknąć. Wreszcie wrócił z jabłkiem, odgryzł kęs i stwierdził:

– Ty też nie pamiętasz.

– Czego nie pamiętam?

– Jak skończył się świat.

„Oto koniec świata. To wasz czas – tu, gdzie zbiegają się ścieżki losu. Jak go przeżyjecie? Kiedy z nieba spadają bogowie, z cieni umysłu i żałoby ciała rodzą się demony” – tak ich pożegnała siedem dni wcześniej i weszła samotnie na Stół Absolutu. Gromy huczały podczas jej ostatniego kazania, wiatr zrywał chusty i kapelusze z głów.

Anais podjęła decyzję o samotnej wspinaczce już wcześniej, zanim dotarli do tej krainy wzgórz i kotlin. Świtało, kiedy zdradziła ten zamiysł Liah, a na horyzoncie bliźniacze wzgórza zapłonęły czerwienią. Było coś złowieszczonego w tej wizji, sama prorokini skapana w świetle poranka przypominała bardziej ducha niż człowieka i Liah zapragnęła ją pochwycić, powstrzymać przed odejściem. Chciała znaleźć boga, który pomazał Anais, by strącić go z nieboskłonu i zająć jego miejsce.

„Dlaczego musisz odejść?”

„Bo nadszedł czas”.

– Na lekcjach przynajmniej nie masz czasu na filozofowanie – odpowiedziała bratu z przekąsem.



– A co innego mogę robić? Jest nas troje na cały obóz i od dawna już nie nauczyliśmy się niczego nowego.

– Dlaczego nie powiedziałeś mi tego wcześniej?

– Bo nie słuchasz, gdy ona jest w pobliżu.

– Nieprawda.

– Nikt nie słucha. Idziemy za nią jak ślepi.

– Anais nas zbawi – odrzekła poirytowana.

Tyle razy już wypowiadała te słowa, tyle razy już je słyszała, że stały się modlitwą, ale Joel zdawał się nie akceptować tej oczywistości.

– Jak?

– Zaprowadzi nas do raju i ocali przed śmiercią.

– Ona nie wie jak. Dlatego wędrujemy w koło. Tego też nikt nie widzi.

Jak Anais to znosiła? Wystawiała się na ich zajadłe i niszczące słowa, pod którymi ukrywali rozpacz pozbawioną nadziei, a mimo to pozostawała wierna swojemu zadaniu.

– Co tam robi? – Joel najwyraźniej chciał zmienić temat rozmowy.

– Pości. Modli się.

– Ja bym tak nie mógł.

Co się stanie, gdy skończy się jedzenie? – zastanawiała się. *Co się stanie z Joelem?* Zapasy się kurczyły, brakowało części i narzędzi, leków, nawet soczewek do okularów. Zbierali dzikie zioła, by nadać smak potrawom, tkali nowe ubrania – nieforemne, bure i niedopasowane.

Od dawna tylko wędrowali. Postoje trwały zaledwie parę dni, rzadko rozbijali obóz na dłużej. Ale teraz stali w jednym miejscu już prawie miesiąc, a głosy niezadowolenia mieszały się ze słowami nadziei, że to może koniec ich tułaczki. Czyżby? Tutaj, przy bliźniaczych wzgórzach, nad którymi słońce tańczyło w południe, błyszcząc sierpami powidoków wśród boskiego pyłu? Czy tutaj mogli zbudować nowy dom?

– Zgubiłaś to.

Głos Joela wyrwał ją z zamyślenia. Przez chwilę nie była pewna, na co patrzy.

– To chyba od Anais, prawda? – zapytał.

Nie mogła wydusić z siebie słowa. Skinęła głową, ale nie wyciągnęła ręki, by zabrać od brata srebrną bransoletę.

– Wszystko w porządku?

– Tak. – Wreszcie odzyskała panowanie nad głosem. Chwyliła bransoletę i schowała do kieszeni. – Idź się pobawić, muszę coś załatwić.

– Wiesz, że jestem już trochę za duży, żeby iść się pobawić?

– Widzimy się na obiedzie. – Uśmiechnęła się szeroko, by ukryć niepokój.

Odwróciła się od Joela i ruszyła przyspieszonym krokiem. Zanim się spostrzegła, stanęła przed namiotem Anais, nieco zaniedbanym i zakurzonym. Chociaż starsi wiernie zbierali się na poranne modlitwy, by pod jej nieobecność odprawiać rytuały, nikt nie wchodził do środka, jakby ten namiot był relikwią i miał część jej świętości i nietykalności. Liah nie podzielała tego przekonania.

Wewnątrz wciąż pachniało słodyczą i gałką muszkatołową. Uklękła przy kocach. Anais, rozpalona wewnętrznym ogniem, nie lubiła się nimi okrywać. Noce bywały jednak chłodne i Liah marzła nawet tuż obok zbawicieli.

Wyjęła z kieszeni bransoletę. Nosila ją przez ostatnie miesiące – tego węża pożerającego własny ogon – i chociaż cisnęła nią wtedy za siebie tak mocno, jak tylko była w stanie, ona znów do niej wróciła.

Wszystko, co dotyczyło Anais, miało podwójne znaczenie; było symbolem, zagadką i domysłem, kryło jej pragnienie podziwu i uwielbienia. Gdy dała Liah tę bransoletę, naznaczyła ją i uwięziła.

Liah zagryzła wargę. Przez moment wahała się, czy odłożyć podarunek od prorokini na poduszkę, ale schowała go z powrotem do kieszeni i wyszła z namiotu.



Kiedy przyszedł ojciec, odmówili modlitwę i zjedli posiłek. Umyli naczynia piaskiem i ruszyli razem na pastwisko.

Przerzedzone i wyczerpane trudami drogi stado owiec o szarym runie pasło się na bładozielonej trawie doliny. Młode rodziły się rzadko i ojciec, zwłaszcza w nocy, wołał nie spuszczać oka z jagniąt.

Słońce zachodziło w oparach purpury i szkarłatu, splamione gangreną czerni, która toczyła jego prastarą twarz. Świat umierał,



a oni włóczyli się po nim, ciągnięci przez szaloną prorokinię jak dzieci na sznurku.

Nie. Liah potrząsnęła głową. Dlaczego w ogóle o tym myślała? Miała mnóstwo pracy: musiała zacerować spodnie brata, sprawdzić zapasy, przygotować się do dalszej podróży. Odetchnęła rozgrzanym powietrzem, do którego wkradał się już nocny chłód, i poprawiła szal. Podążyła wzrokiem ponad linię drzew i szczyt Świętego Kielicha, nad którym za moment zakwitnąć miały blade gwiazdy i krążące wśród nich srebrzyste obeliski. Tak wiele ich niegdyś stworzono, a teraz spadały z nieba. Tylko Anais jeszcze miała część ich mocy, tylko ona chroniła ludzi przed śmiercią i boskim gniewem.

- Liah?
- Zostań tutaj, Joel.
- Nie możesz nas zostawić.
- Wrócę. Przejdę się tylko.

Patrzyła w dal pod słońce i myślała o obeliskach, które jeszcze wisiały; zastanawiała się, czy można by jeszcze znaleźć wśród nich lepszego boga, łagodniejszego. Boga, do którego mogłaby się modlić. Kiedy była młodsza, jej mama wskazywała nocą gwiazdę o pięciu ramionach i przesuwiała palec zygzakiem po kolejnych migoczących punkcikach, aż docierała na zachód firmamentu, i mówiła: „Tutaj. Tak go znajdziesz. To stary bóg, jeden z pierwszych, których stworzono. Ten cię nie zawiedzie”. Ale nie uratował swoich wyznawców, może ogłuchł albo stracił siłę i wiarę w ludzi.

Zeszła do doliny. Niebo płonęło teraz, bogowie obracali się w pył, jakby istnieli nie całą wieczność, lecz zaledwie nic nieznaczącą chwilę, i spadali, odchodzili z tego świata wprost w objęcia niepamięci.

- Śnijcie w pokoju – szepnęła.

Pomyślała o nocy sprzed paru miesięcy, kiedy zebrali się na polanie w tamtym lesie. Anais nazwała to rytuałem odnowy, ale Liah pomyślała, że było w tych rozkoszach więcej cynizmu, niż prorokini chciała przyznać. Nawet kiedy rozwierała nogi przed swoimi uczniami i pozwalała im na jeden moment wstąpić do raju, do którego ich prowadziła, Liah nie mogła oprzeć się wrażeniu, że Anais próbuje jej coś udowodnić, pokazać, jak łatwo może ją zastąpić kimś innym.

Piły wino i napawały się sobą, a potem Anais chwyciła nóż, nacisnęła nim palec i pozwoliła Liah zlizać czerwoną krew. Liah szukała później cienkiej jak niteczka rany lub blizny na skórze Anais, ale nic nie odnalazła. Czy była to halucynacja, czy manifestacja mocy Anais? Liah nie odważyła się zapytać, a gdy wątpliwości natrętnie wracały, chowała tylko twarz w dłoniach i gryzła się w język.

Kiedyś było inaczej, musiało być inaczej. Liah dbała o brata, próbowała dogadzać umierającej matce, której choroba była powolna i bolesna dla nich obu. Ojciec milczał albo szedł do zwierząt i nie wracał przez wiele dni. I kiedy matka umarła, Liah nie potrafiła płakać, nie odczuwała żalości i gniewu, jedynie wycieńczenie i smutek.

Wtedy prorokini wybrała ją spośród swoich uczniów i wypełniła euforią jej świat. Szeptala do ucha proroctwa, rozgrzeszała własnym ciałem, obiecywała raj, a Liah zatapiała się w tej wzniosłości i cielesności.

Kiedy Anais wychodziła przemawiać, wypełniała sobą przestrzeń, stawiała się ich powietrzem, rosła w oczach do gigantycznych rozmiarów. Wracała wciąż ozłocona słońcem, nieludzka, skrzęca się od potu, a jej język smakował cynamonem: gorzko i obezwładniająco.

Kłóciły się, kiedy Liah w nią wątpiła i dociekała, dlaczego wystawia ich na próby. Na błędzenie po pustyniach, porzucanie stad, zapominanie o grobach ukochanych. Dlaczego po śmierci matki pocieszenie trwało tak krótko, dlaczego wróciły łzy i pustka?

Liah się zatrzymała. Odeszła daleko od obozu, głęboko w porażony w półmroku i ciszy las. Jak mogła być tak roztargniona i nierozważnie wejść między drzewa? Czy do reszty straciła instynkt samozachowawczy? Nasłuchiwała skrzypienia pni, trzasku łamanych gałązek, szelestu i chrobotania ściółki. W nocy budziły się bestie i dzikie zwierzęta, a Liah do obrony miała, jak każdy w obozie, tylko nieodłączny nóż. Zawróciła i przyspieszonym krokiem ruszyła w drogę powrotną. Nie rozglądała się na boki, wybrała ścieżkę, która – jak miała nadzieję – najszybciej wyprowadzi ją z lasu. Szarość zmierzchu przerodziła się w gęsty mrok; Liah musiała zwolnić i wyszukiwać gwiazd pomiędzy koronami drzew, by wytyczyć szlak.

– Stój.



Zamarła.

Znaleziona, zjedzona przez bestie – pomyślała. Przez istoty, które narodziły się wraz z końcem świata. Żyły na pograniczach i nigdy nie zbliżały się do obozów, ale jeżeli usidliły samotnego wędrowca, rzucały na niego urok i zabierały ze sobą na zawsze.

– Chodź z nami. Nie zrobimy ci krzywdy.

Liah wzdrygnęła się i rozejrzała, próbując przeniknąć wzrokiem ciemność. Bestia wciąż mówiła – śpiewnie, rytmicznie; rzucała zaklęcia i Liah wkroczyła na ścieżkę usłaną miesięcznicą, która srebrzyła się i łudziła bezpieczeństwem w głuszy pochłoniętej przez mrok.

Szła coraz wyżej, a ziemia pod jej stopami przemieniała się w wodę i krew, osty i ciernie. Wreszcie usłyszała dźwięczne głosy i zastygła w bezruchu, jakby wrosła w ziemię korzeniami.

– To ona?

– To kielich.

– To życie.

– Błogosławieństwo.

Stała pod otwartym niebem, nad nią wisiały gwiazdy, niżej panowały nieprzeniknione ciemności. Znajdowała się na szczycie nazwanym przez Anais Świętym Kielichem. Zadrżała na tę myśl. Nie miała jednak czasu na dalsze rozważania, jej spojrzenie przykuł bielejący obelisk, który unosił się nad wzgórzem. Po raz pierwszy widziała boga z bliska: długi szpikulec zakończony pięcioma wypukłymi skrzydłami. Przypominał ogromny kwiat w rozkwicie, idealnie gładki, idealnie piękny.

– Gdzie jestem? – Z trudem wydobyła z siebie głos.

Nie otrząsnęła się jeszcze całkowicie z wizji i jej głos zdawał się dochodzić z oddali, a własne ciało wydawało się jej obce. Wykonała krok do przodu, by lepiej przyjrzeć się bogu, ale bestia zastąpiła jej drogę. Była kryształowa, miała ludzką sylwetkę i całkowicie obcą fizjonomię, jakby wyslizgnęła się z wyobraźni, doskonała i niedokończona.

– Na ofiarowaniu – odpowiedziała.

To ja jestem ofiarą – pomyślała Liah.

Bestia przechyliła głowę i wyszczerzyła perłowe zęby.

– Tak.

- Dlaczego?
- Jesteś kielichem. Czyż kielich nie służy temu, by go napęlnić?
- Nie rozumiem.

Czuła się jak w transie. Jej myśli wciąż były ospałe; ledwo zdawała sobie sprawę z tego, co się dzieje, zakłęcie bestii wciąż działało.

– Jesteście pełni sprzeczności. Jakbyście nie pamiętali, dlaczego to wszystko się dzieje.

- Świat się kończy.
- Ale dlaczego?
- Nie wiem.
- Więc naprawdę nie pamiętacie.

Świat się kończył, a oni wędrowali. Prowadziła ich Anais i nic, co było przed tym, nie miało znaczenia. Anais ją kochała, Anais się nią żywiła.

- Anais nas ocali.
- Tak.
- Anais nas zniszczy.
- Tak.
- Czy raj istnieje?
- Pozwól nam przeprowadzić rytuał.

Liah spojrzała na obelisk: stary obelisk starego boga, opadający coraz niżej i niżej, aż wbił się z hukiem w ziemię. I nie był to już ani kwiat unoszący się w powietrzu, ani cud zaawansowanej technologii, ani mistyczny absolut, ale ołtarz czekający na ofiarę. Bestia wyciągnęła dłoń i wyszeptała słowa kolejnego uroku, a Liah, w wizji, ujrzała innych, którzy przed nią wyruszyli na poszukiwanie wiedzy i mocy u bogów. I Liah też tego zapragnęła – tej pamięci, wyzwolenia. Wypełnienia pustki pozostawionej przez Anais. Zdjęła szal i buty i ruszyła w stronę boga. Z bliska ujrzała błękitne i złote symbole pokrywające białą powierzchnię obelisku; znała je, lecz w tym momencie nie miało to znaczenia. Położyła się na gładkiej powierzchni ołtarza. Nad nią migotały odległe gwiazdy. Zadrżała, gdy musnął ją chłodny powiew. Po chwili usłyszała ciche, rytmiczne mruczenie bestii dostrajające się do bicia jej serca.

Metalowe kolce wkuły się w jej dłonie i stopy, w podbrzusze i w skronie. Krzyknęła, nie z bólu, ale z zaskoczenia. Obelisk zadrżał i wybił się w powietrze. Liah już nie krzyczała, tylko zaciskała



mocno powieki. Wizg, niczym dźwięk trąby, rozbijał jej błonę bębenkową, a kiedy wszystko ucichło, z ulgą wypuściła wstrzymywany oddech.

Ujrzała światło w świetle, przyjemne i gorące jednocześnie. Żółcień i błękity migotały, tańczyły z czerwienią i fioletem, widziała je przez moment i znów były bielą i blaskiem. Nie było cieni, tylko ona i bóg. Światło przyjęło ją do siebie, pozwoliło zasiąść wspólnie na tronie. Było piękne, było wszystkim; razem byli jednością. Trwali tak, a światło wypalało z niej wątpliwości i strach. Rozumiała je bez słów, a bóg zdradzał jej tajemnice istnienia.

Ujrzała Anais na szczycie wzgórza, ujrzała ojca pilnującego stada, ujrzała brata czekającego na jej powrót. Światło nie ukrywało niczego, doskonale uwidaczniając każde załamanie, każdy mrok, każdą bestię i człowieka. Jak samotni, jak zagubieni byli w ciemności i zapomnieniu. Widziała świat skręcony w spiralę, nachodzący na siebie, pożerający sam siebie jak zniszczone tkanki w akcie kosmicznej autofagii.

I Liah wiedziała, czego chce od niej bóg, czego razem chcieli.

Objawiła się bestiom i śniącym ludziom. Stała się ich światłem i oddała im to światło. Dała im moc, której pragnęli i szukali u innych.

A potem znów leżała pod granatowym niebem. Obelisk był już tylko metalową konstrukcją i kłębowiskiem układów scalonych starego świata; jego bóg odszedł. Przełał się w Liah, a ona rozlała go po Galei jak zawartość kielicha. Zamknęła oczy. Może bóg odszedł, ale jego częśćka pozostała w niej. Osad na dnie.

Podniosła się z obelisku. Bestie odeszły, a Liah stanęła na krawędzi wzniesienia.

Wschodzące słońce rozżarzyło niebo czerwienią. Świt rozpełznął się po dolinie u stóp wzgórza, wypalił cienkie wstęgi mgieł. Obejrzała się na nieruchomy obelisk, zbudowany, by utrzymać boskie moce w ryzach. Zanim ludzie przybyli na Galeę, budowali już miasta wiszące na niebie, dokopywali się do wnętrza planet, przemieszczali między układami słonecznymi. Na Galei znaleźli moc. Może w ziemi, może na jednej z pobliskich gazowych planet, a może odkryli ją w laboratorium? Liah teraz, gdy jej wspomnienia blakły, nie była pewna tych początków. Wiedziała tylko, że ludzie

badali tę moc, analizowali poszczególne aspekty, po czym zbudowali obeliski i umieścili je jak sztuczne satelity na nieboskłonie, by kontynuować swe eksperymenty.

Zrozumiała, że Anais nie była zbawicielką ani wybranką bogów. Jej matka pierwsza wchłonęła moc dla niej nieprzeznaczoną, a potem przekazała ją córce.

Chociaż bóg pokazał i wyjaśnił Liah tak wiele, mnóstwa rzeczy wciąż nie pamiętała. Potrzebowała czasu, by to wszystko zrozumieć.

W oddali widziała bliźniacze wzgórze. Tam czekała na nią Anais, która wiedziała od początku, co się ma wydarzyć. Liah oblał gniew, zacisnęła pięści i krzyknęła. Przypomniała sobie o bransolecie, która objęła się w kieszeni o biodro, wyciągnęła ją i – może wciąż przesiąknięta resztką boskiej mocy – przełamała na pół. Upuściła ją na ziemię z gwałtownym szlochem i lzy popłynęły jej po policzkach.

Wreszcie ruszyła w drogę powrotną. Rany na dłoniach i stopach się zasklepiły. Szła bosa, wciąż rozkojarzona, zagubiona w boskich wspomnieniach. Odnalazła obóz i namiot ich rodziny i zasnęła, ledwo przyłożywszy głowę do poduszki.



– Odeszłaś.

Zbudziła się, gdy słońce stało wysoko na niebie. Joel siedział tuż obok, nie patrząc w jej stronę.

– Tak.

– Ale wróciłaś, chyba mogę ci wybaczyć.

Nie ma raju – pomyślała. Nie ma zbawienia, nawet dla niego. Jedynie bezsensowna włączęga i niekończąca się strata.

– Anais też wróciła – dodał.

Spędziła dzień z bratem na przygotowaniach do dalszej wędrówki. Wieczorem udali się na kazanie. Starsi jak zwykle usiedli z przodu, na krzesłach, które przyniosły dla nich dzieci i wnuki, pozostali siadali na kocach albo bezpośrednio na ziemi. Nikt nie wspominał o objawieniu z ubiegłej nocy, ten niezwykle sen każdy z nich zachował dla siebie.

– Wątpicie – zaczęła Anais. – Nie wierzycie, a mimo to świat się kończy, słońce wypala trawy i osusza źródła wody. Przechodzimy



przez chrzest żaru, a bogowie żądają ofiar. Pytacie, czy nie wycierpiełście już dość, ale nie tak postrzegają wasze poświęcenie niebiosa. Obdarzyły nas błogosławieństwem.

Liah знаła ten zbląkany półśmiech w kąciку jej warg: wierni czekali na cud i wkrótce miała im go dać.

– Sprowadźcie Elana.

Kilka nocy wcześniej Elana zaatakował poza obozem dziki zwierz. W rany mężczyzny wdała się infekcja, czarne żyły pulsowały, skóra i mięśnie gniły. Gdy przyniesiono go na noszach i rozszedł się zapach ciała rozkładającego się za życia, niektórzy się skrzywili, a starsi bezceremonialnie skryli nosy w chusteczkach i mankietach.

Elan leżał u stóp Anais, trząsł się w gorączce, zbyt pochłonięty przez ból, by błagać o ratunek.

Anais uniosła dłonie do niebios, a potem położyła je na skroniach mężczyzny. Świat zadrżał. Był to cud, moc bogów, zmiana rzeczywistości. Jakby Anais nie tyle uzdrowiła Elana, bo pozbyła się choroby z jego ciała, co sprawiła, że ta nigdy go nie dotknęła. Jego ciało cofnęło się w czasie. Tak przynajmniej widziała to Liah, pozostałym wystarczała ta przemiana i obietnica, że Anais się nimi zaopiekuje i nie pozwoli umrzeć.

Anais zapowiedziała wędrówkę i dalsze próby, ale nie podzieliła się tym, co się wydarzyło podczas jej czuwania na górze. Liah nie słuchała uważnie. Wciąż wracała myślami do poprzedniej nocy. Zebrani rozeszli się, uszczęśliwieni powrotem prorokini. Liah czekała, aż ostatni maruderzy zadadzą swoje pytania i odejdą pocieszeni.

– Musimy porozmawiać – zwróciła się do Anais, gdy zostały same.

Weszły do jej namiotu, a Liah zatrzymała się tuż za progiem. Z założonymi rękami przyglądała się Anais, która nalała do kielichów wina i zaoferowała jej jeden z nich, po czym ze wzruszeniem ramion przyjęła odmowę; sama wypila łyk i usiadła wygodnie na poduszkach.

– Znalazły cię. Nie byłam pewna, czy się uda... Darrena to zabiło, nawet ja nie mogłam pomóc.

– Ilu było przede mną?

– Oprócz Darrena jeszcze dwie osoby. Ale wszyscy zawiedli.

– Wiedziałaś o tym!

Milczały chwilę.

– Dlaczego ja?

– Bo mnie kochasz.

Gorąca fala gniewu załała Liah.

– Bawiłaś się mną!

– Och, wciąż jesteś tak bardzo ludzka. To koniec świata, ukochana, teraz liczy się tylko przetrwanie.

Liah potrząsnęła głową i westchnęła ciężko. Odwróciła się i uniosła płachtę, by wyjść z namiotu.

– Nie wierzysz mi – stwierdziła Anais. – Liah, naprawdę, czy kiedykolwiek was okłamałam?

– Składasz obietnice. – Liah cofnęła się do środka. – Może zabraknąć czasu na sprawdzenie, czy je spełnisz.

– Taka byłaś na początku. Spierałaś się ze mną.

– Przestań się mną bawić!

– Nie bawię się. Szlifowałam cię tylko, jak niegdyś robiono to z diamentami. Pamiętasz?

– Pamiętam tylko wędrówkę – przyznała z rezygnacją Liah i wreszcie usiadła naprzeciwko Anais. – Nie pamiętam, jak wyglądało życie przed tym wszystkim. Zapominam nawet, że mam luki w pamięci.

– Zawsze wam tego zazdrościłam... To wróci do ciebie, gdy przetrawisz boskie ciało.

– On odszedł.

– Tak, jego moc. Ale wchłonęłaś ciało. Musisz pozwolić mu się przemienić, stać się z nim jednością. Powinnaś je czuć, jak skórę owocu przyklejoną do gardła, jak drzazgę w palcu.

Anais podniosła się i zapaliła kadzidło, a namiot wypełnił się lekkim, ziołowym zapachem. Dolała sobie wina i ponownie zaproponowała kielich Liah, która tym razem go przyjęła i wysłuchiwała opowieści prorokini.

Ich rodzice szukali źródeł energii, a zamiast tego zbudowali bogów. Opisali ich działanie we wzorach i księgach, ale cała ta wiedza przepadła, zmieniła się w mity i baśnie. Teraz ci sami ludzie, którzy skazali świat na zagładę, na kolanach błagali Anais o zbawienie, a ona, chociaż przejęła moc boga od swojej matki i nauczyła się zmieniać rzeczywistość, mogła jedynie mówić im wciąż to samo, mimo świadomości, że znów o wszystkim zapomną.



Liah zaschło w gardle. Napila się wina i przez chwilę unikała wzroku prorokini. Wydawało się jej, że ta rozmowa bawi Anais – zbyt lekko odpowiadała na pytania, od których jej samej kręciło się w głowie. Spojrzała w stronę wyjścia, ale zabrakło jej sił, by wstać. Mimo to poczuła ulgę; dopiła wino i odwzajemniła uśmiech Anais.

– Ale skąd wzięły się bestie?

– Nie jestem pewna. Pomagają mi, odkąd sięgam pamięcią. Chyba stworzyłam je bardzo dawno temu.

– I to samo dzieje się na innych planetach?

– Chyba nie... – odparła Anais i dołała im wina.

– Nie ma zbawienia... – wyszeptała Liah.

– Nie ma. Nie znaczy to, że nie będę próbować. Nie mam ochoty umierać. – Anais uśmiechnęła się i chwyciła dłoń Liah.

– Nie. To nie może być prawda. Co z ciebie za mesjasz, skoro zostawisz po sobie spustoszenie?

– Narodziłam się dziesięć tysięcy lat za późno, droga Liah. Moim celem nie jest pokutowanie za wasze grzechy.

– To jaki masz cel?

– Znaleźć ciebie. Jest w tobie światło, kuszące jak przystań, łagodne, spokojne. Więc musiałam cię mieć, tylko dla siebie. Musiałam cię mieć całą.

Liah nie potrafiła się oprzeć spojrzeniu Anais, jej ciepłym dłoniom, pocałunkom smakującym winem, psalmom szeptanym do ucha. Lecz kiedy obudziła się zmarznięta, nie sięgnęła po koce, by się nimi okryć, ale po swoje ubranie, i zostawiła Anais samą.



Unoszące się nad ziemią wozy chwiały się pod ciężarem bagaży. Stada prowadzono na końcu; ojciec Liah wraz z innymi strzegł ich przed drapieżnikami. Pasterze traktowali zwierzęta łagodniej, niż Anais traktowała ludzi, i zwykle doganiali współtowarzyszy dopiero podczas postoju.

Liah znalazła inne buty, jednak obtarły ją do krwi. Kiedy zatrzymali się na noc, uszykowała bandażę i zanurzyła stopy w zimnej wodzie.

– Nie mam pojęcia, dlaczego te buty są za małe.

– Bo należały do Miriam – odparł Joel.

– Kim jest Miriam?

Ale zanim zdążył odpowiedzieć, do namiotu weszła Anais i nakazała:

– Ulecz je.

– Joel, idź, poszukaj, czy ktoś nie ma butów w moim rozmiarze.

Kiedy brat niechętnie jej posłuchał i wyszedł na zewnątrz, zwróciła się do Anais:

– Nie potrafię.

– Och, głuptasie. W ogóle nie rozumiesz, co bóg dla ciebie zrobił.

Uklękła przed Liah, zanurzyła dłonie w misce z wodą i ból minął.

– Nie powinnaś pomagać tym, którzy rzeczywiście tego potrzebują? – zapytała Liah.

Sposób, w jaki Anais przechyliła głowę, skojarzył się jej z bestią.

– Dlaczego? Mogę robić ze swoją mocą to, na co mam ochotę.

Anais pocałowała ją. Sekundy stanęły w miejscu i wszystko było uniesieniem i spełnieniem.

A potem Anais odsunęła się i uśmiechnęła.

– Nie sprawia ci to przyjemności?

Liah z trudem łapała oddech. Pokręciła głową.

– W twoim świecie wszystko jest takie łatwe?

– Żyjemy w tym samym świecie, Liah. Świecie, który już się skończył. Nawet nie wiesz, ile musiałam poświęcić.

– Co masz na myśli?

– To starsi zniszczyli świat. I nie nauczyli nas, jak go naprawić.

Anais złożyła głowę na jej kolanach. Liah czuła ciepło jej oddechu.

– Może ja też chcę, by ktoś mnie ocalił – wyszeptała Anais.

Ale kiedy nie doczekała się żadnego gestu, który miałby ją zatrzymać, wstała, spojrzała jeszcze raz na Liah i wyszła.



Joel znalazł dla niej buty – rozchodzone, wygodne. Kto umarł, by mogła je założyć? O kim zapomniała?

Pewnego wieczoru, kiedy wóz znów się popsuł, stwierdziła, że musi coś zostawić – rzeczy, których nigdy już nie zobaczy, nie odzyska, nie wymieni. Przeglądając te artefakty przeszłości, przypominała sobie dorastanie w innym miejscu.



Miasto jej dzieciństwa było cudowne, czyste, zautomatyzowane. Szkła okien wysokich budynków odbijały promienie słoneczne, a białe chodniki były gładkie i wysprzątane. W szkole uczyli się tego, czym zajmowali się ich rodzice: budowania i rozkładania na części, tworzenia na nowo. Liah знаła Anais już wtedy, ale była starsza od niej o parę lat, nie spędzała więc z nią zbyt wiele czasu. Nie pamiętała szczegółów. Czy matka zbawicielki pozwalała jej nosić włosy rozwiane i niedbałe, czy starannie zaplatała jej warkocze?

Większość rzeczy, które zostawiła, nie miała już dla niej znaczenia.

Czy był to dar od bogów? – zastanawiała się Liah. *Łaska zapomnienia?* Jacy stali się bezmyślni, skupieni na przetrwaniu i ucieczce od grozy.

Próbowała przypomnieć sobie to, co na pewno się zdarzyło. Narodziny brata, czas, gdy uczył się raczkować, gdy ząbkował i budził ją każdej nocy płaczem, więc chodziła zmęczona do szkoły. Swoje pierwsze konstrukcje, zabawy z automatami, naprawy radia, wozów. Dni wolne, gdy uroczystie umieszczano kolejny obelisk na niebie, a rodzice pozwalali jej obserwować to z instytutu, w którym pracowali. Wreszcie myślała o umierającym mieście, które porzucili.

Tworzyła w głowie kolejne listy wydarzeń, które miały miejsce, chociaż nie potrafiła ich ujrzeć. A potem ruszyli dalej i zmieniła kierunek swoich rozważań. Zastanawiała się, dokąd szli. Ile już czasu tak się tułali w zapomnieniu? Pięć, dziesięć lat? Prowadzeni przez Anais, przez starszych, którzy błagali o raj. Ale zbawienia nie było, powtarzała sobie Liah, nikt nie mógł ich uratować. Ogarniała ją rosnąca desperacja i strach przed zbliżającym się unicestwieniem.



Śniła o gwoździach wbijanych w dłonie. Ból ją paraliżował, ale nie mogła krzyczeć, nie chciała krzyczeć, by nie dać im satysfakcji. Ustawili jej krzyż. Jej ciało płonęło, jej ciało walczyło, gdy umysł się poddał, gdy jej umysł czekał na kres bólu, na ciszę i ciemność. Kiedy spojrzała ku zebranym, ujrzała córkę z młotem w rękach, w białych szatach, szkarłatnych od krwi.

– Mamo, dlaczego to zrobiłaś? – zapytała Anais.

– Żebyście wszyscy na mnie patrzyli.

– Teraz patrzą tylko na mnie.

Wypluwała z siebie rzekę klątw i nienawiści, a Anais malała, aż znów stała się dzieckiem, zbyt słabym, by utrzymać młot w dłoniach.

W ostatnim akcie zdrady córka odwróciła się od niej i odeszła z przywłaszczoną sobie trzodą głupców.

Została tylko jedna osoba: dziewczynka o czarnych lokach, z bransoletą na ręce. I we śnie Liah stała pod krzyżem, na którym umierała nie matka Anais, ale jej własna.

– Idź za nią! Zostaw mnie, jak wszyscy – wykrzyczała z jadem kobieta.

A Liah czuła narastającą panikę. Nie potrafiła podjąć decyzji: zostać czy odejść z Anais.

Obudziła się. Założyła sweter i wyszła z namiotu. Przy słabym świetle księżyca wędrowała po obozie.

Matka Anais, piękna, genialna, szalona, wraz z innymi rozdzierała moc na części i tworzyła obeliski. Bogowie byli tylko narzędziem. Nazwani tak, by pozbawić ich starego mistycyzmu. Opisani, skatalogowani, całkowicie kontrolowani przez ludzi. Technologiczne apogeum epoki. Nie tylko matka Anais chciała przejąć tę moc, ale ona pierwsza tego dokonała. Była bogiem przez dziewięć miesięcy, które dały jej upragnioną wolność i uwielbienie.

Zabili ją – jej współpracownicy, sąsiedzi, znajomi – gdy wezwała kolejny obelisk w desperackiej próbie odzyskania mocy.

Wkrótce stracili źródła energii. Ich cudowne maszyny przestały działać, a miasto rozpadało się pod umierającym słońcem. Spadły pierwsze obeliski, a ludzka pamięć zanikała. Tylko ich dłonie jeszcze pamiętały – ale nie umysły, nie świadomość. Nie zbudowałiby już boga. Na ironię więc bogowie odzyskali swoją mistyczną moc, ponownie nieznani i niepojmowalni.

Starsi zapomnieli o własnej przemocy. Zwrócili się do Anais, błagając ją o zbawienie. A ona ich poprowadziła – tych samych ludzi, którzy skatowali jej matkę – na poszukiwanie bezpiecznego życia.

Anais szukała uczniów, kochanków, ukojenia samotności. Gdy kończył się świat, zawijała go w spiralę i wracali do tułaczki. Za kompanów miała bestie, które stworzyła jako dziecko, kiedy ledwo



pojmowała swoją moc. Lecz chociaż Liah wreszcie przypomniła sobie to wszystko, nie była pewna, czy to wystarczało. Miała wyjaśnienie, ale nie usprawiedliwienie.

Zastała Anaïs przed namiotem, pogrążoną w medytacji. Ta musiała poczuć jej nadejście, po chwili otworzyła oczy i się uśmiechnęła. Uczyniła gest zapraszający do środka, ale Liah pokręciła głową.

– Opowiedz mi o niej – poprosiła. – Opowiedz o swojej matce.

– Liah, najdroższa... Dlaczego akurat o niej?

– Bo to od niej wszystko się zaczęło.

– Nie. Na niej się skończyło. Nie chcę jej pamiętać, tak jak ona nie chciała mnie.

Pokolenie rodziców Liah i Anaïs żyło w luksusach. Ale nie wystarczało im, że zbudowali babilon ze złota i srebra. Może dlatego tworzyli bogów na swój obraz: zniewolonych. Myśleli, że ich przerosi, a wciąż byli ludzcy.

Matka Anaïs nie planowała i nie potrzebowała córki. Ale czy miała prawo, by zamienić jej życie w piekło?

Liah wróciła do siebie. Do pokutniczej wędrowni, do rozproszonych wspomnień, przychodzących i odchodzących wraz z bogiem, którego trawiła.

Przygotowywała z bratem posiłek i razem czekali na powrót ojca.

– Śniło mi się – zaczął Joel – że tata przyszedł do namiotu, ale w jego jedzeniu były robaki, a w łóżku węże. Potem pojawiła się bestia i połknęła go w całości, i widziałem tatę w jej brzuchu, ale on nie słyszał mnie ani nie widział.

– To tylko sen.

– Nie jestem już dzieckiem, Liah. Nie tylko ciebie dotknęła śmierć Miriam i mamy. Nie chcę, żebyś mnie okłamywała.

Bogowie wciąż jeszcze odpowiadali na ich modlitwy i obawy – w snach, gdzie kajdany obelisków traciły na sile. Mimo to próbowała przekonywać samą siebie, że w tym śnie nie było żadnego proroctwa, żadnej przenikliwości jej brata, który przejrzał milczenie ojca i smutek malujący się na jego twarzy.

Tej nocy nie mogła zasnąć. Z niecierpliwością wypatrywała powrotu pasterzy. Wyszła z namiotu w mrok i ruszyła w stronę doliny, skąd dochodziło nasilające się wycie dzikich zwierząt.

Wkrótce ujrzała ojca, z owcą pod ramieniem, otoczonego przez bestie. Jedna rzuciła się na niego, lecz Liah zaraz znalazła się pomiędzy nimi i sięgnęła po nóż. Nóż wypadł jej z ręki i jedynie wyciągnięte dłonie dziewczyny chroniły ich przed bestiami, które były jak cienie, długie i kanciaste, jak krzyki powołane do życia, ostre i niemożliwe. Spojrzały na nią, jak tylko Anais potrafiła na nią spojrzeć w swojej dzikości, ogarnięta pasją i boską egzaltacją.

Liah wreszcie przejrzała ich fasadę i konwenans, targającą nimi furie, które miały źródło wprost w głowie prorokini. Były nieukojone i zachłanne, te demony Anais, które nawiedzały nie tylko ją, ale i całą ludzkość. Ich odległe piękno z bliska było karykaturą, było twarzą wykrzywioną w gniewie i bezmyślnej nienawiści. To im podporządkowała się Liah, to one były przyjaciółmi i przewodnikami Anais. I gdyby bestie nadal się kryły w lasach i mroku, gdyby Liah nie wyszła na poszukiwanie ojca, nadal by im ufała, nadal ufałaby Anais pomimo wszystkich wątpliwości.

Użyła mocy boga, by bestie skąpały się w blasku i wreszcie ujrzały siebie. I zadrzały, bo nie tym chciały być: fałszem i wykrzywieniem. Drżenie stało się migotaniem, traceniem kształtów, aż wreszcie zniknęły, jakby nigdy nie istniały, te wytwory strachu i wyobraźni. Pozostawiły po sobie tylko lekki zapach cynamonu i miodu.

Liah się odwróciła. Jej ojciec umierał z półuśmiechem na twarzy.

– Tato...

– Tu leży twoja matka – powiedział tak cicho, że ledwo go usłyszała. – Na tej ziemi chcę umrzeć.

Przeszedł ją dreszcz. Nachyliła się i pokręciła głową.

– Nie. Nie możesz tak po prostu się poddać.

Jagnię, za które oddał życie, drżało w jego ramionach. Liah często się później zastanawiała, czy to zwierzę przyniosło duszy ojca odkupienie. Czy w tych ostatnich chwilach wybaczył sobie wreszcie bierność i trwogę w obliczu śmierci żony, córki, a nawet matki Anais?

Liah spojrzała w niebo i pomiędzy chmurami dostrzegła bogów, pięknych i brutalnych, okrutnych i kochających. Byli piaskiem pustyni i ogniem, byli skałą i suszą, wilgocią na spragnionym



języku i ekstazą kochanków. Byli pychą i nadzieją, słabością i siłą. Tak jak bestie powstały z głowy Anais, tak bogowie i ich obeliski powstały z ludzkich pragnień, umiejętności i wiedzy.

Wracła do wioski, niosąc w ramionach śpiące jagnię. Wiatr osuszył już łzy na jej twarzy, ale nie była gotowa na starcie z Anais, kiedy ta zaszła jej drogę.

– Zabrałaś mi je! Zniszczyłaś moje bestie!

Jagnię się obudziło i próbowało wyrwać z rąk Liah. Postawiła je na ziemi, ale zabrakło jej sił, by się wyprostować, i opadła na kolana. Schowała twarz w dłoniach, zagryzła wargi, by powstrzymać napływające łzy, i wydusiła z siebie:

– Mój ojciec nie żyje.

– Wiem.

– Dlaczego na to pozwalasz?

– Naprawdę wciąż nie rozumiesz? Ratowałam was wszystkich już wiele razy. Naszym rajem jest wracanie wciąż do tego samego czasu przed końcem, zanim pochłonie nas nicość. Twoi rodzice, wszyscy ci, którzy budowali obeliski, którzy przybyli na Galeę... Daję im czas, by zrozumieć, co zrobili. Ale kiedy akceptują swoje człowieczeństwo, ocalenie leży tylko w ich rękach.

– Dlaczego mi to zrobiłaś?

– Musi być inne wyjście. Inny koniec. Nie mogę wciąż wracać do tej rozmowy, do obdarzania was miłością, do oddawania was bogom. Nie mogę pamiętać kolejnych imion, które znikają z waszej pamięci.

Miriam – pomyślała Liah. Jej młodsza siostra. Jedna z wielu ofiar tej apokalipsy.

To Miriam pokochała Anais jako pierwsza i wraz z nią chciała zbawić świat. Tak jak wcześniej Darren i Osis poszła z bestiami do obelisków i już nie wróciła.

Czy dlatego Liah zbliżyła się do Anais? Szukała śladów miłości, którą wciąż czuła, ale nie wiedziała do kogo? Tylko Joel, kochany Joel, zmuszony samotnie radzić sobie z tą wiedzą, próbował jej przypomnieć. I jak miała mu teraz powiedzieć, że jego proroctwo stało się prawdą? Z całej rodziny została mu tylko ona i nie mogła go porzucić, skazać na desperację i obłąkane miłosierdzie prorokini.

– To ty, Anais – oznajmiła oschle Liah. Podniosła się wreszcie i spojrzała jej w oczy. – To przez ciebie świat się kończy.

– Co chcesz powiedzieć? Że Galea mnie nienawidzi? Że matka przeklęła mnie, a ja przeklęłam świat?

– Tak.

Anais wybuchnęła pustym śmiechem, za którym podążyły łzy.

– W końcu przeznaczeniem mesjasza jest umrzeć z ranami na dłoniach, stopach i czole, w bólu paraliżującym ciało i umysł. We wstydzie i poniżeniu.

Liah pokręciła głową.

– Twoja matka cię skrzywdziła.

– Wiesz?... Ona zawsze mówiła, że to wszystko przeze mnie. Ale bez niej by nas nie było, to ona nauczyła mnie, jak cofać się w przeszłość. Musiałam sama wszystko pomieszać.

Liah zostawiła ją. Wróciła do namiotu swojej rodziny, weszła do środka i usiadła na ziemi obok posłania Joela. Zdała sobie sprawę, jak szybko ten opalony, bardzo szczupły chłopiec dorósł. Może jakiś jej ruch, może oddech, a może jego intuicja sprawiły, że się obudził. Spojrzał jej w oczy i zapytał:

– Tata nie żyje, prawda?

– Tak.

Przytuliła go, tylko tyle mogła mu teraz ofiarować.

– Nie chcę, by wszyscy o mnie zapomnieli – wyszeptał Joel. – Żeby Anais mnie wymazała.

– Nie będziemy już wracali do przeszłości – oznajmiła. – Nie będziemy powtarzać błędów naszych rodziców. Już nie zapomnę.



Bóg pomógł jej wypełnić luki w pamięci i zrozumieć przeszłość. Strata ukochanych i poczucia bezpieczeństwa sprawiała, że szła wciąż i wciąż tą samą ścieżką. Zapomniała się w tragedii, wybrała łatwiejsze rozwiązanie i ślepo błędziła za Anais, która nie potrafiła nikogo uratować, bo sama rozpadała się na ich oczach, roztaczała wokół swoją rozpacz i narzucała ją innym.

Świat kończył się po cichu. Zawsze wiedzieli, że nadchodzi kres, ich ciała pamiętały już o tym za nich.



Liah i Joel spojrzeli po sobie i udali się na obrzeża obozu, gdzie rozpalono niewielkie ognisko. Wszyscy, skuleni, siedzieli wokół niego i słuchali opowieści Anais.

Joel usiadł w grupie rówieśników, którzy go otoczyli, jakby stanowił przeciwwagę dla Anais. Liah zajęła miejsce na uboczu, dzięki temu mogła przyglądać się innym. Na ich zmęczonych twarzach powoli budziło się zrozumienie. Tutaj, na krawędzi zguby, uświadamiali sobie pełnię swojej niedoli: stracili rodziny i ukochanych, swoje kariery i talenty. Ale istnieli w spirali i nie było już dla nich ocalenia. Zbawienie, które obiecała Anais, było zaledwie odwleczeniem śmierci, końcem innego rodzaju.

– Oszukałaś nas – orzekli starsi. – Miałas nas uratować.

– Zaczniemy jeszcze raz – odparła Anais wśród ich pomruków.

Coś trąciło Liah w ramię. Ujrzała jagnię, które uratował jej ojciec, i uniosła głowę do ciemnego nieba. Bogowie spadali. Nie – bogowie odchodzili. Podniosła się, by lepiej widzieć ich lot, który niegdyś brała za upadek, za śmierć. Ten pokaz wytrwałości i zrządzenia wiążących ich oków. Nie potrafiła tego zrozumieć. Nie – póki trwała pod urokiem Anais, ale teraz, gdy bestie odeszły, pojęła sen brata. Utknęli w brzuchu bestii, a bogowie próbowali pokazać ludziom inną drogę ku zbawieniu i cierpliwie czekali na dzień, gdy ci będą gotowi. Liah dostrzegła ścieżkę, którą im wskazywali – wyjście ze spirali.

Anais niegdyś zaplatała czas i przestrzeń, bo słuchała starszych, którzy chcieli wrócić do tego, co było. Do białego miasta, automatów i wygod. Ale Anais była wtedy tylko przerażonym dzieckiem, które zawiedli dorośli. Stworzyła więc dla nich nowy świat, gniewny i wyjałowiony, i gdy docierali na jego skraj, do pustki i wypalenia, zawracali.

I właśnie tutaj, w ciszy i mroku, w tej najbardziej samotnej godzinie, Anais zebrała ich razem, by nie oglądali się za siebie, by nie widzieli szwów świata. Nie było zbawienia, ale też nie było apokalipsy.

– Joel?

Jej brat namyślał się chwilę, po czym skinął głową i wstał. Za nim poruszyli się jeszcze inni: dwójka nastolatków, kilkoro starszych. Liah chciała przemówić do pozostałych, ale nie знаła słów, które byłyby piękniejsze od kazań i przypowieści prorokini. Anais



nie próbowała ich powstrzymać ani się pożegnać, nawet nie patrzyła w ich stronę.

– Nie przeraża cię to? – zapytał Joel.

– Przeraża. Ale daje też nadzieję na coś innego.

Uniosła głowę do bogów, tak odległych od jedynego świata, który знаła. Tu pochowała rodziców, tu straciła siostrę. Tutaj prawie straciła siebie. Chwyciła jagnię pod ramię, odetchnęła głęboko i ruszyła naprzód, coraz dalej od bezpiecznego obozu. I chociaż obejrzała się i widziała, że większość została przy ognisku, to jednak nie była sama. Kiedy się zawahała, brat chwycił ją pod wolne ramię i podążyli razem przez doliny i wzgórza, przez noc, zostawiając za sobą strach i gniew, echa przeszłości i niezakończonych tragedii. Wreszcie wokół nich rozlało się światło, które wydobyło kolory z trawy i drzew, z ich twarzy i ubioru. Pozwolili wybrzmieć trąbom i duchom; wydostali się z rzeczywistości Anaïs.



Zbudowali nowe życie na ruinach starego. Nie była to ta sama Galea, po której niegdyś wędrowali, ale odnaleźli miasto. Porządkowali je przez lata, budowali swój nowy dom. Liah przemierzała opuszczone budynki instytutu i zbierała wszystko, co mogłoby się przydać. Czasami coś sobie przypominała. Ale nie po wspomnienia tam chodziła. Uruchamiała stare automaty, budowała maszyny, lecz nie bogów: nie znała zasad ich działania, a i tak nie potrzebowali ich jako źródła energii. Nocami Liah sunęła palcem po niebie i opowiadała o nich dzieciom.

– To starzy bogowie. Kiedy się zgubicie, zapytajcie ich o drogę, a poprowadzą was bezpiecznie do domu.

Tamta rzeczywistość, napierająca na umysł, pozbawiająca oddechu, zawsze istniała gdzieś obok, a obecne życie nie było łatwiejsze. Znosili trudy i niewygody, śmierć bliskich łamała im serca. Nie mogli już polegać na cudach. Może dlatego niektórzy podejmowali decyzję o powrocie do spirali. Chociaż Liah starała się im pomóc, ostateczny wybór nie należał do niej. Było pewnie coś pociągającego w niepamięci, w obiecany zbawieniu, które inni brali na swoje barki.



Mimo to niekiedy po burzy, gdy powietrze było czyste i lekkie, zdarzało się spotkać starego znajomego.

Wiele lat później Liah ujrzała Anaïs o świcie. Nie podeszła do niej, nie zawołała, nie istniały słowa, które musiały zostać wypowiedziane. Spirala wciąż istniała i może ktoś inny przejął rolę mesjasza, lecz nie miało to już znaczenia. Liah uśmiechnęła się, odgarnęła loki z twarzy i wróciła do pracy.

.....

Opowiadanie opracowali

Redakcja: Katarzyna Pikosz

Kontrola redakcji: Magdalena Świerczek-Gryboś

Korekta: Karolina Rogala, Ilona Żurawska, Magdalena Kłodowska

Weryfikacja: Renata Rabczewska, Malwina Niewielska, Patrycja Pancerz

Kontrola weryfikacji: Magda Kowalewicz

Kontrola przed składem: Dawid Wiktorski

Recenzje: Alicja Szalska-Radomska, Adam Wnuk, Patrycja Pancerz

Zegarmistrz życia zakrwawiony

Jacek Małas

Fengard zamierzał się powiesić.

Wygospodarował na śmierć godzinę po południu, przed umówionym obiadem.

Wszystko było gotowe. Dobrany pod jego wagę sznur, z fachowo zawiązaną pętlą, leżał na stole w pracowni. Hak pod sufitem niedawno został sprawdzony przez czeladnika.

Fengard sam jeszcze zbadał węzeł po raz ostatni, zanim wszedł na zydel i przywiązał koniec liny do uchwytu. Stał pewnie na stołku, założył pętlę na szyję i zacisnął.

Przez zapomniany, uchylony lufcik wpadł podmuch zimowego wiatru, poderwał kilka luźnych kartek ze stołu, przetoczył się przez pracownię i uderzył w mężczyznę. Ten zadrzał – nie tylko z zimna.

Nieważne, ile razy oglądało się zęby śmierci, jej uśmiech nigdy nie robił się przyjemniejszy.

Odszukał wzrokiem zegar, sprawdził godzinę. Uświadomił sobie, że zwleka, po czym zrobił prężny krok w pustkę.

Sznur się napiął, a pętla werżnęła w gardło i odcięła dopływ powietrza. Mężczyzna zakołysał się powoli z jednej strony na drugą i z powrotem. Wkrótce ciało zaczęło walczyć. Ręce zmusił do bezruchu, nogom pozwolił wierzgać. Po chwili przestały.

W końcu wszystko pochłonęła ciemność i mistrz Fengard, krwawy zegarmistrz szóstego stopnia, vitomanta Zjednoczonej Republiki Rentarii, umarł.

Mrok ustąpił przed wszechogarniającym blaskiem. Oślepiąłby, gdyby oczy mogły go zobaczyć. Ale mistrz nie korzystał już z ciała



i jego sensorium. Przez okamgnienie, trwające nieskończenie długo, spokojnie unosił się w morzu vitae – esencji, sumie, początku i końcu życia.

Światło wdarło się ciepłem w głąb jestestwa zegarmistrza i sięgnęło do rdzenia jego istoty. Zewnętrzne powłoki duszy vito-manty erodowały pod wpływem wnikającego w nią strumienia vitae i Fengard czuł, że coraz mniej wyraźna jest granica między nim a bezmiarem życia, w którym się unosił. Kiedy vitae dotknęło animy, poczuł przemożną chęć, żeby jeszcze chwilę zaczekać. Dać erozji czas na dokończenie dzieła. Czy naprawdę tak źle byłoby się rozplynać, stać się częścią wszystkiego?

Ale nie mógł, jeszcze nie. Odrzucił pokusę – wydawało mu się, jakby podejmował tę decyzję całą wieczność, choć teraz czas płynął dla niego inaczej – i wciągnął morze w siebie.

Życie wlewało się w niego już nie drążącym, skupionym strumieniem, ale gwałtownym potopem. Erozja granic duszy vito-manty ustała. Aż nagle znalazł się znowu w ciele. Przepływ vitae je uleczył.

Otworzył oczy, instynktownie spróbował złapać oddech, choć przecież wiedział, że na razie była to próba skazana na porażkę. Gwałtownie sięgnął po nóż zatknięty za pasem i przeciął linę.

Kiedy upadł na kamienną podłogę pracowni, zaczął szarpać pętlę na szyi. W końcu udało mu się ją zerwać i zaczerpnąć powietrza. Odrzucił stryczek, po czym rozmasował gardło.

Dłoń drżała; teraz uświadomił sobie, jak mu zimno. Nie aż tak, żeby cały dygotał, ale odłożył nóż na stół, przeszedł do salonu, okrył się kocem i skulił przy kominku. Co prawda wiedział, że po śmierci ciało szybko się ochładza, ale nigdy wcześniej aż tak nie przemarzł! Z drugiej strony to pierwszy raz, gdy umarł w środku zimy. A pracownia nawet latem była dość chłodna.

Ponownie roztarł gardło. Pręga na szyi niemal całkowicie zniknęła. Pomimo zimna czuł się silniejszy, żwawszy, energiczniejszy, zmysły mu się wyostrzyły. To wszystko, wraz z przyspieszonym uzdrawianiem, miało jak zawsze wkrótce minąć, gdy tylko przepływ vitae przez organizm się unormuje. Jedynie kilka z efektów Ostatniego Tchnienia było trwałych. Zmysł życia stał się silniejszy; zegarmistrz wyraźniej teraz wyczuwał animę w otaczających go

mechanizmach oraz w ludziach znajdujących się w innych pomieszczeniach, a gdyby się skupił, potrafiłby dostrzec ją nawet u tych na ulicy.

Odrzucił koc, po czym skierował się ku schodom. Na górze otworzył drzwi po lewej i po cichu wszedł do półmrocznej izby.

Tak jak się spodziewał, Virun spała. Drobne, wychudzone ciało było nakryte kołdrą, która ledwie widocznie unosiła się przy każdym oddechu. Fengard usiadł, uważając, żeby jej nie obudzić, i pogładził córkę po zapadniętym policzku. Mimo niedawnej infuzji jej stan znowu się pogorszył; w narastającym tempie traciła zdolność do utrzymywania mocy. Białozguba postępowała z dnia na dzień i nawet coraz częstsze zabiegi przelewania życia powoli przestawały łagodzić objawy. Wkrótce i cała vitomancja świata nie ocali jego ukochanej córeczki.

Zacisnął zęby i gwałtownie zamrugał. Zmusił się do zachowania spokoju; nie miał czasu na łzy. Pocałował Virun w czoło i wrócił do pracowni.

Wyjął spod stołu niewielką klatkę i postawił na blacie. Ze środka zerkał mały iervik – a raczej nakręcany automat będący jego mechaniczną repliką. Jeśli eksperyment przebiegł poprawnie i Fengard nie popełnił żadnego błędu przy fałszywej ekwiwalencji duszy, to zwierzątko od swojego organicznego wcielenia różniło się jedynie somatycznie. Dla vitomanty, którego wzrok sięgał głębiej niż ciało i krew czy metal i smar, różnica była nieznacząca.

Pozostawało mieć nadzieję, że dla synka Atfandra też taka będzie.



Atfandr już na niego czekał. Siedział przy stoliku i popijał wino. Karmazynową pelerynę, znak rozpoznawczy zegarmistrzów, przerzucił przez oparcie krzesła.

Przywitali się krótko i serdecznie, jak przystało na starych przyjaciół, którzy stanowczo zbyt długo się nie widzieli. Podczas jedzenia prowadzili rozmowę na błahe, bezpieczne tematy, choć Atfandr musiał przecież zauważyć, że Fengard wziął kolejny Oddech. Nie poruszał jednak na razie tej sprawy, za co przyjaciel był mu wdzięczny. Zamiast tego dyskutowali o polityce zagranicznej



i zgodnie narzekali na nierozsądne ceny hematytu. Dobrze było choć na chwilę oderwać myśli od ponurych spraw.

– Popraw mnie, jeśli się mylę, ale... – Atfandr się zawahał, a jego rozmówca spał się w oczekiwaniu na nieuniknione pytanie. – Kolejny Oddech? Nie dalej jak wczoraj.

– Dzisiaj po południu, właściwie tuż przed przyjściem tutaj.

– Na Krew Matki... Który to już? Czwarty? Piąty?

– Ósmy.

Zaległa cisza.

– Arcyzełazarmistrz Ildingr niedawno wziął siódmy! A on przelewa życie dobre dziesięć lat dłużej od ciebie, Fen! Aż tak ci się spieszy rozpląnąć w vitae?

– Posłuchaj – Fengard podniósł uspokajająco ręce – zdarzali się mniej doświadczeni vitomanci ode mnie z nawet dziewięcioma czy dziesięcioma Oddechami.

– Tak? A ilu ich było? Ilu z nich brało ostatnie Oddechy na polu jakiejś bitwy? Nie wspominając już o tym, że...

– Atf, posłuchaj. – Fengard mu przerwał. – Liczy się to, że wciąż jestem tutaj i nic mi się nie stało. A po szóstym Tchnieniu ekwiwalencja duszy przychodzi znacznie łatwiej. Zresztą, sam oceń.

Fengard postawił klatkę z nakręcanym iervikiem na stole i ją otworzył. Automat nieufnie wypełził na blat, ale gdy tylko Atfandr wyciągnął do niego rękę, stworzenie przewróciło się na grzbiet i odsłoniło podbrzusze.

– Chyba chce, żebyś go podrapał... ale nie jestem pewien, jak dobrze działa u niego sensorium. Jak sam widzisz, reaguje na kontakt, ale nie bardzo mogę go wypytać, jak złożone bodźce potrafi odbierać – powiedział Fengard.

– On naprawdę mnie rozpoznaje? Niesamowite. Na ile oceniasz sprawność przeniesienia?

– Dziewięć części z dziesięciu, może dziewięć i ćwierć. Teraz, przy ośmiu Oddechach, mógłbym uzyskać przynajmniej dziewięć i pół. Tak na marginesie, mechanizm nasyciłem jakimiś czterema olvirami; powinno starczyć aż nadto, jak na takie drobne ciało.

– To może być przełomowe. Na twoim miejscu zabrałbym się za opracowanie tych badań, zanim cię ktoś ubiegnie. Słyszałem,

Zegarmistrz życia zakrwawiony

że Ymir zajmuje się czymś podobnym; próbuje osiągnąć pełną sprawność przeniesienia.

– Tak... Swoją drogą, nie żebym narzekał na zapłatę, ale po co tyle zachodu z fałszywą ekwiwalencją duszy dla jakiegoś iervika?

Atfandr przez chwilę nie odpowiadał, bawiąc się z nakręcanym zwierzątkiem.

– Mały dostał go w prezencie od Ran, zanim...

– Rozumiem.

Fengard naprawdę rozumiał. A niewielu pojmowało te sprawy.

– Właśnie, co u Virun?

Bez zmian. Białozguba. Nieuleczalne. W większości przypadków nie więcej niż osiem miesięcy życia.

– Dobrze – skłamał. – Dobrze. Infuzje pomagają.

Jeszcze chwilę pogadali, potem Fengard zrobił przedstawienie z wyciągnięcia zegarka i sprawdzania godziny: jak to już późno, koniecznie musimy się niedługo znowu zobaczyć, pozdrów syna.

Spotkanie z Atfandrem na pewien czas go zajęło, lecz gdy wracał do domu, jego myśli ponownie zaczęły krążyć wokół tego, co wczoraj powiedział mu medyk. Dawał Virun najwyżej kilka tygodni, może nawet dni. I to zakładając, że Fengard da radę utrzymać obecną częstotliwość infuzji.



Przygotowania miały trochę potrwać. Oficjalnie zegarmistrz potrzebował spokoju i skupienia, żeby wypróbować nowy obiecujący rodzaj infuzji, który – jeśli okaże się skuteczny – mógłby przedłużyć Virun życie o przynajmniej kilka lat. Uczniowi kazał zrobić spory zapas krwawego barwnika, a po odebraniu najnowszej dostawy zwierząt dał jemu i służbie kilka dni wolnego.

Przez następne dwa dni Fengard przeglądał swoje notatki z eksperymentów. Ostatnim z nich był iervik syna Atfa. Jak dotąd wszystkie próby zakończyły się pomyślnie, ale to, czego teraz zamierzał się podjąć, było o rzędy wielkości bardziej złożone.

Fengard odsunął stoły w pracowni pod ściany. Musiał namalować połowę układu vitomantycznego na środku pomieszczenia i połączyć ją z gotowym, wyżłobionym w kamiennej podłodze



schematem, który należało tylko pociągnąć farbą. Każda część miała składać się z głównego kręgu i pięciu otaczających go pobocznych, rozmieszczonych na planie pięciokąta.

Gdy skończył ostatni fragment i skontrolował wszystkie linie, za pomocą obecnego w pracowni nakręcanego systemu haków, łańcuchów i zębatek zajął się taszczeniem związanych owiec do pobocznych kręgów. Na próbę skierował przez obwód niewielki ładunek i sprawdził działanie schematu. Strumień vitae przechodzący przez układ poprawnie się uporządkował, wszystkie chaotyczne pływy wewnątrz ustały.

Wreszcie zaciągnął na środek jeden ze stołów i zdjął płachtę z tego, co na nim leżało. Ostrożnie dźwignął przedmiot. Gdy układał go w jednym z głównych kręgów, metal zazgrzytał o kamień.

Na wszelki wypadek Fengard jeszcze raz obejrzał każdą linię, po czym zdał sobie sprawę, że tylko odwleka to, co musiał zrobić.

Zaszedł tak daleko i nie zawaha się teraz.

Wszedł po schodach do pokoju Virun, która czytała przy świetle lampy. Powiedział, że to czas na infuzję. Wziął córkę na ręce i zaniósł na dół do pracowni, do kręgu pod ścianą.

Przypomniawszy sobie, jak jeszcze parę lat temu – wydawało się, jakby to było w innym życiu – zanosił Virun do łóżka, gdy zdarzało się jej zasnąć w ogrodzie.

Ymir mógł sobie bez końca szlifować sprawność przeniesienia, ale nawet przy zerowych stratach nie uda mu się dokonać przełomu w ekwiwalencji duszy. A przynajmniej nie przy pojedynczym układzie vitomantycznym.

Potrzebny był podwójny.

Zegarmistrz metodycznie, po kolei zarzynał spętane zwierzęta. Beczały z wyrzutem, kiedy je ciął, by otworzyć odpowiednie arterie. Dobrał je tak, aby śmierci były możliwie równoczesne. Czuł, jak wraz z upływającą z owiec krwią anima każdej z nich oddziela się od ciała. Skupiał się teraz na vitae, widział jego przepływ; materialny świat wydawał mu się obecnie jedynie plamą światła na powierzchni głębokiego morza.

Fengard podciął gardło ostatniej owcy i uklęknął obok córki. Jak zawsze objął ją i przytulił. Jak zawsze wtuliła twarz w jego ramię, bo nie lubiła patrzeć na umierające zwierzątka. Poglaskał ją wolną dłonią po głowie. Nóż niespodziewanie zaczął mu ciążyć.

Tak samo się w niego wtulała, kiedy Drima umarła. Virun miała wtedy cztery lata i nie rozumiała, co się stało z mamą. Wciąż pytała, kiedy wróci. Łamało mu to serce.

Poczuł, że płacze.

– Przepraszam, córeczko. Nie mogłem ocalić mamy.

– Tato...

– Przepraszam, Virun... Wybacz mi...

Przytulił ją silniej i wbił jej nóż z lewej strony szyi, w dół, w kierunku serca.

– T-tato...?

Ułożył ją na podłodze. Śmierć nadeszła szybko, zgodnie z wyliczeniami. Anima Virun, izolowana przez krąg, nie rozpraszała się, ale wiedział, że nie potrwa to długo.

Równomiernie pociągnął animę z zewnętrznych kręgów i pokierował ją do głównych. W jednym z nich esencja jego córki łączyła się z siłą życiową ofiar. Wzmocnienie jej duszy było konieczne, jeśli Virun miała przetrwać proces.

W kolejnym kręgu zmieszał animę ofiarnych zwierząt i powoli nasycił nią mechaniczne ciało, które pieczołowicie konstruował przez ostatnie miesiące. Utrzymywał w umyśle jego schemat; musiał pamiętać o każdej najdrobniejszej zębatce i każdym metalowym ścięgnię, aby napełnić je życiem. Pomyłka mogła być katastrofalna w skutkach.

Czuł, że nakręcane ciało ożyło, metalowe palce drgnęły.

Martwe oczy córki patrzyły na niego.

Przypomniął sobie moment, w którym zobaczył te oczy po raz pierwszy.

Przesłał zawartość jej kręgu do drugiego, wtłoczył połączoną animę do leżącego w nim konstruktu.

Rytuał dobiegł końca, ale automat leżał bez ruchu.

Był przy niej, gdy jej życie się zaczynało.

Czy musiał być też przy tym, jak się kończyło?

Był przy tym, kiedy Virun wzięła pierwszy oddech. Nie spodziewał się, że będzie też przy jej ostatnim.

Mechanizmy kliknęły naraz głośniejsze i ucichły. Zaszlochał. Dlaczego nie mógł...

– Tato?



Opowiadanie opracowali:

Redakcja: Adam Ragłan

Kontrola redakcji: Magdalena Świerczek-Gryboś

Korekta: Justyna Mroczek-Żal, Ilona Żurawska

Weryfikacja: Agnieszka Ruczaj, Barbara Uznańska-Loch

Kontrola weryfikacji: Magda Kowalewicz

Kontrola przed składem: Dawid Wiktorski

Recenzje: Aleksandra Klęczar, Alicja Szalska-Radomska, Patrycja Pancerz

Oksytocyna

Michał Klasa

Otwieram oczy, ale nic nie widzę. Znajduję się w zupełnej ciemności. Nie mogę oddychać przez nos, a w ustach czuję metaliczny smak krwi. Leżę na twardym, zimnym betonie. Rozglądając się, próbuję przyzwyczaić wzrok do ciemności. Wreszcie kątem oka udaje mi się zauważyć wytłumione źródło światła. Dłonią odgarniam potłuczone szkło i wstaję. Idę w stronę światła, każdym krokiem wywołując nienaturalne echo.

To mój telefon z włączoną latarką. Podnoszę go i oświetlam nim to, co wokół.

Betonowe, brudne ściany pokryte są obłąkańczymi graffiti. Większość przypomina zwykle gryzmoły, ale jeden z nich to prawdziwe dzieło sztuki namalowane czarnym i granatowym sprayem. Przedstawia ślepy ludzki płód unoszący się w przestworzach kosmosu, a pod nim napis: „Bycie samotnym to jedyne, w czym jesteś dobry”. Co to za depresyjny loch? Dlaczego tutaj jestem? Kręci mi się w głowie, serce wali tak mocno, że słyszę własny puls. Dopadają mnie złe myśli:

Jesteś tutaj, ponieważ twój świat cię odrzucił.

Nie chcę z nimi zostawać sam na sam. Nie mogę sobie przypomnieć, kim jestem, ani jak się tu znalazłem, ale jestem pewien, że muszę się stąd wydostać. Obchodzę pomieszczenie, zataczając po nim kręgi. Nie ma ani okien, ani nawet wnęk czy jakichkolwiek rur, których mógłbym spodziewać się po piwnicznym pomieszczeniu. Żadnych krat, klap w podłodze czy w suficie. Tylko rozbite świetlówki. Czy to więzienie? Piekło? Czyścić?



Wystarczy tych koszmarnych fantasmagorii, przecież jakoś się tu dostałem. Przecież nie jestem tutaj zamurowany, prawda? Teraz muszę stąd po prostu wyjść!

Gdy badam ściany, zauważam wreszcie drzwi pokryte graffiti, jak wszystko wokół. Pociągam za klamkę, a ona – wbrew moim obawom – po prostu ustępuje. A jednak się udało!

Nie pękaj!

Wychodzę na ciemny, piwniczny korytarz przepełniony chłodną wilgocią i zapachem stęchlizny. Przywodzi na myśl lata zapomnienia i zaniedbań. Jedynym źródłem światła są tutaj LED-y oznaczające zielony znak wyjścia ewakuacyjnego. Słyszę dochodzące z góry dudnienie muzyki elektronicznej. Rozpoznaję brzmienie syntezatorów sprzed kilku dekad i wzmacniacza lampowego. Ale to, co leci, to jakiś nowy synthwave. Wynika z tego, że albo w piekle diabeł puszcza akurat muzykę, którą lubię, albo po prostu jestem w klubie w stylu retro. Dlaczego ten anachronizm wywołuje we mnie uczucie nostalgii? Nigdy nie żyłem w neonowych latach osiemdziesiątych, zresztą prawdziwe lata osiemdziesiąte wcale nie były neonowe.

Pewnie zwyczajnie poszedłem do klubu i urwał mi się film. Natrafiam wreszcie na schody i kieruję się na wyższe piętro. Widzę podświetlone LED-ami wejście do toalety. Mam nadzieję, że nikogo w niej nie ma. Wchodzę. Na szczęście jestem sam. Staję naprzeciw lustru i próbuję określić, w jakim znajduję się stanie i kim w zasadzie jestem. Myślę, że jestem sobą. Twarz owalna, nieciekawa. Taki przeciętny nikt. Krew cieknie mi z nosa, ale nie mam na twarzy widocznych obrażeń. Ubrany jestem w szare spodnie i dżinsową kurtkę. Nie czuję się pijany, ale odczuwam narastający lęk. Kompulsywnie myślę o wydzieleniu przez układ endokrynologiczny solidnej dawki trymetozyny na uspokojenie.

Potem zastanawiam się, czy o tym, o czym przed chwilą pomyślałem, pomyślałby normalny człowiek. Obawiam się, że nie. Odpowiedź jest prosta – normalny, zdrowy człowiek nigdy nie znalazłby się w takiej sytuacji. Czuję pulsujący ból. Ostrożnie obmacuję palcami tył głowy. Na potylicy pod włosami wyczuwam metalową płytkę z przyłączami elektrycznymi. Będę musiał ustalić, co to jest. Aparat słuchowy? Jestem niepełnosprawny? Spoglądam wreszcie

w telefon i sprawdzam ostatnie połączenia i SMS-y. Są to głównie techniczne uwagi wymieniane z doktorem Andrisławem Borem na temat naszych najnowszych prac. Testy, poprawki, testy, poprawki. Jakieś osobliwości topologiczne, czasoprzestrzeń, sztuczna inteligencja podpięta do Mózgu Elektronowego. Czy to jest to, co mam na potylicy?

Znajduję wiadomość sprzed dwóch dni od dziewczyny imieniem Lena. Prosi w niej, żeby spotkać się w sobotę „tam, gdzie zwykle”. Data i dzień tygodnia w telefonie się zgadzają. To dziś. A ja nawet nie pamiętam, jak wygląda.

Nie mam w telefonie jej zdjęcia, nie mam też żadnych aplikacji portali społecznościowych. OK, czyli jestem samotnikiem?

Przeszukuję kieszenie. Znajduję kluczyki z zawieszka w kształcie koła zębatego z logo Związku Motorowego oraz numerki do szatni i – prawdziwe znalezisko – portfel, a w nim prawo jazdy i dokumenty motocykla. O super, z wózkiem bocznym! Zawsze chciałem taki mieć. Nagle przypominam sobie, jak robiłem ósemki i ćwiczyłem jazdę bez trzymanki na pustym placu przed jakąś zamkniętą fabryką. Ale bez kontekstu ta informacja niewiele mi mówi. Poza tym nazywam się Jaksa Wiech, mam trzydzieści lat i jestem zameldowany przy stołecznej ulicy Metalowców. Czy to niedaleko klubu? Czy mieszkam razem z Leną? W mojej głowie pojawił się niezwiązany z niczym wycinek topografii miasta. Mam też przepustkę pracownika naukowego Instytutu Politechnicznego, Wydział Mózgu Elektronowego. Cokolwiek to znaczy, ma logiczny związek z SMS-ami.

Zmywam skrzepy krwi z twarzy, biorę głęboki oddech i wychodzę z łazienki. To, zdaje się, był dopiero łatwiejszy etap. Drobnotka w porównaniu z tym, co nadchodziło. To, co miało się wydarzyć, było bowiem straszne. Będę musiał wyjść do ludzi w tym popierdolonym stanie. Wchodzę po schodach do sali klubu. Bar, neonowe światła. Chaotyczna kakofonia głosów, nieznanome twarze i ciemność zakłócana stroboskopowymi światłami. Jestem oszołomiony tym zgiełkiem, ale wiem, że nie mogę tak stać na środku, dziwnie się patrzeć i ściągać na siebie uwagę. Po co tu przyszedłem? Nie cierpię klubów. Chyba. Nie wytrzymam, jeśli wszyscy zaczną się na mnie patrzeć.



– Hej, nieudaczniku.

Zdaje mi się, że obraża mnie dziewczyna w jaskrawych, neo-nowych kolorach, z aureolą świetlnej oprawy disco wokół burzy włosów.

– Siedzisz cały czas w domu, czytając głupoty o jakimś zakrzywianiu czasoprzestrzeni i osobliwościach topologicznych. To nie jest twój teren, tutaj chodzą normalni ludzie. Kolejne próby wchodzenia w interakcje społeczne są skazane na niepowodzenie, jeszcze zanim zdecydujesz się je podjąć. Przecież wiesz. Nic nie zmieni się w twoim życiu, słyszysz? Nic!

Tak naprawdę wcale do mnie nie mówi. Nie zwraca na mnie uwagi. To mój chory umysł wmawia mi, że coś jest nie tak, kiedy jestem wśród obcych. Nikogo tu nie znam. Może gdy znajdę Lenę, przestanę się czuć tak strasznie wyalienowany. Inaczej moja wyobraźnia wciąż będzie płatać mi figle.

– Przyjrzyj się sobie. – Słyszę w wyobraźni przystojnego mężczyźną pijącego piwo przy barze. – Możesz się okłamywać, że z wyglądu jesteś średni i nadrabiasz swoim wygadaniem, ale masz za mało mięśni. Nie wygrałbyś pojedynku na pięści z żadnym prawdziwym mężczyzną. Bo sam nim nie jesteś. Nie masz kwadratowej szczęki ani idealnie białych zębów hollywoodzkiego aktora. Udajesz, że akceptujesz siebie? Jesteś planem C albo D. Może ktoś się tobą zainteresuje, ale tylko wtedy, kiedy przestanie mieć nadzieję na kogoś lepszego. Podkreślam: „lepszego”, bo ty jesteś „gorszy”.

– Umrzesz w samotności! – śmieją się laski tańczące ze sobą w kółeczku na środku parkietu. Nie wiem, z czego śmieją się naprawdę, ale wydaje mi się, że ze mnie. – Umrzesz samotny fizycznie, intelektualnie i duchowo. Jesteś wartościowy tylko jako dawca organów. Twoje pasje są tak naprawdę nieciekawe i niepotrzebne. Twoja osobowość jest nie do wytrzymania. Sam siebie nie znosisz, a jednocześnie, paradoksalnie, uważasz za lepszego od innych! Czy to nie jest śmieszne? Twoja egzystencja jest tylko formalnością. Dlaczego nie zrobisz wszystkim przysługi i nie popełnisz samobójstwa? Brzydzimy się, że takie dziwolągi jak ty oddychają tym samym powietrzem, co my.

– Tylko z tobą jest taki problem – krytykuje mnie paranoiczna wizja barmana, który bez słowa nalewa piwo z kija do wysokiej

szklanki z barwionego szkła. – Możesz sobie racjonalizować, że to normalne, że ludzie czasem kogoś nie cierpią. Ale to kłamstwo. Ludzie w szczególności nie znoszą ciebie. To ty jesteś wspólnym mianownikiem w tym równaniu. Jesteś dokładnie takim wyrzutkiem i odszczepieńcem, za jakiego się uważasz.

– A ten świat należy do nas – chwali się smukła dziewczyna, potykająca się w wysokich szpilkach. – I musimy czekać, aż sobie pójdziesz, żebyśmy mogli wrócić do swoich spraw. Nie powinno cię tutaj być. Nie jesteś wyjątkowy. Jesteś nieprzystosowany i gorszy. Dlaczego po prostu nie umrzesz?

Paranoja. Wszyscy są fajni, weseli, atrakcyjni, pijani lub naćpani. Tylko ja muszę być outsiderem, nieprzystosowanym do życia w społeczeństwie, mającym w czaszce dziurę od przewodów elektrycznych. Pamiętam więcej informacji o naukach teoretycznych niż o rzeczywistym świecie. Jestem w stanie rozpisać fraktal dywanu Sierpińskiego na płaszczyźnie kartezjańskiej, ale nie wiem, jak wrócę do domu. Dołączam do klubowych smutasów, którzy podpierają ścianę i tylko patrzą na tańczących na środku sali.

– Nikt, absolutnie nikt na tym świecie nie czuje się tak jak ty. Nigdy. Gwarantuję – przekonuje mnie jeden z podściennych ponuraków, który tak naprawdę rozmawia znudzony z kumplem. – Wszyscy są zadowolonymi z życia ekstrawertykami, którzy żyją zgodnie z papką podawaną przez social media, jakby była wiernym obrazem prawdziwego życia. Tylko ty miewasz chwile samotności czy zwątpienia. Pamiętaj, nigdy nie spotkasz swojej introwertycznej drugiej połówki, przy której będziesz czuć się dobrze niezależnie od tego, dokąd pójdziesz. Jesteś niekompatybilny, i tyle.

W końcu spotykam się w tłumie wzrokiem z bladą dziewczyną o eterycznej urodzie i zielonych oczach. Zdają się mgławicą z gwiazdozbioru Liry, a jej fryzura przypomina styl wokalistek punk rocka lat osiemdziesiątych. Na mój widok odsłania zęby w uśmiechu. Jest ubrana w krótką, skórzaną kurtkę, dżinsy i kozaki. To musi być Lena! Ta jedna na setkę znajoma twarz! Idzie w moją stronę. Muszę wymyślić, co jej powiem, żeby dobrze wyszło:

Tylko nie zrób z siebie znowu idioty i dziwaka.

– No i co mi powiesz ciekawego? – pyta Lena melodyjnym głosem i zarzuca mi ręce na szyję.



Jasna cholera! Mogłaby mnie spytać, gdzie byłem, dlaczego kazałem na siebie czekać, co się ze mną działo. Powinienem po prostu powiedzieć, że coś jest nie tak i potrzebuję pomocy, bo urwał mi się film. Ale odruchowo staram się zachowywać jak na randce. Nie chcę niczego zepsuć. Niestety, moje repozytorium rzeczy do powiedzenia dzieli się teraz na katalog abstrakcji albo wywód wariata. Wolę skorzystać z pierwszego zbioru.

– Lekkie gwiazdy tłą się zimnym, słabym blaskiem przez miliony lat i kończą jako białe karły. Za to masywne gwiazdy płoną intensywnie, przez co giną w wielkim kataklizmie jako supernowe lub gwiazdy neutronowe – opowiadam pierwszą rzecz, którą mój chory łeb podsunął z katalogu „Coś ciekawego”.

Katastrofa! Powinienem z nią rozmawiać o czymkolwiek normalnym i społecznie akceptowalnym. Nie o fizyce. Ona śmieje się perłście i przytula do mnie mocniej. Delikatnie dotykamy się ustami. Potem Lena opiera podbródek na moim ramieniu.

– Jesteśmy na przeciwnych końcach wykresu Hertzsprunga-Russella. Ale prawa przyciągania są uniwersalne – szepcze mi do ucha.

Jej dotyk i zapach dają mi odurzającego kopniaka dopaminy. Kora nadnerczy wtłacza mi w obieg adrenalinę i neuropeptydy. Jestem w niej zakochany! Sekundowe zetknięcie się wargami powoduje, że jestem hormonalnie naćpany. Mam teraz tyle molekuły NGF w krwioobiegu, że cały mój lęk społeczny wobec ludzi w klubie zredukował się do zera. W obecności całego stada jestem walidowany przez atrakcyjną samiczkę i moja pewność siebie zostaje przywrócona. Głęboko oddycham słodkim i narkotycznym jak tuberozy zapachem jej włosów i perfum, moja klatka piersiowa się unosi, ramiona stają się szersze, a bicepsy zyskują w obwodzie.

Kim ona, do diabła, jest?!

Mówi do mnie jakąś wariacką, astronomiczną poezją miłosną. Może mnie to kręci, ponieważ jestem dziwny? Ale przecież dziewczyny tak nie robią, a przynajmniej tyle zapamiętałem ze szkoły. Może chodzi z nią od tak dawna, że zdążyłem nauczyć ją tych wszystkich głupot? Albo jest tak samo dziwna jak ja i dlatego ze sobą jesteśmy?

Mój sponiewierany łeb zdaje się regenerować, ukojony bardzo przyjemnym zastrzykiem miłosnych neuropeptydów łechcących

receptory opioidowe. Wynikałoby też z tego, że w obecności kogoś, kogo lubię, wcale nie mam takiej awersji do klubów, jak mi się wcześniej wydawało, a moje ponurackie uwagi być może wzięły się jedynie z poczucia samotności. Do przemyślenia innym razem. Tymczasem mam wrażenie, że właśnie przypominałem sobie nasze – moje i Leny – mieszkanie. W tym momencie nie rozumiem, dlaczego musiałem się z nią umawiać SMS-em na spotkanie tutaj, jeżeli mieszkamy razem. Tak jakby było to wzajemnie sprzeczne. Nie mam jednak czasu, aby to analizować. Czuję się bardzo, bardzo źle. Najchętniej wróciłbym do domu i spróbował sobie to wszystko poukładać od początku.

W sumie, to może być dobry plan ewakuacji i oceny swojego stanu umysłowego. Czy Lena mi pomoże? Ufam, że mnie wysłucha i nie wyśmiej.

– Chodźmy już stąd, jestem wykończony. Chcę wrócić do domu – mówię.

Nie wiem, czy udało mi się zamaskować, jak bardzo jestem zdesperowany. Pieprzyć to. Na szczęście przynajmniej moje ręce już nie drżą. Lena tylko się uśmiecha i kiwa głową. Wydaje mi się to trochę dziwne. Spodziewałem się, że powie coś więcej, ale OK. Idę z nią pod ramię w stronę wyjścia. W korytarzu oddaję numerek znudzonej pani ciciującej przy szatni. Przez uchylone okno wlatuje przeszywający chłód, więc z ulgą obserwuję, jak trafia do mnie skórzana kurtka z upchniętym do rękawa szalikiem i rękawicami oraz hełm. Lena chyba nie czuje chłodu, ma ciepłe dłonie i nie drży, ale dla mnie na zewnątrz jest lodowato. Wychodzimy przed klub. Rozpoznaję stary motocykl z koszem – wyróżnia się między nowymi pojazdami jak szparag między orchideami. Nie pasuje do tego parkingu tak samo, jak ja nie pasowałem do ludzi w klubie. Odpalam silnik, który ciężko warczy. Rozpędzam się, mijam billboard z grupą dobrze ubranych, roześmianych, fotoszopowanych młodych ludzi reklamujących modną ostatnio markę dżinsów. Ktoś dopisał pod spodem sprayem: „Zabij się!”. Dostrzegam korelację z nieistniejącymi głosami ludzi w klubie. O co tu chodzi?

Ruszamy w trasę do domu. Do domu – to znaczy gdzie? Co mi po jakimś abstrakcyjnym adresie, skoro nie wiem nawet, co to za miasto, kraj, wszechświat, rzeczywistość? Skądś jednak pamiętam rozkład ulic. Z drugiej strony budynku nie pasują mi do tego, jak je



zapamiętałem. Teraz stoi tutaj centrum handlowe, ale niegdyś to była fabryka, w której odbywałem praktyki inżynierskie. Chodziłem do tamtej szkoły, kiedy była szara i brudna, a teraz jest odmalowana. Z tego można by sądzić, że mam swoje stare wspomnienia. ale nie pamiętam, że miasto się rozwinęło. Kiedy mijamy obskurne budynki typu „Lipsk”, przypominam sobie, że przecież były wyburzane i zastąpiły je nowoczesne biurowce ze szkła i aluminium. Skąd ten anachronizm?

Moje rozmyślania na temat niespójności chronologicznej miasta przerywa dotarcie do domu. Pamiętam to bezbłędnie, tutaj mieszkamy. W tym miejscu powinien być nasz blok, samochody sąsiadów i kryte blachą falistą garaże. Jednakże zatrzymaliśmy się przed wejściem do monumentalnego, gotyckiego wieżowca w stylu art déco. Ja zaś, zamiast jechać motocyklem z koszem, odnajduję się za kierownicą samochodu osobowego. Potężnego, szerokiego, amerykańskiego skrzydlaka. Nie mam na sobie skórzanej kurtki i hełmu motocyklowego, tylko prochowiec i fedorę.

Staram się nie pokazać po sobie zaskoczenia i zamiast tego wczuwam się w rolę, w której nagle się znalazłem. Jestem detektywem z czarno-białego filmu i prowadzę śledztwo, tak? Domyślam się, że w kieszeni koszuli znajdę papierosy, a rewolwer w kaburze pod marynarką. Jak mam się zachowywać? Oglądać wszystko przez lupę? Czas ustalić, co tak naprawdę się tutaj dzieje. Oczywiście, że mordercą jest kamerdyner.

Parę minut temu zdawało mi się, że układam sobie w miarę wiarygodny obraz rzeczywistości, a teraz znowu mam wrażenie, że przeżywam świadomy sen.

Zaczyna padać deszcz, wychodzę, otwieram drzwi pasażera naszego oldsmobila 88 i podaję Lenie rękę. Wychodzi z gracją eleganckiej damy ubrana w jasny trencz i kapelusz. W ustach wysmarowanych karminowoczerwoną szminką trzyma papierosa. Prawdziwa *femme fatale*. Odpalam zapalniczkę i zapalam najpierw jej, a potem swojego papierosa. Zamyślony wypuszczam ustami kłębek dymu.

Pada coraz mocniej.

Wchodzimy do budynku. W holu panuje bogaty wystrój. Pyszne, lawendowe ściany i kolumny z porfiru. Na ścianach znajdują się

malunki w stylu J. C. Leyendeckera przedstawiające najbardziej eleganckich ludzi, jakich w życiu widziałem. Idealnie męscy mężczyźni, w starannie dopasowanych przez krawca marynarkach i płaszczach. Dystyngowani, szarmanccy i silni. Zaradni biznesmeni ze skórzanymi neseserami pełnymi tylko udanych inwestycji, nieskazitelni swingowi dandysi w smokingach, zdyscyplinowani oficerowie w sukiennych mundurach khaki.

Prawdziwi mężczyźni.

Towarzyszą im idealnie kobiece kobiety o zgrabnych szyjach, wąskich taliach i subtelnym dłoniach. Kochające żony i matki o spojrzeniach pełnych miłości, wrażliwe artystki w ozdobionych kwiatami kapeluszach, ofiarne sanitariuszki w mundurach białych jak skrzydła anioła.

Odebrałbym to jako pośrednią sugestię, ale w wielkim holu są też typograficznie stylizowane napisy mówiące wprost: „W tym wieku powinienś mieć dom z ogrodem, żonę i trójkę dzieci”; „Prawdziwy mężczyzna już dawno kupiłby prawdziwej kobiecie pierścionek z brylantem”; „Gdybyś poszedł na front, jak faceci kiedyś, stracił oko, ale dostał Krzyż Walecznych, to ona by wiedziała, kto tu jest prawdziwym mężczyzną”.

Naciskam guzik przywołujący windę. Gdy czekamy, słyszę trzepotanie. Podnoszę wzrok i widzę ćmę lgnącą do jarzeniówki. Sparza się o żarówkę, krąży przez chwilę, po czym znowu do niej podlatuje. Na powierzchni lampy widać już kilka przyklejonych, usmażonych owadów. Opuszczam głowę i spotykam się wzrokiem z Leną, która uśmiecha się tajemniczo. W tym momencie moje zaufanie do niej wyparowuje. Ona coś kombinuje, a ja jestem w niebezpieczeństwie.

Kiedy oczekujemy na windę, dołącza do nas facet w kostiumie króliczka z wielkim różowym serduszkiem na piersi. W jednej łapce trzyma kwiatki, a w drugiej bombonierkę – wiśnie w czekoladzie.

Jeszcze tego tylko brakowało. Co to, kurwa, jest?! Walentynki?!

Wydaje się pogodny i wesoły, a jednak wzbudza we mnie niepokój. Nie ufałbym skurwielowi, nawet gdyby oddał mi swoje serduszko. Mrużę oczy, próbując złapać na nim ostrość. Postać jest w pewnym momencie tak rozmazana, że zastanawiam się, czy to na pewno człowiek w kostiumie, czy kreskówka nałożona na obraz rzeczywistości. Coś jak w filmie „Kto wrobił królika



Rogera". Z tego by wynikało, że sen nawet nie próbuje trzymać się jedynie praw fizyki. To już naprawdę o jedną sugestię za dużo, ale zamierzam rozegrać tę sytuację według swojego scenariusza. Zresztą, co innego miałbym zrobić?

Otwierają się drzwi do windy. W jej wnętrzu znajduje się plakat z męskim, eleganckim facetem w kapeluszu, wskazującym mnie palcem z podpisem: „Widać, starasz się zbyt mało”.

Dajcie mi wszyscy święty spokój!

Wciskam przycisk na szczęśliwe trzynaste piętro. Króliczek wchodzi z nami do windy, a kiedy drzwi się zamykają, patrzy na Lenę. Ona spogląda na niego porozumiewawczo.

– Wiśnie w czekoladzie i twoje ulubione róże! Dla najmilszej, najwspanialszej dziewczyny! – mówi pluszak. Jego głos jest tak słodki, że od słuchania go robi mi się niedobrze.

Lena zrzuca z siebie pozę tajemniczej *femme fatale* i śmieje się jak niewinna dziewczynka. Przyjmuje prezenty, całuje króliczka w pluszowe uszko. Wyczuwam tutaj marną grę aktorską.

– Dziękuję, mój Kochający Króliczku! Jesteś takim słodziakiem! Ty jesteś dobry dla mnie i ja zawsze będę dobra dla ciebie!

Stoję niewzruszony z rękami w kieszeniach płaszcza i staram się trzymać fason. Przecież to jakaś dziecinada! Nawet nie czuję się zazdrosny. Z zewnątrz jestem w stanie po prostu wyczuć, że ona tak naprawdę uważa Kochającego Króliczka za śmiecia. Lena spogląda mi świdrująco w oczy, przybliżyła się do mnie i szepcze do ucha. Kiedy ostatnio to robiła, było to kojącym doświadczeniem. Teraz jej głos jest równie łagodny, ale już jej nie ufam.

– Miłość jest nieczuła na mądrości i dla jednej wspólnej chwili zapomina o śmieszności.

Próba złapania mnie na piosenkę z młodości wywołującą poczucie nostalgii i czystego, szczerego zakochania. Z sercem na dłoni. Bez gry pozorów i wskazywania drugiej osobie zasad, jakimi będzie się rządził ten związek.

Zauważyłem kątem oka, że Króliczek zniknął tak samo enigmatycznie, jak się pojawił. W jadącej windzie. No jasne, czemu nie?

Dojeżdżamy na trzynaste piętro i wychodzimy na korytarz. Otwieram drzwi do biura. Rzucam płaszczyk i kapelusz na wieszak. Światło latarni ulicznych wpadające przez okno i padające na

ścianę miga stroboskopowo przez obroty wentylatora. Jest jesień, po co tu włączony wentylator?!

Kręci się, jest ciągle w ruchu, ale przecież ten ruch go donikąd nie prowadzi.

Czy to ma być metafora mojego śledztwa?

Czuję, jakbym znalazł się na planie filmu kryminalnego. Magazyn studia nagraniowego, rekwizyty – trzeci pokój na lewo. Prochowce, rewolwery, samochód z dużą ilością chromu na zderzakach, papierosy, muzyka saksofonowa. Gotowy pakiet.

Moją refleksję przerywa fala gorąca, gdy spoglądam na Lenę. Dziewczyna wyrzuca róże do kosza na śmieci. Siada na biurku, rozpina płaszcz, kładzie nogi na oparciu krzesła. Pod trenczem ma tylko koronkową bieliznę. Staram się odkleić wzrok od jej długich nóg w pończochach, przecież to jakaś tania prowokacja. Lena wyczuwa moje zmieszanie. Wyjmuje z pudełka wiśnię w czekoladzie i specjalnie je ją tak niechłujnie, żeby w przesycony seksapilem sposób zlizywać czerwony syrop z ust. Śmieje się, a w jej głosie mieszają się pogarda i erotyzm. Całą drogę od samochodu do biura docierało do mnie, że nie mogę jej ufać. A teraz dostałem zastrzyk kobiecych feromonów i miękną mi kolana.

– Gratuluję, odnalazłeś mnie. Czy to oznacza wreszcie koniec twojego śledztwa? Uratowałeś swoją księżniczkę z opresji! Chodź do mnie, bohaterze. Możesz mnie objąć i pocałować.

Jestem oszołomiony. Wiem, że to pułapka. Cała racjonalna część mojego mózgu krzyczy: „Nie daj się nabrać, nie rób tego, nie dawaj jej tej satysfakcji!”. A jednak nie mogę się oprzeć jej bliskości. Pragnę tego całą swoją zdolnością do przeżywania emocji. W momencie pocałunku w klubie wyrwałem się z przytłaczającego poczucia samotności i teraz jestem narkotycznie uzależniony od bycia kochanym.

Nie rób tego, ty żalosny, słaby głupcze!

Objąć i pocałować. Dostać działkę dopaminy i serotoniny. Podchodzi do niej. Delikatnie dotykam dłonią jej policzka i wpatruję się w zielone oczy. Chciałbym beztrósco zasnąć i śnić sen w ich kolorze.

Spoglądam w oczodoły zimnego, napuchniętego trupa. Fetor zwłok jest po prostu nie do zniesienia. Gładkie, delikatne palce dziewczyny teraz są kompletnie pomarszczone, a paznokcie stały



się brudne i szponiaste. Z jej ust i nozdrzy sący się biała, zabrudzona krwią wydzielina. Cofam się przerażony.

– Przestałeś już spoufalać się z denatką? – pyta mnie zniechęcony koroner w fartuchu i masce chirurgicznej. – Czy możesz mi pomóc uciskać klatkę piersiową?

Muszę otrząsnąć się po tym, jak znowu zmieniła się sceneria i z gabinetu przeniosło mnie do prosektorium. Stałem przy swojej miłości, a teraz nachylałem się nad zwłokami.

Zachowuj się jak dorosły facet. I twardziel. Pamiętaj, to wszystko jest porypanym snem. Masz na sobie kostium i rekwizyty detektywa, to tylko kryminał. To nie jest tak, że dokonujesz sekcji zwłok jedynej dziewczyny, która cię naprawdę kochała. I jedynej dziewczyny, z którą naprawdę poważnie chciałeś spędzić resztę swojego życia. To tylko scena w filmie, gumowa kukła aktorki, zrobiona przez dział efektów specjalnych. Sama zainteresowana pije teraz kawę w garderobie.

Boże, cały czas nie wiem, co to za dziwny sen, ale tak bardzo pragnę, żeby Lena żyła. Jestem gotów wszystko jej przebaczyć, schować do kieszeni cały swój gniew, żeby tylko zobaczyć ją całą i zdrową. Boję się spojrzeć na jej twarz. Ciało wydaje się obce od stężenia pośmiertnego, jest całkowicie zimne. Uciskamy z doktorem jej klatkę piersiową, żeby na zewnątrz wypłynęło jak najwięcej płynu obrzękowego. Powstrzymuję się przed torsjami. Nie przypominam sobie żadnych sekcji zwłok dokonywanych na kimś bliskim. W swojej zmyślonej na poczekaniu karierze detektywa starałem się do spraw prosektoryjnych podchodzić jak do żaby zakonserwowanej w słoiku z formaliną. Ale tym razem mi się nie udało. Spokojnie, najgorsze jest już za mną. Muszę tylko wyrzucić z siebie odczuwane przed chwilą pożądanie. To nie jest to ciało, które kiedyś kochałem i całowałem, to martwe mięso.

Uspokój się. Przecież to rekwizyt. Tak, oczywiście, umawiaj to sobie dalej. Bardzo to przekonujące.

Koroner wyciąga zestaw narzędzi chirurgicznych i przystępuje do sekcji zwłok. Tego jest już dla mnie za wiele. Czy rekwizyt powinien mieć tyle krwi ciekącej z rozcinanej skalpelem szyi?

Szybko, wymyśl jakąś wymówkę!

– Cholera, nie dam rady. Muszę zapalić – rzucam i wychodzę, nie czekając na odpowiedź koronera.

Tak, wczuj się w rolę. Nie: „O Boże, nie wytrzymam i zaraz zejść”, tylko przeklinaj i zwalaj na nałóg zmyślony na potrzeby odgrywanej postaci. To na pewno pomoże.

Nie mogę na to wszystko patrzeć. Muszę nabrać powietrza i powstrzymać się od wymiotów. W korytarzu stoi popielniczka, więc żeby dać sobie trochę czasu, zapalam papierosa i wypalam go bardzo, bardzo powoli. Potem następnego. Gdy wracam, martwa kobieta jest już przykryta płachtą z czarnej folii, a koroner przy aparaturze chemicznej Gettlera bada wycięte serce. W powietrzu unosi się zapach odczynników chemicznych – normalnie nieznośny, ale teraz kojący.

– Od kiedy ta pańska panna zaginęła, ma pan problem z dziewczynami. Można tylko współczuć – mówi koroner. Ciężko jest mi się zorientować, czy jego współczucie jest szczere, czy też wyraża swoje niezadowolenie z mojej nieobecności w trakcie sekcji.

Zaraz, czyli to nie jest Lena?!

Odchyłam folię i spoglądam jeszcze raz na zwłoki, przed których widokiem uciekłem. Teraz twarz, szyja, klatka piersiowa i brzuch denatki są pocięte skalpelem, ale istotnie nie jest to Lena. Czy ja jestem chory psychicznie?

Złe pytanie. Chodzę odurzony w jakimś wariackim świadomym śnie. Przeniosłem się z klubu retro do gotyckiego wieżowca, z wieżowca do prosektorium. Mam strzępki wspomnień siebie jako naukowca, a teraz funkcjonuję jako detektyw w jakimś urojeniu kryminalnym. Bo to na pewno jest sen, fantasmagoria, symulacja. Pozostaje mi tylko poczekać, aż się obudzę.

– Zakochany facet to śmieszne zwierzę. Dałby się pociąć, żeby tylko ocalić dziewczynę przed złym losem. – Koroner śmieje się pogardliwie, porządkując fiołki z próbkami tkanek.

Pamiętam, że te z czerwonymi zakrętkami są bez dodatków chemicznych, a te z szarymi zawierają szczawian potasu i fluorek sodu. Nie wiem, po co moja głowa podsuwa mi te informacje.

– Kończmy już ten spektakl – kontynuuje lekarz sądowy. – Proszę udać się windą na najniższe piętro i sprawdzić w rejestrze, czy pańskiej ukochanej nie ma już w krainie umarłych. A jeśli jest, to czy dałoby się ją wydostać. Oto moja wizytówka, w razie czego proszę się na mnie powołać.



Wręczył mi kartonik w kolorze zbielełej kości. „ŚMIERĆ Koroner”. Pod spodem numer telefonu i adres korespondencyjny na nic mi niemówiącą skrytkę pocztową.

Stwierdzam zgon, bo umarła.

Spoko.

Zgodnie z poleceniem opuszczam prosektorium i dochodzę korytarzem do windy. To jedna z tych wind, którymi boję się jeździć. Ma podwójne, skrzypiące, poruszające się z trudem drzwi. Po wciśnięciu przycisku szarpie i zaczyna zjeżdżać w ślimaczym tempie.

Korzystam z okazji, żeby porównać swoją tożsamość z klubu z tą, którą noszę na sobie teraz. Sprawdzam kieszenie. Nie mam już telefonu komórkowego. Mam za to rewolwer z pełnym bęb-
nem – Smith & Wesson, kaliber .38 Special – i portfel z licencją detektywistyczną 13th Floor Detective Noir. No tak, na pewno każdy profesjonalny detektyw w Nowym Jorku czy innym komiksowym Gotham City nazwałby swoją agencję detektywistyczną „Detective Noir”. Do tego prawo jazdy i dowód rejestracyjny oldsmobila 88 z dokładnie takim samym rozkładem tekstu jak dowód rejestracyjny motocykla. Na dokumencie widnieje nawet geometryczny symbol Związku Motorowego.

Po prostu mam do czynienia z przygotowanymi z góry rekwizytami. Z tego by wynikało, że moje pierwsze wspomnienia z klubu były tak jakby prawdziwsze, bliższe rzeczywistości. A teraz zmierzam coraz bardziej w głąb króliczej norki, mając pełną świadomość, że „Toto, już nie jesteśmy w Kansas”.

Tymczasem z każdym piętrem w dół winda zaczyna przyspieszać, aż w końcu osiąga prędkość windy w kopalnianej sztolni. Wyraźnie odczuwam działające przyspieszenia i dotarcie na najniższy poziom podziemia przyjmuję z mieszaniną strachu i ulgi.

Jak rozumiem, zaświaty są w kotłowni, ponieważ ciemne, piwniczne pomieszczenie oświetlane jest wyłącznie czerwonym blaskiem buchającym z węglowego pieca. W rogu zauważam kanciapę i to do niej się kieruję. W środku pod światłem pojedynczej, nagiej żarówki siedzi zasuszony jak egipska mumia staruszek wklepujący dane do starego komputera z kineskopowym monitorem. Na ścianie wiszą pamiątkowe fotografie z zawodów wioślarskich

i medale. Wyjaśniam mu pokrótce swoją sytuację. Nie jest skory do pomocy, ale po okazaniu wizytówki Śmierci uznaje autorytet szefa i zgadza się sprawdzić, czy Leny nie ma w bazie danych.

– Dobrze, że się do nas zgłosiłeś. Już myślałam, że nie przyjdiesz. – Uśmiecha się złośliwie, kiedy znajduje interesujący go rekord w komputerze.

Nie odpowiadam. Nie podoba mi się jego zadowolenie.

– Lena żyje i ma się dobrze. To raczej ty powinienes się zgłosić do rejestru umarłych, skoro popełniłeś samobójstwo.

– Skoro popełniłem samobójstwo, to dlaczego ja sam nic o tym nie wiem?

– Bo to inna iteracja ciebie popełniła samobójstwo. Jesteś w pewnym sensie specjalnym przypadkiem, ponieważ jesteś podłączony do programu wirtualnej rzeczywistości; Matriksa nazywanego roboczo „czterowymiarową kamerą”. To znaczy, że jesteś zanurzony w wymiarze pomiędzy wszelkimi możliwymi potokami przyczynowo-skutkowymi rzeczywistości.

Co by było, gdyby to Lenie coś się stało? A gdybym zabił się naprawdę, to czy ona by się odnalazła i przyszła choćby na mój pogrzeb? A co by było, jakbym się cofnął w czasie i porozmawiał z nią inaczej niż normalnie, i wtedy by nie odeszła?

Utknąłeś w tych wszystkich ruminacjach bez końca i teraz nawet nie pamiętasz, jak to się wszystko zaczęło.

Zaczęło? Tak, dopiero teraz jestem w stanie sobie przypomnieć.

To wszystko zaczęło się całkiem niepozornie. Po wyjątkowo ciężkim tygodniu pracy w Instytucie Politechnicznym mogłem wreszcie wrócić do domu na zasłużoną wolną niedzielę. W sobotę dzwoniłem się z Leną i powiedziałem, że przyjadę do miasta pociągami następnego dnia przed południem.

– Będę na ciebie czekać na peronie. Stęskniłam się. – Jej głos był ciepły i radosny.

Kiedy bardzo długo nie było mnie w domu i wreszcie wracałem, wychodziła po mnie na dworzec. Bardzo lubiłem to, że chciało jej się po mnie fatygować. Stało się to w pewnym sensie naszym rytuałem. Ja też się stęskniłem. Nie mogłem się doczekać powrotu do domu i chociaż jednego dnia spędzonego razem.



Czekało mnie jeszcze tylko kilka miesięcy intensywnych prac nad Mózgiem Elektronowym i wirtualną rzeczywistością. Potem premia i mielibyśmy za co jechać na wakacje.

Gdy zauważyłem, że pociąg zbliża się do dworca, zdjąłem walizkę z półki i ustawiłem się w kolejce do wyjścia. Gdy tylko pociąg się zatrzymał, szybko wyszedłem z wagonu i rozejrzałem się po peronie. Jednak Leny nigdzie nie widziałem. Inni witali się ze swoimi krewnymi i przyjaciółmi. Dziewczyny całowały chłopaków. Rodzice brali dzieci na ręce. A ja kręciłem się jak tygrys w klatce i szukałem Leny, której nigdzie nie było. Napisałem jej SMS-a, że już dojechałem i czekam. Usiadłem na ławce i ukrywałem swoje zakłopotanie udawanym czytaniem nieistniejących wiadomości.

Po dziesięciu minutach bez odpowiedzi poszedłem do hali dworcowej, gdzie wielkie ekrany pokazywały godziny przyjazdów i odjazdów. Tam Leny również nie było. Postanowiłem w końcu zadzwonić, jednak odpowiedziała mi poczta głosowa. Nie pozostało mi nic innego, jak wyjść na przystanek i samemu złapać autobus linii 11, jadący na Metalowców. Zaczął padać rzęsy deszcz, a ja nie miałem parasola. Postawiłem kołnierz płaszcza, próbując znieść lejące się na mnie strugi wody z godnością.

W końcu wsiadłem do autobusu, który bezlitośnie spóźnił się o piętnaście minut. Minąłem fabrykę, w której kiedyś odbywałem praktyki, oraz swoją starą szkołę, na której remont wciąż brakowało pieniędzy, a jej szare, odrapane mury przedstawiały obraz nędzy i rozpacz. Jedynie obskurne biurowce typu „Lipsk” na Nowomiejskiej były wyburzane. W miejsce jednego z nich już powstał nowy wieżowiec ze szkła i aluminium, a dwa pozostałe azbestowce czekał podobny los.

Wysiadłem z autobusu na swoim osiedlu. Odczuwałem coraz większy niepokój. Nastawiałem się na niedzielne popołudnie pod znakiem awantury, bo jak inaczej mogłem rozumieć fakt, że Lena wystawiła mnie na dworcu? To musiała być jakaś próba zemsty z jej strony – za coś, co kiedyś powiedziałem, a o czym teraz nie pamiętałem, że się wydarzyło. Byłem jednak bardzo zaskoczony, nigdy wcześniej tak się nie zachowała. Jeżeli powiedziała, że przyjdzie, to przychodziła. Odpisywała na SMS-y i odbierała telefon

nawet, jeśli miała focha. Inne dziewczyny pogrywały sobie tym, czy odbiorą albo odpiszą. Lena nigdy.

Poczułem ukłucie w klatce piersiowej. A co, jeżeli coś jej się stało? Jeśli miała wypadek? Jeżeli stała się jej jakaś krzywda?

Na karku poczułem zimny pot.

Wcisnąłem przycisk przywołania windy i oczekując na jej przyjazd, patrzyłem na jarzeniówkę na klatce schodowej, brudną od przylepionych do niej martwych owadów. Kiedy w końcu przyjechała winda, z duszą na ramieniu wcisnąłem przycisk i wjechałem na trzynaste piętro.

Jaki wariant jest bardziej prawdopodobny? Jeżeli to wypadek, muszę jak najszybciej ją odnaleźć. Jeżeli to foch, zrobię z siebie idiotę. Czy ja jestem złym, podłym człowiekiem, skoro w pierwszej kolejności pomyślałem o fochu?

Nie zastługujesz na to, by być kochanym, i dlatego umrzesz w samotności.

Za stary już jestem na takie numery.

Przekręcam klucz w zamku. Nie chcę dawać Lenie szansy na demonstracyjne okazywanie łachy, jakim byłoby otworzenie mi, gdybym zadzwonił dzwonkiem. Zamknąłem drzwi za sobą na tyle głośno, żeby było słychać w całym mieszkaniu, że wszedłem i jestem niezadowolony. Bez pośpiechu zdejmowałem buty, które położyłem na wycieraczkę. Odwiesiłem płaszcz, a walizkę postawiłem pod ścianą, spodziewając się, że zaraz do korytarza wparuje Lena i powie, dlaczego nie przyszła na dworzec. Spodziewany atak jednak nie nastąpił. Przywitało mnie tylko moje własne odbicie w lustrze na drzwiach szafy w korytarzu.

W łazience nie paliło się światło. Nie było jej też w kuchni. Ani we wspólnym pokoju.

A może po prostu gdzieś wyszła?

Bzdura, Lena naprawdę musiała mieć jakiś wypadek! Muszę przedzwonić po naszych wspólnych znajomych i spytać, czy wiedzą, co się mogło z nią stać. Zgłosić zaginięcie na policji. Muszę to jakoś wyjaśnić i przede wszystkim zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby jej pomóc!

Zajrzałem w końcu do małego pomieszczenia przerobionego na jej atelier, a to, co odkryłem, wprowadziło mnie w zdumienie.



Znalazłem się w pustej przestrzeni. Najbardziej zagrożony pokój w całym mieszkaniu teraz składał się tylko z lawendowych ścian, białych okien, gniazdek, przełączników i ciemnego, starego parkietu zachłapanego farbami. Zniknęły sztalugi, książki, farby, meble oraz niezliczone bibeloty. Po sprzętach zostały tylko kontury na ścianach, oddzielające zabrudzone powierzchnie od tych, które przez rok były zakryte meblami. Jeszcze tydzień wcześniej nie mogłem tutaj przejść pół metra bez potykania się o jakąś akwarelę, a teraz nie było tu nic poza głuchym echem.

No i co, debilu, głupio ci? Przed chwilą dostawałeś zawału serca, bojąc się o swoją pannę, a tu panna ci się po kryjomu wyprowadziła.

Zacząłem dokładnie przeczesywać pozostałe pokoje, próbując pogodzić się z faktem, że Lena odeszła. Nie mogłem jednak uwierzyć, że zrobiła to w taki sposób. Szukałem jakiegoś listu, notatki, kartki z informacją. Przecież to było niepoważne! Dorośli ludzie tak się nie zachowują. To wszystko wydawało się szalonym snem. Jak mogła tak po prostu powiedzieć mi w sobotę wieczorem, że tęskni, a w niedzielę rano nie było ani jej, ani żadnego śladu jej obecności? Musiała zamówić ekipę od przeprowadzek jeszcze w tygodniu, żeby wszystko zabrali. Nie mogła przecież zmieścić w dwóch walizkach wszystkich swoich rzeczy – od wyposażenia atelier po kubeczek w czarne koty, którym urozmaiciła moje nieciekawe, jednokolorowe kubki w kuchennej szafce. Nic jednak nie znalazłem.

Po prostu zniknęła.

Jedynym przedmiotem, który po niej został, był szkicownik z rysunkami wykonanymi dla mnie – albo też „dla nas”, nabazgranymi wspólnie. Ja czasami też coś dla niej rysowałem, ale to ona była artystką, a ja gryzmołem ołówkiem dla żartu. Najczęściej karykatury co dziwniejszych indywiduów z Instytutu i ich naukowych konceptów skutkujących niedziałającym perpetuum mobile.

Autorstwa Leny były najróżniejsze rysunki. Najczęstszym motywem były nasze wspólne zdjęcia przerysowane w konkretnej stylizacji. Tę serię otwierało 13th Floor Detective Noir ze mną w kapeluszu, prochowcu i z papieroskiem à la Humphrey Bogart. W duecie z nią jako *femme fatale* dyskretnie wyciągającą miniaturowy rewolwer Smith & Wesson z torebki. Poznaliśmy się na imprezie tematycznej w stylu szalonych lat dwudziestych

i odgrywanie takich archetypicznych postaci na imprezach jakoś weszło nam w nawyk. Wynikło z tego chodzenie na rock & rolla jako greaser z pin-up girl i tym podobne kombinacje.

Na niektórych stronach pisaliśmy też uwagi dotyczące albo wspólnie ćwiczonej choreografii, albo przepisów kulinarnych na dania, które przygotowywaliśmy podczas weekendów spędzanych we dwoje. Nie sądziłem jednak, aby miały zawierać jakiś szyfr. Skąd w ogóle przyszedł mi do głowy ten pomysł? Kod Leonarda da Vinci zawarty w czymś takim? Ukryte współrzędne lokalizacji, do której zabrał ją nikczemny porywacz? Dziewica porwana przez smoka: „O, ratuj mnie, mój rycerzu”. No, kurwa, rzeczywiście, bo „moja” Lena nie odeszłaby sama, na pewno jest to jakaś zagadka do rozwiązania!

Skarciłem się w myślach. Moja zbyt bujna wyobraźnia kpiła sobie ze mnie.

Lena zostawiała też czasem niedbałe, komiksowe rysunki jakichś stworków i zwierzączków, zwykle wyrażających uczucia w prze-rysowany sposób, jak emotikony z komunikatorów na telefonie. Ponieważ mam skłonność do myślenia zbyt dużo, przejmowania się bląstkami i paraliżu analitycznego, powracającym motywem był w tym wypadku komiksowy Kochający Króliczek z wielkim czerwonym serduszkiem na brzuszku.

Czasami, gdy już nie miała na mnie focha, to Króliczek miał w komiksowym dymku napisane, że już się nie gniewa, bo „miłość ci wszystko wybaczy”. Słodkie do porzygu, ale wydawało mi się szczere. Z kolei tydzień wcześniej, kiedy strasznie denerwowałem się finalizacją eksperymentu w Instytucie, zostawiła mi nagryzmo-lonego Kochającego Króliczka. Miał jedno oczko większe, drugie mniejsze i szeroki uśmiech. Podpisany był słowami: „Uszy do góry! Wszystko będzie dobrze!”.

Wybacz, futrzaku, ale najwidoczniej nic nie jest i nie będzie dobrze. Wszystko szlag trafił. To nic osobistego, nie jesteś tutaj niczemu winien, ale zapewne wkrótce skończysz w makulaturze.

Skrzywiłem się na myśl, że jeszcze tydzień temu mogłem cieszyć się z czegoś tak infantylnego. Mnie strzeliło już trzydzieści lat, a ona była niedługo po studiach.

Dorośnij wreszcie, debilu.



Nie powinienem się przywiązywać do takich uwłaczających bredni. Byłem za miły i zrobiłem z siebie idiotę dla paru słodkich chwil z dziewczyną. Nigdy więcej.

Przekartkowałem szkicownik, ale nie znalazłem w nim żadnej notatki wyjaśniającej nieobecność Leny. Odłożyłem zeszyt na półkę. Zdecyduję, co zrobię z „naszym” szkicownikiem, gdy odzyskam klarowność umysłu.

Z jednej strony zdawałem sobie sprawę, że muszę spróbować wyjść z tego wszystkiego z twarzą. Przecież to ona zachowywała się perfidnie, a ja nie miałem powodu do wstydu. Czułem jednak, jak spalam się z poczucia krzywdy i upokorzenia. Kompulsywnie potrzebowałem jakiegoś wyjaśnienia – klótni, zdrady, emigracji. Czegokolwiek, co nadałoby pozory logiki i racjonalnego uzasadnienia temu, co właśnie nieoczekiwanie nastąpiło. Powtarzałem sobie: „Nie upokarzaj się, to ona się źle zachowała, a nie ty. Nie dzwoń do niej”.

Powiedziałem, nie dzwoń do niej!

A jednak odruchowo sięgałem po komórkę. Biłem się z myślami, chowałem telefon do kieszeni, potem znowu wyjmowałem, przymierzałem się do wybrania jej numeru, ale potem urządzenie znowu wracało do kieszeni. Nie mogłem zachowywać się jak młokos. Nie było to moje pierwsze rozstanie w życiu, musiałem sięgnąć do doświadczenia i pogodzić się z rzeczywistością: czekało mnie teraz pięć etapów przeżywania rozstania. Pierwszym będzie wyparcie. Będę wmawiać sobie, że to niemożliwe i dorośli ludzie tak się nie zachowują.

Potem przyjdzie gniew. Nie mogę wtedy niczego ani stłuc, ani rozwalić, nawet jakbym chciał. Na pewno nie mogę rozwalić szkicownika, osąd nad nim wydam później. Być może akceptowalną strategią byłoby rozpieprzenie czegoś bezwartościowego. Kiedyś wyładowywałem wściekłość na worku treningowym, może teraz wymyślę coś podobnego.

Trzecim stadium będą negocjacje. Mój chory na zakochanie łeb przerobi wszystkie możliwe scenariusze tego, co mógłbym zrobić, żeby było tak jak dawniej. Będę musiał zacisnąć zęby i powstrzymać się przed dalszymi próbami kontaktu z nią. To ona jest winna, a nie ja.

Na koniec przejdę przez stadium depresji. A po niej wreszcie nadejdzie wyzwolenie w postaci akceptacji. Po prostu tak jestem zaprogramowany jako homo sapiens – biologiczna maszyna.

Pomyślałem, że muszę wziąć się w garść i spróbować normalnie funkcjonować bez Leny. Rok temu było to przecież dla mnie codziennością i nie wyobrażałem sobie, żeby mogło być inaczej. Teraz jednak czułem się tak nienaturalnie, jakbym obudził się któregoś dnia na Marsie lub Księżycu. Rozpakowałem walizkę i odłożyłem rzeczy do szafy, której połowa była pusta. Pusta w kolorze ciuchów Leny. Wszystkich jej par butów, kupionych a noszonych dwa razy w roku pod warunkiem, że pasowały jej do torebki, palta, jedwabnych apaszek, skórzanych rękawiczek, zakolanówek, koronek i ulubionych stylizacji na Audrey Hepburn, których w wyłącznie męskiej szafie już nie było.

Nalałem wody do czajnika elektrycznego i włączyłem go. Czas między wciśnięciem przycisku a zagotowaniem był zdecydowanie zbyt długi. Ponownie sięgnąłem po telefon. Wykrzesalem z siebie jednak tyle silnej woli, żeby nie zadzwonić.

Wlałem wrzątek do kubka z torebką herbaty i zdałem sobie sprawę, że nie będzie w tej herbacie ani miodu, ani soku malinowego, ani goździków, ani ćwiartki pomarańczy, ani imbiru, ani niczego słodkiego lub rozgrzewającego, co Lena dodawała do herbaty, kiedy wracałem do domu zmarznięty czy przemoknięty. Zniknęły wszystkie buteleczki soków i słoiczki konfitur.

Już nie zostanę bohaterem we własnym domu, gdy otworzę Lenie słoik.

W głowie powtórzyłem sobie wszystko, co planowałem jej opowiedzieć, kiedy siądziemy razem przy herbacie. Oparłaby wtedy podbródek na dłoni i spytała: „No i co mi powiesz ciekawego?”. Ona mnie rozumiała, akceptowała wszystko, co mnie drażniło i cieszyło. A przynajmniej tak mi się wydawało. Ja z kolei wysłuchałbym wszystkich dramatów ostatniego tygodnia i kiwałbym ze zrozumieniem głową, kiedy opisywałaby z egzaltacją kolejne etapy swojej wielkiej wojny z twórczą prokrastynacją i jesienną melancholią.

Musiałem się mylić, skoro zdecydowała się zniknąć z mojego życia bez słowa wyjaśnienia.



Chciałem się napić herbaty, ale była zbyt gorąca. Poszedłem do łazienki i spojrzałem na swoją twarz w lustrze, zanim zapaliłem światło. Pomimo ciemności zobaczyłem słowo „śmieć” napisane markerem na środku mojego czoła. Wcale mnie to nie zdziwiło.

– Jestem śmieciem. W końcu gdybym nim nie był, to by mnie to nie spotkało. – Mój głos odbił się echem od emaliowej armatury, choć zabrzmiał tak, jakby wymówiła go obca osoba. Gdy zapaliłem światło, napisu już nie było. Nie był potrzebny. Był już zapisany we mnie. Wyrzucić do zmieszanych.

Oczywiście z łazienki zniknęły wszystkie jej szampony, odżywki, kremy, szczotki. Nawet długie włosy w umywalce. Wtedy mi przeszkadzały, a teraz strasznie za nimi tęskniłem.

Na to, co mi dolegało, herbata nie mogła pomóc. Potrzebowałem znieczulić się czymś mocniejszym. Cały tydzień odczuwałem silny głód oksytocyny. Przyzwyczailem się przez rok do obecności drugich trzydziestu sześciu stopni Celsjusza pod kołdrą i wiedziałem, że tej nocy będę się trząsł z zimna, nawet jeżeli maksymalnie odkręcę grzejnik. Znowu założyłem przemoczone buty i płaszcz, zamknąłem mieszkanie i zjechałem windą na parter. Przeszedłem w deszczu pół osiedla i dopiero kiedy zobaczyłem neonowy szyld minimarketu, przeszło mi przez myśl, że mogłem wziąć parasol.

Było już za późno, żeby się wracać. Wszedłem do środka, minąłem kilka regałów i uzmysłowiłem sobie, że od teraz moja zdolność do ściągania produktów z wyższych półek już nie cieszyła. Zamiast mozzarella i cheddara znowu będę kupować „jakiś ser”, zamiast filetów z indyka czy szyncla wieprzowego – „jakieś mięso”, a zamiast cukinii czy marchewki – „jakieś warzywa”. Nie będę ani chodzić do sklepu z jej listą zakupów, ani niczego już nie będziemy wybierać wspólnie. Czas na wielki powrót mrożonek podgrzewanych w piekarniku. Bo gotowanie to moja pasja, psiakrew!

Na pewno wszystkich w sklepie obchodzi, że kupuję sam alkohol. Muszę zastosować inne produkty jako kamuflaż. Bezdyskusyjnie. Biorę z chłodziarek paluszki rybne i frytki, zdając sobie sprawę, że nie sprawdziłem, jak ucieczka Leny wpłynęła na stan lodówki. W końcu wziąłem czteropak taniego piwa. Nie kupowałem takiego od ponad roku.

Wróciłem do domu. Zły los sprawił, że przy windzie spotkałem akurat sąsiada z trzynastego piętra. Było już za późno, żeby teraz odwrócić się na pięcie i pójść schodami. Co z tego, że tak wysoko? Byle nie usłyszeć od niego tego, czego się obawiałem, że usłyszę.

– Dzień dobry – powiedział mimochodem spod wąsa.

Odpowiedziałem skinieniem głowy, mamrocząc jedynie „dobry”, żeby nie dawać pretekstu do podejmowania rozmowy. A jednak wyobraźnia podpowiedziała mi jej dalszy przebieg.

– Też nie byłbym rozmowny, gdyby dziewczyna tak mnie porzuciła bez słowa. Wszyscy na całym piętrze wzięliśmy wolne w pracy i w szkołach. Wyszliśmy na korytarz i patrzyliśmy, jak ekipa od przeprowadzek wynosi z mieszkania kolejne rzeczy i jak głupio panu będzie, gdy pan wróci i zobaczy. Od teraz za każdym razem, kiedy spotkamy się na schodach, w windzie czy pod śmietnikiem, będziemy pana pokazywać palcami i mówić sobie: „O, to ten frajer, którego dziewczyna rzuciła jak śmiecia, bez słowa wyjaśnienia i wyjechała sobie z gachem do innego miasta”. Może nawet widzieliśmy, jak ten inny facet przychodził w tygodniu do waszego mieszkania i pieprzył tę pańską dziewczynę, kiedy pan był w pracy.

Czuję, jak wyrastają mi takie rogi, że gdy wchodzę do windy, muszę się pochylić, aby nie zaklinować się w drzwiach. Oczywiście, że nie napisała mi słowa wyjaśnienia, bo uciekła z innym. Pewnie zanim to nastąpiło, pieprzyli się w moim pokoju – już nie wspólnym, ale MOIM, na MOJEJ wersalce. Potencjalna obecność innego mężczyzny przenosiła całą sytuację z obszaru smutku na obszar gniewu. Potrzeba wyjaśnienia zmieniła się w pragnienie zemsty. Przez wszystkich trzynastę pięter rozsadzała moją czaszkę tak gorąca wściekłość, że myślałem, iż buchnę płomieniami z nozdrzy. Miałem nadzieję, że sąsiad nie widzi, jak mocno zaciskam pięści i jak zaczynają mi drżeć ręce.

– Do widzenia – powiedziałem, wychodząc z windy.

Sąsiad odpowiedział tym samym. Nie dodał absolutnie nic więcej, a jednak w mojej głowie aż huczało.

– Zanim pan pójdzie, dodam jeszcze, że przez te tekturowe ściany doskonale słyszałem, jak w łazience mówi pan, że czuje się śmieciem. W imieniu całej wspólnoty lokatorskiej zgadzam się z tym, szczególnie że słyszeliśmy też, jak ta pańska najdroższa Lena



rucha się z jakimś typem na pańskiej wersalce. Możemy nawet przykleić takie ogłoszenie na klatce schodowej: „Taki był wpatrzony przez cały rok. Ciągłe tylko Lena to, Lena tamto. Taki był frajer zakochany, a ta go zdradziła i porzuciła, przy okazji odzierając do reszty z godności. Teraz nikogo już sobie nie znajdzie. Jest spalonym, starym kawalerem. Nie dostał walidacji i teraz jest już definitywnie spisany na straty”. Znajomi będą go pytać, dlaczego już nie jest z tamtą i co się stało, że przecież mieli tyle wspólnych planów na przyszłość. Będą zadawać te głupie pytania i będzie pan musiał znowu sobie przypominać całe to upokorzenie. I udzielać wymijających odpowiedzi typu „nie wyszło” albo „nie pasowaliśmy do siebie”. Bo prawda jest zbyt upodlająca i wstyd się przyznać.

Wszedłem do mieszkania. Tym razem spotkałem się ze swoim odbiciem w lustrze na drzwiach szafy w korytarzu.

– I będę do ciebie wszyscy znajomi robić takie zdziwione oczy i się głupio pytać: „Jak to nie wiesz, co się stało? Jak to nie wiesz, gdzie, z kim, jak, dlaczego odeszła? No tak, zapomnieliśmy. Przecież jesteś śmieciem i dlatego tobie wolno tak robić. Dla ciebie jest to zapewne normalne i dlatego dziwisz się, że my się dziwimy” – powiedział moje odbicie.

Wiedziałem, że ma rację. Nie mogłem jednak dać za wygraną i musiałem wysilić się na jakąś odpowiedź.

– Odpierdol się ode mnie, to nie moja wina – zakląłem.

– Tak sobie wmawiasz? Sam w to nie wierzysz – zadrwiło odbicie.

Miałem wrażenie, że buty i płaszcz zdejmuję nie ja, lecz inna osoba – ta, którą widzę w lustrze. Kolacja też przyrządzała się w trybie autopilota. Moje ręce wykonywały jakieś czynności, ale głowa płonęła kompulsywną potrzebą wykonania kolejnego telefonu. Niech wreszcie odbierze, niech wyleje na mnie swoje pretensje! Ja też ją skrzyczę i niech cała ta sytuacja zakończy się awanturą! Albo niech wyśle typowy, beznadziejny, smutny zryw-SMS: „Drogi Jakso, przepraszam, ale nie możemy dłużej być razem”. Wówczas moja dusza zostałaby uwolniona i mógłbym – oczywiście po kilku dniach hormonalnego odwyku – wrócić do normalnego życia. A tak? Zagadka nie dawała mi spokoju i telefon w kieszeni spodni palił w nogę, przypominając, żebym zadzwonił. W końcu schowałem komórkę do szuflady biurka.

Wydawało mi się, że myśl o tym, iż Lena jednak nie porzuciła mnie, tylko coś jej się stało, mnie opuściła. Jednak mój upośledzony łeb zaczął przypominać sobie najdziwniejsze reportaże z „Magazynu kryminalnego 997” o uprowadzonych dziewczynach. Co, jeśli wyprowadzka została ukartowana, a Lena leży teraz związana w jakiejś melinie? Albo, co gorsza, na dnie rzeki?

To nie ma sensu.

Ale co, jeśli?!

Ta myśl nie dawała mi spokoju. Włączyłem komputer i wpisałem w wyszukiwarkę „ghosting”. Czytałem opinie osób, które to spotkało. Czy zgłaszać to na policji, czy nie zgłaszać. W jaki sposób sprawdzić, czy dana osoba naprawdę uciekła i nie ma sensu tracić na nią czasu?

Jest jedna jedyna rzecz, której nie sprawdziłem – co się stało z jej kluczami do mieszkania? Czy powinienem wymienić zamki? Według forów internetowych wrzucenie kluczy do skrzynki pocztowej to powtarzający się motyw w takich sytuacjach.

Ponownie się ubrałem i wyszedłem na korytarz. Sprowadziłem windę, zjechałem na dół, podszedłem do skrzynek pocztowych. Zajrzałem do swojej, przeszukałem nagromadzony tam stos ulotek. Pizza. Kabłówka. Znowu kabłówka, komplet kluczy Leny i kabłówka. Schowałem klucze do kieszeni, a ulotki wyrzuciłem do kosza na śmieci, razem z ostatnim złudzeniem, którego chwyciłem się jak tonący brzytwy.

Odeszła i pogódź się z tym. Nie ma już nic, co mógłbyś z tym zrobić.

W ramach ratunkowego odmóždzenia otworzyłem piwo i zacząłem oglądać głupoty w sieci. W pewnym momencie usłyszałem wibracje telefonu. Wyjąłem komórkę z szuflady i sprawdziłem. Jednak tylko mi się zdawało. Odmóždzałem się dalej i marnowałem kolejne godziny na bzdury, wiedząc, że czas będzie działać na moją korzyść.

Tym razem z pewnością słyszałem wibracje telefonu! Dobiegłem do komórki i sprawdziłem.

SMS.

Odczytałem.

Pizza. Promocja, psiakrew.

Nie wytrzymałem i zadzwoniłem do Leny. Po raz kolejny. Ostatni raz, już więcej tego nie zrobię. Sygnał w słuchawce bił mi po uszach



dźwiękiem pogrzebowych dzwonów. A w końcu poczta głosowa wydała na mnie wyrok.

Dopiłem ostatnie piwo, a ona dalej nie zniknęła z mojej głowy. Chyba moja psychika przeszła w tryb negocjacji, bo zacząłem się zastanawiać nad tym, co mogłem zrobić, powiedzieć lub zmienić, żeby tylko było tak, jak dawniej. Jeślibym to ciągnął, przez całą noc bym nie zasnął.

A jutro znowu do roboty. Musiałem podłączyć swoją zszarganą psychikę do Mózgu Elektronowego i kontynuować badania.



W zasadzie to po nieprzespanej nocy nie powinienem się podłączać do wirtuala. Czy w tej sytuacji mogę eksperymentować na własnej głowie? Ale może to jedyny sposób, by uwolnić się od obsesyjnego myślenia o tym, co się wczoraj stało?



Otwieram oczy i widzę gabinet oświetlony wyłącznie blaskiem latarni ulicznych. Nie mogę oddychać przez nos i czuję w ustach metaliczny smak krwi. Wstaję i z trudem podchodzę do włącznika światła. Kręci mi się w głowie, serce wali tak mocno, że słyszę własny puls. I intensywne myśli w mojej głowie:

Weź się wreszcie w garść! Przestań tracić czas!

Zapalone światło pali mnie w oczy. Agresywną, jaskrawą żółcią oświetla gabinet wypełniony materiałami ze śledztwa. Dobra, pamiętam ten stan, mam przerobioną procedurę, co robić dalej.

Na ścianie wisi tablica korkowa, na której nachodzą na siebie wycinki z gazet, fotografie i fragmenty map. Materiałów jest zbyt wiele, ale staram się ogarnąć wzrokiem chociaż część z nich. Raporty z sekcji zwłok. Moje samobójstwo, które nie nastąpiło. Jej utonięcie, którego nie było. Nieistniejący porywacze, zaginięcie, którego też nie było.

To wszystko są brednie! Nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego! Ona po prostu odeszła, i tyle!

Taksuję wzrokiem czarno-białe fotografie z Instytutu Politechnicznego – otwarcie laboratorium z głowicami wielokanałowego

aparatu laserowego Basowa. Czy ja naprawdę spędziłem tysiąc osiemset iteracji na doskonaleniu różnych wariantów wehikułu czasu, żeby cofnąć się do przeszłości i coś naprawić w swoim związku? To jest niezgodne z prawami fizyki, po co ja się tym zajmowałem?

Artykuły o ekmnezji, zaburzeniu pamięci polegającym na odczuwaniu przeszłości jako teraźniejszości, oraz psychologicznych podstawach odczuwania *déjà vu*. Odbitą na powielaczu instrukcję obsługi Mózgu Elektronowego. To wszystko, co tutaj przeżywam, to taki mały, odizolowany wirtualny świat, zbudowany ze wspomnień tamtej feralnej niedzieli i zapętłony w nieskończoność. Diagramy Penrose'a opisujące różne scenariusze czasu i przestrzeni. Musi być jakiś sposób, żeby wydostać się z wirtualnej symulacji. Tylko nie polega on na szeregach iteracji symulujących nierokujące na powodzenie sposoby „ratowania związku”. Związku już nie ma. Muszę ocalić siebie! Jeżeli ja o siebie nie zadbam, nikt nie zrobi tego za mnie.

Dostrzegam za sobą Lenę siedzącą na moim biurku i trzymającą nogi na oparciu krzesła. W jej głosie znów mieszają się pogarda i erotyzm.

– Nie możesz beze mnie żyć, dlatego bezustannie mnie śledzisz, nie potrafisz sobie ułożyć beze mnie życia! – obwieszcza tryumfalnie.

Mam już dość tej wariackiej zabawy. Nie pozwolę jej mówić do siebie w ten sposób! Nie po tym, jak się wobec mnie zachowała! Przez ostatni rok byłem przy niej szczęśliwym człowiekiem, a teraz porzuciła mnie i jeszcze mnie znieważa. Może najwyższa pora skorzystać z tego Smitha & Wessona? Kto powinien tutaj zginąć, żebym mógł się uwolnić z tego obłąkańczego snu? Ja czy Lena?

– I co, będziesz jeszcze grozić mi bronią? – pyta, histrionicznie udając przerażenie. Marna gra aktorska.

Pewność siebie w jej oczach jest jednoznaczna. Nadszedł czas, żeby to zmienić raz na zawsze. Oczywiście, że nie powinienem robić krzywdy ani sobie, ani tym bardziej Lenie. Czy raczej jej symulacji. Nienawiść i miłość są sobie tak bliskie. Ona ewidentnie chce, żebym się na niej mścił i trwał w tej nieskończonej pętli. A ja chcę tylko żyć swoim życiem.

Teraz już rozumiem. Winny jest ktoś zupełnie inny. Uśmiecham się z morderczą satysfakcją.



– Ależ skąd, tych sześć kul w bębnie nie jest dla ciebie – odpowiadam z przekąsem.

Dostrzegłem jego długouchy cień kątem oka.

Pokaż się, futrzany skurwielu!

Słyszę za sobą pogodny, melodyjny głosik Kochającego Króliczka, który oczywiście musi wtrącić się w mój spór z Leną swoimi uwłaczającymi banałami o wzajemnym szacunku i miłości.

– Proszę was, przestańcie się kłócić! Czy nie możecie się po prostu pogodzić i znowu być razem? Byliście ze sobą tacy szczęśliwi!

Odwracam się w jego stronę, wyciągam broń, celuję i strzelam. Trzy kule przebijają trzymaną przez Króliczka bombonierkę na wylot i wbijają mu się w pluszowe różowe serduszek na piersi. Dwie pozostałe trafiają w łapkę trzymającą bukiet kwiatków. Miłe stworzonko krzyczy przeraźliwie z bólu i osuwa się na ziemię, brocząc krwią.

– Ała! Króliczek chciał tylko, żebyście się kochali. Żeby wszystko było tak dobrze jak dawniej. Dlaczego mi to robisz? – płacze rzewnie.

Nieudana próba wywołania u mnie empatii. Kochający Króliczek coś za dużo i zbyt wyrażnie gada jak na kogoś, kto właśnie dostał trzy naboje .38 Special w płuco. Żeby nie czuć żadnych wyrzutów sumienia, racjonalizuję sobie, że jest tylko podświadomym bytem uzależniającym mnie od narkotycznej słodczy, ścieżki nagrody w moim zrytym mózgu. Podchodzę i mocno szarpie za krótsze uszko, by ściągnąć maskę.

Tak jak się spodziewałem, pod króliczym pyszczkiem kryje się kręcona czupryna i przeraźliwie pryszczata twarz siedemnastoletniego mnie. No tak, to wtedy wbiłem sobie do głowy, że nie można być szczęśliwym bez dziewczyny.

– Jak można żyć bez miłości? Jak smutny będzie wtedy twój świat? – dopytuje mnie nastoletni klasowy wyrzutek, szukający akceptacji innych. Do dziś krył się w mojej głowie i teraz nie pozwala mi cieszyć się życiem w pojedynkę, z którym muszę się pogodzić.

Ucinam dyskusję – opróżniam bęben rewolweru z ostatniego naboju, który posyłam w głowę Kochającego.

Czuję to.

Jestem wolny!

Lena po prostu zniknęła. Jest to ostatni raz, kiedy przywołuję to imię, nie jest mi już do niczego potrzebna. Nagle nabrałem

Oksytocyna

ogromnej ochoty na żarcie z automatu w korytarzu Instytutu i kilka godzin metodycznej pracy w serwerowni.



– Eksperyment się udał? – spytałem, kiedy wychyliłem się z kabiny operatora Mózgu Elektronowego. Zacząłem odłączyć od swojej potylicy elektrody i rurki z chemikaliami.

Klaster komputerowy szumiał uspokajająco miriadami procesorów pracujących równolegle. Ten dźwięk był dla mnie kojący jak górski strumyk. Maszyny to harmonia.

– Udał się jak jasna cholera – rzucił Andrisław Bor ze stanowiska nadzorcy, parafrazując klasyka. – Na twoim durnym łbie przeprowadziliśmy kompleksowe testy, jakie dawki substancji neurochemicznych podać pacjentowi. To znaczy przede wszystkim oksytocyny. Te same związki chemiczne, które dają szczęście w miłości, powinny cię teraz zmuszać do ruminacji, gniewu, przeżywania, a także zadawać ci ból. Jednak po przebytym procesie wygląda na to, że będziesz mógł się normalnie skoncentrować na swojej pracy, bez popadania w depresję. Jeżeli uda nam się tę formułę udoskonalić i opatentować... Kto wie, może porzucony albo po prostu samotny człowiek będzie w przyszłości tylko zażywać pigułkę, aby czuć się spełnionym i szczęśliwym?

Największy dramat miłosny swojego życia musiałem popić taną podróbką coli z automatu.

Zjadłem też wafelka.

.....

Opowiadanie opracowali

Redakcja: Adam Raglan

Kontrola redakcji: Dawid Wiktorski

Korekta: Beata Sagan-Szendzielorz, Justyna Mroczek-Żal, Agnieszka Kolenda

Weryfikacja: Magdalena Kłódowska, Małgorzata Lisiecka

Kontrola weryfikacji: Magda Kowalewicz

Kontrola przed składem: Dawid Wiktorski

Recenzje: Adam Raglan, Julia Kasprzyk, Patrycja Pancierz

Upadek domu von Planethofów

Marta Rakoczy

244

Zegar wskazywał kwadrans przed dwunastą, kiedy Saturnin Syriusz-Starsky przybył do posiadłości Fomalhautów. Odzwier-ny wpuścił go do środka, odebrał od niego chimerowy płaszcz i poprosił o zaczekanie w holu. Zanim odszedł, zaproponował szklaneczkę czegoś mocniejszego, lecz czarodziej odmówił.

Gdy został sam, rozejrzał się z nudów dookoła, ale nie było czego podziwiać. Wszechobecny mahoń oraz słaby dopływ światła wywoływały skojarzenia z opuszczoną biblioteką. Rezydencje pozostałych członków Siedmiu Wielkich Domów, w tym swoją własną, uważał za urządzone z dużo większym smakiem.

Zerknął do stojącego przy ścianie lustro, aby upewnić się, czy dobrze wygląda. Był wysokim, barczystym mężczyzną o mocno zarysowanej szczęce, jasnych włosach i przenikliwie niebieskich oczach. Z jakiegoś powodu te cechy nie harmonizowały ze sobą, przez co Saturnin sprawiał wrażenie piekielnej wariacji na temat dorosłego cherubina.

Próbował przyklepać lok, który odstawał pod dziwnym kątem, kiedy służący wrócił i zaprosił go do gabinetu pani Fomalhaut. Czarodziej spojrzał po raz ostatni na swoje odbicie i skierował się do dobrze znanego mu pomieszczenia.

Za wielkim biurkiem siedziała korpulentna śniada kobieta w średnim wieku i stukwała palcami o pulpit. Saturnin pokłonił się mistrzyni, jak zawsze z nienagannymi manierami. Jednak tym razem, nietypowo jak na niego, wyraźnie zdradzał oznaki podniecenia.

– Wzywałaś mnie, pani.

– Zgadza się. Ale gdzie twój artefakt? – zapytała kwaśno Sheratan Fomalhaut. – Powinieneś go nosić zawsze na głowie.

– Cóż, sądziłem, że tak będzie lepiej.

– Aha, że niby nie wprowadzisz nerwowej atmosfery? Daj spokój! Nawet gdybyś nadesłał mi jakąś myśl, zaraz bym się zorientowała, że to twoja sprawa. Niewielkie zrobiłeś postępy w ciągu tych kilku lat. Zdążyłam już przyuważyć, że jeśli ktoś wie, jaką mocą dysponujesz, to możesz się z nim co najwyżej porozumieć telepatycznie, ale wpłynięcie na tok jego rozumowania wciąż leży poza twoim zasięgiem. A zresztą, jaka byłaby ze mnie alchemiczka, jeżeli nie rozpoznałabym działania artefaktów, które sama skonstruowałam? Noś swoją obręcz zawsze na skroniach, nigdy nie wiesz, kiedy ci się przyda. Ja tam trzymam czarnoprochowiec w szufladzie cały czas, niezależnie od tego, kto mi składa wizyty. Ale przejdźmy do spraw zasadniczych... – Sheratan zaczęła nonszalancko bawić się gęsim piórem. – Alfard zaniemógł w Nogunii. Zostawisz na razie wszystkie inne sprawy i pojedziesz go odebrać.

Między nimi zapadła cisza tak ciężka, że aż namacalna. Kąciki ust alchemiczki zdradzały lekkie rozbawienie.

– Ha, ha, ha! – zaśmiał się wymuszenie czarodziej. – Prawie dałem się nabrać!

– Nabrać? Ależ, Saturninie, ja mówię najzupełniej poważnie! A ty sądziłeś, że po co bym cię wzywała...? Ach, no tak! – Sheratan jakby ołśniło. – Pewnie zakładałeś, że z okazji powrotu zostaniesz wyemancypowany, czyż nie? Objęcie funkcji przedstawiciela rodu jeszcze nie świadczy o twojej dojrzałości, mój drogi! W Nogunii wydarzyło się coś niedobrego, nie wiemy, co dokładnie. Stary de la Venus nie może tam pojechać, znowu ma ataki podagry. Potrzebujemy kogoś, kto nie pokpi sprawy, bo Alfard jest pośród agentów z Sekcji Strzelca, a dobrze wiesz, jakie to są przyjemniaczki.

Czoło Saturnina chmurzyło się z każdym wypowiedzianym przez nią słowem.

– Wyślijcie zatem Callisto, to dobra dyplomatką – zaproponował oschle czarodziej.

– Ona ma małe dziecko, nie może pojechać.

– A ja mam żonę.



– Proszę cię! – prychnęła Sheratan. – Carina, w odróżnieniu od małego Arktura, jest dorosła. Sama potrafi o siebie zadbać.

– A co z resztą Siódmaków? Dlaczego akurat ja?

– Są zajęci innymi obowiązkami, a tobie od czasu powrotu z Nortanii wciąż jeszcze nie przydzielono żadnych konkretnych zadań. Nie wiem, co ci naobiecywał przewodniczący, ale chyba nie sądziłeś, że będziesz tutaj zbijał baki? Nie martw się, nie pojedziesz przecież sam! Zabierzesz ze sobą Serpentiusza oraz Yesfir. W ich towarzystwie nie zginiesz.

Na dźwięk drugiego imienia Saturnin poczuł ucisk w trzewiach.

– A ona tam po co?!

– Jak to „po co”? Przecież... A, to ty jeszcze nie wiesz? W takim razie sam się przekonasz, nie będę zdradzała niespodzianki. Spodoba ci się, sama zaprojektowałam jej artefakt!

– Aha, czyli Yesfir może pojechać, mimo że też ma małego syna, ale Callisto już nie? To ciekawe. Przykro mi, ale jeżeli jej udział został przyklepany, to ja zostaję w Lonavie. Zresztą, taka wyprawa potrwa z pewnością kilka tygodni, a ja nie uważam za stosowne zostawiać żony samej na tak długo, kiedy nikogo tutaj nie zna.

– Nie interesuje cię nikt inny poza Cariną, prawda? Ogarnięta wojną Nogunia to nie miejsce dla kobiet, więc ograniczmy ich liczbę do niezbędnego minimum. Poza tym Callisto słabo obchodzi się z bronią, a ty jesteś przecież wybitnym czarodziejem – dodała z przekąsem Sheratan. – Wyjedźcie rano. Pożegnaj się dzisiaj czule ze swoją małżonką. Jeśli jest mądra, zrozumie. A o twoim usamodzielnieniu pogadamy, gdy wrócisz.

Saturnin, wymusztrowany przez lata, nie spierał się dłużej, lecz w jego głowie zaświtała złowieszcza myśl:

Ty mnie nie chcesz wyemancypować. Na rękę ci, że jestem od ciebie zależny.

Z wielkim trudem powiedział zaś na głos:

– Zrobię tak, jak tego oczekuje ode mnie moja mistrzyni.

Pokłonił się zgodnie ze zwyczajem, odwrócił na pięcie i opuścił pomieszczenie, chcąc czym prędzej zostać sam.



– Opuszczasz mnie?

Carina stała w progu z rękami opartymi na biodrach. Wykorzystała moment na rozmowę z mężem, kiedy służąca opuściła garderobę z naręczem czystej bielizny – Saturnin wybierał właśnie, co zabierze ze sobą do Nogunii, więc w jego rodzinnej rezydencji panowało wzmożoneżywienie. Jasne pomieszczenie pachniało tekstyliami i naftaliną.

– To wyjątkowa sytuacja – powiedział spokojnie czarodziej.

Kobieta przecesała ręką blond włosy w geście niezadowolenia.

– Czy naprawdę nikt inny nie może cię zastąpić? Jak to się w ogóle stało? Sądziłam, że przyjedziesz wyemancypowany od Sheratan, a ona wysyła cię aż do Nogunii! Czy to jest jakiś rodzaj kary za... sam wiesz co...

Podszedł do niej i pocałował w czoło.

– Poproszę Callisto, aby cię odwiedzała – obiecał. – A moim wyemancypowaniem się nie przejmuj. Zawsze mogłem trafić gorzej, jak Alfard na Japette'a, który go już chyba nigdy nie usamodzielnili. Sheratan taka nie jest. Przecież mogła mnie wykląć, kiedy od nich odszedłem, a tego nie zrobiła. Gdyby mieli do mnie aż taki żal, nie proponowaliby mi powrotu po śmierci stryja. Pewnie sprawdzają, czy dorosłem do współpracy w grupie.

– A nie mogłabym ci towarzyszyć?

– Chyba nie mówisz poważnie!

Przytuliła się do jego szerokiej piersi. Wydawała się taka krucha w jego ramionach.

– Zostawiasz mnie na bliżej nieokreślony czas, a na dodatek jedzie z tobą była narzeczona – burknęła z wyczuwalną zazdrością w głosie.

Saturnina ogarnęło rozczerzenie. Poglaskał ją po głowie.

– Powtórzę zatem – podjął po chwili. – Nigdy nic do niej nie czułem. Zaręczono nas arbitralnie, bez pytania o zgodę. Istotne było tylko to, że ja jestem kawalerem, a ona należy do rodu wchodzącego w skład Siedmiu Wielkich Domów. Że nie trzeba było sprawdzać, czy jest godna zaufania, skoro pochodzi z von Planethofów.

– Ale ją porzuciłeś. Nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak wiele kobiet pielęgnowałoby w sobie urazę na jej miejscu.



– Gdyby pozostała niezamężna, tobym się zgodził. Tymczasem ona wyszła za Alfarda, podobno pobrali się bardzo szybko po mojej ucieczce z tobą.

– Naprawdę uważasz, że ślub z własnym kuzynem to satysfakcjonująca rekompensata?

– To są von Planethofowie! – oznajmił ze śmiechem. – Robią tak od pokoleń. Poza tym on sam do niej przyszedł, mogła go odtrącić, poprosić o Kerberos lub Serpentiusza. Nie chciała. Urodziła mu dziecko, a teraz jedzie, aby wyciągnąć go z tarapatów. Myślę, że to wiele mówi o jej stosunku do męża. Pasowali do siebie. Alfard jest cierpliwy, ja nie. To nie tak, że w aranżowanych małżeństwach nie ma miejsca na miłość. Po prostu rodzi się ona inaczej.

Uniosła ku niemu drobną twarz.

– A więc może i ty mógłbyś ją z czasem pokochać, gdybyś dał jej szansę?

– Nie, Carino. Nie mógłbym.

– Dlaczego?

– Bo poznałem ciebie i to ty bez reszty zawładnęłaś moim sercem.



A może to jednak jest jakiś rodzaj kary? – medytował Saturnin, gdy razem z Serpentiuszem Merkuriuszem oraz Yesfir von Planethof opuścił już Lonawę i przybył do Nogunii. Krajobraz był przygnębiający i monotony. Strzeliste, pokryte śniegiem szczyty górskie majaczyły groźnie na horyzoncie, a przy trakcie nie rosła prawie żadna roślinność. Dojmujący ziąb zmusił podróżnych do założenia futer z chimer, choć narażało ich to na poważne nieprzyjemności w przypadku spotkania przedstawicieli tej rasy. Niestety nawet magia Serpentiusza, który panował nad temperaturą, niewiele im pomagała – cały czas się przemieszczali, co utrudniało mu odpowiednie rozłożenie ciepła. Niezrażony tym faktem, czarnoskóry czarodziej wciąż starał się podnieść komfort podróży i pocieszał współtowarzyszy pentateistycznymi mądrościami. „To, co nas spotyka, to dar bogini Kalimy, która odmierza nam wedle tego, co uczyniliśmy lub dopiero uczynimy” – lubił

powtarzać, a Saturnin miał już powyżej uszu tej maksymy. Mimo to, gdyby go zapytano, czy woli słuchać tego trajkotania, czy jechać w milczeniu z samą Yesfir, bez wahania wybrałby wykłady z kalimatyzmu.

Starał się nawet nie zerkać w stronę czarodziejki. Do tej pory rozmawiali ze sobą tylko raz, na samym początku wyprawy.

– Widzę, że zmieniłaś fryzurę – powiedział jej wówczas Saturnin.

To miał być kurtuazyjny komplement, zwykle wyciągnięcie ręki na zgodę. Uznał to za bezpieczniejsze rozwiązanie niż zwrócenie uwagi na fakt, że odzyskała utracony w dzieciństwie wzrok. Zresztą, zapuszczenie włosów i przefarbowanie ich z czerni na rudy było w mniemaniu czarodzieja dość dużą zmianą w wyglądzie. Ale Yesfir odparła tylko:

– A ja widzę, że postanowiłeś jednak gładko się golić.

Dla osoby postronnej taki komentarz nie znaczył nic, lecz Saturnin rozumiał jego drugie dno. Wyparte z pamięci wspomnienia uderzyły go ze zdwojoną siłą.

Znów poczuł, jak opuszki kobiecych palców uważnie przemieszczały się po jego nabrzmiałych krwią żyłach, zaciśniętej szczęce, przymkniętych powiekach. I po zaroście. Krótkim, kilkudniowym, drapiącym zaroście, który zapuszczał specjalnie, ponieważ tego nie lubiła.

– Ach, Saturninie, dlaczego ty zawsze jesteś taki spięty? – pytała go wtedy. – Czyżby tak bardzo stresowało cię moje towarzystwo?

I zaczynała nerwowo się śmiać. Sama, bo on w niczym jej nie wtórował. Ani w nieśmiałych zalotach, ani w zachwytach nad literaturą – zawsze, ale to zawsze odmawiał, kiedy prosiła, aby poczytał dla niej coś na głos. Budziło to w nim skojarzenia z niańczeniem małego dziecka, a jednocześnie nie wywoływało żadnych opiekuńczych odruchów, prędzej odrazę. Czuł, że wszyscy z niego zadrwili, pokazali mu jego miejsce w szeregu, parując sierotę z niewidomą.

Na bogów, jakim ja byłem dupkiem! – skonstatował czarodziej, kiedy to sobie wszystko odtworzył w pamięci. *Wyżywać się na kimś słabszym, brawo, Saturninie, ojciec byłby z ciebie dumny!* Poczuł, że palą go uszy, i zapragnął zdusić w sobie to wspomnienie za wszelką cenę.

Kiedy Saturnin zarumienił się ze wstydu, Yesfir odwróciła się do niego plecami, aby poprawić siodło na rapicie – wielkim, dwunożnym



ptaszydle o gęstym oraz ciężkim upierzeniu. Mężczyzna stał i wahał się, czy coś jeszcze odpowiedzieć, ale w końcu zrezygnował.

Może jednak lepiej się stało, że wyszła za Alfarda – pomyślał. W końcu von Planethof nie stanowił aż tak złego materiału na męża. Nie podnosił głosu, odznaczał się intelektem, miał zmysł estetyczny i z pewnością nie wnosił żadnego sprzeciwu wobec wspólnej lektury. A że był dużo starszy oraz umiarkowanie urodziwy... Cóż, Yesfir przez lata kierowała się innymi zmysłami. Mogła mieć własne kryteria piękna.



Dowódca drużyny wyjął z ust cygaretkę i uśmiechnął się na widok przybyszów, którzy stanęli u wejścia jego namiotu.

– Pojawili się i oni! – zawołał, rozkładając szeroko ręce. – Wielcy tego świata, karmiciele CZAR-u! Czcigodni przedstawiciele Sekcji Wodnika we własnych osobach!

Siódmacy nie lubili, gdy ich tak nazywano. Mówienie o nich per Sekcja Wodnika, choć zgodne z systemem organizacyjnym CZAR-u, godziło w ich przekonanie o własnej wyjątkowości – nie byli wówczas „Siedmioma Wielkimi Domami”, wymienialnymi z nazwiska, lecz jedną z dwunastu równorzędnych sobie dywizji.

Saturnin postanowił zignorować te złośliwości, ale zanim jakies na pozór uprzejme słowo opuściło jego usta, Serpentiusz się odezwał:

– Czcigodni są tylko bogowie, przyjacielu.

To łagodne upomnienie wywołało u dowódcy zażenowanie.

– Czy wy tam w tej Lonavie tak bardzo wrosliście w ziemię, że zaczęliście wyznawać pentateizm? – mruknął, po czym zaciągnął się cygaretką.

Tym razem Saturnin nadesłał kompanowi myśl szybciej, niż tamten zdążył odpowiedzieć.

To ja prowadzę tutaj rozmowy, Serpentiuszu.

Merkuriusz, choć niepokieszony, pokiwał ze zrozumieniem głową – co wprawilo dowódcę w jeszcze większe skonsternowanie – i usunął się w tył, przepuszczając swojego kolegę, który zbliżył się do gospodarza.

– Saturnin Syriusz-Starsky, głowa rodu. – Wyciągnął dłoń. – Moi towarzysze to Serpentiusz Merkuriusz, obecny dziedzic swojego domu, oraz Yesfir von Planethof, małżonka Alfarda, po którego przyjechaliśmy.

– Kosma Plutonowicz. – Dowódca uściśnął mu rękę. – Rozgoście się! Na obiad mamy coś w rodzaju potrawy, a do picia mogę wam zaoferować czaj, ale zostało też coś mocniejszego, jeśli reflektujecie. W tym miejscu możecie położyć swoje płaszcze i hm... artefakty. – Zaakcentował ostatnie słowo, rzucając niby obojętne spojrzenie na obręcz Saturnina oraz dwie laski Serpentiusza. – Pani, widzę, żadnych nie posiada? – zwrócił się do Yesfir z szarmanckim uśmiechem. – Alchemiczka?

Czarodziejka dotknęła palcami skórę obok prawego oka, jakby chciała coś wytłumaczyć, ale w ostatniej chwili zrezygnowała, upomniana w myślach przez Saturnina, i zamiast tego powiedziała:

– Ja na razie dziękuję za posiłek. Wolałabym zobaczyć się z moim mężem. Gdzie go zastanę? Co mu się właściwie stało? Informacje, które do nas dotarły, były bardzo... enigmatyczne.

Kosma się roześmiał.

– Od przeszło dwóch tygodni zadajemy sobie te same pytania. Alfardowi kompletnie odbiło! Zrobił się niewidzialny i bawi się z nami w chowanego. Za nic nie możemy go znaleźć. Ale proszę się nie martwić, wiemy, że żyje, parę razy prawie go złapaliśmy, bo coś potrafił, tyle że skurczybyk zawsze nam ucieknie. Na pani miejscu najpierw odsapnąłbym po podróży, a potem zdecydowujemy, co dalej.

Yesfir, zszokowana niespodziewanym obrotem sprawy, rzuciła się pędem w stronę wyjścia z namiotu, ale ostre: „Zostań!”, które rozbrzmiało w jej głowie, skutecznie ją zatrzymało. Spojrzała zaniepokojona na Saturnina, lecz dojrawszy jego wzrok, opanowała się natychmiast.

– Ja to bym zjadł tę potrawkę! – powiedział głośno Serpentiusz.

Kosma klasnął w dłonie, wyrzwał na zewnątrz i krzyknął do swoich, aby przygotowali coś do jedzenia dla gości, którzy w tym czasie zdjęli okrycia. Gdy dowódca krzątał się po namiocie, Saturnin odnotował, że gospodarz nosił przy sobie dwa rewolwery.



– Powiedziałem, że możecie odłożyć swoje artefakty – przypomniał Kosma, kiedy przybysze zasiedli do posiłku. – Nikt wam tutaj krzywdy nie zrobi.

– Ty jednak nosisz przy sobie broń – zauważył kulturalnie Saturnin.

Dowódca wypuścił z ust kłęb dymu z nowo odpalonej cygaretki.

– To na wypadek, gdyby Noguni postanowili nas odwiedzić. – Westchnął. – To się czasem zdarza. Dobra, możecie je mieć przy sobie, jak się boicie. Ciekawi mnie tylko, po co ci ta obręcz.

Saturnin nie odpowiedział od razu, zastanawiając się, co na swój temat był gotów ujawnić.

– Czytam innym w myślach – skłamał w końcu.

– Ho, ho! To ciekawe! – Kosma wyszczerzył się zawadiacko, lecz cień lęku przebiegł po jego twarzy. – Ale mam wrażenie, że bujasz, a to nieładnie z twojej strony. Tak, tak, ja wiem, że te wasze rody Neptunsenów, Mondsteinów i Fomalhautów uznawane są za wybitne, ale jestem alchemikiem i wiem, że podobny efekt jest nieosiągalny. W każdym razie nie taki, aby dosłownie czytać komuś w myślach.

Saturnin uśmiechnął się lekko i sformułował w głowie odpowiednie zdanie.

Na bogów, co za bufonowaty debil – przebiegło Kosmie przez myśl.

– Właśnie uznałeś, że jestem bufonowatym debilem – poinformował go czarodziej.

Mężczyzna zmieszał się potwornie, przeprosił gości i pod pretekstem zaczerpnięcia świeżego powietrza wyszedł z namiotu.

Kiedy zostali sami, Serpentiusz zachichotał, ale Yesfir wcale nie było do śmiechu.

– To wielce nierozsądne, Saturninie! – wyszeptała.

– Przepraszam, Yesfir. Najzwyczajniej w świecie nie mogłem się powstrzymać.



– To jaki macie pomysł na znalezienie Alfarda? – zapytał niechętnie Kosma, gdy goście zdążyli już zregenerować siły. – Chcesz go zlokalizować za pomocą jego myśli? – zwrócił się do Saturnina.

– To nie będzie konieczne – wtrąciła się Yesfir. – Ja się tym zajmę.

Mocny podmuch wiatru strącił żar z kolejnej cygaretki Kosmy, przez co tytoń wylądował na okryciu Serpentiusza. Saturnin nadesłał dowódcy nową myśl.

Kurwa! Nie stać mnie na odkupienie takiego futra!

Kosma podskoczył do Serpentiusza, który zaczął zapewniać, że przecież nic się nie stało, on się liczył z tym, że płaszcz może ulec zniszczeniu w podróży, i w ogóle to bogini Kalima...

Saturnin zyskał na czasie. Odwrócił się w stronę Yesfir. Niby ta sama osoba co kiedyś, a jednak sprawiała obce wrażenie.

Wydaje ci się – próbował przekonać sam siebie. To kwestia tych włosów. Za czasów panińskich strzygli ją na chłopca, żeby łatwiej było o nie zadbać. W dodatku miedziany kolor zdecydowanie lepiej współgrał z bledością jej cery.

Spojrzał głęboko w oczy czarodziejki.

Nie wierzę, Sheratan, że nie mogłaś ich lepiej zaprojektować. Wyglądają jak u lalki. Albo jakby przeżyła traumę. I dlatego nigdy nie wspomniałaś, że planujesz dla niej coś podobnego?

Na głos zaś powiedział:

– Domyślam się, że to ten słynny prezent ślubny od mojej mistrzyni. Pewnie widzisz teraz znacznie więcej niż inni.

– Zawsze ceniłam spostrzegawczość u mężczyzn – odparła Yesfir zaczepnie.

Ta riposta jednocześnie zirytowała i rozbawiła Saturnina. Tego drugiego nawet nie ukrywał. Carina też by mu tak odparowała. Wskazał na nieodległe wzgórza – w jego mniemaniu idealną kryjówkę dla partyzantki.

– Byłabyś w stanie dostrzec, czy nikt się tam nie kryje? – zapytał.

W jednej chwili zarówno tęczówki, jak i źrenice czarodziejki zrobiły się jaskrawozielone.

– Widzę trzech... nie, czterech Nogunów. Mają ze sobą rapity, po jednym dla każdego. Nie wyglądają na specjalnie uzbrojonych. To prawdopodobnie zwiadowcy.

Mina Saturnina wyrażała autentyczne uznanie.

– Słyszałeś?! – zawołał do Kosmy, wciąż zajętego futrem Serpentiusza.

– Tak, tak, to już sami wiemy! Ale nie skłamię, jeśli powiem, że przydałby nam się ktoś z taką zdolnością. Te skurwysyny to istne



kosmate diabły, potrafią wyskoczyć spod ziemi w najmniej oczekiwanym momencie. Marnuje się pani w tej Lonawie. Do doglądania rolników taka moc nie jest niezbędna. A zresztą, wy i tak pewnie w pole nie jeździecie.

Oczy Yesfir zgasły do normalnego, ciemnego koloru. Uśmiechnęła się do Saturnina.

*Stała się naprawdę piękną kobietą – pomyślał mimowolnie, od-
wzajemniając gest. Alfardowi bardzo się poszczęściło. Na pewno
mocno ją kocha. Dobrze, że za niego wyszła.*

Czarodziejka ponownie aktywowała artefakt i zaczęła krążyć po obozowisku, a oni postępowali za nią w odpowiedniej odległości, wymieniając się różnymi uwagami.

– Co się właściwie wydarzyło? – zapytał Serpentiusz.

– To po jednej z naszych ostatnich misji – odparł Kosma. – Co mnie zresztą bardzo dziwi! Wcześniej wysłaliśmy go parę razy do bazy wroga, aby coś wykraść lub podsłuchał, i nic się z nim nie działo. Dobry był, skurczybyk. Nigdy się z niczym nie zdradził. Poważnie, chłopaki twierdziły, że powinniśmy go tu zakotwiczyć na stałe, bo taki czarodziej w naszym zespole to prawdziwy skarb. Swoją drogą, dziwne macie zdolności jak na latyfundystów.

– A na czym polegała ta misja, po której się posypał? – wtrącił się Saturnin.

– Nic nadzwyczajnego, w każdym razie nie dla nas. – Kosma wzruszył ramionami. – Puściliśmy okoliczną wioskę z dymem. Faktycznie przykry widok, ale... musieliśmy. Wiecie, jak to jest.

Nie wiedzieli, lecz obaj zmilczeli.

To ja, Serpentiuszu – Saturnin nadesłał towarzyszowi myśl. Żebyś się nie pomylił, że to twoja refleksja. Żałuję, że stary de la Venus tego nie słyszy, może ruszyłoby to jego sumienie i wyrzekłby się wreszcie tego parszywego konsensualizmu. Ja zawsze wiedziałem, że nie możemy mieć złudzeń co do innych sekcji CZAR-u.

Merkuriusz nie zdradził się ze swoją opinią. Syriusz-Starsky nie kontynuował tematu. Serpentiusz zawsze żył we własnym, nieodgadnionym świecie, a przez wyznawany kalimatyzm potrafił usprawiedliwić nieusprawiedliwialne. Jednakże inni Siódmacy z pewnością podzieliliby zdanie Saturnina.

Sekcja Wodnika zawsze stała na uboczu wielkiej polityki CZAR-u, co paradoksalnie gwarantowało względną autonomię i pozwalało jej członkom na krytyczne ustosunkowanie się do oficjalnych wytycznych. Jako jedyni stawiali się Sekcji Ryb, zawiadującej oficjalnie całym Centralnym Zgromadzeniem Adeptów Runicznych. W opinii Wodnika Ryby były oderwane od rzeczywistości i głuche na opinie innych dywizji. Stosowały agresywne metody i patrzyły tylko na cyferki, bo do brudnej roboty miały swoich chłopców z Sekcji Strzelca, więc same nigdy nie oglądały przelanej krwi. Kto nie chciał się z nimi zgodzić, musiał w przyszłości zostać usunięty.

Siódmacy spodziewali się, że w końcu przyjdą także po nich.

Zduszony okrzyk Yesfir wyrwał Saturnina z zadumy. Razem z Kosmą i Serpentiuszem weszli do jurty, w której wnętrzu zniknęła czarodziejka. Ich oczom ukazał się osobliwy widok – kobieta, w kuckach, przytuliła się do powietrza.

– Alfardzie? – Saturnin postąpił krok.

Czarodziejka przewróciła się do tyłu, jakby rażona czyjąś siłą.

– Zostawcie mnie! – znikąd rozległ się głos.

Wiemy, co się stało – Saturnin nadesłał myśl Alfardowi.

– Nic nie wiecie! Wynoście się!

– Pojebane to... – mruknął Kosma, który najwyraźniej jeszcze nigdy nie widział tak dziwnej sceny.

– Chodź z nami, Alfardzie – poprosił Saturnin. – Twój syn, Aldebaran, czeka na ciebie w domu. Nic, co się tutaj wydarzyło, nie jest twoją winą.

– Ej, zaraz, jaką znowu winą? – wtrącił się dowódca Strzelców.

Chciał wejść głębiej do środka, ale Serpentiusz zagroził mu drogę jedną z lasek.

– Co ty, kurwa, robisz?!

– Spokojnie, przyjacielu, zostaw nas po prostu na chwilę samych. Musimy to załatwić w naszym gronie.

– A ja pytam: co za winą?! – Kosmie momentalnie puściły nerwy. – Byliście tutaj?! Kurwa... Ja pierdołę, wy myślicie, że my to tak z przyjemności?! – Zaśmiał się nieszczerze. – Że to my jesteśmy ci źli?! Siedzicie sobie w tej Lonavie i chuja wiecie o sytuacji na innych kontynentach!



– Gwałciliście te kobiety! – krzyknęło oskarżycielsko powietrze. – Goniliście w mróz ludzi bez ubrań! Mordowaliście dzieci!

– Nie my, tylko ci Noguni, z którymi się sprzymierzyliśmy! Kurwa, Alfardzie, przejdź się z Yesfir nocą po górach, a twoja żona nie wróci do domu w jednym kawałku! Przecież byłeś tutaj z nami, widziałeś, co te skośnookie chuje wyprawiają z przypadkowymi wieśniakami! Tu jest wojna, tu nie ma litości!

– Wojna, którą rozpętał i podtrzymuje CZAR – powiedział chłodno Saturnin.

Kosma zamilkł. Wyglądał na głęboko wstrząśniętego tą informacją.

– A co, może niczego nie podejrzewałeś? – zadrwił Syriusz-Starsky. – Założę się, że tym Nogunom, którym wasi sojusznicy spalili wioskę, inny oddział Sekcji Strzelca sprzeda za tydzień broń. Oczywiście nie będziecie o tym wiedzieć, bo i po co? To ściśle strzeżona informacja. „Dziel i rządź” to odwieczna maksyma CZAR-u. Nogunia w innych warunkach byłaby poważnym zagrożeniem. A tak? Sami się wyrzynają. Jakie to proste!

Powietrze jęknęło, a potem zapłakało. Yesfir poderwała się i dopadła męża, obejmując go z niepokojem. Wodziła rękami po jego głowie, oddając się nawykowi jeszcze z czasów swojego ociemnienia.

– Wszystko będzie dobrze – szeptała. – Proszę, wróćmy razem do domu.

Jej słowa nie wywołały pożądanego efektu – Alfard ponownie ją od siebie odepchnął. Z czystej bezsilności czarodziejka posłała Saturninowi spojrzenie pełne wyrzutu. I choć zaraz zmiarkowała, jak bardzo nie na miejscu był podobny grymas, czarodziej zrozumiał, co chciała mu w ten sposób powiedzieć.

Po raz pierwszy zaczął żałować, że nie wziął ze sobą Cariny. Jego żona potrafiła za pomocą samego głosu wprawiać innych w odpowiedni nastrój. To byłoby niezmierną pomocą w tej chwili.

– Dość tego! – warknął Kosma, ale już nie tak pewny siebie jak wcześniej. – Brawo, Saturninie, prawie udało ci się mnie nabrać. Ale ja już słyszałem o podobnych sztuczках. Tak naprawdę nie jesteście Wodnikami, tylko parszywymi agentami z Sekcji Skorpiona, zgadza się? Tak mi coś nie pasowały te wasze moce. Marna

provokacja! Musicie się bardziej postarać. My, Strzelcy, nie jesteśmy w ciemię bici!

Saturnin nie skomentował tego oskarżenia. Choć trochę im ubliżało, to zapewniało jednocześnie większe bezpieczeństwo. Sekcja Skorpiona stanowiła wewnętrzną policję CZAR-u, której agenci wkręcali się w inne komórki, szpiegując i donosząc Rybom o wszelkich nieprawidłowościach. Szefostwo robiło później ze zgromadzonymi informacjami, co chciało – zamiatało sprawę pod dywan, przekazywało dokumentację do Sekcji Wagi, aby tamci wszczęli oficjalne postępowanie, albo... niekiedy samodzielnie pozbywało się problemu. Krótko mówiąc, atak na takiego kontrolera gwarantował problemy.

– Przepuść mnie, Serpentiuszu! – Kosma ponownie próbował przejść. – Niech Yesfir trzyma Alfarda, a ja mu dam po ryju, to się zaraz opamięta. Zabierajcie go ze sobą i wynoście się z mojego obozu. A to, jak się rozliczycie z Wodnikami, już mnie nie obchodzi.

– Cofnij się, przyjacielu, albo będę musiał zrobić coś niemiłego – ostrzegł go Serpentiusz.

Rozdygotany Kosma uderzył w laskę. Czarodziej naładował ją gorącą temperaturą i w rewanżu zdzielił dowódcę drużyny w brzuch, przez co ten aż upadł na plecy. W jego wierzchnim ubraniu wypaliła się sporych rozmiarów dziura.

– Kalima odpłaciła ci właśnie za moje futro – powiedział ze smutkiem Serpentiusz.

Kosma stanął na równe nogi i krzyknął coś w obcym języku. W namiocie pojawiła się piątka jego podwładnych. Merkuriusz uniósł laskę.

– Przestańcie! – krzyknął Saturnin, ale nikt go nie słuchał.

Właściwie nie wiadomo, kto pierwszy zaczął – czy to któryś z kamratów Kosmy ruszył na Serpentiusza, czy to czarodziej najpierw obrócił się dookoła własnej osi, wyrzucając ze swojego artefaktu falę gorąca tak intensywną, że aż pozostali Siódmacy musieli się cofnąć. Rozległ się chóralny wrzask bólu – Strzelcy wypadali na zewnątrz, potykając się o własne nogi i trzymając za twarze.

– Namiot! – zawołała z trwogą Yesfir.

Czary Merkuriusza zaproszyły jurte, a ogień rozprzestrzenił się porażająco szybko.



– Alfardzie, chodź, musimy stąd wyjść! – jęknęła czarodziejka. Jej mąż nic nie odpowiadał. Yesfir próbowała go pociągnąć za sobą, ale ten ani drgnął. Saturnin, w akcie desperacji, nadesłał mu myśl:

Jeśli z nami nie pójdziesz, zgwałcę, a potem zabiję ci żonę. Ja nie dam rady jej obronić, ich jest za dużo. Sprawy wymknęły się spod kontroli.

Powietrze westchnęło.

– Dobrze – odparło chrapliwie. – Chodźmy. Podaj mi rękę, Yesfir.

Saturnin wyjął zza pazuchy rewolwer. Czarodziejka wytrzeszczyła oczy.

– Przewrotny zawsze ubezpieczony – wytłumaczył się Syriusz-Starsky. – Przecież moja moc w bezpośredniej walce na nic mi się nie zda.

Nie przewidział jednak, że broń także niewiele mu pomoże. Ledwo tylko wybiegł z namiotu, dostał czymś w głowę i stracił przytomność.



– Serpentiuszu, daj już spokój z tymi modlitwami, nie ma żadnej bogini Kalimy. Lepiej dołoż do pieca.

Głos Yesfir dochodził jakby z bardzo daleka. Wokół siebie Saturnin widział tylko ciemność. Z jakiejś innej strony świata dobiegło go oburzenie Serpentiusza:

– Czarodziejce nie przystoi twierdzić, że nie ma bogini Kalimy!

Niczego nie ma – pomyślał Saturnin w malignie. Nie ma bogów, nie ma świata i nie ma mnie. Umarłem. Jakże nędzna jest cielesność!

Przypomniał sobie o Carinie.

Gdzie jesteś? – zastanawiał się. *Tak bardzo cię kochałem. Gdzie jesteś?*

– S-Saturninie?

Ktoś klepnął go po policzku.

– Nie bij go!

– N-nie robię tego mocno, kochanie. Patrz, budzi się.

Powoli jakieś kształty zaczęły się wyłaniać z ustępującego mroku. Pierwszym, co zidentyfikował Saturnin, była kobieca twarz. Wyszeptał imię żony.

Yesfir dotknęła jego czoła, aby sprawdzić temperaturę.

– Ciii, nic nie mów – szepnęła zmartwiona. – Zaatakowali cię zaraz po tym, jak wyszliśmy z namiotu. Oszczędzaj się. Strzelców związaliśmy i przenieśliśmy do innego namiotu, ale spokojnie, mam ich cały czas na widoku.

Saturnin spojrział w bok. Przy jego posłaniu siedział także przygarbiony Alfard.

Choć wyraźnie starał się nad tym zapanować, po jego kanciastej i mięsistej twarzy przebiegały bolesne skurcze. Wyglądał niezdrowo z przetłuszczonymi, czarnymi włosami, dawno niegolonym zarostem i rozbieranym wzrokiem.

Saturnin chciał mu coś powiedzieć, ale zamroczony nie pamiętał, jak się formułuje zdania. Dopiero gdy zauważył, że towarzyszowi zaczynają szkląć się oczy, z wielkim trudem wystękał:

– Nie płacz.

Alfard wstał speszony, po czym odszedł w kąt namiotu, pociągając nosem. Yesfir z rezerwą poklepała Saturnina po ręce, a następnie dołączyła do męża. Objęła go ramieniem i zaczęła coś cicho mówić, a on łkał. Serpentiusz, odpoczywający nieopodal, zwrócił się półgłosem do rannego czarodzieja:

– Nie przejmuj się nim, Saturninie! Pomyśl, że dopiero teraz bogini Kalima wynagrodzi mu te wszystkie cierpienia i wreszcie nastaną dla niego lepsze czasy. No chyba że... – Serpentiusz zaważał się w pół zdania. – No chyba że o czymś nie wiemy i Alfard w przeszłości był zatwardziałym grzesznikiem i właśnie odpokutował za swoje winy. – Ponownie się zamyślił. – Albo dopiero stanie się nim w przyszłości! Tak, tak, Saturninie, Kalima patrzy na nasze życie holistycznie, a nie chronologicznie. Czasami przychodzi nam więc odpokutować uprzednio za to, że dopiero później nagrzeszymy. Ale najważniejsze, że bilans radości i cierpień zawsze na koniec okazuje się sprawiedliwy...!

Saturnin nie słuchał dłużej. Tysiące myśli tłukło mu się w głowie, a jedna z nich męczyła go najbardziej.

To bardzo źle, że za niego wyszła.



Sheratan ssała cukierka na gardło, czekając na rozpoczęcie obrad Siedmiu Wielkich Domów.

Nagle w jej głowie zaświtała niespodziewana myśl:

Powinnam go wyemancypować.

Alchemiczka przejechała z zażenowaniem ręką po twarzy, po czym podniosła wzrok na Saturnina, który stanął nad nią z oburczą na głowie.

– No ty chyba sobie żartujesz. – Zaczemkała.

Czarodziej, niezrażony, dalej komunikował się z nią przez artefakt. Nie chciał, aby ktokolwiek usłyszał ich rozmowę.

Dałaś mi do zrozumienia, że jak się spiszę, to pozwolisz mi się usamodzielnąć.

– Ale ty się fatalnie spisałeś! – zawołała Sheratan tak głośno, że kilka osób odwróciło się w ich stronę. – Gdyby nie Merkuriusz, wszyscy byście poginęli! Bójka z innymi członkami CZAR-u, gratuluję sztuki dyplomacji!

Saturnin chciał coś jeszcze powiedzieć, ale nie zdążył. Na sali pojawiła się Yesfir, co wywołało niemałe zamieszanie. Zgodnie ze zwyczajem panującym między Siedmioma Wielkimi Domami w ichniejszych zebraniach brały udział jedynie głowy rodów.

– Co to ma znaczyć? – zapytał surowo stary Japette de la Venus. – Gdzie jest Alfard?

– Mój mąż jest niedysponowany – odpowiedziała cicho czarodziejka. – Będę go zastępować, dopóki mu się nie polepszy.

Saturnin spodziewał się katastrofy. Japette od zawsze znany był z bezzwzględnego przestrzegania zasad, co na stare lata przybrało formę obsesji o charakterze wręcz religijnym. Pozostali Siódmacy wielokrotnie uskarżali się na jego zachowanie, ale jak na złość stary czarodziej nawet ze swoimi atakami podagry wciąż dobrze się trzymał i nie zamierzał odchodzić z tego świata.

Co gorsza, de la Venus dalej pełnił rolę mistrza względem Alfarda, którego nie wyemancypował pomimo dojrzałego wieku ucznia. Wyprawa do Nogunii nic w tej materii nie zmieniła.

– Jakże znowu: „niedysponowany”? – Japette zmarszczył krzacaste brwi. – Nie jesteś uprawniona do reprezentowania go, Yesfir. Bez Alfarda nie możemy rozpocząć obrad.

– Nie mamy czasu na niego czekać – zaoponował Rastaban Mondstein, przewodniczący Siedmiu Wielkich Domów. – Ta sprawa

nie cierpi zwłoki. Proponuję urządzić głosowanie. Kto jest za dopuszczeniem Yesfir do obrad, niech...

– Zaraz! – przerwał mu de la Venus. – Nie ma takiej możliwości! Nie po to ustalaliśmy pewne reguły pożycia, aby ich teraz nie przestrzegać!

Dyskusja na ten temat mogła się przeciągać w nieskończoność. Yesfir na przemian to bladła, to znowu pokrywała się rumieńcem. Saturnina zdjęło współczucie. Jako że Serpentiusz nie reprezentował jeszcze swojego domu na zebraniach, czarodziej był jedyną osobą mogącą zaświadczyć przed innymi o szczegółach wydarzeń w Nogunii. Postanowił się wtrącić:

– Japette, za pozwoleniem, ja w odróżnieniu od ciebie widziałem Alfarda. Jeśli jego stan nie uległ poprawie, to owszem, jest on niezdolny do pełnienia swoich obowiązków. Jednak ze względu na delikatność sprawy nie uważam za stosowne opisywanie szczegółów problemu na forum publicznym, nawet jeśli wszyscy dobrze się znamy. Jeżeli chcesz lepiej zrozumieć swojego ucznia, udaj się do niego po naszym spotkaniu.

– Dziękuję, Saturninie... – wyszeptała ledwo dosłyszalnie Yesfir.

Stary de la Venus został przegłosowany przez resztę zgromadzenia i wielce oburzony opuścił zebranie. Siódmacy postanowili obradować bez niego. Saturnin nie mógł się skupić na meritum spotkania. Postanowił, że następnego dnia złoży von Planethofom wizytę.



Yesfir bardzo się zdziwiła, kiedy kamerdyner zapowiedział przybycie „dostojnego pana Syriusza-Starsky’ego”, ale przyjęła gościa bez zbędnej zwłoki. Oczy miała podpuchnięte, twarz zmęczoną, ubranie lekko wygniecione.

– Alfard jest z nami? – zapytał Saturnin od razu po tym, jak przeszli do saloniku.

– On raczej nie będzie chciał z nikim rozmawiać.

– To dobrze, bo ja przyszedłem do ciebie. Liczę na to, że jeśli twój mąż postanowi nas podsłuchiwać, to mi o tym powiesz.

Czarodziejka, choć coraz mocniej skonfundowana, bez zbędnych dyskusji aktywowała swój artefakt. Jej tęczęwki rozbłysły najczystszy szkarłatem.



– Wyglądasz trochę groźnie – zażartował czarodziej, żeby rozluźnić atmosferę.

Rozsiedli się wygodnie w fotelach. Podano herbatę oraz słodczyce, po czym nastąpiła bardzo krępująca cisza.

– Jak on się czuje? – zapytał w końcu Saturnin. – Nic mu się nie poprawia?

Usta Yesfir zamieniły się w cienką linię. Upiła łyk z filizanki i zaczęła opowiadać z wyraźnym oporem:

– Nic. Całe dnie snuje się z płaczem po korytarzach, niewidoczny dla nikogo poza mną. Aldebaran dostaje napadów histerii. Myśli, że to duchy straszą. – Próbowала się uśmiechnąć. – Alfard nie ujawnił się nawet przed Japettem, gdy ten wczoraj do nas zajrzał, po tym jak opuścił zebranie. O wszystkim wiem od służby. Krzyczał, że przeklnie mojego męża, jeżeli ten się przed nim nie stawi, ale i taka groźba nie podziałała. Ja już naprawdę nie wiem, co robić...

Odstawiła porcelanę na stolik. Saturnin wykorzystał okazję i dotknął jej dłoni w geście współczucia. Poczuł, że czarodziejka sztywnieje. Palilo go poczucie winy.

– Yesfir... – zaczął. – Myślę, że wszyscy potrzebujemy czasu. I on, i my. Chciałem cię zapewnić, że możesz na mnie liczyć. Zrobię, co w mojej mocy, aby wam pomóc.

Podniosła na niego nieco rozgorączkowany wzrok.

– Jestem ci bardzo wdzięczna – zaczęła ostrożnie. – Ale czemu zawdzięczamy twoją troskę?

Czarodziej milczał dobrą chwilę, aż w końcu wyrzucił z siebie:

– Czuję się częściowo odpowiedzialny za to, co się stało. Gdybyśmy inaczej załatwili nasze sprawy, prawdopodobnie nigdy byś się z nim nie związała.

Ścisnęła go mocniej za rękę, splatając ich palce ze sobą. Saturnin pojął, że to zmierza zupełnie nie w tym kierunku, jaki sobie obmyślił, co wpłynęło na jego następne słowa:

– Kocham moją żonę. Jest największym szczęściem w moim życiu. Nie zmienia to jednak faktu, że byłem wówczas młody i głupi. Zupełnie nie wiedziałem, jak się zachować, i postąpiłem karygodnie. Być może gdybym wtedy, zamiast uciekać z Lonawy do Nortanii, porozmawiał z Sheratan i twoją matką, dzisiaj byłabyś żoną Serpentiusza. Opowiedziano mi, jak wyglądały kulisy twojego

małżeństwa. Wiem już, że Alfard tak cię pocieszał, że skończyło się na dziecku, więc...

– Wystarczy!

Yesfir wstała jak oparzona. Odeszła kilka kroków od fotela, aby ukryć silne wzburzenie, lecz po chwili odwróciła się do mężczyzny z płonącym obliczem. Wyglądała, jakby chciała mu wymierzyć policzek. Oddychała głęboko, starając się zapanować nad gniewem.

– Masz zupełnie błędne wyobrażenie tego, co się zdarzyło – oświadczyła oschle. – Kocham mojego męża i jestem dumna z tego, że mogę tytułować się jego żoną. Nie pojmuję, po czym wnosisz, że powinnam wyjść za Merkuriusza, którego wówczas nie znałam i którego kalimatyzm jest mi wręcz obmierzły. Dobrze się dla mnie stało, że ożeniłeś się z kimś innym. Nie żywię do ciebie urazy. Z perspektywy czasu to dla mnie oczywiste, jak bardzo do siebie nie pasowaliśmy. Uważam natomiast, że jesteś niesprawiedliwy w ocenie Alfarda. Nie on pierwszy i nie ostatni przechodzi załamanie nerwowe. Nie pomożesz nam, odczuwając do niego pogardę.

– Nie odczuwam do niego pogardy. Chciałem raczej podkreślić, że dostrzegam swoją rolę w bieżących wydarzeniach, ale najwyraźniej źle się wyraziłem. Pomyśl o tym w następujący sposób: gdybym nie opuścił Lonavy, niewykluczone, że to mnie wysłano by do Strzelców w Nogunii. Teraz rozumiesz?

Yesfir milczała. Zerknęła w stronę sufitu.

– Idzie tutaj.

Czy mówiła prawdę, czy też chciała po prostu wyprosić Saturnina ze swojego domu – trudno było stwierdzić. Czarodziej jednak zrozumiał aluzję. Pożegnał się uprzejmie z panią domu i opuścił posiadłość von Planethofów w wyjątkowo podłym nastroju.



– Saturninie, przestań nadsyłać mi wizje, że jestem ubrana w coś wyzywającego. Mnie to wcale nie podnieca! – krzyknęła Carina z drugiego pokoju.

Zawiedziony czarodziej rzucił się na łóżko z westchnieniem. Jego żona zajrzała do niego, wyraźnie rozbawiona.

– Nie tak się wzbudza pożądanie w kobietach – pouczyła go.



– Przykro mi, ale gołych facetów nie zamierzam sobie wyobrażać.
– Ale z ciebie romantyk! Czemu wszystko sprowadzasz do fizyczności?

Przysiadła się do niego. Faktycznie nie wyglądała, jakby była w nastroju do igraszek. Jej chwilowa wesołość zaraz zgasła, a czoło się zmarszczyło.

– Coś cię gryzie? – zagadnął ją Saturnin. – Znowu chandra z powodu pogody?

Za oknem lało jak z cebra, a niebo tak pociemniało, że pomimo wczesnej godziny w sypialni zapalono kryształowy żyrandol. Nietrudno było wpaść w przygnębienie. Carina zaczęła skubać pościel.

– Widzisz, tak się zastanawiam... Dlaczego nikt nie wezwie do niego lekarza? Mówię o Alfardzie. Przecież on wykończy nie tylko siebie, ale także Yesfir!

– Wykluczone. To choroba umysłu, nie ciała, a skoro Alfard nie może wyjawić lekarzowi, w czym problem, to nie ma sensu go wzywać. Nikt z zewnątrz nie ma prawa dowiedzieć się o naszych tajemnicach. Podobno Rastaban przygotował mu jakieś lekarstwa na nerwy, ale na uzdrowiciela dusz to się nasz przewodniczący zupełnie nie nadaje, więc mamy patową sytuację.

– Saturninie... a czy ja mogę z nim porozmawiać? – zapytała bardzo ostrożnie.

Czarodziej podniósł się na łokciach.

– Masz na myśli... wykorzystanie swojego artefaktu? – upewnił się.

– Nie jestem przecież kimś obcym! – Carina podskoczyła na materacu. – Może mogłabym mu jakoś ulżyć. Jemu albo Yesfir. Co stoi na przeszkodzie?

Cały kontekst obu naszych małżeństw – pomyślał Saturnin, a na głos powiedział stanowczo:

– Chociażby twój obecny stan. Jesteś w ciąży i nie powinnaś się denerwować.

Carina jednak nie chciała odpuścić. Oparła się o niego i popchnęła delikatnie do tyłu, tak, że oboje położyli się na miękkiej pościeli. Otoczył ją ramieniem, a ona przytuliła twarz do jego policzka.

– Naszemu dziecku nic się nie stanie, a ja się boję, że Alfard spróbuje ze sobą skończyć. Wyobrażam sobie, jaki dramat musi

przeżywać Yesfir... Co ja bym czuła, gdyby coś podobnego spotkało ciebie...

Nawet jeśli Saturnin próbował nie dać się podejść, pod wpływem tego wyznania poczuł mimowolny przypływ szczerzej miłości do żony, co znalazło ujście na jego twarzy.

Pomysł, choć z pewnością nie spodobałby się Japette'owi czy Sheratan, z obiektywnego punktu widzenia wydawał się sensowny. Jako że Carina studiowała w Nortanii nauki psychologiczne, miała nie tylko predyspozycje osobowościowe, ale i odpowiednią wiedzę, jak prowadzić podobne rozmowy. Nie wspominając już o uprawianej przez nią magii. Niemniej Saturnin uważał ją za zbyt wrażliwą. Obecnie chodziła wystarczająco struta, nawet bez obciążenia w postaci Alfarda. Martwiła się wyemancypowaniem Saturnina, brakiem akceptacji ze strony Sheratan, chorą matką oraz przebiegiem ciąży. Nawet jeśli robiła dobrą minę do złej gry, coraz częściej zbywała męża, gdy chciał się z nią kochać. On sam natomiast także nie znajdował dla niej tyle czasu, ile by chciał, zavalony obowiązkami natury zawodowej.

– Muszę to jeszcze przemyśleć – zdecydował. – Rozumiem twoje dobre intencje, ale na razie nie kontaktuj się z von Planethofami. Sytuacja nie jest taka prosta, jak się może wydawać.

– To znaczy?

Saturnin westchnął i rzekł niechętnie:

– Obawiam się, że Sheratan zgłosiłaby sprzeciw. A sama rozumiesz, jak się sprawy mają.

Był naprawdę zniechęcony swoimi relacjami z mistrzynią. Kiedy w Nortanii odwiedził go Rastaban Mondstein i zaczął namawiać do powrotu, czarodziej nie spodziewał się problemów z emancypacją. Przed ucieczką z Cariną Sheratan zawsze stawiała w jego obronie, dlatego brak jakiegokolwiek kontaktu z jej strony i przybycie przewodniczącego w pojedynkę nie wzbudziło w Saturninie podejrzeń co do zmiany nastawienia głowy domu Fomalhaut. W tamtym momencie najistotniejsza wydawała mu się kwestia akceptacji jego małżeństwa, które zawarł po kryjomu. Teraz jednak pluł sobie w brodę, że nie uzależnił swojego przyjazdu od tego dodatkowego warunku. Tylko co, jeśli by mu odmówili? Czy był wówczas gotowy definitywnie porzucić majątek po ojcu? Przecież tak naprawdę



chciał wrócić i cały czas liczył, że Siódmacy wyciągną do niego rękę na zgodę. Topór wojenny został zakopany, czego ta głupia baba właściwie od niego oczekiwała? Przecież Yesfir miała już męża, a nawet dziecko. Przeszłości się nie zmieni! Może w takim razie pora przestać się przejmować zdaniem zdziwaczałej alchemiczki, która nawet nie raczyła go poinformować, że szykowała artefakt dla jego narzeczonej?

– Nie myśl o tym! – poprosiła Carina, zgadując, co mu chodziło po głowie. – Sheratan musi cię kiedyś usamodzielnąć. Albo umrze w końcu na zawał serca, z jej tuszą to niewykluczone...

Czarodziej zatkał jej usta dłonią.

– Takich rzeczy się u nas nie mówi, proszę cię, zapamiętaj to sobie! – upomniął ją surowo. – Tutaj ściany mają uszy!

Carina wyswobodziła się z jego uścisku.

– Przepraszam... Po prostu mnie też to bardzo denerwuje i mam wrażenie, że ona odczuwa satysfakcję z naszego położenia. Ale dobrze, nie myślmy dzisiaj o tym. Nie odchodź, to poprawię ci nastrój.

Saturnin objął ją nieco mocniej. Poczul ciepło znajomego ciała i słodkawy zapach jej włosów.

– Czyżbyś jednak miała dzisiaj ochotę? – zapytał sugestywnym tonem.

– Och, nie, przykro mi, kochanie, ja nie o tym... Boli mnie trochę głowa. Pomyślałam, że jeśli się zgodzisz... – Spojrzała znacząco na piękną kolię leżącą na toaletce.

Saturnin nie był pewien, czy powinien się zgadzać. Wypuścił żonę z ramion i odsunął się nieco, aby lepiej ją widzieć.

– Obawiam się, że to może uzależniać – wyznał. – A ja nie po to pilnowałem się całe życie, aby teraz popadać w nałogi.

Carina roześmiała się ponownie, wstała i zbliżyła się do toaletki.

– Tylko że tym uzależnieniem rozporządzałabym ja. – Zapięła artefakt na zgrabnej szyi. – Zresztą, nie, to nie ma takiego efektu, zapewniam cię. Tylko poczekaj momencik, pójdę jeszcze do łazienki, zaraz wrócę.

Czarodziej założył ręce za głowę. Czuł lekkie ssanie w żołądku.

Ciekawe, co dzisiaj na obiad – zastanowił się.

I począł po kolei wyobrażać sobie potrawy, którymi chlubiła się ich stara kucharka. Doszedł do wniosku, że najchętniej zjadłby

stek, najlepiej taki dobrze wysmażony. Nie był przecież chimera, aby miał się lubować we krwi!

– Ależ zgłodniałam! – dobiegł go głos Cariny. – Mam straszną ochotę na mięso! Pewnie przez tego małego urwisa, który zagnieżdził się w moim brzuchu. Jak myślisz, czy jeśli dam znać kucharce, to zdąży nam jeszcze wysmażyć steki?

Wróciła do pokoju.

– Dlaczego tak mi się przyglądasz? – zapytała zaskoczona.

– Nic, nic. Pewnie, jeżeli masz ochotę, to wydaj dyspozycję. Ale wiesz co, chyba naszą miłą sesję przełożymy na kiedy indziej. Coś mi się przypomniało.

I zostawił skonsternowaną Carinę, a sam przeszedł do swojego gabinetu, próbując zapanować nad ogarniającym go podekscytowaniem.



Finalnie Saturnin przystał na propozycję żony, aby spotkała się z von Planethofami. Yesfir, o dziwo, zgodziła się przyjąć pomoc. Nawet jeżeli w głębi serca wciąż mogła żywić niechęć do dawnej rywalki, to pogarszający się stan Alfarda wymusił powściągnięcie urazy.

Syriusz-Starsky z niepokojem obserwował całe to przedsięwzięcie. Nie tylko bał się o samopoczucie żony, lecz także antycypował, że ich pomysł może wzniecić bunt wśród członków innych Wielkich Domów, jeżeli sprawa wyjdzie na jaw. By zapobiec atakowi, zyskał zawczasu przychyłność Neptunsenów, Merkuriuszów i Mondsteinów. Zostały domy de la Venus oraz Fomalhaut, ale z nimi Saturnin nie chciał wchodzić w dyskusje. W razie jakiegś awantury miał poparcie większości rodów. Najważniejsze, że przewodniczący nie zgłosił sprzeciwu.

Carina początkowo trzymała się całkiem dobrze. Spędzała z Alfardem długie godziny, cierpliwie wysłuchując, co von Planethof czuje, i kojąc jego nerwy przy pomocy magii. Kiedy Saturnin pytał, jak układa jej się z Yesfir, jego żona tylko wzruszała ramionami.

– Raczej się nie zaprzyjaźnimy, ale mamy wspólny cel i tyle wystarczy.



Jednak po upływie dwóch tygodni Carina po raz pierwszy wróciła do domu w parszywym humorze i migąła się od wyjaśnienia, czym było to spowodowane. Dopiero przyciśnięta do muru, wyznała zrezygnowana:

– Nie jestem przekonana, czy następnym razem nie pocałuję klamki.

– A to niby dlaczego?

Czarodziejka westchnęła.

– Bo słyszałam, co mówiła Yesfir, gdy wychodziłam. A właściwie co krzyczała. Pewnie sądziła, że drzwi już się za mną zamknęły. Strasznie naskoczyła na Alfarda. Wrzasnęła, że... na bogów, to takie idiotyczne, aż mi głupio to powtarzać!

– No powiedz wreszcie! – zniecierpliwił się Saturnin.

– Dobrze, cytując wprost, to ona powiedziała: „Co, najpierw on, a teraz ty?!”. Niezłe przewrażliwienie, nie uważasz?..

– Przystawiał się do ciebie?

– Wspaniale, kolejny zazdrośnik! Nie, nie przystawiał. Bardzo kocha swoją żonę, podkreśla to na każdym kroku. To dobry mężczyzna o dużej samoświadomości. I nigdy nie przekracza żadnych granic. Można powiedzieć, że traktujemy się bardzo profesjonalnie jak na takie okoliczności. Chyba zjadają ją jakieś kompleksy, skoro z taką urodą boi się zdrady. Przecież w jego stanie to on musi mieć zerowe libido!

Jednak wbrew obawom Cariny Yesfir dalej pozwalała jej spotykać się ze swoim mężem. Mimo to Saturnin zauważył, że coś się popsło na dobre. Jego żona wracała coraz później, przygaszona, z dokuczliwą migreną. Wymigiwała się od zwierzeń i szła czym prędzej spać. Parę razy Syriusz-Starsky słyszał, jak Carina płacze w łazience, ale nie chciała go wtedy wpuścić. W końcu się zdenerwował.

– Nie pójdziesz do nich więcej, rozumiesz? Całymi dniami karmisz się koszmarami Alfarda i sama je przeżywasz. Nie na tym ta pomoc miała polegać!

Ku jego złości Carina powiedziała, że nie zamierza zrezygnować z tych spotkań, bo są one dla von Planethofów bardzo ważne. Saturnin postanowił wywinąć się od obowiązków, które przypadały mu następnego dnia, i udać się do Yesfir, aby poinformować ją, że sesje terapeutyczne dobiegły końca.

Zanim jednak zjadł śniadanie, kamerdyner przyniósł mu na złotej tacy list od von Planethofa. Zaskoczony czarodziej złamał pieczęć i przeczytał:

*Drogi Saturninie,
z całego serca dziękuję Tobie i Twojej wspaniałej żonie za
miłosierdzie oraz pomoc, jakie nam okazaliście. Proszę
Cię jednak, aby Carina nie odwiedzała nas już więcej.
Dowiedziałem się, że jest brzemienna, i uważam, że nie
powinienem obarczać jej swoimi problemami, kiedy trwa
w błogosławionym stanie. Sądzę, że zgodzisz się w tym ze
mną jako jej oddany mąż.*

*Kłaniam się nisko
Alfard von Planethof*

Przynajmniej jeden problem z głowy – pomyślał Saturnin.
Bez słowa podał list żonie, która skwapliwie zapoznała się z jego
treścią, po czym zbladła i ze słabym „przepraszam, źle się czuję”
opuściła jadalnię.

Posiłek nie smakował czarodziejowi tak jak wcześniej. Otarł usta
chusteczką i ruszył do sypialni. Zanim jednak do niej wszedł, usły-
szał przez zamknięte drzwi, że Carina z kimś rozmawia.

Ostrożnie nacisnął klamkę i zajrzał do środka. Stał jak wryty.
Jego żona, z koliań nałożoną na szyi, mówiła sama do siebie, wy-
konując przy tym głębokie wdechy i uspokajające ruchy dłońmi.

Używała artefaktu na sobie.

– Na bogów, Carino...

Czarodziejka odwróciła się gwałtownie, spłoszona. Oczy miała
całe czerwone.

– Nie! – krzyknęła. – Saturninie, wszystko jest w porządku, ja
wcale...

– Jak niby jest w porządku? Jeszcze nigdy nie widziałem, aby...

– Jest dobrze. Nie przejmuj się.

Czarodziej zatrzymał się w pół kroku, kiedy fala ulgi uderzyła
w jego ciało. Poczuł się lekko nierealnie, jak we śnie.

Carina podeszła do niego prędko.



– Nie martw się o mnie – powtórzyła. – Przepraszam, że sprawiłam ci tyle bólu. Sprawa się zakończyła, Alfard zrezygnował. Ubodło to po prostu moją dumę. Rozumiesz mnie, prawda?

Mogłaby mówić cokolwiek, a Saturnin i tak by jej przytakiwał. Jeszcze nigdy nie było mu tak przyjemnie.

– Tak, kochanie. Mów do mnie jeszcze – poprosił ją.

– Dobrze. – Wzięła go za rękę. – Zapomnisz o całej sprawie?

– Trudno będzie o niej tak po prostu zapomnieć – zauważył trzeźwo resztkami rozsądku.

Carina pociągnęła go w stronę łóżka.

– Chodź, pokochamy się. To naprawdę zamknięty temat. Nie martw się już o mnie. Dostałam nauczkę. Następnym razem cię posłucham.

Gorące pożądanie spłynęło na Saturnina. Przypomniawszy sobie, jak dawno nie obcował z żoną. Zbliżył się jeszcze bardziej, a ona położyła się na łóżku.

– Słyszysz mnie, Saturninie? – zapytała go niepewnie.

– Tak, Carino. O wszystkim zapomnę. Tylko wołaj teraz moje imię – poprosił i wpił się w jej usta.



– Co ci strzeliło do głowy, aby pozwolić Carinie zbliżyć się do Alfarda? – zapytała groźnie Sheratan.

Znowu widzieli się z Saturninem w jej gabinecie, który czarodziejowi zaczynał kojarzyć się prawie wyłącznie z nieprzyjemnymi sytuacjami. Mężczyzna uniósł brwi, słysząc to oskarżenie.

– A skąd o tym wiesz, pani?

– Pytanie powinno brzmieć: dlaczego dowiaduję o tym się ostatnia! I to od Alfarda, a nie od ciebie!

Krew zawrzała w żyłach Saturnina, a jego twarz oblał rumieniec. Takiego obrotu sprawy się nie spodziewał. To oni mu pomagają, narażają się na nieprzyjemności, a on...

Chyba że Sheratan sobie teraz ze mną pogrywa? – pomyślał czarodziej.

– Uznaliśmy, że to najlepsze rozwiązanie – odparł na głos, starając się zachować spokój i z namysłem dobierając słowa. – Skontaktowałem się z innymi Wielkimi Domami i uzyskałem przychylną...

– Tylko jakoś nie poinformowałeś ani mnie, ani Japette’a! Saturnin przewrócił oczami.

– Znałem zawczasu waszą potencjalną odpowiedź. Japette ma swoje idée fixe, a ty, pani... nienawidzisz mojej żony.

Sheratan milczała. Czarodziej kontynuował, łamiąc tym samym dotychczasowe tabu:

– Zdaję sobie sprawę z tego, jak to małżeństwo zostało zawarte, ale rzecz się dokonała i czasu się nie cofnie. Kiedy zaproponowano mi powrót po śmierci stryja, zapewniono mnie, że nie muszę się rozwodzić, co wzięłam za dobrą monetę. Jednak moja żona nie jest tu akceptowana. Nie wykazuje pani żadnej woli, aby ją poznać, a jeśli jej temat się pojawia, to tylko w kontekście tego, że odciąga mnie od moich obowiązków, które wypełniam sumiennie, i nikt poza panią nie zgłasza żadnych zastrzeżeń. Moja małżonka bardzo to przeżywa. Wyrzuca sobie, że to przez nią wciąż nie uzyskałem wyemancypowania, a i ja, prawdę mówiąc, przestaję cokolwiek w tej kwestii rozumieć. Czego ja mam niby jeszcze dowieść? Wróciłem do Lonavy, podjąłem się niełatwego zadania w Nogunii, a potem zapewniłem Alfardowi wsparcie, jakiego nie raczył udzielić mu żaden inny Wielki Dom. Czy naprawdę oczekujesz ode mnie, pani, że całe życie będę się kajać za poślubienie kobiety, którą kocham? Jako głowa Syriuszów-Starskich oczekuję odpowiedzi, a w przypadku jej braku wyciągnę z tego konsekwencje.

– Nie wolno ci tak do mnie mówić – upomniała go, zbita z tropu. Zapewne jeszcze nigdy życiu nie słyszała, aby uczeń przywoływał mistrza do porządku, i to w tak obcesowym tonie.

– O wiele bardziej niedopuszczalna jest sytuacja, w której jeden z Wielkich Domów uzależnia inny od siebie – wycodził Saturnin. – Podobnie rzecz się ma z trzymaniem Alfarda w szachu przez Japette’a. To poważnie zaburza równowagę sił w radzie i jeśli ten stan będzie się utrzymywał, zgłoszę na forum wotum nieufności.

Sheratan zasłoniła usta dłonią. Nie wyglądała na przerażoną taką perspektywą, trudno ją było nastraszyć. Wydawała się raczej... głęboko rozzarowana.

– Wprowadzasz nieprzyjaźń między nasze rody – ostrzegła Saturnina bez gniewu. – A jesteś wciąż bardzo młody i niedoświadczony, więc wielu spraw jeszcze nie rozumiesz...



Wstała od biurka i zaczęła krążyć po gabinecie z zaplecionymi rękoma za plecami.

– Dobrze wam się układa pożycie seksualne?

Saturnina zatkęła.

– Przekraczasz, pani, granicę...

– Niczego nie przekraczam. Jestem twoją mistrzynią. Nie pytam o to, jak się ze sobą zabawiacie. Czy Carina nie wykorzystuje seksu, aby coś na tobie wymusić albo do czegoś przekonać? Nie traktuje go jako środka, żeby ostudzić twój gniew albo wręcz przeciwnie, aby wzbudzić w tobie frustrację?

Czarodziej nie odpowiedział. Czuł silne obrzydzenie. Jeśli coś było powodem ich problemów w sypialni, to wyłącznie stres, jakiego doświadczała jego żona. A Sheratan stanowiła jedno z jego źródeł.

– Nic nie mówisz. – Alchemiczka wzruszyła ramionami. – Nie chcesz, to nie. Ale zwróć na to, proszę, uwagę. I nigdy, przenigdy nie pozwól jej używać na sobie magii.

Skurcz, który przebiegł po twarzy Saturnina, umknąłby uwadze innym, ale nie Sheratan.

– Pozwoliłeś jej! – krzyknęła z pasją.

– To nie pani sprawa! – wrzasnął Saturnin, nie panując nad sobą.

Alchemiczka cofnęła się w stronę biurka. Czarodziej przypomniał sobie o czarnoprochowcu, który podobno trzymała w jednej z szuflad. Na wpół świadomie ściszył głos:

– Carina jest moją żoną, przyjaciółką i powiernicą. Nigdy nie dała nikomu powodu do tego typu skandalicznych insynuacji. Obrażałaś nas, pani, wystarczająco długo. Proszę mnie więcej do siebie nie wzywać. A jeśli przekniesz mnie, pani, mam już obietnicę paru osób, że nie pozostawią tego bez odwetu.

Zaczekał chwilę, spodziewając się najgorszego. Jednak gdy usta alchemiczki w końcu się otworzyły, słowa, które z nich wypłynęły, nie były oczekiwanym wyklęciem ucznia:

– Którś z nas tkwi w ogromnym błędzie, Saturninie. Jeżeli wina leży po mojej stronie, przyjdę i przeproszę cię w odpowiednim czasie. Na razie jednak odejdz i nie pokazuj mi się na oczy. „Dziel i rządź” to maksyma Ryb, a ja nie chcę rozłamu wśród Wielkich Domów.

Saturnin posłał jej mordercze spojrzenie i opuścił gabinet bez oddania Sheratan jakichkolwiek honorów.



W holu rezydencji zastał torby podróżne. Pełen najgorszych przeżyć, pobiegł szukać Cariny. Znalazł ją w sypialni. Czarodziejka, ubrana w chimerowe futro, pakowała do torebki ostatnie drobiazgi.

– Co to ma znaczyć?!

Carina podskoczyła, przestraszona jego nagłym pojawieniem się.

– Muszę pojechać do domu – powiedziała ze smutkiem. – Mama źle się czuje. Chcę przy niej być.

Saturnin wciągnął głęboko powietrze i nieco się uspokoił. O chorobie matki Cariny wiedział od dawna.

– Nie uciekasz ode mnie, prawda? – zapytał, wchodząc w głąb sypialni.

– Co? Och, nie, głuptasku! Nigdy bym cię nie zostawiła. Niemniej... – zawahała się i zamilkła.

Saturnin poczuł lodowate zimno w żołądku.

– Może lepiej będzie, jeśli wyjadę na jakiś miesiąc – wyszeptała czarodziejka. – Chcę przetrwać sprawę z Alfardem.

– W takim razie ja również odwiedzę twoją matkę.

– Och, nie, nie, ty masz obowiązki tutaj, na miejscu! – zaprotestowała żywo. – Dla naszego dobra... lepiej, abyś został. Może dogadasz się jakoś z Sheratan? Mam poczucie, że tylko namieszałam i tym samym cię skrzywdziłam.

– Jak możesz w ogóle tak myśleć?

Saturnin położył dłonie na jej ramionach. Obsunął lekko futro i dostrzegł na szyi artefakt. Carina się odsunęła i chwyciła kołnierz, aby przykryć kolicę.

– Nie jest aktywna – zastrzegła lękliwie. – Sam rozumiesz, że w podróży powinnam ją mieć na sobie.

– Przecież nic nie mówię... Chodź, pomogę ci z tymi bagażami.

Wziął do ręki ostatnią walizkę.

– To zadanie dla służby – mruknęła Carina.

Saturnin poczuł przemożną potrzebę wyrażenia pełnego oddania wobec żony, ale w ostatniej chwili powstrzymał się od podobnych wyznań. Zamiast podkreślać swoją służebność, powiedział tylko:



– Bardzo cię kocham. Pisz do mnie często i wróć, kiedy tylko zechcesz.

Carina zmrużyła oczy i pocałowała go czule.

W ciągu następnego kwadransa czarodziejka opuściła rezydencję Syriuszów-Starskich. Saturnin zaś poszedł do saloniku, otworzył barek i – po raz pierwszy od bardzo dawna – upił się do nieprzytomności.



Wśród Siódmaków nie istniało pojęcie wakacji, ale Saturnin postanowił sobie takowe urządzić. Ku zgryzocie innych Wodników zakomunikował im, że na razie potrzebuje odpocząć i w przypadku jakichkolwiek głosowań zdaje się na Neptunsenów, których opinii najbardziej poważał. Nikogo nie odwiedzał, sączył alkohol i całymi dniami czytał. Nie przejął się nawet przyjazdem młodszego syna Rastabana Mondsteina.

Fobos z racji braku widoków na przejęcie rodowej schedy zdecydował się na zrobienie zawrotnej kariery w strukturach CZAR-u. Raz do roku odwiedzał Siedem Wielkich Domów, aby przekazać im co ważniejsze informacje, do których udało mu się dotrzeć. Saturnin jednak nie darzył go zbyt dużym zaufaniem i nie ekscytowała go wizja wysłuchiwanie politycznych plotek. Wysłał do przewodniczącego liścik z prośbą, by przekazano mu później najważniejsze wnioski ze spotkania. Nie otrzymał jednak jakiegokolwiek informacji zwrotnej. Po trzech dniach Syriusz-Starsky uznał, że być może tym razem młody Mondstein nie przywiózł ze sobą żadnych rewelacji. Dlatego zdziwił się, kiedy czwartego poranka kamerdyner przyniósł mu list do porannej kawy.

Aż z takim opóźnieniem? – zastanawiał się Saturnin.

Kiedy jednak dostrzegł nadawcę na kopercie, okazało się, że otrzymał wiadomość nie od przewodniczącego, lecz od Alfarda.

*Drogi Saturninie,
chciałbym zaprosić Cię dzisiaj do nas na wieczerzę. Wiem,
że spędzasz teraz większość czasu w samotności i być może
taki stan Ci odpowiada. Niemniej razem z żoną bardzo*

się za Tobą stęskniliśmy. Będziemy wielce zaszczyceni, jeżeli odpowiesz na nasze zaproszenie. Kolację planujemy na godzinę...

Czarodziej złożył list i zaczął się nim wachlować, poirytowany. Przecież taką wiadomość powinna otrzymać Carina, a nie on! Żeby chociaż zaprosili ich oboje, kiedy jeszcze była na miejscu! Wyglądało to wszystko wielce osobliwie.

Czy Yesfir naprawdę może być o nią aż tak zazdrosna? – dumał. Tylko dlaczego? Przecież nie wyłącznie z mojego powodu...

Nieprzyjemna myśl zmroziła Saturnina. Nie, nic podobnego na pewno nie mogło mieć miejsca. Ale jeśli... coś faktycznie wydarzyło się pomiędzy jego żoną a Alfardem?



– Och, Saturninie, jak miło, że zgodziłeś się przyjść!

Czarodziej, oglądający obrazy w holu von Planethofów, odwrócił się w stronę, z której dobiegł kobiecy głos, i aż zaniemówił. Yesfir podeszła do niego, zgrabnie utrzymując równowagę na wysokich obcasach. Saturnin dałby sobie rękę uciąć, że przez chwilę jej oczy roz błysły intensywną zielenią, a ona sama otaksowała go wzrokiem od stóp do głów. Poczuł się nieprzyjemnie nagi, choć wcale nie był pewien, czy czarodziejka potrafiła przeświećlać czyjaś odzież. Ubrana była w obcisłą, błyszczącą sukienkę, a głębokie wcięcie na dekolcie podkreślało jej atuty.

Bardzo dziwny kostium jak na przyjacielską kolację – pomyślał Saturnin. Chyba że to tak dla Alfarda, aby trochę poprawić mu humor.

Udali się razem do jadalni, gdzie czekał na nich pan domu z kieliszkiem jakiegoś mocnego trunku w dłoni. Jeżeli początkowo Saturnin uznał, że von Planethof sprawia niezgorsze wrażenie, to po chwili dostrzegł, że spod niezapiętej koszuli wystawał fragment kostiumu umożliwiającego czarodziejowi autokamuflaż.

Czyli ten dalek swoje...

Alfard uśmiechnął się z wysiłkiem.

– Jak miło cię widzieć, Saturninie! – zawołał słabo. – Proszę, siadajmy. Naprawdę bardzo się cieszymy, żeś nas odwiedził.



Zajęli miejsca przy stole, a służba wyczekiwała na choćby najmniejsze skinienie z ich strony, aby odsunąć krzesło, podać półmisek lub dolać wina.

Syriusz-Starsky czuł się jak w jakimś śnie albo przedstawieniu. Choć wszystko, co działo się wokół niego, nosiło znamiona realności, rzeczywiście nie wydawało się wcale. Z każdym łykiem wina to wrażenie się w nim umacniało. Widział głęboki smutek w oczach Yesfir, która z ogromnym zaangażowaniem podtrzymywała rozmowę towarzyską i śmiała się z najmniejszego żartu. Była bardzo spięta, nie ulegało to najmniejszej wątpliwości. Jej spojrzenia, słane Saturninowi spod podkręconych rzęs, wyrażały rozpaczliwą prośbę, lecz nie potrafił odczytać ukrytego w nich znaczenia. Czy z Alfardem działo się coś jeszcze gorszego niż dotychczas? Pomijając nerwowe tiki, von Planethof wyglądał chyba najlepiej od czasu tej nieszczonej misji w Nogunii.

– Chciałabym wznieść toast – zakomunikowała spontanicznie Yesfir i wstała. – Za mojego męża, który uzyskał w końcu wyemancypowanie!

Saturnin poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy.

– Jak to? – zwrócił się do Alfarda. – Czy stary Japette...

– Jeszcze mnie tak do końca nie wyzwolił... – krygował się von Planethof.

– Ale uczyni to jutro – powiedziała Yesfir z naciskiem. – Mamu jego obietnicę. Uważam, że należy za to wypić.

Stuknęli się kieliszkami. Saturnin z wielkim trudem przełknął trunek, który wydał mu się obrzydliwie kwaśny. Czyli nawet Alfard...! A więc tylko on jeden, on, Syriusz-Starsky, wciąż na lasce...!

Z czarnych myśli wyrwał go głos von Planethofa:

– Teraz ja pragnę wznieść toast.

– Już? Trochę szybko! – oznajmiła ze śmiechem Yesfir.

– To ważne, bardzo – rzekł cicho Alfard. – Za przyjaźń między naszymi domami, Saturninie. Oby trwała zawsze, nawet w najgorszych chwilach. Abyśmy umieli sobie przebaczać.

– Ach, duszno coś tutaj. – Yesfir wstała od stołu. – Służba! Otwórzcie okna, oddychać się nie da.

Czarodzieje mierzyli się wzrokiem.

– Czy ja o czymś nie wiem, Alfardzie? – zapytał zimno Saturnin.
– Porozmawiamy po kolacji – obiecał niemrawo von Planethof.
– Już jest po kolacji.
– Dobrze, masz rację. Służba! Podajcie nam cygara. A ty, Yesfir, jeśli mógłbym cię prosić...

Czarodziejka rzuciła im lekkie spojrzenie, kiwnęła głową, okryła się srebrzystym szalem i wyszła. Gdy sprzątnięto ze stołu i podano nowe trunki wraz z cygarami, Alfard pozostał z Saturninem sam.

Syriusz-Starsky siedział pozornie nonszalancko na kanapie, obserwując gospodarza, który udawał, że podziwia widok za oknem. Obaj palili w milczeniu.

– Wiele się zmieniło... – zaczął w końcu Alfard. – Nie tak to wszystko miało wyglądać. Całe moje życie przed Nogunią wydaje się czymś... zmyślonym. Jakimś przywidzeniem, które nigdy nie miało miejsca. Szczęście, które czułem po ślubie, radość z narodzonego syna... to już nigdy nie wróci.

Podniósł dłoń, by odgarnąć włosy za ucho. Rękaw koszuli obsunął mu się z nadgarstka i Saturnin dostrzegł ślady blizn.

– Mówią, że czas leczy rany – kontynuował von Planethof. – Ale ja w to nie wierzę, tak samo jak nie wierzę w bogów czy możliwość odkupienia. Wiem jednak, że istnieje jakaś Siła, niepojęta i większa od nas, stanowiąca o porządku tego świata. Jest ona źródłem wszelkiego bytu i pojęć, także tych moralnych, a zatem istnieją zbrodnie z jej perspektywy niewybaczalne. Boję się zarówno kary, która pewnego dnia z pewnością nadejdzie, jak i bólu, wymierzanego mi każdego dnia przez sumienie. Nie mogę znieść widoku cierpienia mojej żony oraz świadomości, że niszczę życie Aldebaranowi. Yesfir jest taka młoda, a ja nie wywiązuję się z żadnych powinności wobec niej. Gdybym mógł, wręczyłbym jej list rozwodowy, aby ułożyła sobie życie z kimś innym, ale wiesz dobrze, że my, Siódmacy, takowych nie uznajemy. Wiążemy małżonków z naszymi troskami do samego końca.

Sięgnął do kieszeni i z pudełka wysypał na dłoń kilka małych pastylek. Popił je winem.

– Nie powinienes mieszać leków z alkoholem – upomniął go obojętnie Saturnin.



Alfard zignorował uwagę.

– Chcę cię o coś poprosić, Saturninie... – wrócił do poprzedniego tematu. – Nade mną nie ma się co litować i od nikogo tego nie oczekuję. Proszę cię jednak... zaopiekuj się moją żoną. Ona... ona naprawdę darzy cię ogromną sympatią mimo upływu lat i... tego, wszystkiego, co między wami zaszło. Jestem pewien, że znajdziecie ze sobą... wspólny język.

Saturnin bardzo powoli podniósł się z kanapy.

– Jak mam to rozumieć?

– Jak zechcesz. Bylebyś jej tylko nie skrzywdził. Jeśli z tego będą dzieci, trudno, zaakceptuję je jako swoje. Nigdy nie postawię cię przed...

– Alfardzie! – Saturnin nie wierzył własnym uszom. – Ja mam żonę! Żonę, która potrzebuje mojej opieki, a ty... ty mnie właśnie prosisz o cudzołóstwo! I co, może jutro w zamian będziesz chciał posuwać Carinę?! O ile już tego nie robisz?!

– Nie masz żony – odrzekł sucho Alfard. – Tylko żmiję wychodowaną na własnym łonie.

Tym dziwnym zdaniem gospodarz zamknął czarodziejowi usta na dobrą chwilę. Pociągnął kolejny łyk trunku i wyjaśnił beznamiętnie:

– Japette wyemancypuje mnie jutro pod warunkiem, że ci to powiem, bo nikt inny nie ma odwagi. Nie przyjechałeś na spotkanie z Fobosem, więc nie mogłeś się tego dowiedzieć bezpośrednio od niego. Trzy dni debatowali, jak ci to zakomunikować. Carina... Carina jest szpiegiem, Saturninie. To agentka Sekcji Skorpiona. Przekazuje CZAR-owi wszystko, co od nas wyciągnie. A po terapii ze mną dowiedziała się naprawdę sporo.

Uśmiechnął się łagodnie do sparaliżowanego Saturnina.

– Wysłałem ci list z prośbą o zakończenie sesji, bo mi coś w tych spotkaniach nie pasowało. Zdałem sobie sprawę, że wcale nie chcę w nich uczestniczyć, ale ilekroć ona mnie witała, ulegałem jej głosowi. Dopiero po pewnym czasie zrozumiałem, że już od progu używała na mnie swojej magii. Choć nie podejrzewałem jej jeszcze o szpiegostwo, to wiedziałem, że jako głowa mojego rodu...

– To wszystko kłamstwo – zaprzeczył Saturnin. – Nie wierzę w żadne twoje słowo. Fobos mógł to wszystko zmyślić. Nie wiemy, czy tak naprawdę pracuje dla nas, czy dla CZAR-u.

Alfard zaciągnął się głęboko cygarem. Przykry grymas przeszył jego oblicze, ale powstrzymał się od jęku.

– Powiem ci w takim razie wszystko to, co wyjawilem Carinie – zdecydował. – Tak w skrócie. Zrozumiesz, że Fobos nie mógłby się tego dowiedzieć żadnym innym sposobem, bo nawet jego rodzina nigdy tak go nie wprowadziła w nasze sprawy.

I zaczął opowiadać. A z każdym kolejnym wątkiem Saturninowi robiło się coraz słabiej.

– Zamknij się wreszcie – przerwał mu w końcu. – Ja... ja muszę... potrzebuję być przez moment sam.

Wyszedł z jadalni i skierował się do łazienki. Z trudnością trzymał się na nogach.

Carina. Carina! Na bogów, Carina, jak mogłaś!

Przemył twarz lodowatą wodą, ledwo czując jej temperaturę. W oczach mu ciemniało.

– A ja cię tak kochałem... – szepnął i uniósł wzrok do lustra.

Wtedy w gładkim odbiciu dostrzegł stojącą w progu Yesfir. Weszła do środka i cicho zamknęła za sobą drzwi. Poczuł gorzki smak w przełyku.

– Zadowolona? – zapytał drżącym głosem. – Sprawiedliwości stało się zadość! Dosięgła mnie wreszcie kara za to, że cię porzuciłem! Dzisiaj grzech, jutro pokuta, po prostu kalimatyzm w najczystszej postaci!

Czarodziejka spuściła głowę.

– Nie cieszę się z twojego nieszczęścia – rzekła ze ściśniętym gardłem. – Byłam wściekła, przyznaję. Każda kobieta odczuwałaby to samo na moim miejscu, ale... Czy naprawdę sądzisz, że sprawia mi przyjemność patrzeć, jak cierpią ci, których kocham?

Kocham?

Przyjrzał się Yesfir i pojął, że tylko ją jest teraz w stanie dostrzec. Cała reszta była zamazana, ginęła w mroku. Wylał policzki rękawikiem i oparł się o umywalkę, aby nie stracić równowagi.



– Twój mąż... – zaczął. – Twój mąż poprosił mnie, abym się tobą zaopiekował. Wiedziałaś, że to zrobi?

– Tak. Zwolnił mnie... ze wszystkich obietnic. Wciąż jednak pozostanę panią von Planethof i to nigdy się nie zmieni.

Odważyła się na niego spojrzeć. Saturnin badał oczy czarodziejki, puste jak u lalki. Zbliżyła się do niego i położyła mu ręce na piersi. Owionął go jej zapach – tak bardzo inny niż Cariny.

Które pierwsze pocałowało to drugie – nie wiedział. Żadne z nich nie protestowało, kiedy zaczęli się nawzajem rozbierać. Saturnin jeszcze nigdy nie czuł tak smutnego i silnego zarazem pożądania. Gniew, żądza oraz żal rosły w nim z każdym kolejnym dotykem jej ciała. Oboje byli wygłodniali po tygodniach wstrzemięźliwości. Po raz pierwszy od dawna partner odpowiadał na ich ruchy, podsycał je i nadawał im nowe znaczenie.

Posadził ją na szafeczce i dopełnił tego, co miało zostać dopełnione. Rozkoszował się nią wszystkimi zmysłami. Całował po szyi, zlizywał lzy z jej policzków.

I nagle, gdy było już po wszystkim, a Saturnin chciał jeszcze choć przez chwilę pozostać w tym onirycznym świecie rozkoszy, Yesfir zeszywniała, krzyknęła i bezskutecznie próbowała go odepchnąć. Skołowany czarodziej odwrócił się w stronę wejścia do łazienki, gdzie stał syn von Planethofów.

Mały Aldebaran obserwował ich ze zdumieniem, jakby próbował zrozumieć, na co patrzył. Choć był na tyle młody, by nie móc pojąć istoty czynności, której się oddawali, wyraźnie zdawał sobie sprawę, że działo się coś niewłaściwego.

– Synku! – Yesfir przypadła do niego, drżąc. – Dlaczego ty nie śpisz? Co się stało, ktoś cię obudził?

Aldebaran nie odpowiadał. Spomiędzy ramion matki słał Saturninowi niemą nienawiść. Wtedy czarodziej uzmysłowił sobie, że oto w tę straszną spiralę nieszczęść on sam wepchnął jeszcze jedno życie.



*Droga Mistrzyni,
dowiedziałem się już o wszystkim. Wyjadę, aby zrobić
to, co do mnie należy. Jeśli nie wrócę w ciągu roku, zna-
czy to, że poległem. W takim wypadku sami zdecydujcie,
jakie postępowanie będzie najlepsze dla Siedmiu Wiel-
kich Domów.*

*Proszę przekazać Alfardowi, że po powrocie spełnię
jego prośbę.*

*Z uniżeniem
Saturnin Syriusz-Starsky*

Nortański wiatr roznosił płatki śniegu we wszystkich kierunkach. Ciemne, mlecznoszare niebo ciążyło nad wzgórzami pokrytymi miękkim puchem. Dwóch samotnych jeźdźców posuwało się powoli naprzód, zostawiając za sobą w dolinie miasto rozmięgotane tysiącem świateł.

– Nortania jest jednak bardzo przygnębiająca – stwierdził Saturnin i poprawił futrzaną czapkę.

– Co ty mówisz! – zaperzyła się Carina. – Ja uważam, że w jej surowości tkwi bardzo wiele piękna!

Siedziała z gracją na rapicie, opatulona w śnieżnobiałe odzienie. Z wielką radością wróciła do jeździectwa, gdy tylko doszła do siebie po narodzinach syna.

– Zmarzniesz – zauważył Saturnin. – Wracajmy.

– Nie! – upierała się czarodziejka. – Dzisiaj ma być sztorm. To coś wartego zobaczenia.

– Och, nie wątpię. Nic mnie tak nie pokrzepia jak natura przypominająca o kruchości życia.

Carina westchnęła z lekką irytacją. Przez chwilę jechali w milczeniu, dopóki nagła myśl nie zaświtała w głowie czarodziejki.

– Mam pomysł! Ścigajmy się! Zobaczmy, kto z nas lepiej jeździ!

– Zwariowałaś? Chcesz się ścigać do klifu?

– A co, boisz się? – Carina zaśmiała się szelmowsko. – Przecież jeszcze wczoraj obiecywałaś spełniać wszystkie moje zachcianki przed powrotem do Lonavy.



Poprawiła futro w okolicach szyi, a Saturnin poczuł pod skórą nieprzyjemną uległość. Zacisnął dłonie na lejcach i puścił się galopem.

– Hej! – rozległ się oburzony krzyk jego żony. – To nie w porządku! Oszukujesz!

Czym prędzej ruszyła w pogoń. Szybko się z nim zrównała – zawsze miała lepszą wprawę w jeździe na rapitach.

– Przegrasz! – wołała ze śmiechem. – Jesteś bez szans!

Szli łeb w łeb. Ptaki ślizgały się po skutej lodem powierzchni, ale ich właściciele nie pozwolili im stanąć. Spomiędzy śniegu wyłonił się zarys klifu.

Przecież zdążę wyhamować, choćby i na krawędzi! – pomyślała podniecona wyścigiem Carina.

I nagle Saturnin gwałtownie zatrzymał swojego rapita.

Czarodziejka, wciąż w pędzie, obejrzała się za nim ze zdziwieniem. Futrzana czapka osunęła mu się z głowy, ukazując srebrną obręcz na jego skroniach.

Krzyk zamarł jej w gardle.



To był bardzo dziwny pogrzeb.

Rezydencja Syriuszów-Starskich tonęła w świeżo ściętych kwiatkach. Po korytarzach niosły się żałobne śpiewy przemieszane z krokami zaaferowanej służby, a dym kadzideł wgryzał się w meble i stroje przybyłych.

Yesfir jednym uchem słuchała tego, co wygłaszał zaproszony kapłan bogini Kalimy. Na ogół Siedem Wielkich Domów praktykowało świeckie ceremonie, ale ponoć Serpentiusz Merkuriusz namówił Saturnina, aby przez wzgląd na duszę swojej żony wyprawił pentateistyczny pogrzeb. Pani von Planethof wątpiła jednak, by patronka mądrości i dobroci przyjęła zmarłą do swojego orszaku.

Mały Aldebaran kręcił się na siedzeniu.

– Przestań się wiercić i bądź grzeczny – upomniała go ostrym szeptem. – Niedługo się skończy.

– Chcę tam! – poskarżył się chłopiec, wskazując na inne dzieci znajdujące się bliżej ołtarza.

Yesfir, choć reprezentowała Alfarda, siedziała wraz z synem w ostatniej ławce, z dala od reszty gości. Parę osób odwróciło się w jej stronę. Ich nieme oblicza wyrażały wystarczająco wiele. „Dziwka. Cudzołożnica. Wszetecznicza”.

Czarodziejka ukryła twarz w dłoniach.

Po pożegnalnym kazaniu przyszła pora na śpiewne modlitwy. Dopiero po upływie całej wieczności kapłan pobłogosławił zebranych i wszyscy wyszli na zewnątrz, aby zakopać trumnę.

Yesfir trzymała się z Aldebaranem na samym końcu pochodu. Ilekroć zbliżyła się nieopatrznie do pozostałych, ktoś zatrzymywał ją wymownym spojrzeniem. Serce biło jej jak szalone. Ścisnęła mocniej dziecięcą rączkę.

W końcu dotarli do wyznaczonego celu. Szafarze spalili ostatnie kadzidło, a trumna znalazła się głęboko w ziemi. Yesfir po raz pierwszy tego dnia ujrzała błądy profil Saturnina, trzymającego przy piersi niemowlę.

Po kolei wszyscy Siódmacy podchodzili do czarodzieja i wyrażali kondolencje. Najdłużej stała przy nim Sheratan Fomalhaut. Jej rozmowa z wyemancypowanym już uczniem przeciągała się na tyle, że Yesfir zaczęła się obawiać, czy alchemiczka nie zabierze jej Saturnina sprzed nosa. Tak się jednak nie stało – Sheratan odeszła w końcu od gospodarza i ruszyła w stronę głównego budynku. Zbliżając się do czarodziejki, zwolniła, jak gdyby chciała coś powiedzieć, ale w ostatniej chwili zrezygnowała i minęła panią von Planethof.

Yesfir podeszła powoli do Saturnina, który odwrócił się na dźwięk stukania jej obcasów.

– Och – rzekł cicho i uśmiechnął się łagodnie. – To miłe, że przyszłaś. Że przyszliście – poprawił się, kiwając na Aldebarana.

Chłopiec nachmurzył się, rozpoznawszy nielubianego mężczyznę.

– Jest mi bardzo przykro... – zaczęła czarodziejka, ale zamilkła. Nie знаła słów, by wyrazić okropieństwo całej tej historii.

– Wiem o tym. Dziękuję – odparł litościwie Saturnin.

Wyglądał, jakby był na silnych lekach uspokajających. Yesfir podejrzewała, że odpowiednie medykamenty otrzymał także jego syn, który spał w ramionach ojca nieco zbyt spokojnie jak na całokształt okoliczności.

– Podobny do ciebie – zagaiła.



– Tak? Dla mnie wszystkie niemowlęta wyglądają tak samo – odrzekł obojętnie Saturnin.

Yesfir zebrała się w sobie i powiedziała szybko:

– Powinieneś zobaczyć moją córkę. Uważam, że ona też jest podobna do ojca.

Czarodziej bardzo długo przetrwał tę informację.

– Powiłaś córkę?

– Tak.

– Mamo... – Aldebaran zaczął się znowu niecierpliwić. Pociągnął Yesfir za rękę. – Jestem głodny.

– To biegnij coś zjeść – zaproponował mu Saturnin. – Twoja mama zaraz do ciebie dołączy.

Małec zastanowił się nad tą propozycją, ale ponieważ padła ze strony jego pierwszego śmiertelnego wroga, odrzekł buntowniczo:

– Nie. Chcę dziadziusia.

– Aldebaranie, idź do głównej rezydencji – poleciła mu matka, lecz Saturnin machnął ręką.

– Podejdź do mnie – rzekł i przykucnął.

Dziedzic von Planethofów z namaszczeniem obejrzał obce niemowlę. Szybko jednak znudził mu się ten widok, ponieważ dziecko tylko spało.

– Mały trochę – zauważył głośno.

Na dźwięk jego głosu chłopczyk odemknął zaspane powieki i powiódł zdziwionym wzrokiem dookoła. Po chwili zmarszczył się cały i zaczął kwilić. Syn Alfarda, zawstydzony swoim występkiem, cofnął się i z płaczem uciekł w stronę rezydencji. Yesfir odruchowo chciała za nim pobiec, ale w ostatniej chwili się powstrzymała.

Saturnin kołysał pierworodnego.

– Już wszystko dobrze – powiedział. – Nie martw się, jestem tu z tobą.

Yesfir poczuła przeszywający ból gdzieś w środku. Nie oglądając się na czarodzieja, ruszyła powoli śladami Aldebarana.

– Nie słyszysz mnie? Powiedziałem, żebyś się nie bała. Nie zostawię cię z tym samej.

Czarodziejka odwróciła się na pięcie. Niebieskie oczy Saturnina patrzyły tylko na nią.

I wtedy zrozumiała.

Upadek domu von Planethofów

.....

Opowiadanie opracowali

Redakcja: Malwina Niewielska

Kontrola redakcji: Magdalena Świerczek-Gryboś

Korekta: Aleksandra Machnowska, Ilona Żurawska, Karolina Rogala

Weryfikacja: Magdalena Kłodowska, Patrycja Pancerz, Dominika Kozłowska

Kontrola weryfikacji: Magda Kowalewicz

Kontrola przed składem: Dawid Wiktorski

Recenzje: Magda Kowalewicz, Adam Wnuk, Alicja Szalska-Radomska, Patrycja Pancerz

Fantazmaty działają non-profit od 2017 roku. To nasza dwudziesta trzecia antologia. Ponad 150 osób wolontariacko poświęca swój czas, byśmy mogli działać skutecznie i profesjonalnie. Chcemy, by nasze książki nadal docierały do każdego czytelnika w formie bezpłatnych ebooków i audiobooków, a kolejne darmowe poradniki pisanie pojawiały się na stronie WWW.

Wiesz, że ty też możesz mieć swój wkład w Fantazmaty?

Zostań naszym Patronem.

Wspierając projekt, pomożesz nam utrzymać stronę internetową i opłacić koszt serwera, dasz nam możliwość pojawiania się nie tylko na konwentach, ale też na targach książki. Dzięki tobie więcej osób będzie mogło dowiedzieć się o Fantazmatach, a przez to spełnić swoje marzenie o opublikowaniu tekstów, wydać swoją twórczość przy wsparciu uważnych redaktorów i korektorów, sprawdzić się jako ilustrator, przyłączyć się do zaangażowanego zespołu, zdobywać wydawnicze doświadczenie oraz przeczytać książki takie jak ta.

Zajrzyj na patronite.pl/grupawydawniczafantazmaty lub na <https://buycoffee.to/fantazmaty>

Informacje o opowiadaniach | Content warnings

„Miłość i mróz”: fantastyka obyczajowa | śmierć

„Pomarańczowa parasolka”: fantasy | śmierć

„Zakręt”: bizarro | śmierć, samobójstwo, okaleczenie ciała

„Wzór na długie i szczęśliwe życie Jeremy’ego Barretta”: science fiction | przemoc, zabójstwo

„Może wśród gwiazd”: fantastyka | śmierć, ból, zabójstwo

„Entropia”: new weird fantasy | samobójstwo, elementy erotyki niekonsensualnej

„Rycerz, panna i wielka niedźwiedzica”: fantastyka | molestowanie, zabójstwo, opisy fizjologii i rozkładu

„Prorocy Galei”: fantastyka apokaliptyczna | śmierć, choroba, krew, samookaleczanie, ukrzyżowanie

„Zegarmistrz życia zakrwawiony”: fantasy, gearpunk | samobójstwo, zabójstwo, śmierć, choroba, krew

„Oksytocyna”: science fiction | krew, stany lękowe, modyfikacje ciała, sekcja zwłok, zabójstwo

„Upadek domu von Planethofów”: fantastyka | przemoc, seks, śmierć, trauma, wojna, wulgaryzmy